

John Howlett

Syndrom Segré

Przełożyli

Ewa Ćwirko-Godycka

Piotr Goc

KRAJOWA AGENCJA WYDAWNICZA

WARSZAWA 1988

Mojemu wydawcy

Anthony'emu Whittome'owi oraz tym wszystkim członkom „bractwa atomowego”, tak inżynierom jak i urzędnikom, którzy służyli mi pomocą, a którzy w większości wolą pozostać anonimowi

Część pierwsza

1

Stalowe trumny nad brzegiem gładkiego morza, za nimi krąg wzgórz, których grzbiety rozjaśniało wschodzące już słońce. Mężczyzna z lornetką ukrył się na zalesionym stoku po przeciwnej stronie zatoki i obserwował. Z odległości czterech mil pomruk silnika lokomotywy spalinowej był ledwie słyszalny. Właśnie zjechała z magistrali i wtoczyła się na ogrodzony teren, mijając pierwszą z dwóch, zamykanych na kłódkę, bram i zatrzymała się przy skrajnym wagonie. Kontury lokomotywy i wagonów rysowały się teraz ostro na tle morza. W chłodnym, porannym powietrzu widać było wyraźnie obłoczki pary wydobywające się z ust strażnika, który wygramolił się z kabiny, by doczepić jedną z trumien — stutonową butlę przypominającą kształtem pękaty cukierek-niespodziankę, jaki dzieci dostają na gwiazdkę. Pociągnięty za końce papierka, cukierek wybucha. Butla spoczywała w czarnej stalowej kołysce zamocowanej przegubowo na ośmioosiowej, blisko trzydziestometrowej platformie. Dwa puste wagony towarowe przed i za trumną spełniały funkcję ochronną. Na bocznym torze pięciu strażników wdrapywało się do

staromodnego wagonu hamulcowego, który wkrótce miał być doczepiony do składu.

Na murach domów w mieście ktoś wymalował słowa: „Pociąg śmierci”.

Ośmiu mężczyzn i jedna dziewczyna schodziło ku torom po stromym zboczu wykopu; ich ciemne sylwetki były na wpół widoczne wśród sięgających do pasa paproci. Pięciu mężczyzn niosło ciężkie torby z narzędziami. Dziewczyna zatrzymała się ponad torami w kępcie brzoź, skąd widać było drogę wiodącą do doliny. Siedmiu mężczyzn ukryło się niżej, w zaroślach nie opodal semafora, ósmy zaś ruszył wzdłuż zakręcającego toru w stronę następnego semafora, oddalonego o pół mili.

„Lorneta” opuścił kryjówkę na przeciwległym wzgórzu i, niczym Bogu ducha winny ornitolog, szedł teraz z plecakiem i aparatami fotograficznymi do samochodu. Objechał zatokę, potem skręcił w górę, ku przełęczy, i wynurzył się na zalanym słońcem odcinku drogi. Wziął jeszcze kilka zakrętów w dół po wschodniej stronie zatoki i gdy znów znalazł się w cieniu, błysnął reflektorami raz, drugi i trzeci.

Dziewczyna dostrzegła blask słońca odbijającego się w przedniej szybie samochodu, który wjechał na szczyt wzniesienia. Światła były słabiej widoczne, lecz policzyła błyski reflektorów, po czym odwróciła się i wyciągniętą w górę ręką dała znak współnikom: pociąg został zidentyfikowany.

Dwaj mężczyźni w butach na grubej gumowej podeszwie wspięli się na oba semafony. Rozkręcili obudowę lamp, wyjęli żarówki i połączyli końce przewodów metalowymi spinkami. Prawie jednocześnie obydwie zielone sygnały zgasły, zastąpione przez żółty na jednym, a czerwony na drugim semaforze. Lokomotywa dudniła coraz głośniej i po chwili wyłoniła się z tunelu: gdy pociąg wtoczył się na nasyp, stalowa trumna zaśniała nagle w słońcu.

W wagonie hamulcowym jeden z pięciu strażników spał, a trzech innych grało w karty. Tylko najstarszy stopniem czuwał przy pulpicie z peryskopem. Przed sobą miał tekst rozkazu specjalnego i instrukcję postępowania w razie nieprzewidzianych okoliczności; na jej przezroczystej okładce widniała żółta nalepka z czarno-czerwonym symbolem radioaktywności. Usłyszał zgrzyt hamulców. Przez peryskop dostrzegł, że minęli żółte ostrzegawcze światło semafora, i sunęli dalej wokół doliny, po czym wjechali znów do głębokiego wykopu. Maszynista i jego pomocnik czuli ciężar 250 ton napierającego na lokomotywę ładunku, gdy, z trudem zwalniając biegu, brali zakręt w prawo, za którym był drugi semafor.

— Dogoniliśmy ten przeklęty pociąg z mlekiem — rzekł maszynista, ujrawszy sygnał „stój”. — Będziemy się teraz wlec za jego dupą aż do rozjazdu. — Lokomotywą szarpnęło, gdy jeszcze mocniej docisnął hamulce.

— Przypomnij temu od semaforów, co wieziemy. Ma nam dać wolny tor aż do Timbaktu.

Pomocnik otworzył drzwi i zszedł na ziemię. Po tłuczniu i końcach podkładów szedł do telefonu zainstalowanego w skrzynce u dołu semafora. Nie słyszał niczego poza odgłosem silnika na jałowym biegu i świstem wiatru między drutami. Nagle na głowę spadł mu czarny kaptur, a para silnych ramion bezceremonialnie rzuciła go na kolana.

Maszynista w kabinie nie miał czasu, żeby zareagować. Wpatrzony w semafor nie słyszał skradających się ku lokomotywie złoczyńców. Gdy obrócił się wyczuwając czyjąś obecność, w otwartych drzwiach ujrzał młodego brodatego mężczyznę z obrzynem w rękę, który gestem nakazał mu opuścić fotel.

W wagonie hamulcowym na końcu pociągu dowódca straży, rozmyślając o niebieskich migdałach, patrzył przez swój peryskop na szpaler starych, powyginanych krzewów głogu wysoko na skarpie.

Wagony ochronne i stalowa trumna skutecznie zasłaniały jeden bok lokomotywy, rozkazał więc jednemu z graczy:

— Reg, idź no do lokomotywy.

— Po co?

— Mamy czerwone. Jak wyjeżdżaliśmy z tunelu, było żółte.

— Przed nami jest pociąg z mlekiem.

— Nieważne. Jak dla mnie, może to być sam Jezus Chrystus. A ty idź i zobacz, co mówią przez telefon.

Reg niechętnie wciągnął na siebie kurtkę od munduru i ruszył ku drzwiom.

— A pistolet?

— O co ci chodzi? Mam ci ustrzelić gołąbka na kolację? Nadal ociągając się, Reg wrócił po broń, lecz zanim zdołał zdjąć ją ze stojaka, pociąg szarpnął i ruszył. Reg zarechotał.

— Gołąbków nie będzie.

Zapadła cisza. Wykop się skończył i przez okna do wagonu wpadły promienie słońca.

— Dobra, kowboju. Wracaj do kart. Joe, zanotuj w dzienniku: półminutowy postój pod semaforem.

Dowódca straży opuścił boczne okno i wystawił głowę na słońce. Z lokomotywy wysunęła się dłoń. Kciuk skierowany w górę, znak, że wszystko w porządku. Dowódca odpowiedział podobnym gestem, zamknął okno, sięgnął po pudełko z tytoniem i zrobił cienkiego, koślawego skręta.

— Cholerne pociągi — mruknął.

Ręka z podniesionym kciukiem należała do brodatego. Siedział teraz w fotelu pomocnika, patrząc na drugiego z porywaczy, który prowadził lokomotywę siedząc na fotelu z lewej strony. Maszynista brytyjskich kolei państwowych i jego pomocnik skuleni leżeli za nimi na podłodze; brodaty trzymał ich na muszce. Pozostali terroryści, pięciu mężczyzn i kobieta, siedzieli rzędem w

wąziutkim korytarzu, biegnącym wzdłuż wyjącego diesla, który łączy przednią kabinę lokomotywy z tylną. Ich torby na narzędzia były teraz otwarte; z zabranych z sobą elementów montowali coś, co wojskowi nazwaliby bojowym sprzętem wysokiej klasy.

— Dwadzieścia... dwadzieścia pięć... trzydzieści pięć — brodacz odczytywał ograniczenia prędkości na kolejnych odcinkach krętego toru biegnącego w dolinę. Jego współnik przy sterach natychmiast przyspieszał, nie darując ani pół mili dozwolonej prędkości. Minęli mokradła, stada owiec i farmy na wzgórzach. Bagna ustąpiły miejsca lasom, te znowu — polom. Osady zmieniły się w wioski, strumienie w rzekę. Uśpione jeszcze było stało nieruchomo w wysokiej trawie na pastwiskach.

— Dwadzieścia... piętnaście... — gdzieś przed sobą minęli teraz miasto, węzeł kolejowy i rozjazd, na którym ten właśnie pociąg musiał zwolnić do pięciu mil na godzinę. Brodaty obrócił się do maszynisty i jego pomocnika i gestem nakazał im podnieść się z podłogi.

— Mamy wasz rozkład jazdy i umiemy prowadzić. Żadnych wygłupów!

Godzina 6.35. Niczym pociąg-widmo wlekli się przez stację i, minawszy budkę dróżnika, wjechali na główną linię. Punktualnie. Dróżnik spoglądał przez okienko, bardziej zajęty oglądaniem trumny niż twarzy w lokomotywie, które mogły, choć nie musiały, być mu znajome.

Z tyłu, w wagonie hamulcowym, drzemiący dotąd strażnik obudził się i nalewał kawę kolegom zajętym grą w karty. Dowódca straży siadł przy stoliku, a rozdający zajął miejsce przy peryskopie.

— Dobrego maszynistę dziś dali. Już nadrobił te pół minuty spod semafora.

Po wiosce — przedmieście, po domkach z ogródkami, dzielnica przemysłowa. Dziewięćdziesiąt minut od uprowadzenia. Wiadukt w centrum dużego miasta. Dowódca straży notuje drugi nieprzewidziany postój. Lokomotywa, trumna, wagony ochronne i wagon hamulcowy zatrzymują się łagodnie trzydzieści metrów od wiaduktu, tym razem bez widocznej przyczyny. Światła są zielone, a tor wolny.

Z pistoletem w dłoni, brodacz wygramolił się z tylnej kabiny lokomotywy i przeczołgał pod platformą do sprzęgu i przewodów hamulcowych, łączących ją z tylnym wagonem ochronnym. Dziesięć metrów dalej dwóch strażników wyglądało przez okna wagonu hamulcowego, lecz wagon ochronny zasłaniał im widok na platformę. Dowódca straży wyraźnie widział przez peryskop zielone światło, wobec czego nakazał Regowi, również zdeglustowanemu jak uprzednio, sprawdzić przyczynę postoju.

— Po co te popisy, ciołku. Jesteśmy w samym sercu Glasgow. Zostaw pistolet na stojaku.

Przed nimi, skryty za wagonem ochronnym, brodacz ciężko pracował, rozkręcając napinacz sprzęgu. Słyszał, jak Reg ciężko

opuszcza się po stopniach wagonu na tor, a potem obserwował spod wagonu jego zbliżające się buty. Przewody hamulcowe rozłączyły się z sykiem i brodaty porywacz zdjął zaczep sprzęgu, który zadudnił o wagon. Biedny zde gustowany Reg, zdziwiony hałasem, pojawił się w przerwie między wagonami o krok od przykucniętego terrorysty. Ten z odległości najwyżej metra władował w opasłego strażnika zawartość obu luf swego obrzyna: twarz i tors Rega pękły jak przejrzwały pomidor strącony z krzaka. Zmasakrowane ciało, w konwulsjach, zrobiło krok do tyłu niczym kurczak z oberżniętą głową, i zważyło się na sąsiedni tor.

Był to pierwszy brutalny czyn. Jego efekt był wstrząsający.

Brodacz przeczołgał się z powrotem wzdłuż platformy. Podwójny wystrzał odbił się wielokrotnym echem od stalowej trumny, ale dla postronnych był to dziwnie anonimowy dźwięk, coś jak stukot pociągu na rozjeździe, jak upuszczony na szynę kawałek żelaza czy uderzenie w dźwigar gdzieś w fabryce pod wiaduktem. Wyglądało na to, że nikt nie dostrzegł momentu, w którym Reg przeobraził się w bezkształtną kupę mięsa.

Z przeciwnej strony na wiadukt wjechał ekspres. Lokomotywa i pierwszy wagon były już na moście, gdy czyjaś ręka pociągnęła za hamulec bezpieczeństwa i ekspres gwałtownie zahamował. I tym razem bez żadnej widocznej przyczyny.

Oddalony o trzysta metrów brodaty terrorysta, wyczołgawszy się spod platformy, wdrapywał się z powrotem do kabiny lokomotywy. Wtedy od strony wagonu hamulcowego dobiegł

krzyk, nieomal wrzask, wydany przez kogoś, kto dostrzegł ciało Rega. Lecz lokomotywa, przedni wagon ochronny i trumna były już w ruchu, oddalając się od drugiego wagonu ochronnego i wagonu hamulcowego ku wiaduktowi rysującemu się na tle porannego nieba.

Zagrożenie było zatem ustalone: ośmiu terrorystów z nieznaną ilością broni i materiałów wybuchowych, a do tego potencjalnie śmiertelna stutonowa stalowa butla czy „trumna”, zawierająca 250 kilogramów niezwykle toksycznego i promieniotwórczego wypalonego paliwa z reaktora prędkiego powielającego, a takie paliwo jest silnie skażone długożyciowymi izotopami kryptonu-85, strontu-90, cezu-137, oraz względnie stabilnymi pierwiastkami takimi jak neptun, ameryk, kiur i pluton. Istna puszka Pandory, pełząca po wiadukcie nad blisko milionowym miastem.

W tym czasie pociąg pasażerski, nadal unieruchomiony hamulcem awaryjnym, stał na drugim końcu wiaduktu. Maszynista widział zbliżającą się z naprzeciwka lokomotywę z wagonami, ale był zbyt zajęty własnym nieoczekiwanym postojem, żeby zawracać sobie nią głowę. Lokomotywa zatrzymała się tuż obok niego. Brodacz i czterej jego kompani zeskoczyli na tory i skierowali się ku ekspresowi. Maszynista spostrzegł pistolety, gdy otworzyli drzwi jego kabiny. Jeden z porywaczy wszedł do środka, a trzech pozostali szli przez pociąg strzelając w okna i sufity wagonów, gnając przed sobą tłum przerażonych pasażerów.

Brodacz tymczasem, spokojny i pewny siebie tak, jak może być pewien siebie uzbrojony człowiek pośród bezbronnych, Bogu ducha winnych ludzi, szedł wzdłuż toru mijając trzy wagony pierwszej klasy i wagon restauracyjny. Potem ukucnął, ponownie wcisnął się między wagony i przystąpił do rozłączania ich, co w przypadku zestawionego na stałe ekspresu było zadaniem bardziej skomplikowanym. Lokomotywa, trzy wagony i wagon restauracyjny, odłączone od reszty składu, ruszyły naprzód; lokomotywa z trumną cofały się równolegle po sąsiednim torze aż do środkowego odcinka wiaduktu.

Na przeciwległym krańcu wiaduktu strażnicy skupili się wokół ciała poległego kolegi; dwóch z nich ruszyło po chwili z bronią w rękę na most. Wystarczyła jedna seria z pistoletu maszynowego, by wybić im ten pomysł z głowy. Przestraszeni i rozwścieczeni, zajęli posterunki obserwacyjne kryjąc się za przyczółkiem. Jednocześnie ich dowódca pobiegł do najbliższego telefonu, aby poinformować swych przełożonych w Zarządzie Energii Atomowej w Londynie o uprowadzeniu pociągu. ZEA zaalarmował departamenty energetyki, ochrony środowiska i Home Office, Home Office — Jednostki Specjalne, ministerstwo obrony i Biuro Rządu, Biuro Rządu — ministrów, ministerstwo obrony — formację antyterrorystyczną SAS. Uruchomienie maszyny kryzysowej nie trwało długo, choć na razie nikt nie wiedział nic, lub prawie nic, o ludziach z wiaduktu i ich motywach.

Lokomotywa i cztery wagony ekspresu służyły teraz jako osłona wagonu z trumną. Po dwóch terrorystów stało na straży przy obu końcach pociągu, pozostali tymczasem posilali się tym, co pozostało z na wpół przygotowanego śniadania. Trzej uprowadzeni maszyniści, którzy jak dotąd nie doznali szwanku, byli z nimi, ściśnięci przy jednym ze stolików w środku wagonu. Dla ukojenia nerwów dostali butelkę z piwnic kolei państwowych. Spośród porywaczy jedynie brodacz podlewał winem jajecznicę na bekonie, reszta zaś zadowolili się kawą.

Gra na przeczekanie. Pół godziny później tę scenę zbiorową z wagonu restauracyjnego uwiecznił operator telewizyjny kamerą zainstalowaną na wynajętym podnośniku. Telewizja przerwała nadawanie obrazu kontrolnego, by pokazać wydarzenia z ostatniej chwili, a jednocześnie szefowie londyńskiej TV zastanawiali się, czy zamiast planowanej na przedpołudnie relacji z turnieju golfowego nie należałoby nadać bezpośredniej transmisji z miejsca porwania.

Gwiazdkowy upominek Pandory. Gdyby porywacze byli w stanie otworzyć trumnę i oddać jej zawartość we władanie wiatrom, trucizny starczyłoby na wymordowanie ludności całego najważniejszego okręgu przemysłowego Szkocji. Nigdy od czasu inwazji na Normandię prognozy pogody nie miały równie wielkiego wpływu na decyzje wagi państwowej, co teraz: niż nasuwający się znad Atlantyku, wiatry północno-zachodnie skręcające na zachodnie i południowo-zachodnie, i odwrotnie.

— Jeśli będziemy musieli ewakuować ludność z całej niziny szkockiej — oznajmił premier na nadzwyczajnym posiedzeniu gabinetu — będzie to oznaczać wycofanie się z planów energetyki jądrowej. Społeczeństwo nie zaakceptuje takiego stopnia zagrożenia.

— A jeśli to bluff? — spytał doradca wojskowy. — Dotąd użyli tylko jednego pistoletu maszynowego i obrzyna. Tym nie są w stanie zagrozić tej ciężkiej trumnie.

— Jeśli myślicie, że blefują — odrzekł premier — to ich sprawdźcie. Niech zagrają następną kartę.

Siedemdziesiąta minuta na wiadukcie: pierwsza ocena wojskowa po rekonesansie dokonanym z helikopterów lecących na małej wysokości. Nie dostrzeżono ani nie sfotografowano żadnego ciężkiego sprzętu bojowego czy materiałów wybuchowych.

Czekać — radzili wojskowi. Atakować, gdy się zmęczą, i pod osłoną ciemności.

Rząd jednak podjął inną decyzję. Stopień zagrożenia należy ustalić bezzwłocznie. Specjalnie przeszkoleni komandosi z brygady antyterrorystycznej SAS zbliżają się do porwanego pociągu na wagonach do przewozu tłuczni, osłanianych od przodu przez ciężkie pługi śnieżne. Po dwóch torach z obu stron wiaduktu nadjadą jednocześnie cztery takie pociągi.

Podczas gdy kolejarze formowali specjalne składy, a komandosów przerzucano drogą powietrzną w miejsce akcji,

policja usuwała ludzi z terenów przy wiadukcie i przystąpiła do stopniowej ewakuacji centrum Glasgow, które otaczano kordonem w miarę napływania posiłków z innych miejscowości.

Cztery pług odśnieżne ruszyły o 10.15, ukazując się porywaczom na zakrętach od północy i południa wiaduktu. Brak oznak paniki i niepokoju w kwaterze głównej terrorystów zlokalizowanej w wagonie restauracyjnym zdawał się świadczyć, że byli zawczasu przygotowani na kontrakcję z udziałem wojska. Dwóch terrorystów pozostało w wagonie z dwoma porwanymi maszynistami. Trzeciego maszynistę zaprowadzono pod eskortą na przód pociągu. Reszta porywaczy podzieliła się na dwie grupy i zajęła stanowiska na obu końcach składu, a najcięższy element ich rynsztunku, zawinięty w worek, został przeniesiony na koniec pociągu.

Pług pełżył ku dwóm uprowadzonym pociągom niczym pojazdy wysłane z pokładu UFO. Bezosobowymi głosami, które brzmiały tak, jakby dochodziły z przestrzeni kosmicznej, terroryści zażądali przez megafony zatrzymania wszystkich czterech składów. Potem wypuścili jednego z maszynistów, najmniej wystraszonego z całej trójki, i ten samotnie przeszedł skrajem mostu do wojskowego komitetu powitalnego. Podane na piśmie warunki, przekazane przez maszynistę i przesłane szyfrem do Londynu, zostały z miejsca odrzucone przez premiera. Nikt nie wierzył, by terroryści dysponowali środkami zdolnymi rozsądzić stutonową stalową trumnę, wobec czego, po półgodzinnej

przerwie, postanowiono wznowić operację. Terrorysty zażądali odpowiedzi do południa; ich blef nadal czekał na zdemaskowanie.

Gdy cztery pociągi bojowe wznowiły natarcie, przeciwnik wreszcie odkrył karty: dysponował rakieta przeciwczołgową typu Carl Gustav. Wymierzona w jeden z pługów, rakietę wybuchła ognistą kulą, zamieniając ukryty za nim wagon w topiące się strzępy fruwającego metalu. Ten drugi akt przemocy był równie niespodziewany i wstrząsający jak poprzedni; tym razem spowodował śmierć lub kalectwo kilkunastu komandosów.

Obraz pocisku i wybuchu odtworzony w zwolnionym tempie na wideo pozwolił ustalić ponad wszelką wątpliwość rodzaj użytej broni. Dane na jej temat i konsekwencje jej ewentualnego użycia przekazał gabinetowi kryzysowemu przedstawiciel ministerstwa obrony. Carl Gustav, wymierzony pod właściwym kątem z niewielkiej odległości, jest w stanie rozerwać puszkę Pandory, zamieniając jej zawartość w obłok trującej pary, który wiatr poniesie dokąd zechce.

Połączony sztab Home Office i ministerstwa obrony, obradujący w jednym z pokoi Whitehallu*, otrzymał zadanie zorganizowania natychmiastowej ewakuacji ludności z terenu wyznaczonego miastami Clydebank, East Kilbride i Airdrie. W dalszej strefie, sięgającej do Stirling na północy, Edynburga na wschodzie i Kilmarnock na południu, postanowiono ogłosić gotowość ewakuacyjną; łącznie akcją objęto by prawdopodobnie ponad dwa miliony osób.

[* Whitehall ulica w Londynie, przy której znajdują się ministerstwa; przenośnie: rząd brytyjski (przyp. tłum.)]

Dwadzieścia minut przed dwunastą jeden z wysokich rangą urzędników przeszedł samotnie z Whitehallu na Downing Street*, by oznajmić gabinetowi, że ewakuacja o takim zasięgu jest niewykonalna. Nawet próba ewakuacji na ograniczoną skalę wywołałaby panikę połączoną z zakłóceniami łączności i porządku publicznego.

Gdy skończył, dźwięk urwał się, i nastąpiła sekwencja nieruchomych klitek, przedstawiających dostojny rząd wokół mahoniowego stołu, dostojny rząd ze spojrzeniem wbitym w przestrzeń.

2

Gordon Aylen usłyszał krótki chichot w momencie, gdy na ekranie pojawiła się seria cyfr odwróconych do góry nogami; snop światła z projektora prześwietlił kłęby tytoniowego dymu. Rozsunięto zasłony i zapalono lampy. Gordon spojrzał na swe zaciśnięte pięści. Był zlany potem.

Stały podsekretarz wstał spiesznie, już spóźniony na następne spotkanie, i zawzięcie wypuszczał biały dym z fajki, jakby energia spalania miała mu pomóc w opuszczeniu tego maleńkiego kina. Pochylił się nad fotelem, by ucisnąć dłoń gościa z Ameryki.

— Cieszymy się, że pan nas odwiedził, panie Ridgeway — uśmiechnął się do Kate i skinął głową w stronę Gordona. Najwyraźniej wysoki urzędnik departamentu energetyki uznał swą obecność na projekcji za stratę czasu.

[* Downing Street — londyńska rezydencja premiera (przyp. tłum.)]

— Zajmująca opowiastka — Gordon usłyszał jego słowa wypowiedziane półgłosem na użytek facetów z telewizji. — Tylko że strasznie wydumana. Trudno to uznać za dokument.

Co rzekłszy wyszedł, ciągnąc za sobą zasłonę z białego dymu. Pałeczkę zostawił zawieszoną w powietrzu: albo spadnie, albo przejmie ją któryś z trzech podsekretarzy stanu siedzących w tylnym rzędzie: Obrona, Home Office i Gordon Aylen z energetyki.

Ci z telewizji mieli poważne, lecz zadowolone z siebie miny. Sprytny pomysł z zaproszeniem nas, pomyślał Gordon. Nie powiedzą, co mają zamiar z tym zrobić, w najmniejszym stopniu nie uwzględnią naszych uwag, ale później będą mogli twierdzić, że film „był pokazany władzom”. Gordon uśmiechnął się pod nosem widząc, jak rzecznik prasowy Zarządu Energii Atomowej zaciska wargi, a minę ma taką, jakby chciał pozrywać ze ścian czerwone pluszowe kotary.

Ciszę przerwał śmiech Amerykanina.

— Zobaczyłaś ducha, Kate?

Kate właśnie podawała gościowi z Waszyngtonu filiżankę pomyjowatej herbaty. Poznali się zaledwie dwie godziny temu, a już są po imieniu. Gordon pomyślał, że dobrze by było, gdyby jego

stosunki z Dave'em Ridgewayem cechowała równie niewymuszona bezpośredniość.

Ci z telewizji, obowiązkowo w dżinsowych kurtkach i takichże spodniach, przesunęli barek z alkoholami w kierunku tylnego rzędu. Facet z Obrony podszedł jednak skromnie do tacy z herbatą, ten z Home Office zapisywał zawzięcie kartkę za kartką, toteż Gordonowi nie pozostawało nic innego jak wziąć do ręki szklanekę dżinu z tonikiem i uśmiechnąć się niewyraźnie w stronę reżysera i redaktora z telewizji. Nie mogą ustąpić ani o milimetr, zdecydował. Jeżeli zaczną się domyślać, że mają w rękach dynamit, zaczną nim trzaskać po wszystkich kanałach jak Chińczycy fajerwerkami na swój Nowy Rok.

— Mało to prawdopodobne — odezwał się.

— Poza tym sądzę, że naprawdę powinniście sprawdzić niektóre szczegóły.

Błąd numer jeden. Z ich zaaferowanych i teraz jeszcze bardziej pewnych siebie min bez trudu można było odgadnąć, że najmniejszy szczegół został potrójnie sprawdzony przez każdą z trzech grup konsultantów. Pewnie dlatego Wielki George, rzecznik prasowy Zarządu Energetyki Atomowej, krągły, łysy i nad wyraz poważny mężczyzna, z trudem hamował gniew. Gdy dżinsy otoczyły Gordona, Wielki George opadł ciężko na fotel zwolniony przez Ministerstwo Obrony.

— To wszystko hipotezy — rzekł cicho do Gordona. — Nie mam nic do powiedzenia.

Chcielibyśmy poznać panów opinię odezwał się producent. Prywatną czy służbową, wszystko jedno.

- Dajcie to w teatrze telewizji — odpowiedział Wielki George, puszczając oko do powabnej asystentki producenta.

— Toż to czysta fantazja.

Producent i redaktor patrzyli na Gordona, który starał się pozbyć swego bezmyślnego uśmiešku.

— Na pewno kosztowało to furę pieniędzy. Redaktor zarzucił swe patykowate nogi na poręcz fotela w poprzednim rzędzie.

Większość z tego to lipa. Ujęcia z bliska i montaż. Koleje wypożyczyły nam pociąg. Wybuchy to efekty specjalne, a puszką Pandory to makieta.

Dykta i dektura - zaśmiał się producent. Wszystkie dane techniczne są w publikacjach rządowych.

I pewnie lepiej by było, gdyby tam zostały. — Wzrok Gordona błędził po sali. Z drugiego rzędu przed nim podniósł się Amerykanin, trzymając filiżankę w swej olbrzymiej łapie. Był tak wysoki, że musiał się zgarbić, by nie dotknąć głową niskiego sufitu. Gdyby Kate pochyliła się do przodu, jej czoło spoczęłoby na jego piersi. O czym mogą gwarzyć tak poufale?

— Doskonale wiemy, że jest to niezwykle delikatny temat — rzekł producent. — Uznaliśmy jednak, że będzie to ważki głos w powszechnej dyskusji nad reaktorami prędkimi.

— Dyskusja się skończyła — odrzekł Gordon. — W toku opracowywania raportu, nie bacząc na koszty, dogłębnie zbadano wszystkie aspekty tej sprawy.

— Tylko że kiedy sędzia Hurd ogłosi swój raport, dyskusja rozpęta się na nowo, tak w społeczeństwie, jak i w Parlamencie. — Producent roześmiał się. — Czy już wiadomo, po czyjej stronie się opowie?

— Nie jesteśmy informowani z wyprzedzeniem — wyjaśnił Gordon wstając i przesuając się między fotelami. Nagle poczuł przyływ klaustrofobii. W tej małej salce można jedynie wymieniać zdawkowe uwagi. Jeśli trzeba będzie wywrzeć jakiś nacisk, to nie na tym szczeblu.

— To będzie historyczna decyzja — powiedział jakiś młokos w dżinsach. — Co oznacza, że każdy boi się popełnić historyczny błąd.

— Tak oto historia czyni nas tchórzami. Patykowaty roześmiał się.

— To reaktor prędkości powinien uczynić nas tchórzami. Wyobraźcie sobie, że zbieramy do kupy to, co najbardziej nas przeraża w konwencjonalnym reaktorze atomowym, zwiększamy prędkość i zanurzamy w naczyniu z cieczą, która zapala się na powietrzu i wybucha w zetknięciu z wodą. Potem wmawiamy sobie, że nigdy nic złego się z tym nie stanie. Że nie ma terrorystów, że nie było Lagoona Beach ani Harrisburga...

— Harrisburg — przerwał mu Wielki George — cały czas był pod kontrolą.

— Jak ciężarówka waląca z góry bez hamulców. Tak, tak, szofer cały czas miał ręce na kierownicy.

Oschli, przygaszeni, z odrobiną autoironii: Dave Ridgeway nigdy jeszcze nie widział tylu przedstawicieli brytyjskiego establishmentu w starciu ze środkami masowego przekazu. Nie całkiem pojmował, o co tu chodzi. Zaledwie cztery godziny temu wysiadł z samolotu i jego pierwsze spotkanie z Kate skończyło się zaproszeniem na „domowy pokaz filmowy”. Uśmiechem przekonała go, że powinien odłożyć rozmowę z urzędnikiem ambasady. Wizytę na Grosvenor Square przełożył więc na wieczór, a tymczasem zastanawiał się, czego zdoła się tutaj dowiedzieć o tym Gordonie Aylenie. Czy jest im pisane zostać wrogami? Aylen wyglądał na człowieka łagodnego i niezdecydowanego. Gdyby NBC pokazała Ridgewayowi taki film w Waszyngtonie, wyszedłby z sali na długo przed końcem.

Aylen dostrzegł spojrzenie Dave'a i ukłonił mu się.

— W Ameryce też coś takiego robią? — spytał mając na myśli film, nie zaś filiżankę paskudnej herbaty w ręku Ridgeway.

— Takie filmy na ogół kręcimy sami. Puściłem kiedyś rozpędzoną lokomotywę bez maszynisty na ciężarówkę z podobnym pojemnikiem, ustawioną na przejeździe kolejowym. Filmowałem to z sześciu kamer. Lokomotywa o wadze 109 ton

uderza w 25-tonową butlę z prędkością 145 kilometrów na godzinę. Chcieliśmy sprawdzić, czy butla wytrzyma.

Siedzący za Gordonem podsekretarz stanu z Home Office chrząknął i odłożył na bok stos notatek.

— Czy to jest do natychmiastowego użytku? Producent wzruszył ramionami.

— Jak na razie, sami dobrze nie wiemy. Nasza góra ostrożnie podchodzi do inscenizowanego dokumentu.

— I nie bez racji — mruknął Wielki George. — Poza szczegółami technicznymi dotyczącymi pociągu nie widzę, co by w tej bajeczce można nazwać dokumentem.

— A uprowadzenie pociągu i strategia terrorystów? — producent wymierzył coup de grace, gdy wychodzili z sali projekcyjnej. — Plan znaleźliśmy w dokumentach „pożyczonych” od komórki Czerwonych Brygad w Mediolanie. My go jedynie bardzo dokładnie zrekonstruowaliśmy.

— Współpracowaliśmy z redakcją Observera — dodała piękna asystentka. — Mają opublikować te dokumenty na czołowym miejscu. Podobno organizacje terrorystyczne wymieniły dane o reaktorach i przewozach paliwa jądrowego na całym świecie.

Członkowie ekipy telewizyjnej podali sobie dłonie i rozstali się w holu, najwyraźniej zadowoleni ze swego dzieła.

— Starocie — orzekł Home Office, gdy wyszli na ulicę. — Hipotetyczne ataki terrorystów przerabialiśmy podczas przygotowywania raportu. Społeczeństwo już o tym słyszało.

— Ale nie z tak drastycznymi szczegółami — Gordon zwrócił się do Obrony. — A co z tym całym Carlem Gustavem?

— Wygląda wiarygodnie. Sądzę, że jeśli nie za pierwszym, to na pewno za drugim podejściem rozwaliby te wasze trumny z paliwem na kawałki.

— A skąd go wziąć?

— Jest na wyposażeniu NATO. Coś mi się wydaje, że za odpowiednią sumę zawsze można znaleźć parę sztuk na czarnym rynku.

Home Office odwrócił się.

— Złapię taksówkę. Komu po drodze?

Z holu wynurzył się Amerykanin, władczo trzymając Kate pod ramię i z wysokości darząc wszystkich uśmiechem.

— My pochodzimy chyba po sklepach. Może się okazać, że nie będę miał tu więcej wolnego czasu, a w domu czekają na mnie cztery bardzo wymagające panie.

Kate i jej Amerykanin buszujący po sklepach na Liberty's i Carnaby Street. To jej ostatnie zadanie służbowe w tym tygodniu. Wielki George pomachał im ręką na pożegnanie i, zły, podążył do swojego biura na południe od Piccadilly. Na odchodnym obiecał:

W notatce rozłożę ten film na czynniki pierwsze. Gdzieś musieli się sypanąć.

Gordon pomachał ręką w kierunku George'a, skłonił się Kate i uścisnął dłoń Ridgewaya.

— Do jutra, u nas na wsi, na obiedzie. Wielki Amerykanin uśmiechnął się.

— A zatem na pańskim terytorium.

Gordon patrzył, jak odchodzi z Kate wąską uliczką Soho.

Późne popołudnie, zbliżający się zmierzch. Dwa miesiące temu, w upalny letni dzień, Gordon wędrował tymi samymi uliczkami z tą samą Kate po długim, radosnym lunchu u Bianchiego. Ów lunch był jego osobistym podziękowaniem dla Kate za wysiłek, jaki włożyła w przygotowanie materiałów do raportu w sprawie reaktora prędkiego powielającego. Potem były wspólne zakupy na targu przy Berwick Street, podczas których wytworzyło się między nimi ciepłe, choć krótkotrwałe uczucie bliskości. Poczul nagły przypływ bolesnej tęsknoty.

Szedł powoli przez plac w ślad za Home Office i Obroną. Jak to ten Amerykanin powiedział? Na terytorium? To słowo przywodzi na myśl przeciwników, którzy wyznaczyli sobie spotkanie o świcie. Tymczasem jego zaproszenie na wieś było zupełnie szczere. Ilekroć sam składał wizytę w Stanach, spotykał się z tego rodzaju gościnnością ze strony gospodarzy. Zresztą nie jest to zły sposób na poznanie człowieka, z którym wkrótce ma się zasiąść do służbowych rozmów.

Home Office przyzywał go gestem z Brewer Street, trzymając uchylone drzwi taksówki. Jak u licha może się on nazywać, może Urquhart? Obrona to Pimlott, choć Gordon nigdy nie był pewny tego nazwiska i na wszelki wypadek wymawiał je niewyraźnie.

Usiadł w taksówce naprzeciwko nich, na rozkładanym fotelu. Trzech podsekretarzy zastanawiających się, kto ma pierwszy otworzyć gębę. Gwoli prawdy, powinien to zrobić Departament Energetyki w osobie Gordona Aylena. Jakby nie było, stawił się na pokazie razem ze stałym podsekretarzem (błąd!) i swą zastępczynią, by nie wspomnieć o jej zamorskim gościu.

— Jak myślicie, kiedy oni to nadadzą? — spytał Home Office.

— Jeszcze muszą to chyba wygładzić — powiedział Obrona.

— W każdy poniedziałek mają chyba swoje pół godziny?

— Na najbliższy raczej nie zdążą. Moja kolej, pomyślał Gordon.

— W poniedziałek dotrę do ich dyrektora programowego albo do kogoś innego — oświadczył. — Choć wątpię, by ktokolwiek zdołał ich powstrzymać.

Home Office zaczął wertować swe obszerne notatki i zapytał:

— Co pański stały sekretarz im powiedział?

— Użył słowa „wydumane” — odrzekł Gordon spoglądając na Obronę. — Wcale nie takie wydumane, prawda?

Dwie pary oczu naprzeciwko Gordona skierowały się na korek, jaki powstał na Haymarket, starając się ukryć zainteresowanie. Czyżby Gordon Aylen ujawniał wahania swego departamentu?

Gordon obserwował długonosy profil Obrony.

— Zważywszy wszystko terroryzm to jedyne zagrożenie, na które nie mamy i nie będziemy mieli sposobu. Mamy zabezpieczenia przed kradzieżą i „dywersją”, obojętne jak to

nazwać. Jeśli chodzi o tych porywaczy z filmu, nigdy w życiu nie uda im się wykraść zawartości trumny, nie zabijając się jednocześnie. Ale wysadzić ją w powietrze — o, to co innego. Zdecydowany na wszystko sabotażysta ma jedną szansę na trzy, że jego misja się powiedzie. To chyba wasze własne dane z Home Office? — dorzucił Gordon.

Home Office pozostawał niewzruszony.

— Przecież środki bezpieczeństwa są bardzo rygorystyczne.

— Ale pomyślmy, jak daleko musiałyby to sięgać. Już teraz sprawdza się członków rodzin wszystkich pracowników elektrowni atomowych. Sądząc po tym, co widzieliśmy na filmie, teraz zaczną sprawdzać wszystkich pracujących na kolei. A my, Anglicy, nigdy nie lubiliśmy być śledzeni.

Home Office pochylił się do przodu i domknął szybę oddzielającą ich od kierowcy. Gordon wciąż patrzył na Obronę.

— Ilu ich tam było? Ośmiu chyba, i jedna dziewczyna. Dziewięciu mężczyzn, licząc tego z lornetką.

Home Office skorygował rachunek.

— Dziesięciu. Dziesiąty był w pociągu pasażerskim.

— Nieważne ilu — powiedział Gordon. — Tak czy owak, nic nie można im było zrobić.

Obrona w końcu na niego spojrzeła.

— Chyba żeby powierzyć wojsku ochronę instalacji atomowych i transportu. Ale mogę pana zapewnić, że wojsko nie podejmie się tego, nawet jeśli taki pomysł uzyskałoby aprobatę Izby

Gmin, w co mocno wątpię. — Potarł nos. — Co z tymi pociągami? Czy one rzeczywiście mają ochronę?

— Wkrótce dostaną — odrzekł Gordon. — A poza tym, ZEA zabiega o to, by umieścić w lokomotywie dwóch własnych uzbrojonych strażników. Tylko że związki zawodowe nawet nie chcą o tym słyszeć.

— Zmienią zdanie, kiedy jakiś maszynista dostanie kulę w łeb.

— Trochę poniewczasie, co? Obrona znowu potarł nos.

— W sprawie ewakuacji mieli całkowitą rację.

— Ośmielę się zaprotestować — wtrącił się Home Office. — Zapewniam pana, że mamy cały pokój pełen planów ewakuacji dla wszystkich miast, wiosek i osad, od Land's End po John o'Groats.

— Dwa miliony ludzi? — rzekł Obrona gapiąc się na tłum na chodniku. — Nawet z pół milionem nie udałoby się. Problemy logistyczne są niewyobrażalne. Awaryjny transport, awaryjne zakwaterowanie, awaryjne zaopatrzenie w żywność i leki, ewakuacja szpitali, więzień, domów dla psychicznie chorych. Trzeba by tygodnia na przygotowanie tej operacji i dwóch na jej przeprowadzenie. — Nagle Obrona roześmiał się, pomyślawszy o czymś innym. — Niezwykle przystojnego premiera wybrali do tego filmu.

— Licencja poetycka — skomentował Gordon z uśmiechem.

Taksówka znów ruszyła, przeciskając się między autobusami na Trafalgar Square. Rozmowa była skończona. Obrona i Home Office, mamrocząc słowa pożegnania, wysiedli na Whitehall, a

Gordonowi przypadło w udziale płacenie za taksówkę, co uczynił, gdy ugrzęzła w kolejnym korku na Millbank.

Gwiazdkowy upominek Pandory. Niezły tytuł dla tego cholernego filmu. Gordon przypomniał sobie emerytowanego pułkownika Zielonych Beretów z Arkansas, który podczas opracowywania raportu przedstawił opinię na temat zagrożeń w imieniu jednej z grup obrońców środowiska. „Dajcie mi siedmiu wyszkolonych sabotażystów — powiedział pułkownik — wszystko jedno: komandosów, piechotę morską czy terrorystów, a zapewniam was, że opanuję lub zniszczę każdy obiekt i transport atomowy w USA i całej Europie Zachodniej”.

Siedmiu. W filmie było dziesięciu. Ewentualni terroryści mogą wystawić równo tuzin. Gordon roześmiał się. Jeden jedyny nie uzbrojony strażnik w okularach zatrzymał go w drzwiach jego własnego departamentu i poprosił o przepustkę.

3

Półkula z grubego betonu i stali została zbudowana przy użyciu najnowocześniejszej techniki dostępnej człowiekowi i z największą starannością, tak by skutecznie odgrodzić od świata teren, na którym żaden żywy organizm nie ma szans przeżycia. Nawet martwe stalowe mechanizmy wymagały ochrony, a stanowiły ją specjalnego kształtu tarcze wykonane z tlenku

ołowiu, poddane nadzwyczaj precyzyjnej obróbce mechanicznej. Wiele miesięcy temu, pod koniec długiej zmiany, dwóch zmęczonych robotników budowlanych upuściło jedną taką superdokładnie wykonaną pokrywę w chwili, gdy montowali ją na wyznaczonym miejscu. Świadomi powagi sytuacji, zgłosili ten wypadek, jednak opuszczone na dół detektory nie wykryły żadnych uszkodzeń. Powstały defekt — małe pęknięcie — pokrywało się bowiem dokładnie z konturem obudowy, w której tarcza była osadzona, toteż na zdjęciu rentgenowskim było zupełnie niewidoczne. Nie było żadnego powodu, by kwestionować wyniki badania.

Zresztą i dziś, kiedy na skutek temperatury i ciśnienia kawałek metalu oderwał się od tarczy wzdłuż linii pęknięcia, nie byłoby podstaw do niepokoju, nawet gdyby była możliwość zajrzenia do wnętrza reaktora: odłamek długości nie więcej niż dziesięć centymetrów został z łatwością przełknięty przez mechanizm pompy i porwany strumieniem ciekłego metalu stosowanego do chłodzenia — niczym gałązka wpadająca w rwącą, górską rzekę. Tylko najdokładniejsze badanie mogłoby wykazać, że w miejscach, gdzie po przejściu przez pompy na odłamku wystąpiły jedynie nieznaczne odbarwienia metalu, pojawią się niebawem dwa pęknięcia.

Doświadczalny reaktor prędkości powielający Emilio Segre wydawał się pracować normalnie, a załoga złożona z włoskich i

francuskich inżynierów była w pełni zadowolona z przebiegu operacji rozruchu.

4

...Ridgeway nie jest zawodowym urzędnikiem. To inżynier-atomista. Spec od reaktorów powielających, ma w małym palcu wszystkie dane. Gdyby potrzebował pomocy w sprawach prawnych albo finansowych, eksperci z ambasady są do jego dyspozycji. Moim zdaniem, panie ministrze, oni chcą załatwić wszystko, od a do zet, w najdrobniejszych szczegółach, włącznie z podpisami na dokumencie, jeszcze przed listopadowymi wyborami...

Urzędnik państwowy do swego politycznego zwierzchnika. Sekretarz stanu do spraw energetyki przyglądał się widocznej na tle okna sylwetce swego wygadanego, acz cicho mówiącego stałego podsekretarza, spowitego jak zawsze w kłęby białego dymu. Dlaczego mówi do mnie „panie ministrze”, a nie „panie sekretarzu stanu”, zastanawiał się Martin Reid. Choć w gruncie rzeczy ma zupełną rację, bo „sekretarz” we wszystkich rządowych permutacjach brzmi dość idiotycznie.

— ...Przybył bodaj w najbardziej dla nas nieodpowiednim momencie...

Co on, na Boga, ładuje do tej fajki, że idzie z niej taki biały dym? Kości polityków, wyjaśnił kiedyś Martinowi sekretarz Biura Rządu.

— ...Moim zdaniem, panie ministrze, jedyne co możemy uczynić, to działać dalej, zakładając że raport będzie pomyślny.

— A jeżeli nie?

Stały podsekretarz wyjął fajkę z ust, jakby chciał podkreślić swoje poglądy wypowiadając jedno zdanie wyraźnie.

— Każda umowa, jaką chcielibyśmy podpisać, musiałaby zawierać klauzulę na taką ewentualność, choć myślę, że mam wszelkie podstawy twierdzić, iż podczas prac nad raportem nie wypłynęło nic, na podstawie czego inspektor mógłby wydać całkowicie negatywny werdykt.

Stały sekretarz ponownie wetknął fajkę w zęby i przypalił ją olbrzymim płomieniem groźnie wyglądającej zapalniczki.

— Będzie pewnie parę zastrzeżeń i zaleceń dotyczących bezpieczeństwa, a w najgorszym razie cała ich fura. Ale jeśli będziemy mieć za sobą całą amerykańską maszynę atomową, uporamy się z nimi bez większych trudności.

— Słuchając pana można by pomyśleć, że suniemy do przodu niczym walec parowy.

— Proszę nie zapominać, panie ministrze, że rząd stanowczo opowiedział się za budową komercyjno-demonstracyjnego reaktora prędkiego powielającego, za nim jeszcze rozpoczęliśmy opracowywanie raportu.

— To mój poprzednik podjął takie zobowiązanie.

— Tak postanowił gabinet.

— Zobowiązanie rządu jest uzależnione od wyniku ekspertyz zawartych w raporcie.

Stały podsekretarz gryzł ustnik fajki. Chętnie zrobiłby to z moją głową, pomyślał Martin.

— Jeżeli Amerykanie szukają współnika, panie ministrze, będą chcieli mieć absolutną pewność, że się nie wycofamy.

— Więc niech poczekają, aż nabierzemy pewności.

— Nie mogą, bo za niespełna trzy tygodnie będą wybory, a od Kalifornii wieje bardzo chłodny, antyatomowy wiatr. Jeśli uda im się zawrzeć umowę międzynarodową, Kongresowi lub Białemu Domowi znacznie trudniej będzie się z tego wycofać. Z naszego punktu widzenia, jest to dobry moment na wynegocjowanie korzystnych warunków. Martin westchnął.

— Kto próbuje wybadać naszego Amerykanina?

— Gordon Aylen. Ci z ZEA zamierzają pokazać mu Dounreay, już w poniedziałek.

Sekretarz stanu roześmiał się.

— Tylko trzymajcie go z dala od zakładów wojskowych. Szkody by było, gdyby się niechcący zachłysnął plutonem.

Stały podsekretarz wyłonił się z za obłoków dymu i ruszył w stronę drzwi. Wcale nie wyglądał na rozbawionego. W tych czasach żarty na temat plutonu miały jednoznaczną opinię dowcipów klozetowych.

Martin Reid wstał i cisnął granatem w sztywne, oddalające się plecy:

— Bez względu na to, jak się skończy sprawa tego reaktora, chciałbym zastanowić się nad przeniesieniem Gordona Aylena, i powierzeniem mu całokształtu spraw badawczo-rozwojowych: syntezę jądrową, energię słoneczną, wiatru i fal morskich. Można go przy okazji awansować na zastępcę sekretarza, żeby był bezpośrednio odpowiedzialny przede mną. I oczywiście przed panem.

Chmura białego dymu nagle zniknęła jak zaczarowana. Piekielna fajka wreszcie zgasła. Stały podsekretarz był wyraźnie wstrząśnięty.

— Departament administracji zaprotestuje przeciwko jeszcze jednemu zastępcy.

— Do diabła z departamentem administracji! — rzekł Martin.
— Potrzebny mi ktoś, kto potrafi wybiegać myślą w następne stulecie. Ktoś, kto nie będzie musiał zaprzętać sobie głowy codziennymi drobiazgami. Ktoś z filozoficznym i mądrym podejściem do uwarunkowań środowiskowych i gospodarczych.

Stały podsekretarz nie nawykł do takich słów, jak „filozoficzny” i „mądry”. Otrząsnął się dopiero po kilku sekundach.

— W gruncie rzeczy tym powinien się zajmować główny doradca naukowy departamentu.

— Wolałbym, żeby te techniczne bubki podlegały Gordonowi. Z historykiem łatwiej się dogadać. — Granat numer dwa, pomyślał

Martin. Jego stały podsekretarz z fajką był matematykiem. — To tylko między nami — powiedział w chwili, gdy matematyk otwierał już drzwi. — Musimy się nad tym zastanowić czekając na raport.

— Nie sądzę, by Amerykanie chcieli czekać na nasz raport.

Pięć minut później, we własnym, schludnym gabinecie, stały podsekretarz powtarzał Gordonowi Aylenowi swoje przemyślenia.

— Waszyngton nie ma czasu, żeby czekać, aż nasz staruszek z Chancery Lane spłodzi swe arcydzieło.

— Gdyby chodziło o raport Kongresu — odrzekł Gordon — musieliby czekać. Czekać i słuchać.

Stały podsekretarz huknął fajką w kubek na śmieci powodując mały pożar, którego zresztą chyba nie zauważył.

— Na razie przyjmijmy, że wszystko pójdzie dobrze — powiedział. Gdy Gordon był już przy drzwiach, dodał: — Zakładam, że nie ma pan nic przeciwko temu, by Kate Davies jak najszybciej skończyła pracę nad stroną finansową.

— Po południu ma towarzyszyć Amerykaninowi.

— Nie szkodzi — powiedział stały podsekretarz. — Rozmawiałem z nią rano. Zrobi to przez weekend.

Gordon pomyślał, że skoro tak bardzo mu na tym zależy, dlaczego sam się nie zajął tym Dave'em Ridgewayem? Tylko że to byłoby oczywiście zbyt nachalne, zbyt łatwe do rozszyfrowania dla obserwatorów. Gordon poszedł trzy piętra wyżej do swojego pokoju. Jego szef, jak zwykle, wzbudził w nim uczucie wrogości i

poczucie niekompetencji, które być może brało się z widoku nieskończenie wielkiej ilości teczek z nie przeczytanymi materiałami, ułożonych w sterty na podłodze. Gordon przyjrzał się swemu gabinetowi: jedno przyjemne antyczne biurko, szereg półek z książkami, zdeptana wykładzina dywanowa, dwie reprodukcje Lowry'ego i stół konferencyjny. Wybrał stół, dzieląc teczki i korespondencję na bezładne stosy: na ten rok, na przyszły, kiedyś, nigdy. Reaktor powoli zaczynał wypełniać cały pokój: zaległe tabele, plany i raporty oczekujące na tę jedną jedyną decyzję, która puściłaby je w obieg, decyzję, którą Francuzom udało się podjąć wiele lat temu bez zawracania sobie głowy publicznymi debatami i konsultacjami.

Meandry demokracji, pomyślał naciskając guzik, by z sąsiedniego pokoju wezwać swą udręczoną sekretarkę.

— Ma pani dziś trochę czasu? — Droga, pracowita Janice. Zawsze ma czas. Niech mi pani spakuje te papiery na temat reaktora. Muszę to zabrać do domu.

Zapalił światło. Mimo wczesnej pory położony w wewnętrznym skrzydle budynku pokój sprawiał posępne wrażenie. Wziął do ręki jeden z dziesiątków raportów czekających na rozpatrzenie. „Atomowe cmentarzysko w Górach Granitowych”. Ktoś z Instytutu Nauk Geologicznych opisuje formację skalną odpowiednią do składowania w przyszłości odpadów radioaktywnych zalanych roztopionym szkłem. Teren miałby być dostępny tylko od strony poligonu wojskowego, co ograniczyłoby

sprzeciwu ze strony lokalnej społeczności. „Byłoby nawet możliwe”, dopisał ktoś, „pozostawienie obiektu pod zarządem wojskowym i ukrycie jego istnienia przed opinią publiczną”.

Cóż za dureń, pomyślał Gordon. Do teczki przypiął kartkę, na której napisał: „Uważam, że nie należy używać słowa cmentarzysko', tylko składowisko'. Co do utajnienia, jest już za późno”.

Janice wśliznęła się do pokoju i położyła na biurku stertę lektury.

— Miłego weekendu — zawołał, gdy równie cicho wychodziła. Samotna myszka w drodze do swej samotnej norki, gdzieś na południe od Tooting Bec. Cóż ona miałaby do powiedzenia o „cmentarzyskach” wykutych w granitowych wzgórzach, o potencjalnych skutkach trzęsienia ziemi lub trzeciej epoki lodowcowej? Niezliczone gwiazdkowe bombki Pandory musiałyby tam spoczywać przez dwieście tysięcy lat, nim można by je uznać za niegroźne. Niezły rachunek za dwa tysiące miesięcy światła i ciepła.

— Tylko że nie ma wyboru, żadnej alternatywy — Gordon wypowiedział te słowa w kierunku sufitu. Boże, dlaczego nie powierzyli mu węgla? Nic prostszego jak przemienić hałdy żużlu w zielone wzgórza.

Wziął do ręki następny raport, „dokument konsultacyjny” ONZ zatytułowany: „Wzajemne uzgodnienia w sprawie wyłączenia

niewojskowych instalacji jądrowych z listy celów na wypadek wojny".

Dziesięć minut później usłyszał nieśmiało pukanie do drzwi sekretariatu. Uznał, że musi to być jakiś młodszy referent i rzucił agresywne „Wejść!”, by go zniechęcić do zajmowania mu czasu. W końcu, myślał, w piątkowy wieczór nie ma takich spraw, które nie mogłyby poczekać do poniedziałku rano. Odłożył na bok raport ONZ, nabazgrawszy na nim parę krzepiących słów. W sprawie wyłączenia elektrowni z listy celów osiągnięto jednak jakiś mały postęp. Gdyby udało się odroczyć najbliższą wojnę o dwadzieścia lat, elektrownie atomowe jako jedyne mogłyby przetrwać czas apokalipsy, a ich kapłani mogliby nadal produkować megawaty energii dla nie istniejącego świata.

Ten ktoś wszedł do środka, w ciemności nie znalazł kontaktu i staranował biurko Janice.

Wysoki nieznajomy brunet oznajmił głos z sąsiedniego pokoju, po czym do gabinetu Gordona wkuśtykał wysoki na metr dziewięćdziesiąt pięć skrzydłowy klub Durham and Gosforth, uśmiechając się niepewnie i ręką rozcierając obolałe udo. Martin Reid, sekretarz stanu do spraw energetyki. Gordon wstał, nie wierząc własnym oczom.

Przepraszam, panie sekretarzu. Nie warknąłbym tak, gdybym wiedział, że to pan.

— Szukałem tej pańskiej Kate Davies — wyjaśnił Martin. Sporządziła znakomity bryk na temat raportu, streściła wszystko na dwudziestu stronach. Musiałem go gdzieś zapodziać.

Gordon odszukał kopię w jednej ze swych szuflad zastanawiając się, czemuż to dwunasty pod względem ważności polityk w Anglii nie wysłał któregoś z podległych sobie urzędników w tak błahej sprawie. Zdumiało go też, że sekretarz stanu w ogóle go odnalazł w tej głuszy rozciągającej się powyżej drugiego piętra.

Martin wziął streszczenie z szerokim uśmiechem.

— Musimy się chyba z tym zapoznać, a więcej niż dwudziestu stron nie strawiłbym. — Przez moment spoglądał na sterty teczek na stole konferencyjnym Gordona.

— Kraina nigdy-nigdy — rzekł Gordon i obaj się roześmiali.

— Idę właśnie do Izby Gmin — oświadczył Martin — więc jeśli ma pan ochotę na mały spacer..

Prośba to czy rozkaz? Gordon zapytywał sam siebie. Bez ważnego powodu sekretarz nie składałby mu tak nietypowej wizyty.

Martin Reid czekał cierpliwie w drzwiach, aż Gordon spakuje swą aktówkę.

— Sporo lektury bierze pan do domu.

— Zasypię naszego amerykańskiego gościa danymi, aż mu w oczach pociemnieje. — Ostatnia wizyta sekretarza stanu w tym pokoju miała miejsce podczas pożegnalnego przyjęcia wydanego

przez mojego poprzednika, pomyślał Gordon. Były to przy tym bardzo kurtuazyjne i krótkie odwiedziny.

— Jak tam MPE?

Gordon roześmiał się. Taki biurowy żart moim kosztem, pomyślał. Wyciągnął wszystkiemu winną czarną teczkę.

— MPE rosną, panie sekretarzu.

— Mam nadzieję, że spełnią rolę naszego adwokata diabła?

— Jeszcze go potrzebujemy? W czasie tej debaty nasłuchaliśmy się go tyle, że starczy nam po wszystkie czasy.

— Spoza tych wszystkich technikaliów powinien dobiegać jakiś ludzki głos — ruchem głowy Martin wskazał na teczki. Broszury, dane techniczne, prognozy komputerowe, wszystko po to, by nas przekonać, że żaden wypadek nie ma prawa się wydarzyć.

— Nie że nie ma prawa się wydarzyć — zasugerował Gordon.
— Nigdy się nie wydarzy.

— Pierwsze prawo Murphy'ego — rzekł Martin. — Jeśli cokolwiek może zawieść, zawiedzie na pewno.

O cóż może mu chodzić, zachodził w głowę Gordon. Cały czas wychodzimy z siebie, by prześcignąć się w dowcipach, aż w końcu trudno się zorientować, że zaczynamy mówić poważnie.

— Za rzadko się widywaliśmy przez te dwa miesiące — powiedział Martin, gdy przemierzali długi, pusty korytarz. — Obawiam się, że to moja wina. A teraz zwala się ten Amerykanin, a myśmy nawet nie uradzili, co z nim począć.

— Myślałem, że zależeć to będzie raczej od ustaleń raportu.

— Nasz stały podsekretarz ma, zdaje się, odmienne zdanie.

Stąd więc wzięła się ta niespodziewana wyprawa na piąte piętro, pomyślał Gordon, gdy w milczeniu czekali na windę.

— Jak sądzę, po najbliższych tygodniach nie spodziewa się pan wiele dobrego — powiedział Martin, gdy zjeżdżali sami windą, a Gordon nadal nie pojmował, co u diabła w niego wstąpiło. Martin Reid zazwyczaj wyrażał się jaśniej.

Na parterze zetknęli się z nowymi, związanymi z KDRPP, być może przejściowymi, środkami bezpieczeństwa, jakie podjęto w odpowiedzi na anonimowe groźby nadesłane podczas prac nad raportem w sprawie reaktora prędkiego. Nawet sekretarz stanu musiał okazać przepustkę. Jego osobisty, być może tymczasowo zatrudniony goryl złożył gazetę i przytrzymał im drzwi. Gordon i Martin wyszli na ulicę. Był wilgotny, jesienny wieczór. Gordon spojrzał na Martina, który wciągnął w nozdrza powietrze, i na czarne niebo nad drzewami wzdłuż Mill-bank. Zakompleksiony chłopak ze wsi, syn farmera z Durham, rugbysta; z czasów, kiedy był dobrym lekarzem, pozostała mu jeszcze zawodowa burkliwość. Gordon lubił Martina. Trudno powiedzieć, jak doszło do tego, że został politykiem; być może przyczyniły się do tego osłupienie i bezradność, te same odczucia, które sprawiły, że gdy opowiadał o zwykłych wydarzeniach, wyłaniający się stąd obraz jego życia przedstawiał się dość nienaturalnie. Konający górniczy; dwóch zamarzniętych na śmierć pastuchów odkopanych z zasy;

młoda dziewczyna, wykrwawiająca się na poboczu autostrady — szkoda, że był po niewłaściwej stronie politycznej tęczy. Teraz torował sobie drogę przez jezdnię górując nad samochodami, rozgarniając na boki motocykle i motorowery. Podążający za nimi goryl nie miał łatwego zadania.

Na chodniku po drugiej stronie ulicy Martin odwrócił się.

— Przed godziną na tym moście stało trzydzieści samochodów, osiem piętrosów i dwa tiry. Kto powiedział, że gdy dodamy jeszcze jeden autobus, most się nie zawali?

— Inżynierowie, którzy go projektowali.

— A jeśli poknócili coś w rachunkach, dowiemy się o tym dopiero po fakcie.

Gordon zaśmiał się, lecz idącemu o krok przed nim Martinowi nie było do śmiechu.

— Jak pan myśli, czym zakończy się ta debata? Gordon wzruszył ramionami.

— Jestem pewny, że dostaniemy zgodę na budowę demonstracyjnego reaktora prędkiego.

— Czego wszyscy byśmy chcieli, prawda?

— Tak, oczywiście — odparł Gordon śmiejąc się. — Po to w końcu jest ten raport.

— Chciałem powiedzieć, że wszyscy uważamy, że należy go budować, zgoda?

— Uznaliśmy, panie sekretarzu, że rozwój konwencjonalnej energetyki jądrowej na dłuższą metę nie ma sensu, jeśli nie

będziemy mieli reaktorów powielających, dzięki którym paliwa starczy na dłużej. Reaktory wodne ciśnieniowe i reaktory gazowe drugiej generacji wyczerpią światowe zasoby uranu za sześćdziesiąt, siedemdziesiąt lat. A jeśli będziemy mieli reaktory prędkie powielające, pracujące na wypalonym i regenerowanym paliwie z tamtych reaktorów, można będzie ograniczyć liczbę reaktorów wodnych i gazowych, i wtedy uranu wystarczy jeszcze na kilka stuleci.

— Słyszałem o tym. — Martin Reid przeszedł kilka kroków w milczeniu, patrząc w niebo poprzez gałęzie drzew na Embankment. Znowu odwrócił się w stronę Gordona, zwolnił, by tamtemu łatwiej było nadążyć, po czym dłonią zaciśniętą w pięść stuknął w pękniętą aktówkę Gordona.

— Kiedy fizycy z Los Alamos skonstruowali pierwszą bombę atomową, nie mieli pewności, co się stanie.

Niektórzy obawiali się nawet, że istnieje niebezpieczeństwo reakcji łańcuchowej, która rozwali świat na pół. A mimo to doprowadzili do wybuchu. Pewnie trzymali kciuki. — Martin znów zagapił się w niebo. — Chodzi mi o to, że skąd mamy wiedzieć, czy oni wiedzą, o czym mówią?

— Pan się na tym zna lepiej ode mnie.

— Tak, i wiem, że wszystko, co my lekarze wiemy, jest prawie niczym w porównaniu z tym, co moglibyśmy wiedzieć.

— Być może równania fizyczne są bardziej jednoznaczne.

Martin chrząknął.

— Fizyczne może tak. Ale nie chemiczne. Chemia jądrowa jest wciąż w powijakach. Niech pan ich spyta, co się stanie, kiedy paliwo reaktora prędkiego stopi się w ciekłym sodzie w temperaturze bliskiej punktu wrzenia.

— Są prawie pewni, że ewentualna reakcja wybuchowa nie wydostanie się poza basen reaktora.

— Czy sądzi pan, że „prawie pewni” to wystarczy? Gordon słuchał go z niepokojem i zdziwieniem. Martin nigdy nie opowiedział się zdecydowanie za lub przeciw reaktorowi prędkiemu, pozostawiając debatę jej własnemu biegowi i wyczekując póki co na skrzydle, by po otrzymaniu piłki pognać przed siebie. Teraz wszystko się raptem odmieniło i stał się napastnikiem czyhającym na błąd przeciwnika.

Obwisłe flagi i korek na Parliament Square. Flagi? Na czyją cześć? Gordon starał się zapomnieć o uwagach Martina i uzmysłowił sobie, kto miał przybyć z oficjalną wizytą. Dostał zaproszenie na jakiś raut w przyszłym tygodniu. Francja. Francuski prezydent przybywa z wizytą do swych ubogich krewnych. Martin podjął swe wywody.

— W zeszłym tygodniu powiedziano mi, że ten Amerykanin przyjeżdża tylko na rekonesans. A teraz stały podsekretarz oznajmia, że przybył z bardzo konkretnym zadaniem. Sprytny pomysł z wysłaniem inżyniera.

Dla pana może sprytny, pomyślał Gordon, ale to ja muszę gadać z tym geniuszem, a całe moje wykształcenie to historia renesansu.

Umundurowani policjanci pod Izbą Gmin udali, że nie rozpoznają Martina. Nowe zasady bezpieczeństwa czyżby znów ten KDRPP? Dziesięć dni wcześniej Gordon otrzymał następujące zalecenie: nie należy publicznie okazywać, że w danej osobie rozpoznaje się polityka lub wyższego urzędnika państwowego, chyba że siedzi on w bezpiecznym wnętrzu służbowego samochodu. Szyby pancerne pozakładano już nawet w czarnych roverach i princessach. Westminster opanowała obsesja na punkcie terroryzmu. Gordon współczuł oficerowi ze Special Branch*, który ich osłaniał, och, jakże widocznie. Ależ musiał przeklinać olbrzymiego, sadzącego wielkimi krokami Martina. Przeszli obok bramy, ani przez chwilę nie zdradzając zamiaru wejścia do środka.

— Podobno jest zwolennikiem twardego kursu — powiedział Martin, gdy skręcali w Whitehall Street. Myśłami wciąż był przy Amerykaninie.

— Może Kate Davies go zmiękczy.

— Boże! — zaśmiał się sekretarz. — To tak ją wykorzystujecie?

— Musimy. Jest jedyną osobą w całym departamencie, która widziała dyskotekę od środka.

— A więc fundujemy mu wieczór w mieście w jej towarzystwie?

— Ma tylko dowieźć go do hotelu i postawić mu drinka.

— Oficjalnie.

— Ma wymagającego chłopca. Tak mi się przynajmniej wydaje — dorzucił Gordon. Poczł nagły przypływ irytacji na myśl, że właśnie w tej chwili Kate i Ridgeway sączą sobie drinki w jakimś zacisznym miejscu. Kate i ta jej krwawa Mary. Ridgeway wyglądał na zwolennika whisky. Albo mleka.

[* Special Branch policja polityczna (przyp. tłum.)]

Z tyłu dobiegło go bicie w dzwony, oznajmiające rozpoczęcie głosowania w Izbie Gmin. Gordon spojrzł na Martina. Parlament skrócił w tym roku letnie wakacje, by uporządkować zaległe sprawy, zanim królowa swą mową tronową zainauguruje kolejną sesję. Martin nie słyszał jednak dzwonów.

— Nie zazdroszczę panu ciągnął dalej. — Niełatwy kawałek historii przyszło panu tworzyć.

— Historii? — Mój Boże, pomyślał Gordon. Piątkowy wieczór, a ten mi tu wyjeżdża z taką mową.

— Chodzi o Amerykanów.

— Jak mamy podejmować jakiegolwiek decyzje skoro, pańskim zdaniem, sami nic jeszcze nie postanowiliśmy?

Martin roześmiał się.

— Właśnie. Powinienem był powiedzieć: „dwa kawałki historii”. Przy tym sprawa jest zbyt złożona i drażliwa, by ją

ograniczać do sfery polityki. To dla was, specjalistów. Nie chcę więcej widzieć takiego bałaganu jak wtedy, z tym nowym reaktorem gazowym.

Przystanęli wreszcie. Z ciemności wyłoniły się dwa punkty orientacyjne: Cenotaph i, w oddali, oświetlona kolumna Nelsona. Gdzieś za nimi nadal biły dzwony Parlamentu.

— A co z wielką debatą społeczną? Martin wyciągnął rękę w stronę nieba.

— Ugrzęzła. Kosztowna sprawa. Ludzie są zmęczeni tą gadaniną. Za dużo tego, a w dodatku nie rozumieją, o czym mowa. Cokolwiek zostanie postanowione, wspaniałemu społeczeństwu brytyjskiemu nawet powieka nie drgnie.

— Dopóki nie pogasną światła albo któryś reaktor nic wyleci w powietrze. A wtedy postawią pana przed plutonem egzekucyjnym.

— I pana też, przyjacielu. Powiem, że wpuścił mnie pan w maliny. — Martin obrócił się i pomachał dłonią. — Miłego weekendu — rzekł radośnie.

Wyszło to całkiem niezdarnie, pomyślał Martin Reid. I zupełnie nie fair. To my jesteśmy tym cholernym rządem; powinienem jasno i jednoznacznie przedstawiać drogę, którą chcemy podążać. Gordon Aylen, te jego przyprószone srebrem włosy i wytarty prochowiec: Martin ufał mu bez względu na politykę, jaką prowadził.

Gordon słyszał za sobą odgłos oddalających się kroków: cichych goryla i zamaszystych sekretarza, zmierzającego w stronę kularów Parlamentu. Nigdy jeszcze nie widział Martina tak rozjuszonego. Gordon starał się zrozumieć, co zaszło między nim a stałym podsekretarzem. Ten ich ojciec chrzestny z fają w zębach był całkowicie oddany sprawie jak najszybszego i najszerszego rozwoju energetyki jądrowej. Nienawidził górników równie silnie jak nie dowierzał tym, którzy „mają fioła na punkcie energii słonecznej, wiatru i fal morskich”.

Gordon spojrział na zegarek. Nie miał ochoty gnać na pociąg odchodzący o 7.30. Głowa, ciało i teczka nagle zaczęły mu strasznie ciążyć. Usiłował sobie przypomnieć, czy rano jechał na stację sam. Nie. Odwiózł go Roxy i zabrał samochód, bo Mick miał przyjechać do niego na dwa dni wspólnego muzykowania. Będzie więc musiał zadzwonić do domu i powiedzieć, o której przyjedzie.

MPE: „Materiały Poza Ewidencją” w żargonie biurowym, a w istocie prywatna teczka Gordona Aylena na temat teoretycznych podstaw atomistyki, uzupełniona przykładami ułatwiającymi zrozumienie jej tajemnic. Rok temu ktoś przez pomyłkę i ku ogólnej uciezce puścił ją w obieg po departamencie. W pogoni za nią Gordon wysłał notatkę służbową zatytułowaną krótko „Mpe”, w której domagał się natychmiastowego zwrotu czarnej sponiewieranej teczki „poza ewidencją”. Wróciła do niego wraz z notatką przylepioną do czarnej okładki. Tak już zostało, a jakiś nadgorliwy strażnik tajemnicy państwowej zaszeregował materiał

jako „Ściśle tajny”. Gordon otworzył teczkę w pociągu nie przejmując się groźnym napisem ani zgrają francuskich uczniów, biegających po korytarzu tam i z powrotem z torbami od Marksa i Spencera.

Stan krytyczny. Materiały rozszczepialne, takie jak uran-235 czy pluton-239, osiągają stan krytyczny, gdy w jednym miejscu skupiona zostanie dostatecznie wielka masa, by umożliwić reakcję łańcuchową, podczas której neutron uderza w jądro atomu i rozbija je, wyzwalaając jednocześnie dalsze neutrony uderzające w następne atomy. To rozszczepianie atomów wyzwala energię cieplną wraz z produktami reakcji rozpadu, które są promieniotwórcze.

Pierwsze kroki ku stanowi krytycznemu: „Łapanie smoka za ogon”.

21 sierpnia 1945, dwa tygodnie po Hiroszynie: Harry Daghlian, fizyk z Los Alamos, pracował nad materiałem rozszczepialnym, układając kostki uranu-235 w starannie zaplanowany sposób. Wtem jedna z kostek wysliznęła mu się z rąk, upadła nie tam, gdzie powinna. Nagłe zbliżenie do innych kostek wystarczyło do osiągnięcia stanu krytycznego. Daghlian otrzymał potężną dawkę promieni gamma i neutronów. W efekcie stracił całkowicie czucie w palcach, wypadły mu włosy, zaczął odczuwać bóle wewnętrzne i miał halucynacje. Po dwudziestu czterech dniach zmarł.

21 maja 1946. Louis Slotin, kanadyjski fizyk z Los Alamos, przeprowadzał pokaz z użyciem dwóch półkul uranu-235, śrubokrętem utrzymując je w odpowiedniej odległości od siebie; jednocześnie wykrywacze neutronów śledziły zbliżanie się stanu krytycznego. Nagle śrubokręt wypadł i półkule zetknęły się. Błękitna poświata wypełniła pokój; Slotin odciągnął półkule od siebie gołymi rękami. Ocalił życie siedmiu kolegów, lecz sam zmarł na chorobę popromienną po dziewięciu dniach. Przed śmiercią nazwał ten pokaz „łapaniem smoka za ogon”.

Gordon przewrócił kartkę. FAUSTOWSKI PAKT. przeczytał u góry. Drukowane litery i podkreślenie, lecz reszta kartki była pusta. Zamknął teczkę i podniósł głowę.

Trójka francuskich dzieci siedziała przygaszona i przyglądała mu się w milczeniu. Pociąg dudniąc przyśpieszał biegu głęboko w tunelu pod North Downs.

5

Na krótko przed siódmą tego samego jesienno-wieczoru komputery podłączone do czujników akustycznych włączyły świetlne sygnały alarmowe w sterowni ośrodka Emilio Segre. Na jednym z wykresów krzywa poziomu szumu podskoczyła do sześciu milimetrów poza normalny pas dwumilimetrowej szerokości. Obsługa sprawdziła uważnie wszystkie przyrządy

pomiarowe, a kierownik nocnej zmiany zadzwonił do inspektora nadzoru i kierownika ośrodka, którzy mieszkali w wiosce rybackiej, odległej o pięć mil od elektrowni.

Te drgania czy „czkawka” na wykresie pochodziły wyłącznie z czujnika numer 1 umieszczonego pod rdzeniem. Czujnik numer 2, zainstalowany również poniżej rdzenia, dawał prawidłowy zapis, podobnie jak trzeci czujnik akustyczny służący do wykrywania przypadków wrzenia sodu nad rdzeniem, w górnej części basenu reaktora. Przyrząd ów był ukryty w głębi stalowego basenu, niewidoczny i niedostępny, chyba żeby opróżnić reaktor z roztopionego, a obecnie już skażonego, sodowego chłodziwa. Wobec braku innych oznak niesprawności, tak drastyczną operację uznano by pewnie za niepotrzebną.

19.20 czasu lokalnego. Dwadzieścia trzy minuty po pierwszym sygnale alarmowym na miejsce przybywają inspektor nadzoru i kierownik ośrodka. Towarzyszą im dwaj Francuzi zajmujący identyczne stanowiska, oddelegowani do Segre na czas budowy i rozruchu. Po sprawdzeniu przyrządów pomiarowych reaktora wszyscy czterej zgadzają się, że wyłączenie reaktora nie jest konieczne. Dwa podrdzeniowe czujniki akustyczne dodano do gotowego już projektu, częściowo dla zbadania samych przyrządów, częściowo zaś jako ustępstwo na rzecz nadzoru bezpieczeństwa, który uparł się, że liczba przyrządów w obrębie rdzenia jest niewystarczająca. Kierownik ośrodka zwraca uwagę, że podczas montażu i prób dostęp do tych dwóch czujników był

utrudniony. Niewykluczone, że ceramiczny element przyrządu uległ jakiemuś uszkodzeniu i że czujnik akustyczny od czasu do czasu podaje jakiś fałszywy sygnał.

19.55 czasu lokalnego. Czterej mężczyźni wracają do swoich samochodów najwyraźniej uspokojeni. Mijają dwa punkty kontrolne i dojeżdżają do głównej drogi, odległej o trzy kilometry od wybrzeża. Francuz oddycha z ulgą. Paryż zaprosił grupę gości na moment włączenia reaktora do krajowej sieci energetycznej, co ma nastąpić w najbliższy czwartek; Rzym zgodził się, acz nader niechętnie. W takim tygodniu lepiej nie wywoływać sporów wokół irytujących problemów technicznych okresu ząbkowania.

Tu nie gaśnie powoli żarówka projektora, nie terkoce pusta szpula; tu nie ma salki wypełnionej dymem ani leniwych przeblysków sardonicznego humoru. Jest tylko ciemna sylwetka eksperymentalnego reaktora prędkiego powielającego, kopuła i koliste ciche budynki, rysujące się na tle pagórkowatego krajobrazu Toskanii: na wschodzie — szpaler cyprysów częściowo wyciętych przy budowie drogi dojazdowej i podwójne, trzymetrowej wysokości ogrodzenie z drutu stalowego; na północy, w obrębie ogrodzenia obóz straży przemysłowej; na zachód od reaktora — gładka powierzchnia Morza Śródziemnego, w której przegląda się księżyc.

6

Kate szła do domu, zostawiwszy swego amerykańskiego podopiecznego w bezpiecznych murach Park Lane Hotel. Postawiła kołnierz płaszcza, by osłonić się przed spalinami pełnej pojazdów Knightsbridge. Gdy skręciła w przecznicę, było znów czysto, cicho i pusto, jeśli nie liczyć agentów Special Branch snujących się wokół ambasad przy Grosvenor Square.

Będzie telewizja, drink i torebka orzeszków, postanowiła, lecz spostrzegła, że w jej mieszkaniu pali się światło, a pod domem stoi karawan Bertie'ego. Idę o zakład, że ten drań wypił mi wódkę, pomyślała. Przystała by na propozycję Dave'a Ridgewaya, by wychylić parę koktajli na koszt ambasady, gdyby nie to, że wyczerpała ją gorączkowa bieganina od sklepu do sklepu na Carnaby Street, trwająca bitą godzinę. Kate zastanawiała się, jak energia i agresywność Amerykanina da się pogodzić z łagodnym i delikatnym sposobem bycia Gordona Aylena. Po chwili zaśmiała się jednak przypomniawszy sobie, jak Ridgeway pojawił się po południu w ich departamencie. Zeszła na dół, by przeprowadzić gościa przez portiernię, i ujrzała go w okrążeniu agentów ochrony. Spojrzał na nią z ukosa „Cóż taka urocza dziewczyna robi w takim otoczeniu?” Potem zrobił zabawny grymas. „Niech się pani nie martwi, przyjechałem rozjaśnić wam życie”.

Dave Ridgeway doszedł do wniosku, iż dobrze się stało, że Kate odrzuciła zaproszenie. Facet z ambasady był oschły i

zasadniczy; wątle ścisnął dłoń i jeszcze wątlej się uśmiechał. Augustus McClaren. (Na Boga, cóż to za imię!). Sącząc po jednym małym koktajlu, wymienili minimum zdawkowych uwag na temat pogody i lotu Dave'a. Lepiej mu się nie przyznawać, że oddał bilet na Concorde, wziął gotówkę i kupił najtańszy bilet bez rezerwacji. Augustus obruszyłby się na takie nadużycie pieniędzy podatników Wuja Sama.

Dave słuchał, jak McClaren wymyśla barmanowi, że koktajl jest ciepły. W Waszyngtonie nikt właściwie nie ustalił, na jakiej zasadzie mają się układać stosunki z ambasadą. Z wątlym uśmiechem McClaren odwrócił się od barmana. Dave uśmiechnął się.

— A więc kto komu zdaje sprawę?

Po godzinie ostrożnego badania gruntu, żaden z nich nie był ani odrobinę mądrzejszy. Augustus McClaren poprosił, by go informować na bieżąco o każdym posunięciu, o każdym fakcie i wszystkich danych, jakie zasłyszysz. Dave w skrytości postanowił, że niczego takiego nie uczyni. Nie chciał, by jacyś doradcy czy też komisje analizowały za niego sytuację. Poszedł na górę i zadzwonił do domu w Palo Alto, gdzie była jeszcze pora przedobiednia. Żony i córek nie było w domu.

Mary dostrzegła światła samochodu, gdy skręcał koło padoku. Nasłuchiwała, jak okrążał ogród i wjechał na podjazd. Drzwi samochodu trzasnęły i zachrząścił żwir pod stopami wolno idącego Gordona. Roxy wprowadził samochód do garażu i dogonił go przed tylnym wejściem.

— Pan Reaktor Prędkości, Zjednoczone Królestwo! Roxy wpadł do kuchni wygrywając hejnał powitalny na wyimaginowanej trąbce, po czym wyciągnął z lodówki butelki z dżinem i martini. Przynajmniej jeden jest w dobrym nastroju, pomyślała Mary. Najwyraźniej to hałasowanie na górze dobrze im poszło.

Gordon ucałował ją. Był dokładnie tak samo zmęczony i przygaszony jak jego głos w słuchawce, gdy dzwonił ze stacji.

Roxy mieszał martini z dżinem i lodem w dzbanku na mleko.

— Ale obłąd, mamó! Ojciec nie potrafi nawet zmienić koła w samochodzie, a oni mu każą decydować o przyszłości energetyki jądrowej w Anglii. — Roxy załomotał w ścianę i wrzasnął na Micka, żeby zszedł na dół. Po raz pierwszy od obiadu na piętrze zapanowała cisza.

— O co chodzi z tym Panem Reaktorem? — spytała Mary. — Czy raport już się ukazał?

Gordon zrzucił buty i usiadł.

— Nie. To tylko Martin Reid usiłuje być dowcipny. Wydaje mi się, że ja za nich zadecyduję, i to niezależnie od treści raportu.

— I zrobisz to?

— Wszystko jest tak cholernie oczywiste, że nie ma o czym decydować. A Martin wierci mi dziurę w brzuchu, bo stały sekretarz znów okadzał go swoją fają.

Mick wsunął się do kuchni z nieśmiałym uśmiechem.

— Dobrze wam dziś poszło? — spytał Gordon uprzejmie, podając mu rękę. Mick skinął głową. Gordon poczuł od niego zapach haszyszu; tak samo pachniał Roxy w samochodzie.

— Z tego co słyszałam, chyba nie bardzo — rzekła Mary. — Całe popołudnie puszczali to samo, tam i z powrotem.

— Zgrywamy poszczególne ślady — usprawiedliwia się Mick. — Jak ktoś musi tego słuchać, to rzeczywiście dość męczące.

Joss wpadł z hałasem do kuchni trzymając w ręku buty piłkarskie, które pucował w garażu. Skrzywił się na widok trunków.

— Jakaś uroczystość?

Roxy wziął dzbanek i nalał mu resztkę koktajlu.

— Tata wszedł de facto do rządu.

Joss wsadził buty pod kuchenkę i przyjrzał się ojcu.

— Wiesz, co Blaszana Rączka powiedział dziś w szkole? Że reaktor prędkości powielający będzie cudem gospodarczym XXI wieku.

Bogu niech będą dzięki za Blaszaną Rączkę — rzekł Gordon. — Trzeba go wysłać pierwszym nocnym pociągiem do Durham.

— Czyżby doktor Martin tracił pewność siebie?

— Doktor Martin chowa głowę w piasek. Mary podała kolację.

— Myślę, że i bez twojego dochodzenia ojciec ma dziś dość reaktorów. — Z rozpaczą w oczach patrzyła, jak za pomocą noża i widelca Mick bezmyślnie przetwarza na brunatną papkę zapiekanek z mięsem, nad którą tyle się napracowała. Niebieskooki chłopiec podniósł wzrok znad talerza.

— Co to jest, na Boga, ten reaktor prędkości powielający?

MPE, strona 9, pomyślał Gordon. Reaktor prędkości powielający bierze swą nazwę stąd, że jest w stanie wytwarzać więcej plutonu niż go zużywa.

Joss, który miał zdawać fizykę na egzaminie końcowym, udzielił Mickowi bardziej fachowej odpowiedzi. Za pomocą młynka do pieprzu, solniczki i widelczyków Pokazał mu, jak w konwencjonalnym reaktorze termicznym atomy uranu-238, zmieszane z atomami rozszczepialnego izotopu U-235, pochłoną swobodne neutrony i staną się izotopem U-239, który w szybkim procesie rozpadu przekształca się w pluton-239, ten sam, który stanowi rozszczepialny rdzeń bomby atomowej. Po przetworzeniu, pluton ten może być użyty jako paliwo rdzeni reaktora prędkości powielającego. Tam zostaje on otoczony następną warstwą uranu-238, który znowu pochłania swobodne neutrony pochodzące z łańcuchowej, reakcji rozszczepienia w rdzeniu i w określonych warunkach wytworzy więcej plutonu niż zostaje spalone podczas reakcji łańcuchowej.

— Oto cudowna recepta na wszystkie nasze potrzeby energetyczne — oświadczył triumfalnie Joss. — Gdybyś my dalej

spalali rozszczepialny uran w zwykłych reaktorach, za czterdzieści lat jego zasoby uległyby wyczerpaniu. Jeśli zaś będziemy budować reaktory prędkie powielające, zapasów uranu wystarczy na dwieście lat.

— A jeśli nie zbudujemy tych reaktorów — dodał Gordon — produkty rozszczepienia i pluton z reaktorów termicznych będą się odkładać w coraz większych ilościach jako bezużyteczne i niebezpieczne odpady.

Roxy zaklaskał w dłonie.

— Quod erat demonstrandum, na wieki wieków. Amen.

Joss pozbierał neutrony, przemianował je ponownie na widelczyki do ciasta i rozdał obecnym. Mary podała placek z jabłkami i jagodami i patrzyła, jak Mick widelcem bezmyślnie robi z ciasta, owoców i bitej śmietany fioletową paćkę.

— Prościej chyba by było dalej palić węglem — powiedział wlepiając swe niebieskie oczy w plutonową pieprzniczkę.

— A czemu reaktor prędkie jest prędkie?

— To pytanie zadała Mary w salonie, gdy trójka chłopców zmywała po kolacji. Przy nich nie odważyła się zapytać w obawie, że odpowiedź będzie zbyt oczywista.

— Chodzi o prędkość neutronów — wyjaśnił Gordon spoglądając w jej stronę znad gramofonu, który właśnie miał włączyć. — Nie mów mi, że zaczyna cię to interesować.

— Lucia, pomyślał. Jego mózg domagał się szalonego głosu Marii Callas. Dwa uderzenia w bęben, a następnie łoskot kotłów.

— A czemu są prędkie?

— W normalnym reaktorze termicznym ich prędkość jest hamowana przez substancję spowalniającą, na przykład grafit lub wodę, by zwiększyć ich szanse skutecznego uderzenia w atom. Inaczej tylko odbijają się od niego. W reaktorze powielającym rozszczepienie powodują neutrony prędkie mające wielką energię. Nie ma tam substancji spowalniającej. Dzięki temu wszystko jest bardziej zwarte. Pręty paliwowe umieszczone są bardzo ciasno jeden przy drugim, a kanały chłodzące są o wiele węższe.

— I dlatego jest to niebezpieczne?

— Na pewno potrzebny jest o wiele bardziej wydajny system odprowadzania ciepła.

— Sód.

Gordon skinął głową.

— Ciekły sód.

— Który wybucha w zetknięciu z powietrzem i wodą?

— Zapala się.

— Ale może palić się wybuchowo? Gordon roześmiał się.

— To cię rzeczywiście wciąga.

— Czego Martin naprawdę od ciebie oczekuje?

— Chce, żebym mu oświadczył ostatecznie i jednoznacznie, że nie ma innego wyboru.

— A ten raport?

— Raport nie powie „nie”. W najgorszym razie będzie to „tak” pod kilkoma warunkami.

— Gdzie więc problem? Gordon znowu się zaśmiał.

— Czy ja mam problemy?

— A czy to niebezpieczne?

— Nawet elektrownia opalana węglem może być niebezpieczna. Czad pochodzący ze spalania węgla jest o wiele większym zagrożeniem dla środowiska niż wszystko, co wydostaje się z normalnie pracującej elektrowni jądrowej.

Teraz Mary uśmiechnęła się widząc, że Gordon zaczął się jej przyglądać.

— Nie przekonałem cię?

— Byłbyś bardziej przekonujący, gdybyś dorzucił choć kilka wątpliwości od siebie. Przemawiasz jak jezuita.

Tu sei turbato. E dove, e donde.

MPE, strona 10, pomyślał Gordon. Geometria rdzenia reaktora prędkiego powielającego: pręty paliwowe i oddzielające je od siebie kanały chłodzące wykonane są z milimetrową dokładnością; jakiegokolwiek przypadkowe odkształcenie może spowodować gwałtowne przegrzanie i, jeśli natychmiast się go nie opanuje, wywołać to, co w żargonie atomistów jest określane niewinnie jako „supernatychmiastowy rozbieg nadkrytyczny”. Innymi słowy, niekontrolowana reakcja łańcuchowa albo wybuch.

Mary uśmiechnęła się do niego znad książki. Czyżby zamierzała przyłączyć się do „zielonych”? Walczyła zaciekle o zachowanie ścieżek dla turystów i realizację planów zagospodarowania okolicy, w której mieszkali, to fakt, lecz cóż

mogły ją obchodzić odległe o czterdzieści mil elektrownie gdzieś nad brzegiem morza? Wziął ją kiedyś ze sobą, gdy służbowo wizytował udoskonalone reaktory gazowe w Dungeness. Była oszołomiona wspaniałą techniką. Fizycy i technicy zaśmiewali się wtedy do łez na najmniejszą wzmiankę o skażeniach atomowych. Uświadomili jej, że prawdziwe zagrożenie istnieje poza terenem elektrowni. Zaledwie tydzień wcześniej tankowiec z ropą rozbił się o podwodny wrak dziesięć mil od plaży; całe strome łupkowe wybrzeże pokryte było czarną mazią i śmierdziało wenezuelską ropą.

Nie. Mary jest częścią „wspaniałego brytyjskiego społeczeństwa”, jak to ujmował Martin. Gdy decyzja zostanie w końcu podjęta, wzruszy tylko ramionami i pogodzi się z nią.

Pogodzić się, przyjąć, poddać się, ulec pocałunkowi wśród rododendronów, szukając o zmroku zagubionych piłek. Trzydzieści lat później Gordonowi wystarczyło spojrzeć na nią, by przywołać tamten obraz i przypomnieć sobie moment pierwszego pożądania, kiedy serce na chwilę przestało bić, bowiem w jej twarzy i postaci wciąż było coś czarownego. Great Frist u podnóża wzgórz South Downs, złocisty letni wieczór, jedyny słoneczny dzień tamtych ponurych, deszczowych i długich wakacji, i Mary, służąca za przyzwoitkę swej starszej siostrze Ros, nieśmiało biegająca wokół dziurawego kortu i podająca piłki starszym. Pani Alicja częstowała lemoniadą i chlebem własnego wypieku z ogórkami, próbując przywołać duchy swych własnych wakacji

sprzed wojny, echa poetów, którzy niegdyś wybrali sobie Great Frist na letnisko. Gordon Aylen, Rick Smythe, James Lavey i przyjaciel Alicji, Sebastian, wcale nie poeci, lecz całkiem interesujący, gdy ich zebrać razem. Jacy wydawali się podstarzali wtedy na tle Mary, świeżej i niewinnej. Dwa lata wojska wystarczyły, by ich beztroska i luz stały się wymuszone. Tylko Ros wiedziała, jacy są naprawdę. W tych nerwowych, powojennych latach, studiując z nimi historię Włoch w Oxfordzie widziała ich wszystkich w różnych przebraniach, wszystkich z wyjątkiem bladego i młodzieńczego Sebastiana, Seb bowiem, jako autentyczny pacyfista, uniknął wielu miesięcy dyscypliny i noszenia munduru. Blady i chłopiący Seb zdobył względy słodkiej Ros, toteż gdy przyszło lato i zaproszenie od Alicji na długie wakacje, Ros przyłączyła się do nich w Great Frist, zabierając ze sobą młodszą siostrę Mary, bo tak wypadało.

Siostrzyczka nosiła króciutkie białe szorty i miała opalone nogi; kucając i schylając się w krzakach, pomagała Gordonowi szukać dwóch piłek, które przerzucił za ogrodzenie. Jakże pożerał ją wzrokiem i jak gorąca uścisnął jej rękę, gdy w końcu znalazła pierwszą piłkę! — Wspaniale, staruszko! — Gdy znalazła drugą, uczcili to nieco inaczej. Miast uścisku dłoni, było trzymanie za rękę. Zapomniawszy o Bożym świecie, tam, na skraju zarośli, pocałował jej włosy. Następnego dnia siedzieli razem na słomie w stajni patrząc na deszcz, i gdy znów pocałował jej włosy, zbliżyła swoją twarz do jego i położyła jego rękę na swoich piersiach.

Dobry Boże, ile to już lat.

Trzasnęły drzwi od kuchni.

— Gotowe — zawołali Joss i Roxy. A więc pozmywali. Joss zamknie się teraz w jadalni z fizyką czy chemią, a Roxy i Mick wrócą na górę do marihuany i muzyki. Gordon wstał z fotela i, z teczką w rękę, podszedł do gramofonu.

Mary zauważyła, że ściszył aparaturę, by nie przeszkadzać Roxy'emu. Usiadł na niewygodnym krześle obok wzmacniacza w chłodnej części pokoju i nałożył słuchawki. Czemu nie kazał uciszyć się tym na górze? Przecież to jego dom, ma prawo odpocząć. W dodatku Roxy na pewno będzie palił marychę Micka, czy jak on tai nazywa, mając pewność, że ojciec nie zaprotestuje. Gdyby nie te jego niewinne młode niebieściutkie oczy, Mary wygarnęłaby Mickowi to i owo, nie tylko palenie.

Z góry znowu zaczął dobiegać łomot, lecz Gordon odgrodził się odeń słuchawkami, pogrążony w harfowej introdukcji do Sceny II. Noc, ruiny fontanny w parku Lammermoor.

MPE, połowa strony 9; 3 stycznia 1961; prototypowy reaktor wojskowy SL-1 w Krajowym Ośrodku Doświadczalnym Techniki Reaktorowej w pobliżu Idaho Falls. Reaktor został zatrzymany w celu przeprowadzenia prac konserwacyjnych. Szczególną uwagę zwrócono na jeden pręt regulacyjny, mający tendencję do zacinania się. Wspomniany pręt odczepiany jest zazwyczaj od mechanizmu napędowego i opuszczany lub wyciągany ręcznie. Niestety, nie powiadomiono trzech pracowników

przeprowadzających konserwację, że tym razem rdzeń ma wyższą reaktywność niż zwykle. W chwili, gdy wyciągali pręt z rdzenia, rozpoczęła się reakcja łańcuchowa i w ciągu jednej sekundy reaktor osiągnął stan nadkrytyczny. Paliwo zaczęło wrzeć, a „korek” pary, jaki powstał w chłodziwie, uniósł cały zbiornik reaktora trzy metry w górę.

Jeden z obsługujących został przebity i przygwożdżony do sufitu końcówką pręta regulującego, drugi zginął na miejscu w wyniku wybuchu. Trzeciego, nieprzytomnego, wyciągnęli dwaj bohaterscy ratownicy nie zważając na niebezpiecznie wysoki poziom promieniowania wskazywany przez mierniki, zmarł on jednak w drodze do szpitala. Zwłoki dwóch pozostałych usunięto w końcu za pomocą zdalnie sterowanych przyrządów. Wszystkie trzy ciała poddano dwudziestodniowemu odkażaniu, zanim można je było pochować. Mimo to zapadła decyzja, by umieścić je w specjalnie wykonanych trumnach obitych ołowiem i pochować w specjalnie zbudowanym, wyłożonym ołowiem grobowcu, gdyż ich martwe i rozkładające się ciała nadal wydzielały śmiertelnie wysokie dawki promieniowania.

Gordon podniósł głowę znad lektury; w słuchawkach rozbrzmiewał wznoszący się, umęczony, piękny głos: *Regnava nel silenzio...* Wokół panowała cisza, noc była czarna. Wyobraził sobie krajobraz rozległych, dzikich wrzosowisk ciągnących się w dół i w górę za drzewami. Nagle przyszło mu na myśl, że niektórych fizyków, zrównoważonych i zdrowych psychicznie, reaktory

plutonowe pociągają i przerażają zarazem tak, jak Łucję pociągał i przerażał duch zamordowanej dziewczyny, przyzywającej ją ze studni Lammermoor. Czemu ich tak, a mnie nie? zastanowił się. I czemu Martina Reida nagle opadły tak wielkie wątpliwości?

Sięgnął po pióro. Na tylnej okładce teczki MPE napisał: „Pierwsze prawo Murphy'ego: jeśli cokolwiek może zawieść, prędzej czy później zawiedzie na pewno”. Ale z drugiej strony, pomyślał po chwili, przemysł jądrowy opanował do perfekcji sztukę przewidywania wszelkich możliwych komplikacji. Ładowali dane statystyczne do komputerów i na ich podstawie kazali im przewidywać coś, co nazywali Największą Przewidywalną Awarią, w skrócie NPA, lub maksymalną awarią projektową.

Na drugiej stronie był cytat z artykułu Hannesa Alfvena, opublikowanego w „Bulletin of the Atomic Scientists” w październiku 1976: „Energia rozszczepienia atomu jest bezpieczna tylko wtedy, gdy każdy na swoim stanowisku wypełnia wszystkie zalecenia, gdy wykluczony jest sabotaż, uprowadzenie transportów z paliwem, gdy żaden reaktor, zakład przetwarzania paliwa lub składowisko w którymkolwiek punkcie świata nie znajdzie się w rejonie objętym zamieszkami, działalnością partyzancką, i gdy w rejonie tym nie trwa żadna rewolucja ani wojna, nawet konwencjonalna... Nie wolno dopuścić do klęsk żywiołowych”.

Nie wolno dopuścić do klęsk żywiołowych...

Jess wetknął głowę w drzwi, uśmiechnął się i powiedział:

— Dobranoc.

Gordon uniósł głowę. Mary już wcześniej wyszła na palcach z pokoju, a w słuchawkach panowała cisza. Cisza w jego mózgu.

Sprawdzić tylne wejście, sprawdzić wejście frontowe, pogasić światła i poczłapać wolno na górę. Na podeście schodów poczuł słodkawy zapach wydobywający się z pokoju Roxy'ego. „Policja wykryła narkotyki w domu wyższego urzędnika państwowego”. Nie, ich stać na coś lepszego. W łazience Gordon uśmiechnął się szeroko do swego odbicia w lustrze: „Dom schadzek dla zboczonych narkomanów w willi atomowego mandaryna”.

No tak, ale jeśli Roxy rzeczywiście wsuwa się do łóżka Micka po zgaszeniu światła, czyż nie jest to winą ojca, który gdzieś kiedyś w jakiś sposób zawiódł? Zresztą i ta interpretacja miała znamiona aberracji.

— Dobranoc, chłopcy — zawołał kierując się do sypialni.

— W porządku — odkrzyknął mu Roxy.

— Składamy już sprzęt. Koniec z hałasowaniem.

A jeśli śpią razem, myślał Gordon, to co wyczyniają ze swoimi ciałami? Czy to - źle? Czy to smutne? Jedyłą bezspornie niewłaściwą rzeczą było milczenie, jakim otaczano ten problem w rodzinie. Od co najmniej czterech lat tego tematu starannie unikano w rozmowach. Było o cztery lata za późno, gdy Gordon, pogodzony — czy może raczej zrezygnowany — był gotów porozmawiać z synem. Jednak milczenie zrodziło milczenie.

Gordon dorzucił Guardiana i New Statesmana do pęczniejącej sterty zaległej lektury na nocnym stoliku. Czarna teczka o wiele skuteczniej pomoże mu zasnąć.

— Można pomyśleć, że jutro zdajesz egzamin u tego Amerykanina. — Mary odwróciła się. — Odłóż to — wymamrotała.

MPE, strona 10: „Chiński syndrom”. 5 października 1966, Lagoona Beach, na brzegu jeziora Erie, trzydzieści mil od Detroit. Rozpoczął się rozruch doświadczalnego reaktora prędkiego powielającego im. Enrico Fermiego. Prawie natychmiast reaktywność i moc zaczynają spadać, mimo że w dwóch punktach rdzenia przyrządy rejestrują nadmiernie wysoką temperaturę. Operator niewłaściwie ocenia sytuację, wyłącza automatyczne sterowanie i usiłuje zwiększyć moc. Po jedenastu minutach włącza się alarm, sygnalizujący pojawienie się radioaktywności. Do rdzenia zostaje opuszczonych sześć prętów służących do natychmiastowego zatrzymania reakcji łańcuchowej przez wchłonięcie neutronów. Przyrządy do badania próbek wykazują jednak, że część paliwa musiała ulec stopieniu, gdyż sodowe chłodziwo jest skażone. Niewykluczone, że reakcja łańcuchowa wymknęła się już spod kontroli.

Możliwość pierwsza: reakcja między stopionym paliwem a sodem spowoduje wybuch, który może naruszyć strukturę obudowy bezpieczeństwa i wywołać skażenie promieniotwórcze terenu. Środek ostrożności pierwszy: ewakuować Detroit.

Rzeczywistość: alert ewakuacyjny, choć przekazany policji i władzom cywilnym, w ogóle nie został wprowadzony w życie, a wszelkie ślady po nim zostały później usunięte z oficjalnych dokumentów.

Możliwość druga: reakcja łańcuchowa podsycana dopływem roztopionego paliwa nie doprowadzi do wybuchu, ale też ubytek ciepła ani spadek stężenia paliwa nie będzie na tyle wielki, by spowodować jej zatrzymanie. Pod działaniem siły ciężenia reagująca masa przepali stalowe i żelbetowe zbiorniki zagłębione w ziemi, i niczym rozżarzona do białości stalowa kulka wrzucona w masło popędzi przez skałę ku środkowi ziemi i dotrze do Chin po drugiej stronie globu. Środek ostrożności drugi: zadzwonić do przewodniczącego Mao.

Gordon przyjrzał się Mary, skulonej i pogrążonej już w głębokim śnie. Czy, gdyby czytał jej o tym wydarzeniu, zwróciłaby jego uwagę na fakt, że fizycy i technicy z Lagoona Beach nie tylko nie mieli pojęcia, co się dzieje, lecz, co gorsza, zupełnie nie wiedzieli, jak postąpić? Krytyczna sytuacja trwała tam przez cały rok, podczas którego krok po kroku posuwali się w głąb reaktora za pomocą specjalnie skonstruowanych narzędzi. Jeden fałszywy ruch mógł wywołać wybuchową reakcję łańcuchową.

Kto wówczas podjął decyzję, że Detroit nie będzie ewakuowane? Kto i na jakiej podstawie zdecydował, że katastrofa nie jest prawdopodobna? Nastąpiłaby przecież niemal bez ostrzeżenia. Od wznowienia reakcji łańcuchowej do

„supernatychmiastowego rozbiegu nadkrytycznego”, a stamtąd do wybuchu minęłyby nie godziny czy minuty, lecz ułamki sekund niewyobrażalne dla człowieka, nie mówiąc w ogóle o możliwości zapanowania nad wydarzeniami.

Największa Przewidywalna Awaria zaprogramowana dla reaktora im. Enrico Fermiego zakładała stopień w najgorszym razie jednej wiązki paliwowej. Wiele miesięcy po awarii, gdy wreszcie udało się umieścić zdalnie sterowany peryskop dostatecznie blisko rdzenia, by cokolwiek dostrzec przez mętny sód, okazało się, że w wyniku zablokowania obiegu chłodziwa stopieniu uległy dwie wiązki. Zakładana NPA została przekroczona o całe sto procent.

NPA, MPE i jeszcze KZPRSP Krajowe Zasady Postępowania w Razie Skażenia Promieniotwórczego.

Gordon zgasił światło i leżał na wznak przyglądając się światłom na suficie, jakie przez zasłony okienne rzucała latarenka zawieszona na rogu garażu.

W amerykańskiej nomenklaturze, NPA jest awarią ósmego stopnia. Jak wyglądałaby więc awaria dziewiątego stopnia, NNPA — Największa Nieprzewidywalna Awaria?

Drugie ostrzeżenie napłynęło z czujników akustycznych o czwartej nad ranem. Zapis z godziny 4.09: identyczne sześciomilimetrowe odchylenie na zapije z tego samego co poprzednio czujnika, lecz tym razem siedmiusetmegawatowy reaktor Emilio Segre przeszedł nad zakłóceniem do porządku dziennego. Wszystkie pozostałe przyrządy zachowywały się normalnie, zarówno czujniki cieplne i akustyczne, jak i mierniki przepływu sodu, analizatory próbek sodu i wskaźniki poziomu neutronów. Bestia była najwyraźniej pokorna i posłuszna, toteż członkom kierownictwa tym razem pozwolono spać spokojnie. Jedynie zastępca dyspozytora zmiany zakłóci błogą ciszę mijając metrowej szerokości śluzę powietrzną, by dostać się do budynku mieszczącego reaktor. Zwykł go nazywać „katedrą”. W nabożnym skupieniu postawił stopę na jej kolistej podłodze: potężna kopuła ponad wielkimi suwnicami, pompy sodowe obiegu pośredniego, włazy i manipulatory, nieziemska cisza zdająca się zaprzeczać istnieniu tej stalowo-betonowej półkul pełnej żywego ognia i stopionego sodu, osadzonej głęboko w ziemi.

Dyspozytor dwoma kluczami otworzył właz na południowej stronie podwyższenia; każdy jego ruch śledzony był w sterowni na monitorach telewizyjnych. Zanim zniknął z pola widzenia kamer schodząc po stalowe, drabinie w głąb skorupy ziemskiej, pomachał ręką w ich stronę. Tu przynajmniej czuł realność świata dzięki ciepłu bijącemu z rur, którymi sól obiegu pośredni go wypływał z basenu reaktora do wymienników sodowo-wodnych i

wytwornic pary mieszczących się w sąsiednich budynkach tego kolistego labiryntu. Zatrzymał się na platformie na głębokości trzech metrów i za pomocą dwóch innych kluczy otworzył szafkę rozdzielczą: starannie polutowane połączenia w ognioszczelnych kanałach sto tysięcy kilometrów przewodów przenoszących dane i rozkazy. Odnalazł połączenie, którego numer znał n pamięć i, wyciągając podejrzaną wtyczkę, powiedział d(mikrofonu umieszczonego nad jego głową:

— Staccato.

— W porządku odpowiedział łagodny głos z głośnika.

— Riattaccato.

W porządku - powtórzył głos.

Dyspozytor jeszcze raz wyciągnął wtyczkę i, dobywszy z torby wyjąłowiony tampon, wypolerował styki. Wsadził wtyczkę na swoje miejsce, po każdej czynności słysząc ciche „W porządku”. Zamknął na klucz drzwiczki skrzynki i po trzyminutowej nieobecności jego uśmiechnięta twarz pojawiła się ponownie na ekranie. Teraz powtórzy cały ten zabieg pod północnym włazem, gdzie każdy milimetr obwodów elektrycznych liczących sto tysięcy kilometrów długości miał swój dokładny odpowiednik, ukryty w ognioszczelnych kanałach.

Nagle z głośnika rozległ się gromki głos, odbijający się echem od kopuły.

— Ty sukinsynu! Tam nie wolno palić.

W ustach dyspozytora tkwiło na wpół wypalone, zmaltretowane cygaro, podobne do gałązki uschniętego drzewa.

— Już dwie godziny się nie pali, ty stara pierdoło. Ja to żuję.

9

Dave Ridgeway zadzwonił do Pało Alto o szóstej rano czasu londyńskiego. Wczesne wstawanie nie było dla niego żadnym problemem. Biała mgiełka w parku za oknami wyglądała zdecydowanie kusząco i nogi dopominały się o swą porcją biegu. Telefon zadzwonił siedem tysięcy mil dalej i dzwonił dłuższą chwilę. Ciepły wieczór, pomyślał Dave, dziewczynki pewnie wyszły na patio, a teraz gnają jedna przez drugą, w nadziei, że dzwoni właśnie jej chłopak.

— 3254505.

— Cześć — powiedział Dave. Nie miał odwagi zgadywać, która z córek odebrała telefon.

— Tata! — zapiszczał głos w słuchawce. Wszystkie trzy piszczwały identycznie. Po czym jeszcze przenikliwszy pisk:

— Mama! Tato dzwoni! Za chwilę obudzą całe piętro hotelu.

Kolejna córeczka dorwała się do słuchawki.

— Tatko! Tatko! Tatko! Nie zanosilo się na zbyt rzeczową rozmowę, a gdy wreszcie Pat przejęła słuchawkę, oboje urwali swe powitalne kwestie w pół słowa.

— Cóż się tam wyprawia? Dom się pali?

— Były u wujka Harry'ego i pomagały wyciskać sold z winogron. Uderzyło im to trochę do głowy. Która tam godzina? Czemu nie śpisz?

Trzepała dalej nie słysząc jego pytań, aż musiał krzyknąć do słuchawki.

— Czy wszystko w porządku?

— W jak najlepszym. A co w Londynie?

— OK. A co w szkole?

— Wszystko dobrze. Tęsknimy za tobą.

— Ja za wami też.

— Nie daj im się.

— I ty się trzymaj, dziewczyno.

Lewa, prawa, lewa, prawa, lewa, prawa, szur, szur, szur: czterech żołnierzy na koniach, szelest liści, błysk wody, chmara ptaków, które wzbiły się w niebo, gdy pomarańczowy dres Dave'a wyłonił się z mgły. Powietrze było tak chłodne i wilgotne, że w ogóle się nie spocił, ale podobało mu się tu, w tym tajemniczym świecie żołnierzy i drzew. Pat zaczęła biegać pierwsza: w szkole średniej biegała przez płotki, potem, w czasie studiów na uniwersytecie kalifornijskim, gdy już знаła Dave'a, biegała na 800 metrów. Dwa razy dziennie ostro trenowała na plaży, Dave zaś, z rzadka tylko i bez zapachu, próbował dotrzymać jej kroku. Teraz, cholera, ona nie cierpiała wysiłku fizycznego, a on rozkochał się w nim.

Nagle dostrzegł, jak z londyńskiej mgły wyłania się przed nim budynek, który tutaj można by uznać za drapacz chmur. Szeroka ścieżka wiodła ku północnemu krańcowi parku, toteż skręcił na zachód, by stracić budynki z pola widzenia. W Waszyngtonie jego wyprawę ochrzczono „Operacją Sztafeta”. Uderzenie uprzedzające, pomyślał Dave, żeby uspokoić sumienie prezydenta i sekretarza i sfinalizować sprawę, zanim listopadowe wybory ograniczą jeszcze bardziej ich swobodę działania. Według McClarena z ambasady, sytuacja w Londynie jest podobna tu też politycy gotowi są dalej grać na zwłokę, czekając na przeciągające się opublikowanie raportu. Być może Anglików stać na to, żeby czekać. Mając przynajmniej eksperymentalny reaktor prędkości w Dounreay, nie czują noża na gardle. Dave patrzył na swe umykające stopy. Wiedział, że to ostatnia szansa. Za długo już zwlekają. Jeszcze rok takich wahań, a plany amerykańskiego reaktora powielającego będzie można pogrzebać, a wraz z nimi kilkaset miliardów dolarów włożonych w badania i kariery kilku tysięcy ludzi.

McClaren nie powiedział mu nic o Gordonie Aylenie. Wyjaśnił tylko strukturę departamentu i scharakteryzował dwóch ludzi będących bezpośrednimi zwierzchnikami Aylena: zastępcę sekretarza, który nie opowiada się wyraźnie po żadnej stronie, i stałego podsekretarza, tego ćmiącego fajkę kierownika departamentu z wczorajszego pokazu filmowego, który zdaje się być nastawiony zdecydowanie pronuklearnie i pozostaje w nieustającym konflikcie ze swoim politycznym szefem,

sekretarzem stanu do spraw energetyki. Dave przypomniał sobie sekretarza stanu z jego wizyty w Waszyngtonie sprzed trzech czy czterech miesięcy. Martin Reid. Wtedy mówiono o nim jako o przyszłym premierze, lecz Dave uważał, że jest raczej niegroźny. Wielkie kudłate psisko.

Znalazł się znowu nad stawem. Raz dookoła tego bajora, zdecydował, a potem pod prysznic. Ależ ci portierzy mieli miny, gdy wybiegał z hotelu w swymi pomarańczowym dresie. Myśleli, że wybiera się na ulicę w piżamie.

Kate wyciągnęła lewą rękę. Po drugiej stronie łóżko było jeszcze ciepłe, ale nagie ciało Bertie'ego zniknęło. Jak zwykle, nie odważyła się go zapytać. Albo może nie chciała. „Zostaniesz? Co robisz w sobotę i niedzielę?” — Może sprzedaje ferrari? Albo kupuje porsche'a? Stręczy panienki jakiemuś Arabowi? Zresztą, pal go licho. Przez ten weekend będzie musiała odwalić robotę, której starczyłoby na dziesięć dni.

Mgła osiadła na drzewach wzdłuż ulicy, spadała kroplami na chodnik zasłany opadłymi liśćmi. Karawanu nie było. Kate przeszła nago długim korytarzem do kuchni. Biały duch: kości i nic a nic biustu, pomyślała o sobie. Robota leżała rozłożona na kuchennym stole. Poprzedniego wieczoru Bertie zrezygnował z zalotów i zamiast! tego oglądał w telewizji nocny film. Ona tymczasem! przystąpiła do opracowywania taktyki ataku na ministerstwo skarbu: wypad w biały dzień przeciwko coraz

bardziej wrogim okopom. Cel ataku: 925 milionów funtów, ale, dodała pośpiesznie, rozłożonych na osiem lat.

Pootwieriała kredensy i powyciągała szuflady. Nie ma kawy. Kate, taka zdolna, tak wspaniale zorganizowana. Trudno, znowu będzie wstrętna herbata.

A może ten Amerykanin przywiózł z sobą walizę dolarów i uda się nieco obniżyć docelową kwotę? Gdyby udało się zejść poniżej 700 milionów, brzmiałoby to o wiele lepiej. Już słyszę, jak kanclerz skarbu Harrison, walcząc z przedpołudniowym atakiem astmy, wykrztusza z siebie: „Wydaje mi się, kochana, że komisja Izby Gmin obali te wyliczenia za pomocą najprostszych działań arytmetycznych. Będzie pani musiała wrócić do swoich liczydeł”.

Obmyła twarz nad zlewem i wytarła w ścierkę. Łazienkowe lustro zwykle odbijać z rana bladego ducha.

Jeden głupi reaktor prędki powielający na skalę przemysłową. O co to całe zamieszanie? Zresztą to Zarząd Energii Atomowej opracował dane techniczne i kosztorys. Jeśli oni nie wiedzą, o czym mówią, to kto ma wiedzieć? 900 milionów funtów na przestrzeni ośmiu lat to nawet nie pół pensa dopłaty do galonu benzyny, a jeżeli decyzja w sprawie reaktora nie zapadnie, wkrótce zaczną im brakować tego płynu. Harrison na pewno sięgnie po swą tyradę o szkołach i szpitalach, a wtedy ona przywali go górami. Przecież, na Boga, z naszych nadwyżek zjełczałego masła Rosjanie robią rączki do parasolek, i to nas kosztuje 15 milionów

funtów tygodniowo. Tygodniowo czy może miesięcznie? Będzie musiała sprawdzić swoje pociski.

U niej, na Belgravii, góry masła jednak nie było. Nie było nawet chleba. Gdzie twoja głowa, Kate? Podniosła z dywanu w pokoju przepelnioną popielniczkę, imbryk w kuchni zaczął gwizdać. Jednocześnie usłyszała zgrzyt klucza w zamku frontowych drzwi, więc z popielniczką w dłoni, same kości i nic a nic biustu, pognąła po peniuar.

— Musiałem przestawić karawan pod parkometr — zawołał Bertie obładowany kawą, masłem i torbą pełną ociekających tłuszczem, gorących rogalików.

10

Pociąg przejechał przez szare, wilgotne okolice podmiejskie, wjechał w długi tunel i wypadł nagle na skąpane w słońcu i cieniu zielone łąki pośród białych kredowych wzgórz pokrytych wypalonym ścierniskiem. Dave Ridgeway wysiadł na rozgrzany słońcem peron żywiąc nadzieję, że uczynił to na właściwej stacji. Podążył za dwiema ślicznymi dziewczynami schodami w górę i oddał bilet kontrolerowi. Aylen czekał na niego przy wyjściu: szare flanelowe spodnie, sweter, siwe włosy i ten sam niezdecydowany uśmiech, który Dave dostrzegł poprzedniego dnia.

Znów wymiana grzecznościowych formułek: o pogodzie, pociągach, o furze zakupów na tylnym siedzeniu samochodu. Kiedy wyjeżdżali z miasta, byli już dla siebie Dave'em i .Gordonem. Dave spytał o puste pola pełne drewnianych słupów, które widział z okna pociągu.

— Plantacje chmielu — wyjaśnił Gordon wskazując ręką zwieńczone białymi stożkami budowle w dolinie w których suszyły się sprzątnięte szyszki. — W Kalifornii macie pewnie same gaje pomarańczowe i winnice.

— Mój ogród w Kalifornii to dżungla chwastów i pną czy — zarechotał Dave. — Jeśli nie liczyć sterty czystego końskiego gówna, na którym Pat uprawia swoje melony — Tu, to co innego, pomyślał gdy skręcili w podjazd do domu Gordona.

Gordon dla odmiany spostrzegł, że za dużo zeschniętych liści wala się w nazbyt wysokiej trawie i że pora przyciąć żywopłot. W zeszłą sobotę przeszkodził deszcz, tera znów gość. Wkrótce po zacienionej stronie trawnika będzie zbyt mokro na koszenie, i to aż do Wielkanocy.

— Frontowymi drzwiami, pamiętaj — powiedziała Mary, gdy wyjeżdżał. — Po to są. — Gordon przypomniał sobie o tym w ostatniej chwili i obrócił się plecami do okna kuchni, przez które ujrzał żonę bardzo czymś zajęta, pi czym poprowadził gościa wokół domu ku gankowi w stylu georgiańskim, otoczonemu rabatami róż. Gordon dałby głowę, że gdyby to był dom Ridgewaya, wchodziliby od tyłu.

Gdy weszli, Mary zawołała z kuchni:

— Zaraz do was przyjdę. Zaprowadź pana Ridgewaya na górę, kochanie.

Ale, co Gordon zresztą wyczuł, Dave Ridgeway był zwolennikiem bezpośredniości. Pognał korytarzem i zatrzymał się w drzwiach kuchni.

— Proszę mi mówić Dave, pani Aylen.

— Uścisnął dłoń zaskoczonej Mary, otworzył torbę podróżną i wyciągnął pudełko czekoladek oraz butelkę whisky. Zaśmiał się sam do siebie. — Muszę się jakoś wkupić. Amerykańskie słodycze i bezcłowa szkocka.

— Ależ to naprawdę niepotrzebne.

— Masz na imię Mary, prawda? Na pewno uznałabyś to za dziwne, gdybym przybył z pustymi rękami. — Znów się roześmiał, obrócił się w stronę Gordona i rzucił w niego butelkę. Gordon złapał ją prawie cudem. Dave wyszczerzył zęby. — A teraz Gordon pokaże następną sztuczkę i wyczaruje szklanki i lód.

Po tym wstępie trudno było upierać się przy dzinie, choć Gordon nie lubił zbytnio whisky. Wyciągnął lód z zamrażalnika. Tymczasem Mary doszła do siebie i próbowała ich wygonić:

— Do salonu, jazda!

— Najpierw wychylimy jednego z tobą, Mary, a potem odejdziemy jak baranki. — Ridgeway porwał z kredensu szklanki, wrzucił lód i nalał do połowy. Mary patrzyła z wytrzeszczonymi oczami, a Gordon tłumził śmiech i żałował, że nie ma przy sobie

aparatu, by uwiecznić na kliszy jej skonsternowaną, rozdziawioną buzię. Mary też nie przepadała za whisky.

— Za co wypijemy? — spytał Ridgeway, podnosząc szklankę w górę. — Za reaktory prędkie czy zagładę naszej i waszej nieudolnej gospodarki?

— Za dom i rodzinę — powiedziała Mary i spytała go o żonę i dzieci.

Lubi wypić, zauważył Gordon. Oboje gospodarze Pociągali whisky małymi łydkami niczym ziółka na kaszel, Ridgeway zaś wychylił swoją niczym oranżadę. Wskazał na ogród za oknem.

— Wspaniałe miejsce dla dzieciaków — powiedział.

Mary skorzystała z okazji i kuchennymi drzwiami wypchnęła ich na dwór.

Założę się, że to Mary dba o kwiatki. Gordon skinął głową.

— Ja jestem tylko od trawników, żywopłotów i kapusty.

Ze szklankami w dłoni wędrowali po trawniku z tyłu domu.

— A jeżeli twoi synowie są choć odrobinę podobni do moich córeczek, na pewno w niczym nie pomagają, ani w domu, ani w ogrodzie.

— Coś tam zawsze robią. Zmywają po kolacji, a w nie dziele nawet po obiedzie.

— Powiem im o tym, jak znowu będę dzwonił do domu — Dave przystanął na skraju trawnika. W tym miejscu zaczynał się spadek terenu, na stoku był sad, pola i lasek dalej rozległa dolina,

za nią odległe wzgórza. W powietrzu unosił się delikatny, słodkawy zapach mokrych liść i gnijących jabłek.

— Jak się mieszka w takim miejscu, trudno chyba mieć jeszcze jakieś inne ambicje.

Gordon zaśmiał się.

— Boże, ja nie mam ambicji. Gdybym miał pieniądze dawno bym poszedł na emeryturę. — Spojrzał na Ridgewaya. — Ale z tego mogę wnosić, że ty posiadasz ambicje?

— Na pewno nie chciałbym, żeby praca mojego życia rozplynęła się w nicość.

A więc jesteśmy już w blokach startowych, pomyślał Gordon.
— Reaktory prędkie?

— Żyję nimi, odkąd skończyłem studia.

— Więc zapewne nie dopuszczasz myśli, że mogą rozplynąć się w nicość?

— Jeśli chodzi o Stany i Anglię, może to zależeć od ciebie i ode mnie. — Dave poklepał Gordona po ramieniu]

— Przyszłość jest w naszych rękach.

— No, ty w najgorszym razie możesz zawsze zwrócić się do Francuzów. — Gordon chciał, żeby to zabrzmiało jakby od niechcienia, ale Dave potraktował jego uwagę szalenie poważnie.

— Francuzi najchętniej wykorzystują cudze zdobycze. I nienawidzą Anglosasów. Te zadufane sukinsyny sądzą, że nas wynaleźli.

— Może boją się, że my ich wynaleźliśmy.

— Wiesz, Gordon, Paryż jest jedynym miastem, do którego za nic nie pójdę na kolanach.

Temat do dyskusji numer jeden, pomyślał Gordon. Ciekawe, czy ten Ridgeway kupił bilet powrotny do Londynu, czy raczej powrotny do Paryża z przystankiem w Londynie?

— Nie chcesz chyba przez to powiedzieć, że do Londynu przybyłeś na klęczkach.

— Obaj jesteśmy na klęczkach. To jest cena demokratycznych procesów decyzyjnych. Przez te społeczne konsultacje ruszamy się całkiem bez jaj.

— Nasi politycy tak się ruszają.

— Ich jaja to my, chłopie. I ich mózgi też. Nasze nieszczęście polega na tym, że oprócz jaj i mózgu trzeba jeszcze rąk i nóg.

Zawrócili w stronę domu. Z okna na piętrze dobiegała muzyka, dotąd cicha, teraz nagle wrzaskliwa. Wzięli moje kolumny z salonu, pomyślał Gordon.

— To brzmi jak zespół muzyczny w pełnym składzie — zaśmiał się Dave.

— Tylko dwóch. Nakładają poszczególne instrumenty na taśmę, jeden po drugim. A bębnienie idzie z jakiegoś urządzenia elektronicznego.

Roxy i Mick w pokoju gościnnym. Gordon przyglądał się im przez chwilę po śniadaniu: długie ręce Roxy'ego nad klawiaturami, błękitnooki Mick kołyszący się w jakiejś rytmicznej ekstazie, szarpiący struny i uderzający w pudło gitary basowej. Kiedy

wydobywali niskie dźwięki, Gordon czuł, jak wibruje podłoga i jego własny mózg. Roxy uśmiechnął się do nich z otwartego okna. Wyglądało na to, że w tym hałasie czuje się szczęśliwy.

— Nieźle wam idzie — zawołał do niego Dave.

— Sam to skomponował — oznajmił Gordon, i Dave'owi spodobała się nie ukrywana duma w jego głosie. Na pewno nie był to jego ulubiony rodzaj muzyki, lecz duma rodzicielska silniejsza jest od upodobań. Ojciec i syn. Dave nagle uśmiechnął się na myśl o telegramie sprzed dziesięciu lat, który do dziś nosił w portfelu, telegramie zawiadamiającym go o przybyciu na świat trzeciej córki w czasie, kiedy był w Michigan. „Stworzyłeś jeszcze jedną kobietę”, telegrafowała Pat. Nie odważyła się zadzwonić.

Po południu przyszła kolej na występ młodszego syna, Jossa. Podczas lunchu Gordon wspomniął o meczu szkolnych drużyn rugby. Dave nalegał, by pójść pokibicować. Sądził, że Gordon poszedłby na mecz, gdyby nie miał gościa, a poza tym ciekaw był, jak wygląda ta angielski wersja futbolu. Roxy zostawił Micka w salonie przed telewizorem. Starszy brat też wybierał się na mecz, żeby udzielać rodzinnego wsparcia stojąc w błocie okalającym boisko. Ojciec i synowie.

Mary przygotowała mężowi sportową kurtkę i krawat. Nigdy nie pozwoliła mu zapomnieć tego pierwszego razu, gdy wybrał się na szkolny mecz w towarzystwie sąsiada, pułkownika Pendle'a, starego eleganta w tweedach i klubowym szaliku. Gordon poszedł w brudnym prochowcu i kaloszach, i Roxy nie przyznał się do

niego, wskazując na sędziwego pułkownika jako swego ojca. Gordon śmiał się, gdy chłopiec w końcu powiedział o tym, lecz Mary poczuła się boleśnie dotknięta w jego imieniu. Spaliła stary prochowiec w ognisku, ale nie na wiele się to zdało, bo wszystkie prochowce i płaszcze Gordona szybko zaczynały wyglądać jak dary z Czerwonego Krzyża.

Gordon szedł z Dave'em i Roxym wzdłuż linii autowej, aż znalazł wolną deskę. Nie wypadało, by gość z Ameryki przemoczył sobie nogi grzęznąc w dobrze wymieszanej, mokrej angielskiej glinie. Na Ridgewayu zresztą większe wrażenie wywarła inna brytyjska specjalność, a mianowicie więzienna atmosfera szkoły prywatnej, nauczyciele z żonami na ławkach w wydzielonych enklawach, uczniowie w słomkowych kapeluszach ustawieni za nimi w trzech rzędach i skandujący „Szkoła!” w momencie, gdy drużyny wybiegały na murawę. Joss jak zwykle rzucał się w oczy idąc daleko za wszystkimi i ignorując rytualną rozgrzewkę. Potem podbiegł w stronę Roxy'ego i posłał mu uśmiech, po czym zajął swoją pozycję z dala od rozgrzewających się kolegów. Szkolny establishment z lubością wyrzuciłby go z drużyny za tę jego nonszalancką niesubordynację, Gordon zaś delectował się łagodnym anarchizmem swego syna, choć wiedział, że wyzywające zachowanie Jossa jest nie fair. W całej szkole w wyższych klasach nie było obrońcy, który mógłby mu dorównać, a przy tym zespołem rugby opiekował się jego nauczyciel chemii. Jedyne, co establishment mógł zrobić, i co uczynił z Roxym parę lat

wcześniej, było uniemożliwienie obu chłopcom zajmowania funkcji klasowych, co ani na Roxym, ani na Jossie nie zrobiło większego wrażenia. Nie mieszkali w internacie, toteż rola starosty i związane z nią przywileje noszenia brązowych butów do biało-niebieskich szalików i wątpliwej wartości prawo wymierzania kar niewiele dla nich znaczyły.

Gordon obserwował Jossa w momencie rozpoczęcia meczu. Wciąż sprawiał wrażenie, jakby to, co dzieje się Przed nim, niewiele go obchodziło. Gordon jednak wiedział, że był to tylko rodzajpozy, i gdy przeciwnicy ruszyli z piłką, Joss popędził w ich stronę, by powstrzymać natarcie. Gdy rzucił się na rywala ścinając go z nóg, kordon spojrzał na Ridgewaya.

Łup! — Amerykaninowi najwyraźniej spodobało się to wejście. Pokaż temu Jankesowi, pomyślał Gordon. Pokaż, że nam niepotrzebne kaski i ochraniacze. Ale zaraz uśmiechnął się do siebie i odrzucił tego typu szowinistyczne nonsensy. Podczas lunchu, dzięki Bogu, nie rozmawiali więcej o sprawach służbowych. Dave natomiast wypytywał Roxy'ego i Micka o ich muzykę, chłopcy zaś woleli dowiedzieć się czegoś o życiu w Kalifornii. „Prawda, że jest szalenie amerykański?“, zagadnęła Mary w przerwie między daniami, gdy oboje znaleźli się w kuchni. Co miał na myśli? Jego wigor, akcent, a może bezpośredniość Gordon wolałby, by ta krótka wymiana poglądów na(temat reaktorów była jeszcze przed nimi. Starał się zapomnieć o żarliwości w głosie Ridgewaya.

Następne udane wejście Jossa i kilku zawodników trątuje jego bezwładnie leżące ciało.

— Jeszcze go rozniosą na butach — odezwał się Ridgeway. Ale Joss wyczołgał się żywy i pokłusował na swoją pozycję na obronie. obaj synowie Aylenów są niewątpliwie indywidualnościami. Czy Gordon też jest taki? Mary na pewno nie ma duszy odkrywcy. Zasyp ją nadmiarem pomysłów, a niechybnie padnie. Dave był absolutnie przekonany, że Gordon zawsze znał miarę.

Joss nadal samotnie walczył, wgniatając przeciwników i piłkę w błoto. Dave odgadł, że miejscowej drużynie nie idzie zbyt dobrze, bo doping widowni zamarł, jeśli pominąć jednego komedianta po przeciwnej stronie boiska, który dalej zawodził monotonnym basem „Szkooooła!” Bez dwóch zdań, to całkiem odmienna rasa, myślał Dave o stojących wokół chłopcach różnego wzrostu i budowy w białych kapeluszach; ci mniejsi wyglądali idiotycznie w olbrzymich nakryciach głowy. A jest to pokolenie któregoż życia, a już na pewno dobrobyt, zależy od tego, co siwowłosemu Aylenowi stojącemu obok z om krytą głową uda się zasugerować rządowi tego kraju. Po Gordonie Aylenie zupełnie nie było widać, by zawał sobie sprawę, jak ważna jest jego misja. Dave będzie musiał mocno go przycisnąć. Spojrzał na jego tchnącą spokojem sylwetkę.

Joss popędził znowu po przekątnej boiska, w ślad za umykającym przeciwnikiem. Jeden na jednego. Nie było mowy, żeby Joss go dogonił. A jednak gnał, wrzucał coraz to wyższy bieg i

zwiększał prędkość, aż znalazł się na tyle blisko, że mógł rzucić się na rywala.

— Luup! — Roxy przejmował już słownictwo Dave'a. Dave Ridgeway roześmiał się.

— To mi się podoba. Sam bym chętnie pograł.

I rzeczywiście pograł, już następnego ranka, w swym pomarańczowym dresie, na wilgotnej przerośniętej trawie w ogrodzie Gordona. Chłopcy obiecali mu to poprzedniego dnia wieczorem, podczas uroczystości z okazji przyznania Jossowi prawa noszenia szalika i krawatu w szkolnych barwach. „Czarny, biały, czarny, biały, czarny”, skandował Roxy, gdy wznosili toast winem za osiągnięcie brata. Jego drużyna przegrała, ale żadnemu z graczy drużyny przeciwnej nie udało się przedrzeć przez zaporę, jaką stanowił Joss, i zdobyć punktów z przyłożenia. Harrow strzelił tylko dwa karne, i wszyscy zgodzili się, że jest to niewiele warte zwycięstwo.

Po śniadaniu znaleźli w garażu piłkę do rugby, starą, miękką i zdartą, ale jeszcze nadającą się do użytku. Roxy z Jossem biegali z nią po trawniku, a Dave Ridgeway starał się opanować sztukę rzucania się na przeciwnika. Z Jossem szło mu dość łatwo, bo jeszcze utykał i był obolały po wczorajszych starciach, a Mick, który z mętym wzrokiem zwłókł się wreszcie na dół na spóźnioną kawę i grzanki, niewiele mógł zrozumieć widząc przez okno kuchenne Jossa i Dave'a splecionych w uścisku i turlających się w stronę grządek Mary. Błocko i płatki dalii.

Gordon zasiadł do pianina w jadalni. Pamiętał tą miękką i zdartą piłkę sprzed lat, kiedy była jeszcze twarda i błyszcząca; osiem, dziesięć, a może i dwanaście lat temu. Roxy czekał z nią na tym samym trawniku. Było to w drugi dzień świąt Bożego Narodzenia, Joss miał świnkę, i biedny Roxy czekał na tatę, żeby przyszedł z nim zagrać. A tata? Niechętnie wyglądał przez okno pokoju na piętrze. Czemu nagle teraz wydało mu się to takie ważne? To była niemal zdrada. Czemu nie zagrał wtedy z Roxym? Uważał, że nie przystoi, wstydził się swojej niezdarności? Po tym, jak wystrzelił te dwie piłki tenisowe wysoko nad ogrodzeniem w Great Frist owego złocistego letniego popołudnia, nigdy już nie uprawiał żadnego sportu, od czasu do czasu tylko kibicując. Jakim widział go wtedy, w drugie święto, jego syn, gdy ta spoglądał na niego przez szybę? To było dziwne Boże Narodzenie. Gordonowi wciąż jeszcze brzmiały w uszach gniewne słowa młodszego syna cierpiącego z powodu świnki: „Nienawidzę Boga” — wykrzykiwał z łóżka rankiem pierwszego dnia świąt i wygrażał niebiosom pięścią. „Dobrze mu tak, że zabili mu syna!”

A dziś rano ja umieram, pomyślał Gordon. Czuł się ociężały, sflaczały i coś ścisnęło mu piersi, ilekroć dobiegały go z ogrodu zamorskie okrzyki.

— Podaj! — I odgłos biegu po wysokiej, mokrej trawie. Gordon przysłuchiwał się im bezwolnie, no i zgubił miejsce, do którego doszedł na stronie pełnej czarnych kijanek. Od dwóch

miesiący stara się opanować te menuet. KV 4. Mozart pewnie napisał ten cholerny kawałek, zanim jeszcze zaczął chodzić.

Gordon skrzywił się. Czy zdołamy dotrzeć do podwieczorku bez atomowej próby sił? Umówili się z Amerykaninem, że o szóstej zostanie odwieziony na stacji Następnego dnia wczesnym rankiem wylatuje na północ, do Dounreay. Spotkają się dopiero w połowie tygodnia.

Odgłos bieganiny na dworze przerwało głucho uderzenie o ziemię i roztrzęsionym nieco głosem wykrzyknięte słowo:

— Jezu! — Jakimś cudem jednak żadnemu z chłopaków nie udało się złamać nawet jednej pomarańczowej nogi.

Dave Ridgeway, który po swych wyczynach sportowych przebrał się i wykąpał, natarł na Gordona z reaktorem w salonie po lunchu. Obaj siedzieli pogrążeni w niedzielnych gazetach, z głośników płynęła muzyka Vivaldiego. Nagle Dave odrzucił gazetę na bok i zerwał się z fotela.

— Waszyngtońskie pedały! Czym według nich jest środowisko? Jakąś zasraną krainą baśni? Środowisko to cztery miliardy ludzi, którzy chcą jeść i ogrzać się. Kropka. — Dave wyciągnął wtyczkę gramofonu z gniazdka. Vivaldi zawodził jeszcze przez moment, wreszcie ucichł.

Mojej płycie nie wyjdzie to wcale na dobre, pomyślał Gordon.

— Kiedy soki przestaną krążyć, nie będzie nic, ani pracy, ani rozrywki. Nawet komputery zdechną. — Dave uruchomił z powrotem Vivaldiego: zrazu zawodzenie, po chwili znowu

muzyka. — Zmarznięci i głodni, ludzie stają się brzydzy. Oto czym jest środowisko. — Ridgeway kursował między kominkiem a oknem. — Przyjaciele ziemi, zasrańce. — W końcu zdecydował się na miejsce Pod oknem, stając plecami do zniżającego się słońca.

Gordon, przez tę całą gadaninę zrobili z nas wszystkich durniów.

Gordon skupił swą uwagę na cedrze rosnącym na Przeciwnym skraju trawnika. Nie cierpiał, gdy ktoś do niego mówił, a on nie widział jego oczu ani ust.

— I teraz, kiedy siedzimy na dupie, jakaś wszawa komisja Kongresu zaczyna nas zarzucać liczbami. Czego oni chcą? Energia atomowa nigdy nie miała być kamieniem filozoficznym. A w ogóle czyja to wina, że koszty rosną? Będą tak głądzić o środowisku do usranej śmierci, a my będziemy musieli coraz więcej za to wszystko płacić Gordon przyglądał się rozłożystemu drzewu. Tam, n najniższym konarze, wisiała ongiś huśtawka. Chłopcy nazywali kiedyś ten cedr Drzewem Gawronów; w mgliste listopadowe ranki zbierały się na nim rozskrzeczane, czarne ptaszyska. Zachodzące słońce schowane za drzewem świeciło blado. Czemu ten widok jest taki smutny.

— Obaj nadal wydajemy furę rządowych funduszy n prace badawczo-rozwojowe, ale żaden polityk nie ma odwagi powiedzieć: „W porządku. Ruszamy”. Prace badawczo-rozwojowe zaszły chyba tak daleko, jak jest t możliwe przy braku czegoś konkretnego na ząb. Powinniśmy budować elektrownie po pięć

tysięcy megawatów, a tymczasem nie zdobyliśmy się nawet na 1 200-mega watowy reaktor demonstracyjny. Wszyscy dostarczają różnych podzespołów Francuzom i Włochom, a niedługo zaczną je sprzedawać Niemcom i Japończykom. Nikt nie wie, czy i kiedy zaczniemy budować takie elektrownie na wielką skalę, a jeśli nie będziemy mieć własnego programu, zupełnie nie będziemy się liczyć na rynku, kiedy cały świat zacznie kupować reaktory prędkie. Z kolei, jeśli nie będziemy eksportować, nie będziemy w stanie dostarczyć odpowiednio taniego wyposażenia dla naszych własnych siłowni, a wtedy, zamiast elektrowni, których koszty się zwracają, będziemy mieć elektrownie, które są finansowym nieporozumieniem.

Gordon obserwował sylwetkę w oknie. Jeśli dolar znów spadnie, pomyślał, i jeśli dać mu wolną rękę, Dave Ridgeway zacznie sprzedawać reaktory prędkie niczym volkswageny.

— To przecież oczywiste — tłumaczył Ridgeway. — jeżeli budujesz sto elektrowni, koszt jednej to x podzielone przez sto. Jeżeli zbudujesz ich tysiąc, x szybko maleje.

Tysiąc reaktorów prędkich. Gordon spróbował zapanować nad przerażeniem. Zakładając optymistyczny współczynnik awarii w wysokości pół procenta rocznie, co roku będą kłopoty z pięcioma reaktorami. A ile Największych Przewidywalnych Awarii? Oby tu były solidne volkswageny.

— Bez względu na raport, ty i ja musimy ustalić nasz współczynnik x . Ręka w rękę. Potem, przekazując sobie pałeczkę

jak w sztafecie, podciągniemy nasze programy na tyle, by znów liczyć się na światowym rynku. Stany Zjednoczone i Zjednoczone Królestwo nie mogą dopuścić do tego, żeby miały kupować reaktory prędkie na francuskiej licencji. — Dave Ridgeway odszedł od okna, jego twarz nagle stała się widoczna, a wyglądał tak, jakby zamierzał stoczyć pojedynek z fotelami. — I żadna komisja Izby Reprezentantów nigdy mnie już nie zaskoczy.

Mary otworzyła drzwi i wtoczyła barek z zastawą do herbaty ze srebra i porcelany Wedgewooda. Uczyniła to tak delikatnie, że podekscytowanie Dave'a natychmiast opadło. Zaśmiał się do Gordona w chwili, gdy Mary nakładała ciasto.

— Musisz mi wybaczyć ten wykład, Pielgrzymie. Gordon wpatrywał się w filiżankę.

— Nie przejmuj się — wyrzekł półgłosem. — Przemawiasz do nawróconych.

Dave pojechał na stację w towarzystwie chłopców. Roxy miał jeszcze podwieźć Jossa do szkoły na wieczorne nabożeństwo, a potem odwieźć Micka do domu. Tył samochodu załadowany był wzmacniaczami i magnetofonami.

Mary myła filiżanki w kuchni i patrzyła, jak w zapadającym zmroku Gordon grabi liście. Zastanawiała się, czemu jest taki przygnębiony. Jej samej i chłopakom Podobał się ten Amerykanin.

Gordon miał w głowie pustkę. Skupił swą uwagę na ościach. Dwa razy obrócił głęboką taczka wywożąc liście przez sad na przymę w końcu ogrodu. Stopą rozgarniał wysoką trawę w sadzie,

szukając co lepszych spadów. Na drzewach wisiały jeszcze pigwy i jabłka, czekając na zerwanie. Może Roxy zrobi to w tym tygodniu. Zbieranie owoców było jedyną bodaj pracą, jakiej się podejmował w ogrodzie z własnej woli. Gordon spojrzał na dom: świeciło się tylko w kuchni i, jak zwykle, paliła się latarenka na rogu garażu. Wszystko to wydało mu się bardzo odległe. Było tak ciemno, że niewiele już był< widać. Kapusta, brukselka, brokuły, szpinak. Trzeba będzie rozwiesić siatkę, bo cholerne turkawki wszystko zniszczą. Czy turkawka jest klęską żywiołową?

Tysiąc reaktorów prędkich. I te słowa na wewnętrznej stronie teczki MPE: „Nie wolno dopuścić do klęsk żywiołowych”.

Pół godziny później Gordon szukał czegoś do pisania na biurku Mary. Znalazł, owszem, tuzin flamastrów, ale wszystkie do niczego. „Drugie prawo Murphy'ego”, zapisał ołówkiem. „Jeżeli coś zawodzi w jednym miejscu, zawiedzie wszędzie”.

Część druga

1

Po raz trzeci zabłyśło światełko alarmowe czujnika akustycznego, nie była to jednak ta sama lampka co poprzednio. Czujnik zachowujący się przedtem po łobuzersku siedział teraz cicho, „czkawki” zaś dostał jego odpowiednik umieszczony po przeciwległej stronie reaktora. Jak uprzednio, sprawdzono wszystkie przyrządy i, odbywszy konieczne rozmowy telefoniczne, dyspozytor nocnej zmiany wyszedł na dwór wczesnym rankiem, żując swe wykrzywione, czarne cygaro.

Dobra pogoda na toskańskie winobranie, pomyślał. Winogrona podsuszają się na słońcu, które z pewnością mocno dziś przygrzeje. Elba i Giglio rysowały się wyraźnie, widać nawet było poszczególne drzewa, a pomiędzy nimi Formiche — czarne plamy skał na tle pastelowego, gładkiego morza.

Na parkingu Emilio Segre nikt jednak nie witał z uśmiechem tak pięknego świtu. Dyspozytor nocnej zmiany wychodzi naprzeciw nadzorcy i kierownika, którzy wysiadają z samochodu. Podczas drogi z ciepłego łóżka do ośrodka Włosi podjęli decyzję.

— Wyłączamy — mówi kierownik.

Powolne wyłączanie. Wyłączanie awaryjne bowiem, któremu towarzyszy gwałtowny, niemal natychmiastowy spadek temperatury, powoduje nadmierne zmęczenie elementów metalowych i musi być stosowane z umiarem.

Ekipa francuska, która przybyła drugim samochodem, nie zgadza się. Francuski kierownik ośrodka oraz nadzorca odrzucają decyzję wyłączenia niecierpliwym gestem, uznając reakcję Włochów za przesadną. Tych dwóch starszych członków ekipy francuskiej już wiele lat temu zjadło zęby na reaktorze Phénix. Są nieczuli na to, co nazywają „gorączką nocy poślubnej”.

Kierownicy oraz inspektorzy w towarzystwie kierownika nocnej zmiany wchodzą do budynku reaktora przez służbę powietrzną. Stają na podłodze „katedry”. Pod ich stopami, pod stalową płytą grubości jednego metra i takiej samej grubości warstwą betonu, bestia stopniowo zaczyna się już ochładzać: przez dwa tysiące niewidocznych ton roztopionego sodu przetaczają się prądy jak w rzadkiej melasie. Pompy zwalniają biegu, a pręty regulacyjne cal po calu wchodzą w dwumetrowej grubości plaster zespołów paliwowych. Pręty regulacyjne pochłaniają neutrony, a pastylki paliwa w stalowych koszulkach podporządkowują się prawom fizyka i łańcuchowa reakcja rozszczepienia atomów powoli ustaje.

Pod kopułą „katedry” unosi się pokrywa północnego] wjazdu, skrzynka rozdzielcza zostaje ponownie sprawdzona i oczyszczona. Niczego to nie wyjaśnia. Styki są nieskazitelnie czyste. Niełatwo

jest stwierdzić przyczyna czkawki; bestia ukrywa swą przypadłość.

Inspektorzy, kierownicy i dyspozytor nocnej zmiany rozmawiają na terenie „katedry” półgłosem, by treść ich rozważań nie dotarła do głośników w sterowni. Wydaje się, że są trzy możliwości. Według Francuzów, przyczyna tkwi w dwóch przyrządach akustycznych, które są w fazie eksperymentalnej i dlatego nikt nie wie, jak powinien wyglądać prawidłowy zapis ich pracy — drgania mogą oznaczać po prostu zwykłe odchylenia prędkości przepływu lub gęstości ciekłego chłodziwa sodowego. Według równie optymistycznych Włochów, oba czujniki akustyczne mogą być wadliwie skonstruowane albo uszkodzone; wystarczy drobne pęknięcie w elemencie ceramicznym, a już fałszywy sygnał ulega wzmocnieniu.

Trzecia możliwość zakłada to, czego wszyscy obawiają się od momentu pierwszego ostrzeżenia w tym tygodniu, a mianowicie, że w zmętniałym ciekłym sodzie pływa jakieś obce ciało, którego wielkości, kształtu ani rodzaju nie sposób określić. Któryś z robotników mógł pozostawić jakieś narzędzie wewnątrz basenu reaktora lub coś mogło się odłamać. Pytanie pierwsze: czy to obce ciało jest na tyle duże, by zablokować lub uszkodzić pompy sodowe? Pytanie drugie: czy to obce ciało jest na tyle małe, by przejść przez filtr ochronny poniżej rdzenia paliwowego, a jeśli tak, to czy ma taki kształt i wielkość, że może zablokować któryś z małych kanalików chłodzących między prętami paliwowymi?

Przerwa w przepływie sodu przez kanalik może spowodować natychmiastowe przegrzanie, co zawsze grozi stopieniem lub odkształceniem pręta paliwowego.

Jeśli chcemy wiedzieć na pewno — mówi dyspozytor — trzeba spuścić cały sól i zobaczyć.

Odprowadzić dwa tysiące ton silnie radioaktywnego i łatwo parującego ciekłego metalu i przechować w szczelnym zamknięciu, żeby nie zetknął się z powietrzem i wilgocią, oraz w odpowiedniej temperaturze, by nie przeszedł w stan stały? To jest robota na miesiące. Trzeba by ochłodzić, rozebrać i przechować sam rdzeń paliwowy; sól trzeba spuszczać litr po litrze; cały basen reaktora musi zostać sprawdzony wizualnie za pomocą zdalnie sterowanej kamery; konieczne czyszczenie lub naprawy trzeba wykonać również za pomocą zdalnego sterowania; Potem paliwo i sól trzeba ponownie umieścić w reaktorze i cała procedura sprawdzania i uruchamiania musiałaby się zacząć od nowa. Opóźniłoby to program o piętnaście miesięcy, bez względu na to, co znaleziono by w środku.

A gdyby nie znaleziono nic? Cały ten nieszczęsny proces trzeba by powtórzyć.

— Wyłączenie będzie miało sens tylko wtedy — mówi francuski inspektor — gdy odetniemy dopływ tego syropu i opróżnimy basen. W przeciwnym razie lepiej jest nie przerywać pracy. Jeśli naprawdę coś jest nie w porządku będziemy mieli jeszcze inne sygnały uprzedzają o uszkodzeniu.

Kierownik francuski zachowuje milczenie. Włosi wyraźnie nieszczęśliwi, i gdyby Paryż nie uparł się, czwartek będzie dniem włączenia, Francuz chętnie poświęciłby tydzień, by uspokoić swych partnerów. Ale jeśli w czwartek mają włączyć się do sieci, te kilka dni, które pozostały, będą potrzebne na zwiększenie mocy. Ujmuje pod ramię swego włoskiego kolegę i odciąga na bok. Je to ich pierwsza różnica zdań, lecz na płaszczyźnie prywatnej i zawodowej nadal sobie ufają.

— Uważamy — mówi kierownik francuski — że nie wchodzi tu w grę zagrożenie bezpieczeństwa, a jedynie kwestia ustalenia sposobu postępowania w takich przypadkach. Te dwa czujniki akustyczne wiążą się z doświadczalną funkcją ośrodka. Żaden z ogólnie przyjętych systemów zabezpieczeń nic przecież nie sygnalizował.

— Ale jeśli — odpowiada Włoch — mamy traktować ten ośrodek jako prototypowy, powinniśmy rozwiązać każdą zagadkę, jaka się pojawi, i to niezależnie od innych względów. Segre jest reaktorem eksperymentalnym, a nie demonstracyjnym.

— Sądzę — wyjaśnia Francuz — że ta akurat zagadka jest nieistotna z punktu widzenia doświadczalnych funkcji tego reaktora. Jeśli go wyłączymy, żeby zbadać kapryśne zachowanie dwóch stosunkowo mało ważnych a już z pewnością nie decydujących przyrządów, nigdy do niczego nie dojdziemy.

Włoch obstaje przy swoim, wobec czego kierownik francuski jest zmuszony zorganizować telefoniczny trójmecz między Segre,

Paryżem i Rzymem. Po dwóch godzinach Paryżowi, który zgadza się przyjąć odpowiedzialność za wszelkie konsekwencje, udaje się namówić Rzym, a tym samym i Segre, na podjęcie normalnej pracy.

Dyspozytor nocnej zmiany, ten z cygarem, został odsunięty od ostatniej rundy dyskusji telefonicznej. Siedzi teraz na zboczu wzgórza ponad parkingiem czekając na ostateczny rezultat; jest zbyt podniecony, by pójść do domu spać.

O dziesiątej włącza się syrena alarmowa, znak dla obsługi technicznej, by opuścić szyby kontrolne i galerie w obrębie „czerwonej” strefy reaktora. Dwadzieścia minut później prety kontrolne zostają powoli podniesione do góry. Segre stał tylko cztery i pół godziny.

Dyspozytor wypluwa swe wymiętoszone cygaro na ziemię i kieruje się po zarośniętym wzgórzu do samochodu. „Nie powinniście byli się zgodzić” — mówi do siebie pod nosem. „To jest nasz reaktor i ten cholernik musi działać dobrze, nawet jeśli to oznacza rozebranie go na części i rozpoczęcie wszystkiego od nowa”.

Lecz nikt go nie słucha, a przed nim są trzy dni wolnego. Jego opinia rozplywa się w ciepłym, październikowym słońcu.

Oficer imigracyjny w Gatwick ujrzał szczupłego i nerwowego trzydziestoletniego mężczyznę o zmartwionej twarzy, niosącego kraciastą torbę.

Czy przyjechał na wakacje?

Tak.

Jak długo planuje tu zostać? Tydzień. Może dwa.

John Henshaw, urodzony w Paso Robles, rok urodzenia 1950. Dziennikarz. Oficer imigracyjny wbił stempel do paszportu i Henshaw poszedł w kierunku komory celnej, omijając tłum wokół transportera bagażu. Zapięta na zamek błyskawiczny torba w kratę stanowiła cały jego ekwipunek.

Henshaw nienawidził nowych miejsc, a już ponad wszystko nie znosił spotykania się z ludźmi, których nie znał. O wiele chętniej siedziałby teraz w domu opisując wyniki cudzych dociekań. Lecz jego agencja była mała i rozczłonkowana, fundusze miała ograniczone, porozumiewano się w sposób zakonspirowany i zwykle anonimowy. On był tym, który odebrał cynk; był jedynym człowiekiem, który zdał sobie sprawę z możliwych implikacji tej wiadomości i który zdecydował, że to nie lipa. Poza tym był jedynym pracownikiem agencji, który w owej chwili był akurat na miejscu i mógł zająć się rozpracowaniem informacji.

Pewien wyższy urzędnik z departamentu energetyki pospiesznie i potajemnie wyleciał z Waszyngtonu do Londynu zaledwie dwanaście godzin po pewnym przemówieniu politycznym wygłoszonym w Los Angeles, w którym mówca

zobowiązał się w imieniu Partii Demokratycznej do zarzucenia planów budowy reaktorów prędkich powielających w USA.

Cynk przekazał pewien podrzędny i anonimowy urzędnik z waszyngtońskiego departamentu, „kabel”, który za łapówkę wymienił bilet na Concorde na tani bilet bez rezerwacji. Wykroczenie niby drobne, lecz Henshaw wiedział z doświadczenia, że takie drobiazgi często prowadzą do ujawnienia większych tajemnic, przy czym są o wiele bardziej wiarygodne niż rewelacyjne informacje o wielkich aferach.

Ale od czego mam zacząć, zastanawiał się idąc przez pustą salę przylotów. Był ranek, o wiele za wcześnie, żeby dzwonić pod którykolwiek z numerów zapisanych w notesie. Kupił bilet na pociąg do Londynu i schodami przeszedł z portu lotniczego na dworzec kolejowy. Na razie Anglia była dla niego tylko kolorowymi światłami semaforów w zimnej mgle.

Martin Reid spoglądał na równinne, wilgotne pola z okien wagonu jadącego z prędkością 100 mil na godzinę. Biała kula słońca wyłaniała się od czasu do czasu spoza spowitych mgłą drzew i żywopłotów. Dziś obudził się jeszcze przed świtem. Pierwszy pociąg z Newcastle lub Darlington przyjeżdżał do Londynu dopiero o 10.45, a spotkanie gabinetu w pełnym składzie miało zacząć się o 10.30. Tak więc dzieci musiały same przygotować się do szkoły, a Helen, dzięki jej za to, podwiozła go samochodem wraz z jego gorylem do odległego o 90 mil Leeds, skąd pierwszy pociąg przybywał do Londynu godzinę wcześniej.

Musi dopilnować, żeby w przyszłym tygodniu mieć samochód służbowy z kierowcą, nawet gdyby to oznaczało konieczność poszukania we wsi dodatkowego noclegu. Ten bęcwał z ochrony zajął ich jedyny pokój gościnny.

Teraz bęcwał ów siedział naprzeciw niego w wagonie restauracyjnym, a Martin udawał, że przegląda swe papiery. Udawał, ponieważ myślami był gdzie indziej. W niedzielę wieczorem sekretarz spraw zagranicznych zakłócił spokój ich domowego ogniska dzwoniąc ze swej Posiadłości o powierzchni czterystu akrów w Kent: pogłoski o oficjalnej wizycie prezydenta Francji w Londynie; zaproszenie na prywatny obiad; i, co najdziwniejsze, zaproszenie całej rodziny na następny weekend, w końcu zdawkowe pytania dotyczące reaktora powielającego i mającego się wkrótce ukazać raportu. Czy były to rzeczywiście pytania zdawkowe? Sekretarz nigdy nie zaliczał Martina do swych politycznych przyjaciół. Ralph Ordish. Podczas posiedzeń rządu i poza nimi wymienili zaledwie kilka zdań w ciągu tych pięciu miesięcy, odkąd Martin sprawował swą nową funkcję. Ale na początku września Ordish wyjechał do Waszyngtonu akurat wtedy, kiedy w Camp David odbywało się zorganizowane przez prezydenta seminarium na temat energii. Być może, wyznaczono mu jakąś pomniejszą rolę w tamtejszych rozgrywkach. Jeśli niespodziewany przyjazd Ridgewaya jest tego następstwem, to co w takim razie sekretarz spraw zagranicznych zasugerował lub obiecał Amerykanom? Ralph Ordish i ten jego uwodzicielski styl.

Mówiono, że nawet po swoich oborach paraduje wystrojony w miękkie, welwetowe garnitury. Jego żona natomiast nie rozstaje się z kaloszami, co wyjaśnia, dlaczego rzadko odwiedza Whitehall. Martin przypomniał sobie, że gdy powierzono mu kierownictwo departamentu, Helen otrzymała od niej przyjazny Ust, w którym radziła, co wypada, a czego nie wypada robić żonie ministra. Głównie, czego nie wypada. Helen przyjęła te rady z wdzięcznością, zwłaszcza że nie miała najmniejszego zamiaru wyprowadzać się ze swego szarego, kamiennego domku na wsi pod Durham.

Bęcwał z ochrony napotkał jego spojrzenie i szybko odwrócił wzrok. Założę się, że jego przełożeni wyciskają z niego wszystkie informacje na mój temat, pomyślał Martin. Nieznany sekretarz stanu. Pół roku temu najpewniej nie mieli mnie nawet w swojej kartotece. Jak spędza weekendy? Jak traktuje dzieci? Jak układają się jego stosunki z żoną? Czy spotyka się z innymi kobietami? Bęcwał znów go obserwował. Martin mrugnął porozumiewawczo, ale tamten, pozbawiony poczucia humoru, znów odwrócił oczy, zimne i groźne jak broń, którą nosił pod pachą.

Martin wyciągnął notatkę z tekturowej teczki. Znowu o broni. Jakiś zwariowany emerytowany pułkownik z Arkansas na własną rękę poddał analizie system zabezpieczeń stosowany przez ZEA i teraz zaleca potrojenie liczby uzbrojonych strażników we wszystkich ośrodkach atomowych. „W zakresie bezpieczeństwa — czytał Martin — sytuacja w żadnym z brytyjskich ośrodków, jak i

w przewozie, nie jest zadowolająca". Przypomniał sobie, że gdzieś w teczce z piątku jest jeszcze jedna notatka przytaczająca treść utrzymanego w gniewnym tonie listu napisanego przez członka Socjalistycznej Partii Robotniczej, syna pewnego pracownika z Windscale, który oskarża dwóch uzbrojonych funkcjonariuszy służby bezpieczeństwa ZEA o szykanowanie, groźby i bezprawne najście, pod pretekstem szukania skradzionego mienia. „Nadgorliwość” — ktoś napisał na notatce. Liberałowie z lubością wywlekliby taką sprawę w Parlamencie. W gruncie rzeczy, pomyślał Martin, jeszcze niedawno sam chętnie wdałbym się w taką potyczkę — teraz jednak, dając mi rządowy stołek, pozbawili mnie karabinu z lunetą.

Martin wyprostował się w fotelu, czując ból w krzyżu — to ta chrząstka, która ciągle odzywała się od czasu, gdy w piątkowy wieczór uderzył się o to przekłete biurko w sekretariacie Gordona Aylena. Pewnie coś mu poszło w biodrze. Pierwszy raz doznał takiej kontuzji na ośnieżonym boisku w Gosforth, gdy próbował ominąć szarżującego obrońcę. Wtedy zniesiono go z boiska. W ten sam sposób pięć lat później opuszczał wśród wiwatów Izbę Gmin, wygłosiwszy połowę swego inauguracyjnego przemówienia leżąc na wznak na podłodze, niewidoczny dla nikogo z wyjątkiem najbliższych sąsiadów z ławy: ten niespodziewany acz bolesny atak spowodowany kichnięciem przysporzył mu o wiele więcej komentarzy i reklamy w prasie niż treść samego przemówienia.

Za oknem pozostał spowity mgłą Doncaster, a Martin gestem poprosił o jeszcze jedną kawę. Ładna dziewczyna Przy stoliku naprzeciwko szturchnęła łokciem swego Przyjaciela, spoglądając na Martina swymi apolitycznymi błękitnymi oczami, które jakby go poznawały. Za późno na zakazaną miłość, pomyślał Martin odwzajemniając jej uśmiech. Ten młot by mnie wykastrował.

3

Gordon słyszał, jak Joss włączył elektryczną maszynkę w łazience i poczuł zapach smażonego na dole bekonu. W szparę między zasłonami wpadł promień słońca, nad lambrekinem komarnica miotła się wzbijając kurz, gdy tymczasem cierpliwy pajak czterokroć mniejszy od niej z wolna pozbawiał ją jej długich nóg i życia. Gordon nie spał już od dwóch godzin, lecz nadal nieruchomo leżał w łóżku, a nadchodzący tydzień jawi mu się jako drobniutka pajęczyna, której ani nie rozsypła, ani nie rozerwie. Przejrzystość i rześkość jasnego poranka szydziły z jego odrętwiałego w bezwładzie, apatycznego ciała. Musi być jakaś pigułka, pomyślał, która i powoduje wydzielanie się adrenaliny, bo jak nie, będę tu i leżał i czekał, aż niemoc przerodzi się w zwykły strach.

— Podwiesz mnie? — wrzasnął Joss wychodząc z łazienki. Wyścig do pociągu dziewiąta zero zero. Joss przerwie ciszę

poniedziałkowego poranka wyskakując na światłach przed dworcem z pytaniem:

— Tato, mogę kupić strój klubowy?

Trzy czarne i dwa białe paski na szaliku, na wstążce do słomkowego kapelusza, na koszulce, skarpetkach, może nawet na swetrze. Osiemdziesiąt funtów jak nic, a dług w banku w tym miesiącu jest już trzycyfrowy.

— Łazienka wolna, tato! — kolejny wrzask. Idę, idę.

Gordon patrzył na długonogą jeszcze do niedawna komarnicę.

— Nie utożsamiam się z tobą — wyszeptał w jej kierunku. —
Widzisz, jeszcze się ruszam.

Kate pocałowała Bertie'ego w policzek i wyskoczyła na Lambeth Bridge z karawanu jadącego na południe.

— Baw się waść dobrze na wsi.

— Dzięki za weekend — Bertie uśmiechnął się do niej, choć Kate podejrzewała, że jest rozczarowany. Całą sobotę i niedzielę przesiedziała nad kartkami pełnymi cyfr, a podczas tych kilku przerw, kiedy siedzieli lub leżeli obok siebie, jej spięte drobne ciało na pewno nie dało mu zbyt wiele zadowolenia. Od czterech lat każdego tygodnia spodziewała się, że właśnie z tego powodu odejdzie. A jednak Bertie zawsze do niej wracał ze swym wygłodniałym penisem i wielkim, czarnym karawanem. Być może lubił to robić z zimnymi, niechętnymi kobietami.

Znów cały dzień gry w numerki, pomyślała pokazując przepustkę strażnikowi przy wejściu do budynku departamentu.

Nie spędziła przy biurku nawet czterdziestu minut, gdy zadzwonił Gordon Aylen, i głosem energicznym acz szorstkim wezwał ją do swego gabinetu ze wszystkimi danymi na temat reaktorów powielających.

— Ale nie są gotowe — odpowiedziała.

— Nie szkodzi, obejrzymy to, co jest — powiedział i odłożył słuchawkę.

Tydzień zaczyna się wspaniale, pomyślała Kate, lecz gdy weszła do gabinetu Gordona, wyczuła jego nastrój i nie powiedziała nic, nawet nie spytała o wizytę Ridgewaya. Na stole konferencyjnym rozłożyła swe Prognozy i harmonogramy. Gordon rozmawiał przez telefon.

— ...streszczenie na jutro rano — mówił do słuchawki — a na weekend muszę mieć całość.

Skąd ten gwałt, zdziwiła się Kate. „Obawiam się, że te wszystkie dane są trochę nonsensowne”, chciała powiedzieć z wystudiowanym uśmiechem, lecz gdy tylko Gordon odłożył słuchawkę, zmieniła zamiar i zaczęła referować.

On sam zadecyduje, ile są warte. W końcu poświęciła całą sobotę i niedzielę, by mu je dostarczyć.

Jakbym grał w „Monopoly”, myślał Gordon słuchając jej. Siedemset milionów, osiemset milionów, dziewięćset milionów, miliard funtów. Pomyśl sobie jakąś liczbę i podnieś ją do kwadratu.

Sprzedajesz Park Lane. Kupujesz Liverpool Street. Budujesz komercyjno-demonstracyjny reaktor prędko powielający. Czas

budowy dziesięć do dwunastu lat, przy kosztach rosnących, ostrożnie biorąc, o jeden procent miesięcznie. Pomyśl jakąś liczbę i podnieś ją do kwadratu trzy lub cztery razy. Budujesz KDRPP.

— Czy nadal wierzymy szacunkom? — spytał, gdy Kate skończyła.

— Szacunki to szacunki — ciągle myślała o swym zmarnowanym weekendzie.

— Dungeness to Dungeness, to Dungeness — odrzekł Gordon.
— Nie mówimy o Concorde.

— Nie mogę iść do Gabinetu ani do ministerstwa skarbu bez liczb.

Gordon skinął głową.

— Racja. A ja nie mogę bez nich rozmawiać z Ridgewayem. Ale te dane są chyba dalej bez sensu?

— Nie, pod warunkiem, że każdy zestaw traktować z osobna — powiedziała Kate. — Pierwszy, to prawdziwy szacunek kosztów, drugi — to zabezpieczenie na wypadek nieprzewidzianych komplikacji. Może uda się nawet, uzyskać kredyty bankowe do wysokości prawdziwego szacunku kosztów, a wtedy skarb państwa będzie musiał podżyrować tylko koszty dodatkowe.

— Na rynku kapitałowym — odrzekł Gordon — nic nie zdziałamy bez rządowych gwarancji dla całości projektu, więc tak czy owak musimy przyjąć zobowiązanie warunkowe.

— Tymczasem Francuzi wkrótce skończą Super Phenixa, a Włosi — Segre.

— A jak było z reaktorem Dungeness B? Czegośmy nie robili, żeby się udało! A i tak będziemy opóźnieni ponad dziesięć lat i przekroczymy kosztorys o blisko czterysta milionów funtów.

Kate spojrzała na niego.

— Nie rozumiem, o co panu chodzi.

— O realizm — odparł Gordon. — Absolutny realizm. Zbudowanie reaktora prędkiego zajmie co najmniej dziesięć lat, i kiedy tylko będzie do czego się przyczepić, lobby przeciwiatomowe zrobi wszystko, żeby nas zastopować na amen, bez względu na to, ile już poszło pieniędzy. I za każdym razem musimy być w stanie ogłosić, że posuwamy się zgodnie z planem i mieścimy się w kosztach.

— O Boże — westchnęła Kate. — To znaczy, że mamy toczyć tę bitwę przez następnych dziesięć lat?

— Przez sto lat — odrzekł Gordon. — Będą przeciwko każdemu reaktorowi prędkiemu, jaki zechcemy zbudować.

Kate wstała i poczęła zbierać swe papiery. Gordon usiadł przy biurku.

— Gdyby KDRPP był samolotem, skarb państwa i komisja Izby Gmin dawno by go przygwoździły — stwierdził.

— Nam tego nie zrobią, zwłaszcza teraz, po przygotowaniu raportu.

— Przecież nie mamy jeszcze wyników.

— Więc po co ten pośpiech?

— Może politykom się śpieszy.

— Chodzi o Amerykanów?

— Niewykluczone. Boją się przeciwnika.

— Przeciwnika? — roześmiała się Kate. — Obrońców środowiska?

— Nie wolno ich nie doceniać — zauważył Gordon. Z tego co wiemy, mają po swojej stronie nie tylko Przyrodę, ale i Boga.

Boga? Kate kręciła głową idąc korytarzem do swego pokoju ze wzrokiem wbitym w połatane linoleum. Gordonowi odbija, myślała. Ten Ridgeway musiał go przez weekend zdrowo wymęczyć. Przy windach minęła Charlesa Hoyte'a. Przynajmniej on jest po naszej stronie. Uśmiechnęła się doń zachęcająco. Nie miała wątpliwości, że jest następny w kolejce do Gordona.

Ale Charles Hoyte musiał poczekać w sekretariacie, co czyniąc gawędził z Janice. Osobisty sekretarz sekretarza stanu do spraw energetyki dzwonił właśnie do Gordon z dworca King's Cross z pytaniem od Martina, który w swej teczce znalazł notatkę o piątkowym filmie w telewizji.

— Dziś po południu jestem umówiony z ich dyrektorem programowym — wyjaśnił mu Gordon.

— Sekretarz stanu również pyta, co pan robi w prze rwie obiadowej — ciągnął sekretarz osobisty. — Proponuje piwo i kanapki, jeśli panu to odpowiada. Z panną Davies, jeśli możliwe. — Sekretarz osobisty wyłączył się, a Gordon nacisnął guziczek i polecił Janice, by umówi Kate i zorganizowała kanapki.

Charles Hoyte wszedł cicho przez otwarte drzwi. Hoy te, młody urzędnik, został niedawno przeniesiony z kierowanego przez Gordona działu energii jądrowej do działu ekonomiki i statystyk i teraz był, nieoficjalnie prywatnym agentem działu Gordona w krainie komputerów.

— Jeśli ma pan złe wieści, otworzę okno i wyrzucę pana — powiedział Gordon.

Hoyte zaśmiał się.

— W statystykach jest tylko jeden jasny punkt. Chodzi o przewidywaną cenę ropy i węgla w 1995 roku. — Wyciągnął z kieszeni jakieś skrawki papieru. — Według comiesięcznych danych Zarządu Energii Elektrycznej, zużyci energii we wrześniu jest o 3,5 procenta niższe niż rok temu. Wygląda na to, że w pierwszej połowie października spadek wyniesie 4 procent.

— Ten rok jest cieplejszy.

Hoyte zerknął na inny karteluszek:

— Instytut Meteorologii podaje, że średnia temperatura jest o pół stopnia niższa niż w roku ubiegłym. Połączmy to z czteroprocentowym spadkiem, dodajmy prognozy dotyczące dochodu narodowego i zmian w systemie ogrzewania mieszkań, krzywe demograficzne oraz działania na rzecz oszczędności energii, i wychodzi, że maksymalne zapotrzebowanie na energię elektryczną za pięć lat osiągnie 49 500 megawatów, w 1990 roku — 61000 megawatów, w 2010 roku — 69 000 megawatów.

— Sześćdziesiąt dziewięć tysięcy?

— Biorąc pod uwagę turbozespoły, które w tym roku będą wycofane z eksploatacji, maksymalna moc naszych elektrowni wynosi 64 250 megawatów. Odejmujemy od tego przestarzałe elektrownie przewidziane do zamknięcia, dodajemy nową, konwencjonalną elektrownię Drax B oraz reaktory gazowe i wodne, i wychodzi nam, że w 1990 roku maksymalna teoretyczna moc wyniesie 80 000 megawatów. Daje to bezpieczną nadwyżkę 24 procent. A teraz dodajmy jeszcze reaktory prędkie, które chcemy zbudować do roku 2010, a także nową generację siłowni cieplnych, i mamy 109000 megawatów. Co daje aż nadto bezpieczny zapas 37 procent.

— Jeśli nie czterdziestu — skomentował ponuro Gordon. — Cała statystyka to bzdury, a prognozy komputerowe to bzdury do kwadratu. Na jakiej podstawie twierdzą, że przez dwadzieścia lat zapotrzebowanie wzrośnie tylko o 8 000 megawatów?

— Komputer tłumaczy to spadkiem ogólnego zapotrzebowania na energię, związanym głównie ze spadkiem Produkcji w hutnictwie i kompletnym zastojem w garncarstwie i przemyśle ceramicznym.

— Ceramicznym! — roześmiał się Gordon.

— Krzywa demograficzna opada, a gospodarstwa domowe sięgają do innych źródeł energii. Obawiam się, że gaz stoi bardzo mocno, choć komputer nie chciał albo ni umiał wyjaśnić, dlaczego.

— Ergo?

— Ergo, w roku 2010 reaktory prędkie nie będą nam potrzebne.

— A jeśli komputer się rąbnął o te trzydzieści par procent?

— To wtedy, bez tych reaktorów, czekają nas wyłączenia prądu w czasie mrozów, nawet w niedzielę w południe, i to w całym kraju.

— Kto wam dostarcza prognoz wzrostu dochodu narodowego?

— Cambridge, OECD i Economist.

— Zawodowi pesymiści. — Gordon wziął świstek papieru i przepisał dane. — Kto ma dostęp do tej niebezpiecznej literatury?

— Nowa komisja Izby Gmin. Wszystko jest robione pod nich. Dostają to co dwa miesiące.

— Kiedy jest najbliższe posiedzenie komisji?

— Tydzień po mowie królowej.

— Jak to jest rozpowszechniane?

— Z maszynopisu robi się odbitki na ksero i rozsyła członkom komisji.

— Nie dałoby się ten jeden raz jakoś tego opóźnić? Hoyte zaśmiał się nieśmiało.

— Głowy by poleciały.

— Czyje?

— Choćby moja.

— Nie chce się pan poświęcić dla sprawy reaktor prędkiego?

Hoyte zaśmiał się jeszcze bardziej niepewnie i nie powiedział nic.

— A dla miejsca w historii? — spytał Gordon z poważną miną.

4

Błąd numer jeden, myślał Henshaw niosąc do stolika trzy piwa. Nie powinien był umawiać się z oboma naraz; wyglądali bardziej na rywali niż współników. Miejscem ich spotkania był duży ponury pub nie opodal dworca Victoria, w którym już same rozmiary szynkwasu i hałas szafy grającej pozwalały zachować prywatność rozmowy i nadały temu rendez-vous surrealistyczną aurę, dla Amerykanina pogłębioną jeszcze zmianą czasu.

— Cóż więc cię sprowadza na naszą stronę sadzawki?

— Gnam za reaktorem prędkim.

— Którym?

— Tym, co może uciekł.

— Clinch River? Myślałem, że to już upadło.

— Tam nic nigdy nie upada. Co najwyżej chowa się pod ziemię, a gdy przyjdzie pora, wyłazi z powrotem pod inną nazwą.

— A jak się teraz nazywa?

Cholera, pomyślał Henshaw. Najwyraźniej nic nie wiedzą o wizycie Ridgewaya, a jeśli on jest moim jedynym atutem, muszę się go trzymać.

— To właśnie próbuję ustalić — odpowiedział. Chwila ciszy.

— Skąd jesteś?

— Z Brooklynu. Chwila ciszy.

— Pracujesz w prasie?

— Poniekąd.

— Ochrona środowiska?

— Poniekąd.

Znów cisza. Trudno powiedzieć, by ta wymiana listów uwierzytelniających ułatwiła rozmowę. Często trudno jest ocenić wiedzę i motywy, a tu, po brytyjskiej stronie Atlantyku, wygląda na to, że jedno i drugie jest zazdrośnie strzeżone. Henshaw spodziewał się, że w takim towarzystwie zespolenie środków i umiejętności przyjdzie łatwiej.

Z tej dwójki, to Donachie sprawiał wrażenie rzetelniejszego. Stale ukryty za okularami w metalowej oprawce, zawodowy działacz Przyjaciół Ziemi, dobrze po trzydziestce, tak mocno przywiązany do własnego katalogu zasad, że pewnie kieruje się nim nawet, gdy próbuje ustalić, i która godzina lub jaki dziś dzień tygodnia. Salter, na oko pięć lat młodszy, niski i nerwowy, bardziej odpowiadał stereotypowi dziennikarza żyjącego z rozgrzebywania podejrzanych spraw; jego niespokojne oczy krążyły nieustannie jak łyżwiarze po cienkim lodzie gdzieś nad mroczną próżnią. Donachie najwyraźniej nie znosił jego tupetu, i trudno było zrozumieć, jak tych dwóch mogło pracować razem nad czymś, co agencja Henshawa z podziwem nazwała „włoską sprawą

Londynu". Henshaw wiedział, że wprowadzie tamtą sprawę wyświetliła w końcu jedna z czołowych gazet i pewna ekipa telewizyjna, ale większość roboty wykonała ta niedobrana para: jeden miał przyjaciółkę w Czerwonych Brygadach, a obaj, już bez jej pomocy, zdołali sprzątnąć sprzed nosa zarówno terrorystów jak i włoskiej policji, konspekty bieżących i przyszłych wydarzeń. Patrząc teraz na nich, Henshaw domyślał się, że to Salter zadziałał jako człowiek czynu, po czym | sprzedał swoje odkrycia gazecie i telewizji. To właśnie mogło leżeć u źródła urazy. Donachie z kolei wyglądał na takiego, który ma „powiązania” —jakieś pokrętne sprawy z jakimś nieudacznym politykiem z włoskich klas średnich. Donachie, który sam wyglądał jak nieudacznik z klas średnich, też był fanatykiem, choć innego rodzaju; bomby, kule i porwania stosowane przez włoską partyzantkę miejską napawały go chyba głębokim obrzydzeniem.

— Konkretnie, co możemy dla ciebie zrobić? Teraz pytał Donachie, a Salter zaśmiał się w głos.

— Człowieku, tu się handluje. Pora wyjąć fajfusa z rozporka i zobaczyć, co wart.

Henshaw zauważył, że Donachie aż się skrzył na tę sprośność.

— Ja nie kupczę informacjami — oświadczył.

— Z Anną nie miałeś oporów — powiedział Salter.

Zapadło długie milczenie. Donachie aż poblądł z gniewu, lecz najwidoczniej nie miał zamiaru podejmować tematu w obecności Amerykanina.

— Kto to jest Anna? — Henshaw spytał po chwili. Odpowiedział mu Salter:

— To bardzo zdolna młoda studentka fizyki z Turynu. A także włoska działaczka Przyjaciół Ziemi. — Wskazał głową na Donachiego. — Łączyły ich kontakty listowne, czy jakieś inne duchowe. A potem studenci zastrajkowali i wydział został zamknięty. Wtedy Anna zostawiła swoje lalki i stała się pełnoetatową terrorystką. Ta waliza z planami sabotażu to głównie jej robota. Donny miał jej to za złe, no i ją sypnął. Zaczęła się ukrywać, a nam, nawiasem mówiąc, udało się zwędzić jeden z jej niebezpiecznych pomysłów.

Donachie wstał z pobladłą twarzą i uprzejmię, acz chłodno, skinął głową w stronę Henshawa. Odchodził po brudnym dywanie, przy dźwiękach muzyki, nie zaszczycając Saltera ni słowem, ni spojrzeniem.

Salter przelał resztkę piwa Donachiego do swego kufla i puścił oko do Henshawa.

— Przepraszam i tak dalej, companiero, ale przy nim nie załatwilibyśmy żadnego interesu. Donny stara się żyć bardzo uczciwie. Wiesz, jacy oni są, ci Przyjaciele Ziemi: Przerażeni, że ktoś ich weźmie za świrusów albo że kogoś urażą, jak będą za mocno walczyć o swoje — roześmiał się. — A teraz mi powiedz, że i ty do nich należysz.

Henshaw pokręcił głową.

— Robię w tej samej branży, co ty. Obracam specjalistycznymi informacjami na użytek publiczny.

— A co ja będę z tego miał?

— To samo co ja. Salter popatrzył na niego uważnie.

— Do czego jestem ci potrzebny?

— Znasz teren.

— Nie za bardzo, companero. Ja tylko wężę. Szpicluję. Chodzę z uchem przy ziemi. W to bagno wdepnąłem przypadkiem. — Ruchem głowy wskazał na grającą szafę.

— To jest moja działka. Kronika muzyki punk i pop. Stąd znam tego mojego Donny. Dla niego to jest uboczna sprawa, taki intelektualny rock-and-roll dla prowincjonalnej prasy. Spiłem go kiedyś po koncercie i chlust, całe to jego intymne życie polityczne bluznęło na podłogę.

Z nim będziesz musiał mieć się na baczności, pomyślał. Henshaw. Trzymać gębę na kłódkę.

Salter wyszczerzył zęby w uśmiechu. Czytał w myślach Amerykanina.

— Od czego mam zacząć?

Pół godziny później Henshaw wysiadł z taksówki pod kawiarnią w Soho, gdzie Salter przedstawił go producentowi telewizyjnemu.

— Całą noc montowaliśmy — powiedział producent jakby chcąc usprawiedliwić potężne ziewnięcie w chwili gdy podali

sobie dłonie. — Domyślam się, że interesuje pana nasz ostatni majstersztyk.

— Pośrednio — odrzekł Henshaw. — Próbuję wzniecić ogień i ujawnić sekrety.

— Nacisk przez prasę — zaśmiał się producent i ugryzł kawałek ciastka. Krem rozmazał mu się na brodzie.

— Pewnie tajemnice państwowe.

— Chodzi o datę — Henshaw potrząsnął cukiernicą.

— W ciągu najbliższych siedmiu dni będą się dziać ważne rzeczy, tylko nikt nie wie jakie.

— Nie mam żadnego wpływu na to, co idzie na antenę. Może dadzą nasz program, może jakąś dyskusję na temat stosunków pracodawca-pracownik. Nasze opowiadanko nie jest właściwie gotowe. Trzeba je wygładzić.

Henshaw obserwował zawodową obojętność producenta. Przyszła pora, by wyjawić przynajmniej w połowie amerykańską stronę tej historii. Bardzo mu zależało na tym, by dziś wieczorem pokazano ten film w telewizji, by pisała o nim cała prasa, by w żyłach tych gnuśnych Brytyjczyków popłynęła wreszcie adrenalina.

Dave Ridgeway pomyślał, że chyba się znalazł na bezludnym końcu świata. Od morza gnał huragan z deszczem, a sam brzeg, jak okiem sięgnąć, stanowił jedno wielkie kłębowisko spienionych fal. Niech no powieje trzydzieści kilometrów na godzinę szybciej, a morze jak nic przewali się nad budynkami reaktora, które usytuowano nisko na skałach o rzut kamieniem od brzegu.

— Między nami a Biegunem Północnym nie ma nic - zaśmiał się Wielki George, gdy samolot zatoczył łuk w kierunku pasa startowego. Była to jedyna, jak się później okazało, niewyraźna aluzja do lokalizacji ośrodka bądź pogody, jaką Dave miał usłyszeć w ciągu całego dnia. Tam za siatką panowała totalna nieświadomość wszystkiego, co nie łączyło się z tym bezładnym kompleksem budynków i bezgłośnych urządzeń. Ta samotna, wysunięta na północ placówka badań jądrowych zdecydowanie stanowiła świat sam w sobie.

Zamknięty świat, w którym na dodatek panuje susza. Gdy wysiadali z samolotu pośród wyjącego wichru, Wielki George ostrzegł go, że w krwawej Mary nie znajdzie wódki, a do obiadu podadzą sok pomarańczowy. Bez alkoholu Dave będzie jeszcze bardziej niecierpliwy i drażliwy.

Wiedział jednak, że gdy tylko znajdzie się w budynku reaktora, zapomni o całym świecie i o swoich humorach, tymczasem jednak myślał jedynie o tym, ile czasu traci składając tę „kurtuazyjną” wizytę. Niechętnie rozstawał się z Gordonem Aylenem, wegetującym dalej w swej biurokratycznej fortecy.

Powinien deptać mu po piętach i dźgać widłami w tyłek. Nawet Pat wyraziła zdziwienie, gdy poprzedniego wieczoru rozmawiał z nią za pośrednictwem satelity.

— Powinieneś być zostać w Londynie — powiedziała. — Nie wolno ci dać mu odetchnąć.

— Nie myślałem, że jesteś po mojej stronie krzyknął do słuchawki.

— Wcale nie jestem. Ale nie lubię, jak mój stary zostaje wykołowany.

A teraz, akurat gdy na ich spotkanie wyszedł z surowa miną dyrektor ośrodka, Dave został wezwany do telefonu; głos płynący z Paryża usilnie zapraszał go w dźwięcznej francuszczyźnie do Włoch, chyba tylko po to, by jeszcze bardziej zdeorganizować program jego wizyty okazało się, że Francuzi i Włosi budujący reaktor Segre dotrzymali terminu i w nadchodzący czwartek zamierzają włączyć do włoskiej sieci energetycznej swój pierwszy skromny wkład w postaci kilkuset megawatów mocy. Bez względu na to, czy zbieżność w czasie była przypadkowa czy nie, należało tę okazję uczcić. Ale gdyby Dave przyjął zaproszenie, z tygodniowego programu wypadłyby mu jeszcze dwa cenne dni. A jednak...

Patrzył przez okno gabinetu, w którym odebrał telefon. Krótki na północy dzień przechodził już w zmierzch, a głos z Francji wróżył gościnne przyjęcie.

Dave uśmiechnął się w stronę deszczu siekającego za podwójną szybą. W razie politycznych nacisków ze strony Departamentu Stanu lub ambasady, delikatny ukłon w stronę Francuzów mógłby stanowić jakiś bodziec dla ponurych mieszkańców tego archipelagu. W żadnym razie nie może jeszcze pozwolić sobie na to, by zrażać Paryż.

Wyszedł z gabinetu uśmiechając się, a kapłani z Dounreay już czekali na niego, by przyoblec go w biel na wstępny etap zwiedzania.

Na szosie nie opodal ośrodka ktoś napisał farbą w aerozolu: „Doom Ray”.*

6

Martin przypomniał sobie lekcje łaciny z dyrektorem szkoły, który co piątek odpytywał kilku uczniów: prędzej czy później przyjdzie kolej na niego. Oświata, rolnictwo i rybołówstwo, zdrowie i opieka społeczna, komunikacja. Energetyka miała być szóstym punktem debaty nad ostatecznym projektem mowy królowej, a oni na dobre ugrzęźli w sprawach obrony. Za dziesięć minut koniec, do jutra mam spokój, pomyślał Martin. Garnizon w Hongkongu, armia brytyjska nad Renem, nowy helikopter — Martin przegrał już swoją batalię o kolejny statek patrolowy do ochrony wież wiertniczych na Morzu Północnym, i teraz puszczał

dalsze wywody mimo uszu bazgrząc coś w notatniku. Może zaproponować obowiązkowy pobór dla kobiet i mężczyzn — pisał - dając do wyboru wojsko, pracę społeczną, pielęgniarstwo i ochotniczą służbę zamorską; w ten sposób rozwiązujemy problem bezrobocia wśród młodzieży, przestępczości, spadku dobrowolnego zaciągu do wojska, braku pielęgniarek i naszej pożałowania godnej obojętności na stan zdrowotności i rolnictwa w trzecim świecie; dla sfinansowania całego przedsięwzięcia wystarczy podnieść cenę benzyny o 25 pensów. No, no, coś takiego dopiero by ożywiło wystąpienie królowej na inauguracyjnej sesji Parlamentu. Tłumy wywróciłyby jej karoc w drodze powrotnej do Pałacu. Stłumił śmiech i w tym momencie zeszywniał na krześle czując, jak mięśnie w krzyżu znów się napinają, a ta cholerna mała chrząstka próbuje dopaść nerwu w kręgosłupie. Ależ to gabinet geriatryków, pomyślał spoglądając ponad stołem na Jacka Stapletona z obrony: był blady, chyba zlany zimnym potem. Jego propozycje były tak niedorzeczne, że kanclerz zaproponował właśnie, by w mowie królowej zupełnie pominąć sprawy obronności.

[* Doom Ray promień zagłady; podwójna gra słów: Dounreay — Doomsday (Dzień Sądu Ostatecznego) (przyp. tłum.)]

— Jack, jutro się nad tym zastanowimy rzekła pan premier, której wcale nie było do śmiechu. — Przejdźmy do komunikacji.

W tym momencie Martin dostrzegł, jak Ralph Ordish skierował wzrok na panią premier i wtrącił:

— Boję się, że to oznacza tunel pod La Manche, pani premier. Komunikację też proponuję odłożyć do jutra i zająć się energetyką.

Ordish, ty gadzie! Co knujesz? Widząc, że pani premier skinęła głową, sekretarz spraw zagranicznych kontynuował:

— Myślę, że w tej kwestii Parlament będzie oczekiwał definitywnego określenia planów dotyczących reaktora prędkiego.

— Rząd postąpi zgodnie z zaleceniami raportu o(zwał się Martin. — To wszystko, co mam do powiedzenia.

— A jeśli raport będzie nieprzychylny?

— To nie zbudujemy reaktora. Przynajmniej dopóty dopóki nie rozwiążemy wszystkich problemów.

— Poczekajmy jeszcze trochę z rozpoczęciem tej budowy, a stracimy wszystkich fizyków i inżynierów atomistów, jakich mamy — dobiegł głos z drugiego końca stołu.

Boże, pomyślał Martin, to sekretarz od przemysłu. Ordish zorganizował sobie małą drużynę w rogu boiska.

— Z międzynarodowego punktu widzenia - Ordish rzeki powoli — ważne jest, jak sędzę, by ponownie oświadczyć, że jesteśmy zdecydowani budować demonstracyjny reaktor prędkiego. Amerykanie dali się zapędzić w kozi róg i zapewniam panów, że bez względu na politykę Białego Domu w sprawie energetyki krajowej i przepływu technologii w tej dziedzinie, niezmiernie zależy im na tym, żeby przynajmniej Wielka Brytania nie zamykała sobie drogi do reaktora prędkiego.

Czy mam przez to rozumieć, panie sekretarzu, że zwrócili się do pana z jakąś propozycją? — Martin patrzył na Ordisha, ten jednak przezornie wetknął nos w plik notatek.

— Nie śmiałybym wkraczać na pański teren — odrzekł Ordish. — Chcę tylko powiedzieć, że dowiedziałem się, iż Departamentowi Stanu i prezydentowi bardzo zależy na tym, byśmy nie zamykali żadnej furtki przed energetyką jądrową.

Pani premier spojrzała na Martina:

— O ile wiem, gości u nas waszyngtoński specjalista od energetyki na szczeblu departamentu?

Martin skinął głową.

— O ile mi wiadomo, jego wizyta ma charakter czysto rekonesansowy, choć pewne oznaki wskazują, że Biały Dom i Whitehall zmówiły się, by wciągnąć flagę na maszt jeszcze przed opublikowaniem raportu.

Niebieski ołówek pani premier potoczył się na środek stołu.

— Cieszę się, że nie posądzają pan Downing Street o zмовę. - Spoglądając na zegar dodała: — Mamy Jeszcze dwie minuty i musimy skończyć punktualnie.

Martin podtrzymał swe stanowisko.

— Rząd Jej Królewskiej Mości postąpi zgodnie z zaleceniami raportu. To tyle na temat reaktora prędkiego. Wzmianka na temat reaktorów gazowych i ropy z Morza Północnego znajduje się w pierwotnym projekcie przemówienia, które wszyscy otrzymali. O węgla i gzie nie musimy wspominać. Pani premier wstała.

— Jeśli ktoś ma jakieś zastrzeżenia, zajmiemy się nimi jutro.

Martin z trudem podniósł z krzesła swe obolałe ciało. Ordish zagrał swą kartę zbyt gwałtownie i zbyt późno, by rozpętać dyskusję. Nawet Księżę Carlton Gardens robi błędy, pomyślał Martin. Teraz moja kolej, żeby go przygwoździć. Ale sekretarz spraw zagranicznych był już daleko, sunąc po parkiecie niczym mistrz tańca. Ralph Ordish, przyjaciel ludzi bogatych i wpływowych, mężczyzn, kobiet i narodów, towarzyszył teraz pani premier i delegacji dworu na Heathrow, żeby powitać prezydenta Francji.

— Ten piskorz robi jakieś interesy z Waszyngtonem. Gdy Gordon wszedł, Martin Reid usiłował podnieść się fotela, lecz złapał się za krzyż i wyciągnął się jak długi na podłodze.

— Oto skutki wstawania o piątej rano w taką zgniłą pogodę.

— Oto skutki zbyt częstego grania w rugby w zbyt późnym wieku, panie sekretarzu stanu zasugerował Gordon.

— Darujmy sobie tego sekretarza stanu. To nie jest oficjalny lunch. Zresztą, wolałbym być ministrem. Martin ułożył się wygodniej na podłodze. — Ilu ministrów się zmieniło, odkąd pan tu jest?

— Pan jest dopiero czwarty. Mamy niski wskaźnik wypadkowości.

— Jak dotąd. — Martin wyciągnął rękę po piwo. — Wrzucili mnie tu, żebym albo utonął, albo wypłynął. Zwłaszcza po to, bym utonął. Niech to będzie opowiadka ku przestrodze przesadnie

ambitnych szeregowych członków Parlamentu. Za dziesięć lat będą mówić: „Pomnij, co się przytrafiło młodemu Martinowi Reidowi”.

Gordon otworzył puszkę i podał ją sekretarzowi stanu.

Jeśli przeżył pan górników i ropę z Morza Północnego, przeżyje pan i energię jądrową — rzekł.

— Ale tego cholernego reaktora nie. On jest jak UFO. To pojawia się, to znika.

— Kot z krainy czarów.

Tyle że się nie uśmiecha. - Martin powiódł wzrokiem za Gordonem, który przysiadł nad nim na rogu biurka. — Czytałem streszczenie Kate — powiedział. — I złapałem się na tym, iż mam cichą nadzieję, że inspektor powie „nie”. Że odkładamy całą sprawę o dwadzieścia lat i próbujemy radzić sobie inaczej. Gordon pokręcił głową.

Trudno by to nawet nazywać pobożnym życzeniem, panie sekretarzu.

— A czyż formułowanie pobożnych życzeń nie należy do moich obowiązków? A niech to, zaczynam się czuć bardzo niepewnie. Tutaj wszyscy są takimi profesjonalistami. Potrzebny mi jest jeden anarchista i jeden niesubordynowany umysł, ktoś, kto potrafiłby zaśmiać się w twarz mojemu sekretarzowi z fają. Już pięć miesięcy jestem jego młodym zwierzchnikiem, a dalej tańczymy wokół siebie niczym prawiczek z dziewicą na plaży.

— Martin podniósł się na łokciu, po czym z jękiem opadł znowu na plecy. — Pan wie, co to znaczy? Całą zimę w przeklętym gorsecie. Nie będą nawet musieli kombinować, jak się mnie pozbyć. Po prostu zdejmą mnie z powodu kontuzji i wpuszczą rezerwowego. Chyba że podbiję Ordishowi oko. Wtedy wyrzucą mnie z boiska karnie — spojrzał w górę na Gordona. — O co mu chodzi?

— Jesteśmy zaledwie jednym pionkiem na jego dyplomatycznej szachownicy, a w dodatku łatwiej nami manipulować niż polityką w stosunku do RPA czy Bliskiego Wschodu. Jeśli chodzi o reaktory prędkie, liczymy się tylko my i Francuzi. W odwrotnej kolejności.

— Niemcy nie?

— Dziesięć lat za nami. Japończycy są do tyłu o całe lata świetlne.

— Ale Francuzi?

— Są osiem lat przed nami, pod warunkiem, że ruszymy teraz. Jeśli nie, znikną nam z oczu.

— A więc to walka?

— Zupełnie nieoficjalna.

— O przyszłe rynki?

— I o prestiż.

— Pan wierzy w tego potwora, nie? Gordon wzruszył ramionami.

— Nauczyliśmy się żyć z bombami plutonowymi. Kiepska by była ta nasza cywilizacja, gdybyśmy nie potrafili nauczyć się żyć z miłującymi pokój reaktorami plutonowymi.

— Nie miłującymi pokój. Wymagającymi pokoju.

— Na tym polegała siła bomb. I tak jest do dziś. Rosjanie będą mieli tyle samo reaktorów powielających co my. Mają umowę o wspólnych pracach badawczo-rozwojowych z Francją.

— Ale nie widać u nich tego gorączkowego pośpiechu.

— Nim sięgną po pluton, mają jeszcze zasoby całej Syberii. Tymczasem: ropa i węgiel. I mniej zachłanna gospodarka.

Martin zaśmiał się, uniósł się na łokciu, zeszywniał jęknął i opadł.

— Toż to herezja w ustach urzędnika państwowego. Zanadto otwarcie zdradza pan swoje afiliacje polityczne.

— Ja? Nie głosuję od dziewięciu lat. A od kiedy to socjaliści wygrywają wybory w Tunbridge Wells?

— W Tonbridge i Mailing.

— Ach tak. Królestwo Ordisha. Sady owocowe trzysta kilometrów na południe od jego okręgu wyborczego.

— Chyba nie tylko sady. Hoduje też krowy.

Ale mówią, że jego cicha miłość to prosięta nadziewane jabłkami. Żona je zarzyna, a on przyrzadza. — Martin powstrzymał grymas bólu prostując kręgosłup i roześmiał się. — Nie lubimy go, prawda? A wie pan, że ni z tego, ni z owego

otrzymałem od niego dwa zaproszenia na ten tydzień, w tym jedno dla całej rodziny na weekend u niego na wsi?

— Będzie prosię z jabłkami.

Martin znowu uniósł plecy, żeby zapanować nad śmiechem, i wtedy właśnie Kate otworzyła drzwi. Z tacą kanapek i plikiem teczek pod pachą, stanęła jak wryta na widok sekretarza stanu wijącego się na podłodze.

— Prosimy, panno Davies. — Martin wykonał zapraszający ruch dłonią. Proszę poczęstować się piwem i powiedzieć, kto przeciwko nam spiskuje.

— Spiskuje? — Kate zamknęła drzwi.

— Chodzi o ten nagły pośpiech. Słyszałem, że cały weekend pani pracowała.

— Stały podsekretarz stanu uznał, że musimy mieć wiarygodne dane, panie sekretarzu stanu.

— Ale nie powiedział, po co?

— Wyglądało na to, że chce powiedzieć: „Zapomnijcie o debacie i szykujcie się do drogi”.

— Dlatego, że raport inspektora będzie pozytywny, czy dlatego, że tak czy owak nie mamy zamiaru się nim Przejmować? -

Kate zmarszczyła brwi.

— Na to nie moglibyśmy sobie pozwolić, panie sekretarzu stanu. — Położyła teczki i kanapki na biurku, a Martin przewrócił się na bok i wgramolił na fotel.

— Dysk — wyjaśnił. — Medycyna jest bezsilna.

— Deficyt energii w roku 2010 — rzekła Kate wymachując jedną z teczek. — Będziemy bezsilni, jeśli nie | przystąpimy do intensywnego rozwoju energetyki opar- 1 tej na reaktorach prędkich.

Gordon przypomniał sobie komputerowe prognozy dostarczone mu rano przez Hoyte'a, lecz nie powiedział nic. Po co jeszcze bardziej mącić sekretarzowi w głowie. I Kate podała im talerzyki i kanapki.

— Gdybyśmy mieli zdecydować się na spółkę czy współpracę z Amerykanami — rzekł Martin — jak zareagowaliby Francuzi?

Gordon wzruszył ramionami.

— Nazwaliby to spiskiem Anglosasów. Wielka Brytania znów odwraca się plecami do Wspólnego Rynku.

Martin roześmiał się.

— Należy im się to za tę czystą bezczelność. Nadal] wyznają etykę swojego korsykańskiego bandyty.

— Nie rozumiem.

— Ten pański Dave Ridgeway jedzie w tym tygodniu do elektrowni Segre na zaproszenie Paryża.

Gordon aż wstał ze zdumienia.

— Nic mi o tym nie mówił.

— Zaproszono go dopiero dziś rano. Telefonicznie.

— Skąd o tym wiemy? Martin znów się zaśmiał.

— Ściany mają uszy. Służba bezpieczeństwa w Dounreay podsłuchiwała rozmowę. Takie wewnętrzne przepisy, Rozmowy międzynarodowe są wyrywkowo sprawdzane.

Dziwne objawy gościnności, pomyślał Gordon.

— Nie bardzo wypada nam się w to wtrącać. Ma prawo robić, co chce.

Martin zaśmiał się.

— Niech się pan nie przejmuj. On zagrał bardzo fair. Powiedział im, że jest gościem Londynu, i jeśli on ma przyjechać, będzie musiał przyjechać również ktoś z Londynu. Któremuś z was może się trafić parę dni w słońcu południa. Gordon pokręcił głową.

— Ridgeway zdenerwował się, gdyśmy w sobotę rozmawiali o Francuzach.

Martin wzruszył ramionami.

— Tego rodzaju opory łatwo jest pokonać, jeśli zmuszają do tego okoliczności. Amerykanie szukają współnika, żeby uratować swój program rozwoju reaktorów prędkich. Na pewno jedni i drudzy potrafią częściowo zrezygnować z własnych ambicji, gdyby od tego miały zależeć wyniki współpracy.

— A co wtedy będzie z nami? — spytała Kate.

— Zostaniemy na lodzie — odrzekł Gordon. - Chyba że wszyscy zrobimy zrzutkę.

Martin zwrócił się znowu do Gordona:

— A jak my to widzimy?

— Znajdą się zajadli szowiniści, którzy powiedzą: „Cznić Amerykanów, poradzimy sobie sami”.

— Jak to?

— Gdyby Francuzi nie byli Francuzami, byłbym za tym, żeby wszystkie strony połączyły siły i środki, upiekły jeden gigantyczny międzynarodowy tort reaktorowy i podzieliły rynek zgodnie z wielkością wkładu. W ten sposób pluton i dostęp do technologii atomowej byłyby pod nadzorem i kontrolą pojedynczego, ponadnarodowego organu.

— Ale Francuzi na to nie pójda?

— Nie na zasadach choćby odrobinę zbliżonych do równości.

— Trudno mieć o to pretensje wtrącała Kate. — Są daleko w przodzie. I chcą utrzymać tę przewagę.

— Krzyż lotaryński rzekł Martin. - W kółko to samo, lecz zawsze kończy się na tym, że rozgrzebujemy wspomnienia roku 1940. Polubiłem tych biednych drani, gdy jako mały chłopiec spędziłem wakacje w Dordogne.

Wtedy przy drogach pozdrawiano nas palcami ułożonymi w kształcie litery "V", symbolizującej zwycięstwo. Dziś też są znaki „V”, tylko ręka jakby odwrócona.* — Uśmiechnął się szeroko do Kate. — Czas na drugą wojnę stuletnią.

Kate roześmiała się, lecz Gordon wiedział, że jest zaszokowana. Jej miłość do Francji i Francuzów ustępowała jedynie miłości Gordona do Włoch i Włochów; w rzadkich

chwilach wytchnienia podczas pracy, żartowali sobie z tej rywalizacji.

Martin wstał, bardzo uważając na kręgosłup. - Na jakim jesteśmy etapie w planowaniu KDRPP?

Gordon sięgnął po kartkę papieru leżącą na biurku Martina.

— Po lunchu mam wizytę z Inspektoratu Instalacji Jądrowych. Są chyba skłonni dać wstępną akceptację z punktu widzenia bezpieczeństwa, żeby można było zająć się kosztami pogranium.

— Ale nie przed ukazaniem się raportu rzekł Martin.

— Ilj uważa, że sprawdzili już wszystkie dane, jakie wyłoniły się podczas prac nad raportem. Przeprowadzili swoje własne badania w tej sprawie.

— Proszę im powiedzieć, żeby te wyniki lepiej zachowali dla siebie — rzekł Martin z niespodziewaną opryskliwością i irytacją w głosie. — Nie chcę żadnych przedwczesnych sporów na ten temat ani w departamencie, ani poza nim. — Otworzył drzwi i spojrzał na Gordona. — Uważam, że w chwili obecnej kwestia reaktorów prędkich w Zjednoczonym Królestwie sprowadza się do pana, mnie i raportu inspektora. Cała reszta będzie musiała poczekać, aż postanowimy, co jest do postanowienia.

[* „V” z grzbietem dłoni zwróconym do adresata jest gestem nieprzyzwoitym (przyp. tłum.)]

Wychodząc z gabinetu, Kate i Gordon spojrzeli na siebie.

— O co tu w końcu chodzi? — spytała Kate już za drzwiami.

— Nie lubi, żeby się nim zasłaniać.

— A kto się zaślania?

— Sekretarz spraw zagranicznych. Nasz stały podsekretarz. Departament Stanu w Waszyngtonie.

Kate nacisnęła guzik przy windzie.

— Nie należy nie doceniać Martina — zauważył Gordon. — Jeśli dojdzie do wniosku, że nie podobają mu się reaktory prędkie, nie braknie mu inteligencji i wiedzy technicznej, by wytoczyć własne argumenty. Musimy dać mu absolutnie przekonujące sprawozdanie.

— Wobec tego lepiej spalić MPE — zasugerowała Kate unosząc brwi. Weszli do windy.

MPE, KZPRSP i NPA. By nie wspomnieć o NNPA i awariach 9 stopnia. Dwadzieścia minut później, gdy grupa inspektorów Iij zasiadła wokół stołu konferencyjnego w jego gabinecie, Gordon przypomniał sobie nagle scenę z filmu z terrorystami na wiadukcie w sercu Glasgow, i ich raketę Carl Gustav wymierzoną w puszkę Pandory. Podczas publicznej debaty koronny świadek z Zarządu Energii Atomowej zmuszony był przyznać: "Wszelkie teoretyczne wyliczenia stają się bezprzedmiotowe, jeśli choć jeden zdecydowany na wszystko wywrotowiec uzyska dostęp do elektrowni atomowej".

Znowu te prawa Murphy'ego. Jeśli coś może zawieść, Prędeziej czy później zawiedzie na pewno, nie tu to tam.

Lecz inspektorzy uspokoili go i dwie godziny później, oprawiwszy taksówkę, Gordon wchodził do gmachu stacji

telewizyjnej umocniony w przekonaniu, że bez względu na to, jakie problemy techniczne mogłyby wystąpić podczas eksploatacji reaktora prędkiego, z łatwością da się opanować i ograniczyć uszkodzenia i zagrożenie dzięki zwielokrotnionym niczym głowy hydry systemom zabezpieczeń. Ich niezawodność wydawała się niepodważalna.

Nie dotyczyło to jednak funkcjonowania imperium telewizyjnego. Pulchna i zakłopotana sekretarka częstowała Gordona herbatą i uśmiechami. Minęło dwadzieścia, trzydzieści, wreszcie czterdzieści minut, a dyrektora wciąż nie było.

— Specjalnie miał przylecieć z Manchesteru, żeby się z panem spotkać — wyjaśniła. — Nie mam pojęcia, co się mogło stać.

— Samoloty — odrzekł Gordon. — Z nimi są zawsze problemy. Proszę mu powiedzieć, żeby następnym razem zdał się na kolej.

Niemniej jednak był zirytowany, gdy o wpół do szóstej opuszczał gmach telewizji; stracił czas i nic nie wskórał. Mógł co prawda przesiedzieć jeszcze godzinę w tym dusznym pokoju, lecz wiedział, że póki on nie wyjdzie, sekretarka będzie musiała tkwić w biurze, a właśnie dziś wieczór, jak delikatnie dała mu do zrozumienia, musiała przygotować proszoną kolację dla teściów.

Za późno, żeby wracać do biura, skręcił więc na zachód w Beak Street i szedł powoli w kierunku dworca, chłonąc łagodne, balsamiczne aromaty Soho, kebabu i kaczki po chińsku, nadpsutych owoców rozsypanych na targu przy Berwick Street i ryb na Brewer Street. Klienci sex-shopów na Old Compton Street

gapili się na młode urzędniczki spieszące do autobusu lub metra, ale sam kwiat amatorów nocnych uciech ściągnie tu później. O tej porze Camisa była jeszcze otwarta i Gordon wszedł do środka pod rządami wiszącego salami, by kupić kawę i makaron domowej roboty. Przypomniawszy sobie Kate jedzącą ravioli w sosie śmietankowym, tu na górze, u Bianchiego. Jakże wspaniałe stanowiła towarzystwo podczas owego bardzo długiego lunchu i popołudnia, które spędzili krążąc po mieście. Fetowanie końca prac nad raportem w sprawie reaktora prędkiego. Choć tak naprawdę jedyną rzeczą zasługującą na uczczenie była ciężka praca Kate. Bez względu na treść raportu sędziego, zapewne nie dojdzie do żadnych ustaleń. Ostateczna decyzja pozostanie sprawą otwartą i Gordon czuł spoczywający na nim ciężar odpowiedzialności. Doszedł do wniosku, że był dziś nieco za szorstki wobec Kate.

Za trzy szósta na wieży kościoła Św. Marcina. Może jeszcze złapię ten o szóstej, pomyślał skręcając w alejkę obok kościoła i popędził w kierunku strumienia pasażerów wpadającego do tunelu. Na górze, w głównej hali stacji, wejście na peron 5 było już zamknięte i gwizdki oznajmiały odjazd jego pociągu. Ale otworzyło się właśnie wejście na peron 6, skąd odchodził pociąg o 18.05 i Gordon przecisnął się przez bramkę, przebiegł na drugą stronę szerokiego peronu i wskoczył w biegu do ostatniego wagonu swego pociągu, w którego otwartych drzwiach tkwił inny spóźniony pasażer.

— Przeklęte pociągi — rzekł tamten. — Jak nie trzeba, to odchodzą o czasie.

Długi, czerwony zachód słońca nad południowym Londynem, Crystal Palace na tle nieba, wieżowce Vauxhallu sterczące na tle tarczy słonecznej, czerń na purpurze. Gordon pamiętał, jak Londyn wyglądał z tego miejsca kilka lat po wojnie: panorama miasta pełna wyrw i ruin domów. Pamiętał też, ile czasu trwała odbudowa, i że trzeba było piętnastu lat, by słynni z opanowania Anglosasi pożegnali się wreszcie z kartkami i polityką wyrzeczeń. Dlaczego, mimo że wygrali, tak długo zachowywali ostrożność? By nie prosić o pomoc, czy aby zachować niezależność? W dążeniu do urzeczywistnienia idei i ideałów państwa opiekuńczego, Anglicy oparli się uporczywym i nierzadko nerwowym naciskom Amerykanów. Te sześć pierwszych lat po zakończeniu działań wojennych stanowiło doniosły okres i Gordon był rad, że wniósł do niego swój udział, mimo iż wtedy był tylko początkującym urzędnikiem. Dzięki zgodzie narodowej udało się wówczas dokonać czegoś wartościowego, czego nie odważył się przekreślić żaden późniejszy rząd.

Może to właśnie dlatego ufam Martinowi, pomyślał Gordon. Choć czasem źle na tym wychodzi, wierzy bez reszty w taki właśnie model życia, i gotów jest podporządkować mu wszystko, może nawet własną karierę polityczną. A jeśli ja będę wierzył równie gorąco jak on, wtedy wszystkie lata mojej pracy okażą się całkowitą stratą czasu.

Gordon poszukał swego odbicia w oknie wagonu wyższy urzędnik państwowy, były naczelnik w ministerstwie zdrowia, następnie zastępca sekretarza w departamentach spraw socjalnych i przemysłu, a teraz, w wie ku 49 lat, podsekretarz stanu w departamencie energetyki, przedwcześnie posiwały, z niewielką nadwagą w tej właśnie chwili wciśnięty w kąt ławki w wagonie trzeciej klasy kolei podmiejskiej. Nie mógł lub nie chciał zdobyć się na dopłatę do pierwszej klasy, dzięki które, zamiast w otoczeniu agentów ubezpieczeniowych i sekretarek, podróżowałyby w towarzystwie maklerów giełdowych i agentów reklamowych w trzyosobowych, wy godnych przedziałach.

Otworzył MPE i jeszcze raz spojrział na czerwone słońc nisko nad horyzontem w tyle za pociągiem, znikające gdzieś nad Belgravią i Knightsbridge.

„Łapanie smoka za ogon”. 25 kwietnia 1953, kryptonim „Simon”: podczas próbnej eksplozji na równinie Yucca 43-kilotonowa bomba wybucha 100 metrów nad ziemią, chmura radioaktywna wzbija się na wysokość 1000 metrów i zniesiona wiatrem powoduje opad radioaktywnego deszczu nad Troy i Albany. Raport Komisji Energetyki Atomowej na temat tego wydarzenia został utajniony. Zresztą, kto odróżni zwykły deszcz od radioaktywnego?

1 marca 1954, Castle Bravo: pierwsza próba z bombą wodorową na atolu Bikini, zamiast oczekiwanych siedmiu, osiąga moc piętnastu megaton, powodując napromieniowanie 236

mieszkańców wysp Rangelaap, Ranjerik i Uterik oraz 23-osobowej załogi japońskiego statku rybackiego Fukuryu Maru, co znaczy ni mniej ni więcej tylko Szczęśliwy Smok. Marynarze lądują w szpitalu z chorobą popromienną, jeden z nich umiera po sześciu miesiącach męczarni. Japończycy, którzy pierwsi padli ofiarą bomby atomowej, znów są pierwsi, tym razem jako niewinne ofiary nowej broni — broni końca świata.

Pociąg wyjechał z Londynu, właśnie wchodził lekko pochylony w zakręt za St. John's, mijając brzydkie wystające podpory odbudowanego wiaduktu. 4 grudnia 1957, pomyślał Gordon wyglądając przez okno. Był wtedy prawdziwy londyński smog, jeden z ostatnich. Gdzieś tutaj obsługa pociągu odchodzącego z londyńskiego dworca Cannon Street o 16.56 przeoczyła czerwony sygnał. Błąd człowieka, czy jeszcze jedno potwierdzenie prawa Murphy'ego? Buchając dymem i parą, parowóz klasy Pacific rozbija wagon hamulcowy na końcu poprzedzającego go pociągu. To pierwsze uderzenie powoduje wprawdzie śmierć konduktora z pierwszego pociągu, lecz katastrofę można by uznać za relatywnie niewielką. Ot, Najmniejszy Przewidywalny Wypadek. Niestety, lokomotywa wyskakuje z szyn, demolując ceglany filar starego wiaduktu. Trzystutonowa konstrukcja runęła na nabite pasażerami pierwsze dwa wagony drugiego pociągu i zaraz potem trzeci pociąg, jadący górą, zwałił się razem z wiaduktem w to kłębowisko metalu. Największy Nieprzewidywalny Wypadek.

Młody wówczas Gordon siedział niewiele ponad metr od miejsca, w którym wiadukt runął na pociąg. Siedział tam uwięziony przez cztery godziny. Wieczór był ciemny i wilgotny, tuż przed nim stalowe dźwigary mostu zakleszczyły się w pogiętej masie blachy, wokół panowała śmiertelna cisza. Pasażerowie, którzy siedzieli naprzeciwko niego w tym samym przedziale, zniknęli zmasakrowani nie do poznania pod zwałami żelastwa. Gordon został wreszcie uwolniony przez ekipę strażaków, którzy przebili się do niego przez ścianę sąsiedniego przedziału. Na dworze wszystko było nadal pogrążone w tej dziwnej, gęstej mgle, widzialność była zerowa, choć w świetle jupiterów Gordon dojrzał wystarczająco wiele, by uświadomić sobie, że żaden z pasażerów siedzących przed nim nie mógł przeżyć katastrofy. Siedemnastu zabitych, usłyszał od jednego z ratowników; dwustu rannych, w tym stu ciężko. Lecz do rana z tej masy sprasowanego metalu i drewna wydobyto zwłoki dziewięćdziesięciu osób. Gordon tymczasem, trochę zabłocony i zmoczony, najzwyczajniej w świecie wrócił piechotą do poprzedniej stacji, dzierżąc w dłoni walizeczkę i złamany parasol. Minął budkę biletera, wyszedł na Loampit Vale i złapał ostatni podmiejski autobus z Lewisham High Street do Tunbridge Wells, gdzie mieszkał ze swą młodą żoną.

Jeden błąd człowieka zwielokrotniony przez niekorzystny zbieg okoliczności i katastrofa gotowa. Jeśli takie rzeczy mogą zdarzyć się na kolejach i w lotnictwie, jeśli zdarzyły się w

kopalniach lub zakładach chemicznych i hutach, dlaczego to samo nie miałyby się stać z reaktorem atomowym?

Pół godziny później wsiadł do samochodu na parkingu przy stacji i ruszył szosą pod górę. Był łagodny, jesienny wieczór. Dziś po południu Inspektorat Instalacji Jądrowych wydawał się całkowicie usatysfakcjonowany projektem KDRPP.

— Nie ma rzeczy niezawodnych — powiedział główny inspektor — ale ze wszystkich projektów, jakie widziałem, ten jest najbliższy doskonałości.

Gordon przypomniał sobie probabilistyczną analizę zawartą w założeniach projektowych reaktora Super Phénix, dotyczącą wypadków 8 i 9 stopnia: reaktor miał przetrzymać takie zagrożenia, jak upadek samolotu Boeing 707, lecącego z prędkością 640 kilometrów na godzinę, czy też splot różnych niesprawności, które mogłyby doprowadzić do częściowej deformacji rdzenia i częściowego stopienia paliwa. W pierwszym wypadku ochronę miała zapewnić metrowej grubości kopuła nad reaktorem. W drugim przypadku niebezpieczeństwu miałyby zapobiec jeden lub dwa niezależne od siebie układy prętów regulacyjnych zaprojektowane tak, by zatrzymać pracę reaktora w przypadku odkształcenia części rdzenia. Obie warstwy ochronne — basen reaktora i jego budynek — zostały zaprojektowane w ten sposób, by w przypadku awarii nie dopuścić do wydostawania się na zewnątrz substancji promieniotwórczych ani do rozprzestrzenienia się ewentualnego pożaru chłodziwa sodowego.

Zamknął garaż i żwirową ścieżką wolno ruszył w kierunku drzwi do kuchni, wciągając w nozdrza przenikliwy słodki zapach niesiony przez wiatr od strony ogrodu. Pewnie Roxy pozrywał pigwy. Uśmiechnął się do siebie, po czym przystanął przed drzwiami i śledził wzrokiem błyskające światła jumbo jeta, z rykiem i świstem okrążającego wzgórze w oczekiwaniu na pozwolenie lądowania na Gatwick. Dlaczego, zastanowił się nagle, w założeniach awarii 9 stopnia przyjęto Boeinga 707 przy prędkości 640 kilometrów na godzinę? A dlaczego nie dwa razy cięższego Boeinga 747 spadającego z prędkością prawie dwukrotnie większą? Kto tak zdecydował, i czy wszystkie hipotezy są tak dowolnie formułowane?

Do kuchni wszedł jednak uśmiechnięty tak jak przed chwilą, gdy poczuł zapach pigw, bo wiedział, że Mary uważnie mu się przyjrzy, mając w pamięci jego ponurą minę w niedzielę i otępiały bezwład dzisiejszego poranka. Spojrzała na niego i uśmiechnęła się szeroko znad stołu zastawionego rondlami pełnymi pokrojonych pigw, z których miała robić galaretkę. Roxy siedział na wysokim stołku z gitarą w rękach, brzdąkał jakąś melodyjkę i obserwował matkę. On również spojrzał na Gordona szczerząc zęby.

Joss wpadł do kuchni i zaczął szukać gazet w pachnącej kawą teczce Gordona. Zamiast tego wyciągnął dokumenty UJ z dzisiejszego spotkania.

— Rany boskie! — roześmiał się. — Jakieś tajne plany? Ulotnił się z nimi do jadalni, by na wielkim stole, na podręcznikach fizyki i chemii, rozłożyć ściśle tajne dokumenty dotyczące KDRPP i jeszcze bardziej tajne zestawienia NPA.

— Dzwonił Dave Ridgeway — odezwała się Mary. — Powiedział, że być może w środę wszyscy polecicie do Włoch.

— Chyba beze mnie — odrzekł Gordon. — Wyślę Kate. Czy mam do niego zadzwonić?

— Powiedział, żebyś nie zaprzętał sobie tym głowy. Spotkacie się jutro wieczorem na przyjęciu.

Koktajl w Lancaster House z udziałem delegacji francuskiej, przytaszczonej przez prezydenta Francji w charakterze bagażu. Tylko co Dave Ridgeway ma z tym wspólnego?

Gordon wyjął dzin, lód i wermut. Mary roześmiała się.

— Dave powiedział: „Podrzuc swemu chłopu petardę”. — Roześmiała się powtórnie. — Noo, tak naprawdę, zdaje się, powiedział: „Wsadź mu petardę w tyłek”. Kazał ci jeszcze powiedzieć, że czas ucieka.

Gordon odszukał angosturę na półce z przyprawami i sypnęło mu się trochę za dużo: koktajl przybrał barwę różowo-brązową. Najpierw Kate, a teraz Mary. Ridgeway najwyraźniej umie postępować z kobietami. Mary nie przestawała się śmiać.

— Jeżeli znowu zadzwoni — odezwał się nagle — powiedz mu, że twój „stary” lubi ciszę i spokój, gdy wieczorem wraca do domu.

Ze szklanką w dłoni przeszedł korytarzem do salonu.

I natychmiast poczuł się głupio. Nawet nie zrobił żonie drinka i wiedział, że jego irytacja ją dotknęła, a Roxy'ego wzburzyła. Gdy atmosfera w domu stawała się napięta, co zdarzało się zresztą rzadko, chłopiec zawsze trzymał stronę matki.

Gordon przyjrzał się uważniej szklance i stwierdził, że nalał chyba potrójną porcję dżinu.

— Biedny tata — Mary odezwała się w kuchni. Roxy podniósł gitarę i zaczął nucić:

Smutny chłopczyku, Urodzony w stogu, Smutny chłopczyku,
Zagram na twym rogu.

— Jaka ładna wesoła piosenka — rzekła Mary z niewinną miną, a Joss, który podsłuchiwał pod drzwiami jadalni, wybuchnął gromkim śmiechem.

Duże litery MPE na teczce z materiałami poza ewidencją. Strona jedenasta: Pluton. Paragraf pierwszy: Toksyczność. W trakcie opracowywania raportu chemicy jądrowi de facto zapewnili, że „wskaźnik naturalnych ubytków” podczas obróbki nie wyniesie więcej niż jeden procent. Szacunkowy ciężar tlenu plutonu w rdzeniu paliwowym KDRPP wynosi około 5000 kilogramów, co — przy jednoprocentowym „wskaźniku ubytków naturalnych” — daje 50 kilogramów. Innymi słowy wystarczającą ilość plutonu, by — zakładając najbardziej oszczędne dawkowanie — powoli zabić 50 miliardów ludzi. Medycy obliczyli, że jedna dziesięciomilionowa grama plutonu w płucach lub krwi jest w

stanie spowodować śmierć na skutek raka. O Boże, taka jedna dziesięciomilionowa grama plutonu jest prawie niedostrzegalna nawet przez mikroskop. Jedna nic nie znacząca drobinka szarego lecz magicznego pyłu, pomyślał Gordon. Godzinami można poddawać ją doświadczeniom bez żadnych efektów ubocznych. Wystarczy para gumowych rękawiczek, by powstrzymać wysyłane przez nią promieniowanie alfa. Lecz jeśli organizm człowieka wchłonie jedną maleńką jej cząstkę, ten magiczny pył staje się śmiertelną trucizną, która już na zawsze pozostanie w szpiku kości lub w pęcherzykach płucnych.

Strona jedenasta. Paragraf drugi: Siła wybuchu. Siła wybuchu jednego kilograma plutonu odpowiada detonacji 17000 ton trotylu. Pięćdziesiąt kilogramów plutonu, ten jednocentowy „wskaźnik ubytków naturalnych”, wystarczy do zrobienia pięciu lub sześciu bomb atomowych przyzwoitej wielkości, technika zaś wykonania takiej bomby jest dostępna, przynajmniej w teorii, dla każdego, kto zdał fizykę na maturze i ma jakieś takie pojęcie o technice. Ale z drugiej strony po co zadawać sobie tyle trudu i produkować tak niebezpieczne choć proste urządzenie, jeśli z takim samym skutkiem można dokonać szantażu lub Götterdämmerung rzucając po prostu łyżeczkę tego szarego proszku na wiatr ze szczytu miejskiego drapacza chmur lub wsypując go do miejskiej sieci wodociągowej?

Największe wyobrażalne zagrożenie spowodowane przez pluton, przeczytał Gordon w polemicznym przypisie, zostało

bardzo wyolbrzymione. Pluton nie rozpuszcza się w wodzie ani nie rozpływa się łatwo w atmosferze, trudno więc rozprzestrzenić go skutecznie jako substancję trującą.

Gordon przebiegł wzrokiem do końca strony, na której dla porównania podano równie przerażające dane na temat toksyczności chloru, cyjanku, dioksyny i pyłu azbestowego. Pomyślał, że z nimi już mniej więcej nauczyliśmy się żyć. Przyzwyczajamy się też do plutonu. Jakby nie było, środki bezpieczeństwa zastosowane w brytyjskich obiektach jądrowych sprawdziły się w stu procentach: ani jednego wypadku śmiertelnego przez trzydzieści lat. Gordon wyjął pióro i naniósł w tym miejscu poprawkę: „Ani jednego stwierdzonego wypadku śmiertelnego...”

Na sąsiedniej stronie widniały dane Rasmussena z 1975 roku, zawarte w raporcie znanym w Ameryce pod nazwą WASH 1400. „Hipotetyczne następstwa poważnej awarii reaktora lekkowodnego: 3 000 ofiar śmiertelnych w pierwszym okresie, 5100 przypadków zmian genetycznych, 45 000 zachorowań w pierwszym okresie, 45 000 przypadków utajonego raka, 240 000 przypadków guzów tarczycy, konieczność całkowitej ewakuacji na obszarze 750 kilometrów kwadratowych, konieczność odkażania obszaru o powierzchni 8320 kilometrów kwadratowych, łączne straty materialne — 14 bilionów dolarów”. Dwa miesiące temu, w trakcie prac nad raportem w sprawie KDRPP, przedstawiono nie obalone przez nikogo dane, z których wynika, że większe

nagromadzenie materiału rozszczepialnego i toksycznego w reaktorze prędkim tej samej wielkości spowodowałoby straty i ofiary w ludziach o 80—90 procent wyższe od tych, nieaktualnych już zresztą, szacunków.

Gordon przekreślił ołówkiem całą stronicę. „Musimy działać w wierze — pisał — że skutki żadnej poważniejszej awarii nie wyjdą poza basen reaktora, a w najgorszym razie poza budynek reaktora”.

Przyjrzał się temu, co napisał, po czym przekreślił Pierwsze cztery słowa: musimy działać w wierze. W ich miejsce napisał: „Działamy wiedząc?..”

"Wierzyć" to już za mało, powiedział do siebie. Muszę być w stanie oświadczyć, że „wiem”. Reaktor prędko Powielający to nie pociąg o 16.56 z Cannon Street; to nie DC-10 Tureckich Linii Lotniczych, numer rejsu TK 981, z Paryża-Orly; to nie samolot American Airlines, rejs 191, z Chicago-O'Hare; nie jest to też Flixborough, Seveso czy Aberfan.

A Kysztym?

MPE, strona jedenasta, drugi przypis: Kysztym, ZSRR, koniec roku 1957, dokładna data nieznana. Dochodzi do przegrzania się i wybuchu składowanych odpadów radioaktywnych, a w rezultacie do skażenia gęsto zaludnionego rejonu Uralu. Wkrótce po eksplozji tysiące ludzi przypuszczalnie zmarło na chorobę popromienną, wiele tysięcy innych umarło lub umrze w wyniku chorób przewlekłych, szczególnie raka. Wszystkie wioski w tym

rejonie zostały zrównane z ziemią, a obszar o powierzchni 1500 kilometrów kwadratowych uznano za nie nadający się do zamieszkania. Choć CIA zebrała dane na temat tej katastrofy, na Zachodzie nie podano ich do publicznej wiadomości, by nie podważać zaufania do energetyki jądrowej.

Gdy dziesięć minut później Mary weszła do pokoju, by poprosić go na kolację, Gordon siedział nad papierami z opuszczoną głową i zamkniętymi oczami. Na chwilę zeszywniała w drzwiach z przerażenia, lecz w tym momencie otworzył oczy i Mary odetchnęła. Podniósł głowę, spostrzegł żonę i wyprostował się, jak gdyby przyłapała go na jakimś niecnym uczynku.

— Chyba zasnąłem — powiedział, lecz Mary zorientowała się po wyrazie jego oczu, że wcale nie spał. Gdy podniósł się z fotela, patrzyła na niego z niepokojem. Nigdy nie widziała go w takim stanie.

Uśmiechnął się i mijając ją w drzwiach uścisnął jej rękę. Już rozpogodzony. Roxy, który przewidywał, że kolacja upłynie w chłodnym milczeniu, uśmiechnął się z ulgą, gdy ojciec wchodząc do kuchni mrugnął w jego stronę.

Lecz dzień Gordona jeszcze się nie skończył. Ledwo zasiedli do stołu, zadzwonił telefon.

— Kate Davies — powiedziała Mary, stojąc przy kredensie, na którym był telefon, a ogarnięty niejasnym przeczuciem Gordon spojrzął na zegar i natychmiast odgadł, co się stało. Było dwie minuty po wpół do dziewiątej.

— Przepraszam, że dzwonię — usłyszał głos Kate w słuchawce — ale wydaje mi się, że powinien pan włączyć telewizor. Idzie ten cholerny film.

Gordon przeszedł z kuchni do salonu powłócząc nogami jak starzec i włączył odbiornik. Przez chwilę zastanawiał się, czy ta mała pulchna sekretarka była wtajemniczona w szczegóły malutkiej intrygi, jaką przed nim odegrała. W tym momencie pojawił się obraz i dźwięk, i Gordon ujrzał dziewięciu terrorystów z groźnie wyglądającymi torbami na narzędzia, zanurzonych po pas w niewinnych paprociach Szkocji. Mary i chłopcy wnieśli na tacach kolację, usiedli w różnych kątach zimnego salonu i jedli w milczeniu, śledząc ten zrekonstruowany wytwór fantazji jakiegoś fanatyka z Czerwonych Brygad.

Gordon przypomniał sobie o swej nie dokończonych kolacji, gdy na ekranie, na tle tytułu Gwiazdkowy upominek Pandory, nałożonego na zatrzymany w kadrze obraz średniejskiego wiaduktu, zaczęły w górę sunąć napisy końcowe. Zacisnął pięści.

— Ale nastraszyli — powiedział Roxy.

— To chyba nie jest możliwe? — spytała Mary. Poszarzała twarz Gordona ani drgnęła.

— Temu się nie da zapobiec — rzekł Joss. — Nawet nie musieli uprowadzać pociągu. Taką rakietę można wystrzelić wiele kilometrów od celu. Na dobrą sprawę, pociąg też był niepotrzebny. Wystarczy usiąść niedaleko reaktora i walić na chybił trafił w zbiorniki chłodzące.

Zadzwoił telefon, nie od Kate, lecz z Dounreay od Wielkiego George'a.

— Powinni byli nas zawiadomić — rzucił głosem kipiącym z gniewu. — W piątek nic nie mówili, że mają to Puścić lada dzień.

— Może sami nie wiedzieli.

— Ale przecież dziś widział się pan z szefem od programów dokumentalnych.

— Z dyrektorem programowym. Miałem się z nim widzieć. Nie przyszedł.

George aż wykrzyknął z gniewu.

— Co się stało, to się nie odstanie uciął Gordon. | — Mamy teraz pod nogami granat z syczącym lontem. Czy był już u pana ktoś z prasy"

— Co? Tu, na Biegunie?

— Będą mieli używanie. Myślę, że powinniśmy zaraz przygotować jakieś oświadczenie. Jedno od pana, jedno od nas.

— Co znaczy, że godzinę przed północą powinny być gotowe odrzekł George.

Jeszcze cztery telefony, i wreszcie przyplływ adrenaliny wytrącił Gordona z apatii. W powietrzu nadal unosił się słodki zapach pigw, lecz Gordon dawno zapomniał już o tej chwili spokoju. Przez myśl przemknęły mu wszelkie możliwe reperkusje tego programu, gniewne reakcje polityków i urzędników, z którymi jutro będzie miał do czynienia. Do sfatygowanej czarnej

teczki wrzucił skoroszyt MPE, a następnie brzytwę, szczoteczkę do zębów i piżamę. Roxy odwiózł go na stację.

Godzinę i piętnaście minut później wszyscy siedzieli w Millbank House, przy stole konferencyjnym w gabinecie Gordona, jedynym w całym gmachu, w którym paliło się światło. Była Kate, asystent George'a z ZEA, rzecznik prasowy departamentu i Gordon, który najchętniej spałby teraz we własnym łóżku. Wielki George siedzący w Dounreay i nawet sam przewodniczący ZEA przebywający w Wiedniu uczestniczyli w naradzie telefonicznie: ich głos płynący z białych plastikowych głośników leżących na przeciwległych krańcach stołu swą fachowością podtrzymywał obecnych na duchu.

Postanowiono, że departament przypomni zapewnienie złożone komisji przygotowującej raport, zgodnie z którym przewóz paliwa będzie mógł się odbywać tylko wtedy, gdy inspektor bezpieczeństwa w pełni zaakceptuje podjęte środki ostrożności. Oświadczenie Zarządu Energetyki Atomowej zabrzmiało bardziej stanowczo.

Uzbrojeni strażnicy ZEA konwojują wybrane transporty radioaktywnego paliwa, potencjalnym zaś terrorystom ZEA doradza, by nie brali sobie zbyt do serca reklamy, jaką telewizja zrobiła planom Czerwonych Brygad: szczegóły przedstawione w programie mogą wprowadzić w błąd; każda próba porwania pociągu lub ciężarówki grozi ewentualnym porywaczom śmiercią lub ciężkim kalectwem. Gordon wolałby sformułowania bardziej

stonowane. Nie widział powodu, by przypominać społeczeństwu o istnieniu podległej Zarządowi niezależnej formacji 600 strzelców wyborowych, lecz przewodniczący postawił na swoim.

Już za długo się z tym cackamy oznajmił. — Niech społeczeństwo wie, że mamy wiarygodne środki odstraszania.

Wiarygodne środki odstraszania. Ten facet ma niezwykły dar dobierania całkowicie niewłaściwych i jątrzących słów, pomyślał Gordon. Mruknął dobranoc białemu plastikowemu przewodniczącemu i Wielkiemu George'owi siedzącemu gdzieś daleko w Szkocji, zastanawiając się, ile też Dave Ridgeway i reszta góry w Dounreay wie o tym najnowszym, małym wewnętrznym problemie.

Rzecznik prasowy wybiegł przekazać oświadczenie Prasie, a Kate i Gordon zabrali się do opracowywania notatki dla sekretarza stanu na następny dzień. Prasa i Parlament na pewno zareagują, a Gordon miał za zadanie dostarczyć Martinowi odpowiedzi na wszelkie możliwe pytania i argumenty.

Jest poniedziałek wieczór. We wtorek premier odpowiada na pytania posłów. Gordon zadzwonił do dawnego kolegi, obecnie pracującego w biurze premiera, by uprzedzić go nieoficjalnie, że podczas godziny pytań do premiera należy spodziewać się interpelacji i zapytań poselskich sprowokowanych przez film.

W zimnym gabinecie mózg pracował na zwolnionych obrotach, lecz Kate i Gordon mozolnie starali się przewidzieć wszystkie kłopotliwe pytania. Przez pół godziny pisali, kreślili i

zaczynali od nowa, wreszcie Gordon zadzwonił do nocnego portiera, ale okazało się, że w sprawie centralnego ogrzewania ten biedak nic nie może zdziałać. Kate zaproponowała kawę.

— O północy na Millbank? — zdziwił się Gordon.

— Taksówką możemy być u mnie za pięć minut. Gordon spojrział na zegarek.

— Muszę jeszcze załatwić jakiś nocleg, zanim wszystkie właścicielki pensjonatów w Pimlico pójną spać.

— Mam całkiem wygodną kanapę - - odrzekła Kate. Gordon spojrział na nią. Nie przyszło mu do głowy, że mógłby u niej zanoćcować.

— Nie mam siły protestować — odrzekł.

Razem z szukaniem taksówki, trwało to jednak prawie dziesięć minut. Mieszkanie na drugim piętrze przy wysadzonej drzewami uliczce nie opodal Belgrave Square, zaciszne gniazdko, na jakie stać jedynie urzędnika państwowego w stanie wolnym. Gordon zapłacił za taksówkę i szedł po schodach za Kate, czując nagły przypływ zaciekawienia jej prywatnym życiem. Kate natomiast starała się sobie przypomnieć, czy w salonie zostawiła okropny bałagan, czy tylko taki sobie.

Za późno, by sprzątnąć otwartą puszkę z brudną łyżeczką i nie dojeżdżonym tuńczykiem, słoik majonezu i butelkę wódki. Roześmiała się, gdy wchodzili do środka.

— Napye się pan wódki czy zrobić kawę?

— Napiję się tego, co pani.

Zatem kawa. W paczce, którą Bertie kupił w sobotę rano, została jeszcze połowa. Gordon szedł za nią korytarzem. Wścibski typ, pomyślała, włazi akurat kiedy brudne naczynia z dwóch dni walają się po całej kuchni.

Gordon roześmiał się w odpowiedzi na jej usprawiedliwienie.

— U mnie byłoby to samo. — Zatrzymał wzrok na półce zastawionej słoiczkami z ziołami, chilli i papryką. Dwa staroświeckie słoje na słodczyce były pełne makaronu.

— Czasem jestem ambitna — rzekła Kate. — Ale tylko wtedy, gdy muszę. Na ogół poprzestaję na solonych orzeszkach i wódce.

— Co bez wątpienia wyjaśnia, dlaczego jest pani taka szczupła i zawsze urocza.

Tu cię mam, pomyślała. Gdyby był o dziesięć lat młodszy, potraktowałabym to jako pierwszy strzał w stronę mojego okrętu. Maszyny stop.

Jego następne słowa przypominały niemal abordaż.

— Kiedy Włoch robi kawę, myśli o seksie — powiedział. Z otworu ekspresu zaczęła wydobywać się pianka, aż w końcu nastąpiła radosna kulminacja.

Zauważyła, że kiedy chce, potrafi złośliwie się uśmiechać, i nagle przypomniała sobie, jak tamtego popołudnia, po lunchu w Soho, ujął ją pod rękę. Teraz jednak odwrócił się i z filiżanką kawy w dłoni powędrował korytarzem do pokoju. Gdy dołączyła do niego z talerzem ciasteczek, siedział już nad konspektem dla Martina Reida. Podał jej kartkę i pociągnął łyk kawy.

— Chciałbym wierzyć w połowę tego, co tu piszemy.

— A w co pan nie wierzy?

— Że cokolwiek można działać przeciwko terroryście-kamikadze. Skoro niczego się nie boi, żaden system zabezpieczeń nie może być w pełni skuteczny. Pozostaje tylko nadzieja, że zdąży się go w porę zabić. Ale w ten sposób dorobimy się zgrai znerwicowanych strażników, którzy będą czekać tylko na to, żeby pociągnąć za spust. Będzie ich dokładnie sześciuset. — Podniósł się z miękkiego fotela i dwa razy okrążył pokój. — Prędzej czy później zdarzy się jakieś nieszczęście. Jakiś niewinny wygłup, i od kuli ginie dziecko. Albo wykoleja się pociąg, ktoś bierze tłum gapiów za terrorystów, i urządza im krwawą jatkę.

— Tutaj to chyba niemożliwe — roześmiała się Kate.

— Za dziesięć lat — ciągnął Gordon — będziemy mieli półtora tysiąca uzbrojonych strażników, a gdy dojdziemy do pierwszej generacji reaktorów prędkich, będzie i chyba z pięć tysięcy. Część będzie strzegła reaktorów część transportu, część zakładów przerobu paliwa, część składowisk odpadów obojętnie gdzie się je zlokalizuje A z tego, co wiemy, składowiska wymagać będą ochrony przez najbliższych dwieście tysięcy lat. — Gordon zatrzymał się przy oknie; za szybą widniały dachy i komin domów Belgravii. — Czy pani wie, co tu było dwieście tysięcy lat temu? Bóg nie zdążył nas jeszcze wymyślić Homo sapiens neanderthalensis nie zlazł jeszcze z drzewa.

Kate popatrzyła na niego lekko zaniepokojona.

— Można by pomyśleć, że przechodzi pan na drugą stronę.

— Sekretarz powiedział mi, że potrzebujemy adwokata diabła.

— Odwrócił się od okna i postanowił ujawni jeszcze jedną tajemnicę dzisiejszego dnia. — Charles Hoyte przyniósł mi bardzo zabawne dane.

— Jak to? Przecież nad prognozami spędziliśmy już dziesięć dni.

— Podaliśmy komisji swoją wersję. Zieloni dali swoją. A teraz, jak na złość, oficjalne prognozy zmieniają dokładnie tak, jak przepowiadali zieloni.

— Co miesiąc mówią co innego. Te liczby są znaczenia — rzekła Kate.

— Wiem. Ale jeśli dostaną się w niepowołane ręce, mogą narobić wiele złego.

Kate patrzyła na poważną, zmęczoną twarz Gordon który z powrotem usadowił się w fotelu z piórem i kartką w dłoni. Poczwała, że powinna teraz usiąść obok niego na poręczu fotela i powiedzieć, żeby się nie zamartwiał Gordon w milczeniu pisał przez dwie minuty, po czym przyjrzał się swemu dziełu.

— Niech pani to rano jeszcze przejrzy i wygładzi.

Kate wstała i pozbierała papiery.

— Rozłożę panu spanie.

— Położę się tak jak jest. Nie będzie się pani przecież bawić w prześcieradła i bety.

Roześmiała się.

— Rzuca pan wyzwanie mojej kobiecości.

I rzeczywiście, pomyślał Gordon patrząc na jej szczupłe ciało pochylone nad łóżkiem i kocami. Tu, w jej własnym domu, nagle spostrzegł, że jest bardzo kobieca. W biurze nigdy by nie powiedział, że Kate jest „ciepła”, teraz jednak, pół godziny po północy, gdy wygładzała cienką wzorzystą kołdrę, była niewątpliwie pełna ciepła i wdzięku.

— Dobranoc — powiedziała. Zawołam, gdy łazienka będzie wolna.

Gordon siedział na brzegu kanapy przyglądając się zrobionym z cegieł i desek regałom na książki. Należeli do innego pokolenia, żyli w zupełnie innym świecie. Same wydania kieszonkowe: współczesna klasyka na jednej z półek, od dziewiętnastowiecznych autorów rosyjskich po Greene'a, niżej literatura fachowa, ekonomia, politologia, mnóstwo książek o filmie i wreszcie, na samym dole, cała półka z dramataми, wszystkie chyba sztuki, jakie kiedykolwiek napisano. Być może Kate próbowała aktorstwa na uniwersytecie. Ciekawe, czy kiedykolwiek odważy się ją o to zapytać, pomyślał Gordon. W gruncie rzeczy wiedział o niej bardzo niewiele: Oxford, ekskluzywna szkoła i ojciec, wyższy urzędnik państwowy, który zmarł, jak wielu jego kolegów, gdzieś między Pięćdziesiątymi dziewięćdziesiątymi a sześćdziesiątymi pierwszymi urodzinami, w okresie owych czarnych dwóch lat napawających trwogą wszystkich mężczyzn.

Kate zawołała zza zamkniętych drzwi, zwalniając pospiesznie sprzątniętą łazienkę.

Świątynia niewieścia: kremy, pudry, szampony, perfumy. Gordon nagle poczuł się jak świętokradca, co zresztą wydało mu się nader ekscytujące. Przez chwil wyobraził sobie Kate stojącą tu nago przed lustrem, po czym spojrzał na swe ciężkie ciało i zaśmiał się z siebie. Chyba nie wyrzuciłabym go z łóżka, myślała Kate wpatrując się w sufit, choć lepiej, żeby nie przychodzili. Zanim zasnęła, jeszcze przez pół godziny zastanawiała się, czemu coś takiego przyszło jej do głowy.

Henshaw obejrzał Gwiazdkowy upominek Pandory dzięki uprzejmości właścicielki pensjonatu przy St. George's Road, której spodobał się ten spokojny i przystojny Amerykanin. Gdy spytał ją, czy jest tu pokój telewizyjny dla gości, zaproponowała mu nie tylko skorzystam z kolorowego odbiornika w jej prywatnym salonie, że również poczęstowała kieliszkiem słodkiej sherry, po czym półgłosem komentowała film, przedstawiając m jednocześnie swą pogmatwaną wizję świata, którym trzęsą redaktorzy z telewizji i wolnomularze.

Gdy film się skończył, Henshaw wymówił się spotkaniem i wyszedł z pensjonatu. Nigdy jeszcze nie ogląd angielskiej telewizji, toteż nie potrafił stwierdzić, czy pewna chropawość narracji może wiązać się z tym, decyzję o przyspieszeniu projekcji o tydzień podjęto w ostatniej chwili. Nie sądził, by jego krótka rozmowa z

owym nieśmiałym producentem mogła wpłynąć zmianę daty emisji.

Salter, którego Henshaw wreszcie wyrwał ze snu o nocy dzwoniąc z automatu na Victoria Station, był odmiennego zdania.

— Pierwsza runda dla nas, companero. A w dodatku mam chyba pomysł na następną.

Ten samozwańczy „szpicel” istotnie robił, co do niego należało.

Nie wychodząc z budki, Henshaw przygotował garść monet i wykręcił numer w Nowym Jorku, podłączony bezpośrednio do magnetofonu w agencji. Jeśli na dyżurze jest ktoś, kto wie, jak upchnąć taki materiał, niewykluczone, że wzmianka o Pandorze ukaże się w jutrzejszych wydaniach gazet wschodniego wybrzeża.

Dave Ridgeway już dawno powinien był przestać, lecz pił dalej. Czteryście metrów od restauracji fale arktycznego morza biły o brzeg. Na tym opustoszałym krańcu świata podawano wędzonego łososia, homary i whisky w zupełnie zdumiewającym wyborze. Wielki George i dyrektor ośrodka w Dounreay już dwie godziny temu poszli spać, a on i trzech inżynierowie nadal zmagali się ze szkocką w restauracji Upper Deck. Dave zaczynał się zastanawiać, czy nie gada za dużo. Właśnie takich ludzi lubił, ludzi czynu nie słowa: niemal przez cały wieczór prześcigali się w opowiadaniu niewybrednych dowcipów o departamentach i politykach, którym podlegali. Wiadomość o filmie pokazanym w telewizji jeszcze wzmogła ich pogardę dla „ludzi z rządu” w ogóle.

Do tej pory Dave nie wspominał o zaproszeniu, jakie rano otrzymał przez telefon. Ciekaw był, ile musieli się napocić, by z jego powodu przyspieszyć datę włączenia reaktora Segré do sieci energetycznej. Ale z drugiej strony cóż za gratka dla Francuzów: wyłożyli karty na stół zanim zdążył się dogadać z Angolami!

Sprawa reaktora Segré wypłynęła tego wieczoru już wcześniej. Anglicy byli zdania, że jego uruchomienie nastąpi za dwa lub trzy miesiące. Dave się wtedy nie odezwał, lecz teraz, wychylając już ósmą kolejkę i słuchając jak Anglicy spierają się na temat wad i zalet aktorów Phénix, Segré i Super Phénix, od niechcenia napomknął o porannej rozmowie telefonicznej. Wiedział, że teraz zaczną się zastanawiać, czemu nie powiedział im o tym wcześniej i podejrzewał, że z kolei oni zaczną podejrzewać, że w gruncie rzeczy nie jest lepszy od tych polityków i urzędasów, z których się tak głośno nabijali. Może i nie jestem, pomyślał. Istotnie jestem gotów użyć wszelkich podstępów, byle tylko w Ameryce sprawa mojego reaktora nie upadła.

Mojego reaktora? Dave zaśmiał się z siebie na głos i wstał, by przemówić.

Reaktor prędkości powielający — oznajmił jest najdoskonalszym pomysłem, jaki człowiekowi udało się urzeczywistnić w dziedzinie wytwarzania energii. Sukces ten oznacza też osiągnięcie przez metalurgię i elektronikę poziomu, jaki był niewyobrażalny jeszcze trzydzieści lat temu. Jest nie do pomyślenia, panowie, by dwa narody, które wydały największych wynalazców na świecie a mam

tu, oczywiście, na myśli nas Anglosasów i celów, otóż jest nie do pomyślenia, byśmy kiedykolwiek mieli wyrzec się tego osiągnięcia.

Poczęli śmiać się i klaskać. A zatem, pomyślał z nadzieją Dave, wieczór został uratowany. W tej samej chwili bardzo zmęczony już barman pogonił ich wszystkich do łóżka: Dave do pokoju na piętrze, a pozostałych do ich domów przy dzikiej i wietrznej drodze wzdłuż wybrzeża.

7

Bezwietrzna pogoda na pustkowiu wokół Segre, nieruchome powietrze nawet podczas ciepłej nocy, klimatyzacja pracująca na najwyższych obrotach, by zabić zapach potu w sterowniach, gdzie panuje atmosfera pełna napięcia.

Poniedziałek nie był udanym dniem. W ciągu ostatnich dwunastu godzin czujniki akustyczne umieszczone m. rdzeniem trzykrotnie uruchomiły komputer i układy alarmowe, zanim Francuzom w końcu udało się namówić swych włoskich kolegów na odłączenie ich od „czerwonych” obwodów. Wprawdzie żaden z tych czujników nie był w stanie spowodować awaryjnego zatrzymania reaktora, lecz coraz częściej powtarzające się alarmy zaczynały już działać obsłudze na nerwy.

Wieczorem włoski kierownik ośrodka spotkał się w wiosce z żującym cygaro kierownikiem zmiany, gdy kupowali ryby prosto z

łodzi. Kierownik zmiany spytał, jak idzie, a gdy usłyszał o ostatniej decyzji, gniewnym gestem uniósł do góry dłonie z rozczapierzonymi palcami.

— Czyście wszyscy powariowali? Dajecie sobie rozkazywać, bo do nich ma przyjechać jakiś Americano?

Wskazał dłonią na ciemne morze, w którym odbijały się blade światła wioski. — Powinniście traktować reaktor tak jak traktuje się morze. Musicie okazać szacunek temu, co nieznanne, bo inaczej zwróci się przeciwko wam.

Enzo — tęgawy, jakże zazwyczaj jowialny i opanowany, niezmiennie z postrzępionym kikutem cygara marki Toscano w ustach, tak jak i kierownik ośrodka Poznał swój fach pracując przy reaktorze Latina Magnox, gdzie zasad bezpieczeństwa przestrzegano bardzo ściśle.

Nie pora na impasy, pomyślał kierownik ośrodka, zapalony brydżysta, leżąc w nocy na madejowym łożu. Odbijała mu się zupa rybna z kolacji, a on zastanawiał się, co by zrobić, gdyby miał władzę absolutną nad Segre. Na nos, pomyślał, trzeba by wyłączyć reaktor i znaleźć jakiś sposób, żeby sprawdzić, czy w sodzie nie ma jakiegoś obcego ciała, ale nie przez wypuszczenie całego sodu z tego potwora, żeby nie tracić cennego czasu i pieniędzy. Może dałoby się puścić dwie z czterech umieszczonych pod rdzeniem pomp pierwotnego obiegu sodu w przeciwną stronę licząc na to, że ewentualne zanieczyszczenia zostaną wtedy wessane? To grozi uszkodzeniem pomp, ale szybciej i taniej jest wymienić pompę

poprzez specjalny szyb obsługowy niż opróżniać i czyścić cały reaktor.

Prędzej czy później trzeba będzie coś zrobić. Mimo że czujniki akustyczne zostały odłączone od systemu alarmowego, ich wskazania są nadal rejestrowane na taśmie papierowej i kierownik podejrzewał, że przez najbliższe dni większość członków obsługi będzie ukradkiem sprawdzać zapis. Jeśli czkawka będzie się dalej nasila wszyscy będą nerwowo czekać na jakieś zakłócenie. Pomyślał, że dla zachowania twarzy Francuzi będą nalegać, by utrzymać reaktor w ruchu przynajmniej przez dziesięć dni po planowanej „fecie”, lecz wreszcie przystaną na czasowe wyłączenie reaktora i próbę ustalenia przyczyny.

Później, w niespokojnym śnie, kierownik widział potężne linie przesyłowe siedzące okrakiem na wzgórzach nie opodal Segre. Widział, jak w chwili włączenia prądu następuje błysk, wszystko się stapia i rozpływa, a zaraz potem budynki ośrodka wybuchają i nikną jeden drugim jak ognie sztuczne w święto patrona jego rodzinnej wioski na Sycylii.

W tym momencie obudził się. Czuł na twarzy blade światło poranka sączące się przez wpół przymknięte żaluzje i słyszał, jak najstarszy syn wymyka się z domu kuchennymi drzwiami.

Kierownik domknął żaluzję, by światło nie obudziło żony, po czym wyszedł na taras wokół domu. Od poszarpanego, pokrytego chaszczami wzgórza płynęły wilgoć i chłód. Chłopiec był już sto metrów niżej i sunął długimi krokami po wykarczowanej przez

siebie ścieżce w kierunku morza. Z przystani po drugiej stronie zatoki do gwałtownie wypływającej łodzi — to Enzo płynął po chłopca, by łowić z nim ryby w promieniu pięciu kilometrów od reaktora, w ciepłych, spokojnych wodach, których miejscowi rybacy ostatnio unikali: żaden nie zastawiłby sieci ani nie zarzucił wędki, póki w zasięgu jego wzroku widniała kopuła reaktora.

Ponad domem wzeszło słońce i zaczęło przygrzewać. Kierownik powiódł wzrokiem za łodzią, która zmierzała na północ wzdłuż górzystego brzegu porośniętego dziką roślinnością, gdzie nie było śladu ani domostw ani elektrowni atomowej, jakże przemysłnie — z estetycznego i psychologicznego punktu widzenia — ukrytej pośród granitu.

Niestety, w otoczce granitowych skał, dwanaście metrów pod ziemią, za pięcioma barierami ochronnymi, popękany odłamek tlenku ołowiu zaczyna się właśnie rozpadać w wyniku uderzeń o kolisty rozdzielacz przepływu o otworach umieszczonych pod różnym kątem do jego powierzchni. Działa on jako filtr ciekłego sodu, podawanego czterema oddzielnymi pompami do rdzenia reaktora, znajdującego się pół metra wyżej. Tam sód odbiera ciepło od cienkich prętów tworzących zestawy paliwowe. Prędkość przepływu sodu jest na ogół stała, toteż odłamek przylega do filtru ciągle w tym samym miejscu.

Z powodu drobnych niedokładności w wykonaniu uszczelk zaworów dwu pomp, w przepływie sodu następują jednak niewielkie wahania. Są one na tyle małe, że zapisy mierników

przepływu nie wskazują na razie na konieczność naprawy lub wymiany pomp, gdy jednak wahania te wystąpią w obu pompach jednocześnie, zmiana prędkości i zawiorowania sodu w obrębie filtra stają się wystarczająco duże, by odłamek tlenku ołowiu na moment opadł w dół, a zaraz potem ponownie uderzył o filtr, powodując nienaturalnie zwielokrotniony huk odbierany przez czujniki akustyczne, podobny odgłosowi kotwicy walącej w kadłub statku. Filtr pozostaje nietknięty, ale rysy na odłamku zaczynają się pogłębiać.

9

Wtorek rano. Nieśmiałe pukanie do drzwi obudziło Gordona Aylena. Natychmiast przypomniał sobie, gdzie jest i czemu łóżko wydaje się nieznanome. Przez całą noc budził się i ponownie zapadał w sen, myśląc o dziewczynie, która w tej właśnie chwili wniosła na tacy kawę i rzuciła mu przelotne, nieśmiałe spojrzenie.

Biały duch, kości i nic a nic biustu, pomyślała Kate, choć niebieski płaszcz kąpielowy Bertie'ego starannie ukrywał jej kształty.

Siódma powiedziała stawiając tacę na stoliku. — Za dziesięć minut zwolnię łazienkę.

Zostań, śliczna zjawo, pomyślał wciągając w nozdrza zapach kawy, ale jego umysł zajęty już był porannym wyścigiem ze

zmartwieniami: telewizja i terroryści, reaktory prędkie, Whitehall i Waszyngton, stan jego prywatnego konta bankowego, dziewczyna w jasnoniebieskim szlafrocuku.

Gdy pół godziny później wszedł do kuchni, Kate siedziała nad sprawozdaniem, które opracowali poprzedniego wieczoru. Śniadanie wzniosło się na wyżyny. Kate była dumna ze swojego kunsztu improwizacyjnego: na górę pożyczyć chleb, gdy usłyszała, że sąsiedzi wstają, przed dom po jajka i mleko, gdy dobiegł ją grzechot butelek z akumulatorowego wózka mleczarza.

— Sprawozdanie gotowe — oznajmiła. Musielibyśmy mieć straszego pecha, żeby nas jeszcze na czymś przyłapali.

Gordon uśmiechnął się.

— Nie sądzę, żebym mógł oczekiwać wielkiego szczęścia. Nie dzisiaj.

Kate uznała, że jej ojciec był taki sam podczas śniadania. Starannie ubrany, bardzo czujny, bardzo opanowany, ale było w nim te głupie pięć procent strachu. Ten strach w końcu go zabił, to przez niego cholesterol zablokował mu arterie. Nie dopuść, by to samo miało przytrafić się tobie, pomyślała spoglądając na Gordona. W tym momencie on też popatrzył na nią i uśmiechnął się.

Poszli na dworzec Victoria i kupili gazety. Jadąc dalej taksówką przez Pimlico, przelecieli nagłówki. Wszystkie gazety pisały o puszcze Pandory, nawet Financial Times poświęcił filmowi artykuł

na trzeciej stronie. Było oczywiste, że ktoś zawczasu dał prasie cynk o wieczornym programie w telewizji.

— „Prywatna armia atomowa w Anglii” — Kate odczytała tytuł w Guardianie.

— A liberalnie nastawiona Anglia jak zwykle pochopnie wyciąga bzdurne wnioski - skomentował Gordon.

— „W wieczornym oświadczeniu dla prasy — czytała dalej Kate Zarząd Energii Atomowej stwierdził, że jego siły bezpieczeństwa stanowią, wiarygodny środek odstraszania” — Kate spojrzała na Gordona. — A przecież pan go ostrzegał.

— W kontaktach ze środkami przekazu ten facet zachowuje się jak ostatni dureń. — Gordon zapłacił taksówkarzowi. W holu czekał na windę inny podsekretarz, Swayland, odpowiedzialny za przemysł węglowy.

Lepiej nie pytać, jak się pan czuje rzekł z uśmiechem. — Wyobrażam sobie, co się dzisiaj u was będzie działo.

— Niech pan zapali świeczkę we własnej intencji - odciął się Gordon. — Mnie i tak stąd przenoszą, a każdy wie, że na hałdach żużlu znam się jak mało kto.

— Mnie i tak nie dadzą atomów — roześmiał się Swayland, wysiadając na czwartym piętrze. — Mam Wieńcówkę.

— Co i nas wkrótce czeka — powiedział Gordon rozstając się z Kate na korytarzu piątego piętra. — I dzięki za spanie i śniadanie.

Zdążył przed Janice. Sekretariat był pusty, ale ktoś z Personelu zdołał zostawić wiadomość, że centrala próbowała już łączyć pięć rozmów: z Biura Rządu, od wiceministra, od stałego podsekretarza, od zastępcy sekretarza i od zastępcy przewodniczącego ZEA. Ridgeway określiłby to obrazowo: „Wleciało gówno w wentylator”. Gordon uspokoił wszystkich po kolei, po czym zadzwonił do osobistego sekretarza Martina Reida i zszedł trzy piętra niżej do gabinetu sekretarza stanu.

Martin siedział za biurkiem obłożony gazetami jak żołnierz pod ostrzałem.

— Jak to się stało, że wszyscy ludzie spoza departamentu, od sekretarza spraw zagranicznych po jakiegoś podrzędnego i niedoinformowanego dziennikarza z telewizji nagle uznali, że rozpoczął się sezon polowań na reaktor prędkości? — Martin wysunął głowę ze swej lisiej nory. — Wydawało mi się, że wczoraj miał pan z nimi rozmawiać?

— Odwołali spotkanie, panie sekretarzu.

— A więc punkt dla niezależnej telewizji. Zaraz da mi po łapach, pomyślał Gordon.

— Pewnie za mało zrobiłem, żeby zatrzymać tę emisję, panie sekretarzu. Observer nic o tym nie pisał, więc nie przyszło mi do głowy, że mogą to puścić w tym tygodniu. Byłem pewien, że dadzą pierwszeństwo Observerowi.

— Tak podobno było umówione. Ci z Observera wymyślali im przez całą noc.

— Obawiam się, że to mnie nie usprawiedliwia. Martin pomachał plikiem kartek ze swego biurka.

— Przynajmniej pan i Kate Deavies zareagowaliście natychmiast. — Raport, który sporządzili o północy, został już przepisany przez Kate i dostarczony na biurko sekretarza stanu. — Ucieszy pana zapewne wiadomość, że spiker Izby Gmin oddalił interpelację.

Gordon skinął głową.

— Nigdy nie lubił, gdy telewizja zakłócała mu porządek obrad.

— Domyślam się, że dał pan cynk do biura premiera, że mogą być problemy podczas godziny pytań.

Gordon ponownie skinął głową.

— Stały podsekretarz był mocno skwaszony, gdy o tym wspomniał. Czy to jakieś naruszenie protokołu?

— Powinienem był przekazać wiadomość przez niego, ale pół godziny przed północą było to trochę trudne.

— Przez parę dni nie będzie się do pana odzywał. — Po twarzy Martina przebiegł przelotny uśmiech. — Ale ma pan szczęście. — Pociągnął łyk kawy. — Pójdzie pan na odprawę do pani premier. Proszę czekać na wezwanie.

Gordon skinął głową.

— Chciałbym, żeby postarał się pan dostać do loży, gdy będzie odpowiadała na pytania. Na pewno lepiej ode mnie potrafi pan ocenić polityczną aurę.

Gordon kolejny raz skinął głową.

— Jeśli mogę coś zaproponować, panie sekretarzu... Jeżeli trzeba będzie udzielić jakichś wywiadów dla radia czy telewizji, powinien pan to zlecić wiceministrowi albo ZEA. Wtedy będzie oczywiste, że nie przywiązuje pan zbyt wielkiej wagi do tego wydarzenia.

Martin uśmiechnął się.

— Mówiłem, że ma pan lepszą głowę do polityki niż ja.

— Doświadczenie zdobyte w mozole. Musimy chronić naszych ministrów.

— Albo rzucić ich wilkom na pożarcie, jeśli nie przypadną wam do gustu.

Gordon odwrócił się.

— To byłoby sprzeczne z konstytucją.

Martin odprowadził go wzrokiem do drzwi. Obojętnie lub wrogo nastawiony urzędnik, nie popełniając właściwie sabotażu, mógłby z pewnością zachować dla siebie ten taktyczny pomysł, który Gordon właśnie zaproponował. Martin, zielony jak niedojrzałe orzechy, nigdy by na to nie wpadł — chyba że poniewczasie — a w rządzie nie było nikogo, kto podsunąłby mu tę myśl akurat teraz.

W ciągu pięciu miesięcy, jakie minęły od dnia, w którym został pełnoprawnym członkiem gabinetu, Martinowi udało się zrazić, jednego po drugim lub grupami, większość swoich kolegów-ministrów. Był uważany za obcego wśród swoich, dokooptowanego przez szefową dla ugłaskania grupy stojącej na

lewo od centrum i zamknięcia gęby górnikom. Większość jego kolegów uważała, że idzie na całego: cudowne dziecko wzbijające się ku słońcu na skrzydłach z wosku.

Wyjrzał przez okno z ponurą miną. Po słonecznym poranku pozostało tylko wspomnienie. Niż znad Atlantyku spychał nad Tamizę góry białych cumulsów. Niech sobie leje na całym świecie, pomyślał. Po raz pierwszy instynkt nie podpowiadał mu wyraźnie, w którą stronę ma iść. Liczył na to, że Gordon go oświeci. Ciekawe, na kogo liczy Gordon?

10

— A więc jesteśmy na wagarach?

— Randka na Dean Street to coś znacznie gorszego niż zwykłe wagary. Zaprosiłbym panią na absynt w tej knajpce, ale dopchanie się do baru zajęłoby z pół godziny.

— Więc chodźmy gdzie indziej i zjedzmy coś.

A po chwili, gdy znaleźli się z powrotem na równinie zatłoczonej ulicy, dodała:

— Pomysł z absyntem bardzo mi się podobał.

— Gdyby było tak gorąco jak wczoraj, moglibyśmy też zamówić wspaniałą vin blanc cassis.

— Jak na italofila, ma pan całkiem francuskie upodobania.

— Staram się stłumić uprzedzenia roześmiał się Gordon. Prawdę mówiąc, w tym właśnie pubie wyznaczą mi spotkanie mój starszy syn, gdy chce się ze mną zobaczyć w mieście.

— Udało mu się już czegoś dokonać?

Raz albo dwa w miesiącu dzwonią do niego z jakiejś wytwórni płytowej.

Gorszy ojciec pewnie już dawno wsadziłby go na jakąś zwyczajną posadę.

Zawarliśmy umowę, że po skończeniu liceum będzie mógł robić co chce, ja zaś będę mu dawał tyle pieniędzy, ile musiałbym dawać, gdyby był na uniwersytecie.

To bardzo ładnie z pana strony powiedziała Kate, gdy doszli do rogu Shaftesbury Avenue, i wzięła go pod ramię, być może dla podkreślenia aprobaty, a być może po to, by poprowadzić go we właściwą stronę. Poprosił, by wybrała lokal.

— Coś szybkiego powiedział. O 2.15 muszę być w Parlamencie.

Pomysł wspólnego lunchu przyszedł mu do głowy nagle. Wziął się z potrzeby oderwania się od nieustannie dzwoniącego telefonu, z jakiejś nieokreślonej tęsknoty i wymyślonej naprędce wymówki, że musi podziękować jej za gościnność, jaką mu okazała poprzedniego wieczoru. Skierowała go na południe, w Gerrard Street, a on doszedł do wniosku, że obecność jej dłoni na jego ramieniu sprawia mu przyjemność.

Jak było w ZEA? — spytała wiedząc, że ostatnie pół godziny spędził w budynku Zarządu przy Charles II Street.

Wściekają się o ten film. Można powiedzieć, że Paranoja zaczyna ogarniać cały gmach.

Cóż w tym dziwnego? rzekła Kate. Jeżeli nie dostaną KDRPP, mogą równie dobrze zwijać interes.

Tracą już do mnie cierpliwość — dodał Gordon. - Uważają, że powinienem pogonić Martina. — Gordon stanął przed drzwiami restauracji, przepuszczając Kate. - Śniadanie i lunch we dwoje. To prawie nieprzyzwoite.

— Gdyby nas zobaczył nasz stały podsekretarz, na pewno zrozumiałby wszystko na opak.

— Ze zwykłej zazdrości. Stały podsekretarz departamentu uczulony na punkcie bezpieczeństwa nigdy nie mógłby sobie pozwolić na to, by stworzyć okazję do szantażu.

— Podsekretarz podobnie. Gordon zaśmiał się.

— W gruncie rzeczy, zastępca podsekretarza też nie.

— Ale nam trudno byłoby szantażować się nawzajem. Siebie więc skreślamy.

— Pełna równość.

— A gdy istnieje równość, każdy związek jest niewinny.

— Kto to powiedział?

— Nie wiem — Kate odwróciła wzrok od Gordona. — Pewnie jakiś żonaty mężczyzna.

— Jak może być równość, kiedy jedna strona jest wolna, a druga nie?

— Myślę, że można starać się wprowadzić tę równość.

— Ma pani na myśli tę stronę, która jest wolna?

— Niekoniecznie. To zależy, czego się szuka. Myślę, że nigdy nie trafił mi się związek, o którym myślałabym, że skończy się małżeństwem. — Uśmiechnęła się. — Przynajmniej od czasu osiemnastych urodzin.

— Co się przydarzyło, gdy skończyła pani osiemnaście.

— Byłam wciąż niewinną młodą dziewczyną.

— Aż do pójścia na Oxford?

Kate znów się uśmiechnęła.

— Długo się to nie utrzymało.

Ach, ty kłamczucho, pomyślała. Utrzymało się przez półtora roku. Dopiero pewien Moralny Odnowiciel z Keble, dryblas z Georgii o łagodnym głosie, który miał Bogs po swojej stronie i który, jak się później okazało, zbierał dla CIA dane o innych studentach, zdołał sforsować jej fortyfikacje. Kate często się zastanawiała, co też napisał na jej temat. Ta krótka młocka na zakurzonej dywanie w bursie Św. Anny, przerywana co chwila jej oporem, była dla obojga równie krępująca, co poniżająca. Nie dla niej kariera Maty Hari. Kate uśmiechnęła się do nachmurzonego chińskiego kelnera i zamówiła kurczaka z orzechami, pieczoną kaczkę, pieczeń wieprzowa, smażone kluseczki i butelkę wina oznaczonego w Karcie numerem 21.

— I poproszę łyżki i widelce — dodała, a Gordon przysięgłby, że słyszał, jak kelner w tym momencie zawarczał.

— Niech się pan nim nie przejmuje. Jedzenie jest dobre.

Gordon spoglądał, jak nalewa herbatę do dwóch filiżanek.

Dobrze było w Oxfordzie?

— Lepiej niż w szkole.

— A szkoła gdzie była?

— W zakonie w Dorset.

— Gra w lacrosse, cnota i zimne prysznice.

— I mnóstwo Szekspira.

A potem kółko dramatyczne na uniwersytecie ox-fordzkim.

Kate pokręciła głową i zaśmiała się.

— E.T.C.A skąd pan wie o moich próbach aktorskich? Czyżby w moich aktach była jakaś wzmianka?

— Zapewniam panią, że nie mam dostępu do pani akt. Powiedzmy, że zgadłem na podstawie zawartości pani biblioteki.

— Myślałam, że będę drugą Ellen Terry*.

— Więc musiała być pani niezła.

— Nie byłam. A przede wszystkim nie byłam skłonna do poświęceń, którymi można nadrobić niedostatki talentu.

[* Słynna aktorka angielska, 1847–1928 (przyp. tłum.)]

— Kanapa reżysera?

— Miałam na myśli raczej zwykłą harówkę i frustracje.

— U mnie też musi pani harować.

— To nie to samo. Wiem, że robię to, co potrafię.

— Co potrafię robić dobrze. Kate wzruszyła ramionami.

— Dobrze robię to, czego mnie pan nauczył.

— Nie przejadło się pani?

— Reaktor prędko.

— Traktuję go już jak własne dziecko. Chcę zobaczyć jego narodziny.

— To potrwa dziesięć albo jedenaście lat.

— Będę się o niego troszczyć.

— Nigdy nie miała pani żadnych wątpliwości?

— Co do pracy?

— Nie, reaktora.

— Może na samym początku. Kiedy musiałam wszystko przeczytać, te wszystkie argumenty za i przeciw. Jednego dnia wierzyłam nam, drugiego im. Każdy zdawał się mieć rację.

— Co więc zadecydowało? Kate zachnęła się.

— Nic. Moja praca. Rząd powiedział, że będziemy budować KDRPP. Dlatego Martin Reid tak mnie wczoraj zdenerwował. Dajemy im wszystkie materiały, a oni nadal twierdzą, że nie są pewni, co należy robić.

— Boją się tego reaktora. Każdy się boi. To jest faustowski pakt. Tania energia na dwieście lat w zamian za ciało i duszę rodzaju ludzkiego.

— Pan też się boi?

— Tak. Nagle poczułem, że się boję. — Gordon w milczeniu nalewał wino. Właśnie podano pierwsze miseczki z potrawami.

Nie chciał rozmawiać o sprawach zawodowych, a tym bardziej ujawniać swych przekonań.

Ale właściwie nie mamy wyboru, prawda? spytają Kate. — Z racjonalnego punktu widzenia, musi do tego dojść. - Wyglądała na tak zmartwioną, że Gordon na chwilę ujął jej leżącą rękę.

— Oczywiście, że nie ma wyboru. Decyzje już zapadły. Proszę mi pomóc przełamać opory.

— Skąd opory? Nie rozumiem.

Ja też odparł Gordon z uśmiechem. — Czasem tylko nachodzi mnie myśl, że próbujemy spisywać na nowo prawa przetrwania rodzaju ludzkiego i że powinniśmy bardziej uważać, żeby czegoś nie sknocić.

Spojrzał w bok uświadomiwszy sobie, że znowu wyjawiał więcej niż zamierzał.

— Ale nie zaprosiłem pani na lunch, żeby zajmować się reaktorem. Wręcz przeciwnie, chciałem od niego uciec.

Może powinien był pan wybrać inne towarzystwo.

— Nie chciałem innego towarzystwa.

Gordon spojrzał na Kate. Obserwowała go z głową lekko pochyloną na bok i twarzą gotową do uśmiechu. Podejrzewał, że to wyraz jego twarzy nie pozwala jej się uśmiechnąć, choć nie umiałby powiedzieć, o czym właściwie myśli i co czuje. Wobec tego zaczął jeść.

Może wycieczka do Włoch rozwiązałaby pana problemy — rzekła Kate. Zobaczyłby pan na własne oczy, jak się rusza i co mówi duży reaktor powielający.

Gordon roześmiał się.

— Lepiej, żeby się jednak nie ruszał. A zresztą, gdybym nawet wybrał się do Toskanii, na pewno wolałbym spędzić parę dni w Sienie albo w San Gimignano.

Myśli pan, że uda mi się przy okazji trochę zwiedzić?

— Zawsze można załatwić jeden dzień więcej. Chyba że naszemu gościowi z Ameryki bardzo będzie się śpieszyć do domu.

Kate uśmiechnęła się, a Gordon, patrząc na nią, poczuł nagły przypływ ciepła i uczucia do tej świeżej, młodej twarzy. Wyjdź z tłumy, pomyślał. Powiedz mi wszystko o sobie. Powiedz, gdzie byłeś i co robiłeś. Opowiedz mi o ludziach, których kochasz, o tych, których nienawidzisz, i o tych, których się lękasz.

— Skąd ta szkoła zakonna w Dorset? Kate uśmiechnęła się znad talerza.

— Matka Irlandka. Dokąd Oxford mnie nie wyemancypował miałam głowę pełną katolickich bzdur.

— Podobno tam dobrze uczą.

— Mają dobre metody, żeby się dowiedzieć, w co nie należy wierzyć. Na przykład zakonnice i księża ślubujący celibat i zabawiający się z uczennicami. Cała obłuda będąca częścią tego systemu. Nigdy pana nie uderzyła olbrzymia ilość edyktów i

proklamacji na temat rodzenia dzieci i małżeństwa, wydanych przez zaprzysiężonych wyznawców bezzennałości?

— Niewinna niewiedza.

— Nie taka znów niewinna. Mam młodszą siostrę, która zbyt łatwo zawierza swojemu księdzu, a której życie byłoby o wiele szczęśliwsze, gdyby diabeł miał do niej łatwiejszy dostęp. Dziesięć lat temu powinna była usunąć ciążę, ale ten ksiądz wytłumaczył jej, że powinna wyjść za mąż. A gdy małżeństwo okazało się klęską, powiedział jej, że nie ma prawa nawet myśleć o rozwodzie.

— Kate już się nie uśmiechała.

Czułe miejsce, pomyślał Gordon.

— Nigdy chyba nie zastanawiałem się nad Kościołem katolickim. Docierała do mnie tylko jego architektura i freski. I może jeszcze dalekie bicie dzwonów, gdy w upalne niedzielne przedpołudnie leżałem w cieniu cyprysów.

— Niech się pan na to nie da nabrać — rzekła Kate, wciąż poważna i podenerwowana. — Religia rzymskokatolicka jest represyjna, skorumpowana i korumpująca i niewiele dobrego można o niej powiedzieć, jeśli pominąć nielicznych ofiarnych misjonarzy, którzy potrafią zapomnieć o Bogu i zająć się niesieniem chrześcijańskiej pomocy ludziom.

— A proboszczowie?

— Tylko sączą truciznę. Gordon roześmiał się.

— A ja zawsze myślałem, że jestem kandydatem do nawrócenia.

Kate potrząsnęła głową.

— Nigdy by się to z panem nie udało. Zresztą, panu takie podpory są niepotrzebne.

— Jakie znów podpory?

— Ta gadka o wszechświecie. O maleńkim laboratorium Pana Boga. Kim jesteśmy i po co żyjemy. — Przerwała na moment, gdy zachmurzony kelner zbierał ze stołu puste talerze. — Intelktualna ucieczka od dwóch pojęć, których rozum ludzki nie jest w stanie ogarnąć.

— Jakich mianowicie?

— Nieskończoności i nicości. Tylko jezuici jakoś się z tego wywinęli.

— A za nimi poszło wiele olbrzymich umysłów.

— Dobrych zgniłych umysłów.

— Mój umysł gnije od równo dwudziestu pięciu lat. Może powinienem się do nich przyłączyć.

— Mówiłam już, że pan nie potrzebuje takich podpór. Gordon roześmiał się.

— Czego więc potrzebuję?

— Pewnie tego, co większość mężczyzn.

— Czyli czego?

— Trudno to wyrazić słowami. Chodzi mniej więcej o to, żeby nie spędzić całego życia w obrębie własnej jaskini.

— Większość właśnie tak robi.

— Ale nie mężczyźni, których znałam.

To brzmi prawie jak wyzwanie, pomyślał Gordon.

— Ale pana zatkało — roześmiała się Kate.

Może nic nie mówię, żeby nie wyjawić zbyt wiele na swój temat.

A co ma pan do wyjawienia?

— Sam do końca nie wiem. Gdyby nie te reaktory, byłbym szczęśliwym człowiekiem.

— I, pomijając reaktory, jest pan zadowolony ze swojej pracy?

Niekiedy. Choć wolałbym czytać książki historyczne albo zajmować się ogrodem.

— A nie odkrywać świat? Może.

— Dom to schronienie.

— Żonie odpowiada rola schronienia?

— Powiedziałem „dom”, nie „żona”.

Ton jego głosu nagle ochłódł na tyle, by Kate zorientowała się, że ten temat został wyczerpany.

— Więc wróćmy do reaktora powiedziała do tej łyżki dziegciu w pańskiej beczce miodu.

— Jeśli to tylko łyżka. Gordon skinął na jednego z bardziej przyjaźnie wyglądających kelnerów i poprosił o rachunek. — Wygląda na to, że niż atlantycki się rozbudowuje. Najpierw góry niewinnych, białych pierzastych chmur jak czarki bitej śmietany, potem przychodzą dwa miesiące burz i zamieci i już mamy zimę.

I rzeczywiście, gdy wyszli na ulicę, zaczynało się ściemniać. Na niebie białe cumulusy ustąpiły miejsca burym chmurom. Chodniki

pustoszały, ludzie spodziewali się, że będzie padać przez całe popołudnie.

— Nie wolno dopuszczać do klęsk żywiołowych powiedział Gordon spoglądając na niebo. MPE wyjaśnił zdziwionej Kate. Zastanawiam się, czy błędu człowieka nie należałoby przeklasyfikować na klęskę żywiołową.

Rozstali się na Haymarket. Teraz była kolej Kate, by spędzić parę godzin w biurze ZEA.

Błąd człowieka, przeczytał Gordon siedząc na piętrze autobusu linii numer 12. MPE, strona jedenasta: 8 października 1957, Windscale, Wielka Brytania. Fizyk obsługujący chłodzony powietrzem reaktor do produkcji plutonu numer jeden nieopatrznie dopuścił do zbyt wielkiego wzrostu temperatury w trakcie rutynowej obsługi. Co najmniej jeden pręt paliwowy stanął w ogniu, lecz upłynęły dwa dni, nim ktokolwiek zorientował się, że coś jest nie w porządku. 10 października stwierdzono ślady radioaktywności na szczycie wieży, przez którą powietrze chłodzące reaktor uchodziło do atmosfery. Za pomocą zdalnie sterowanych kamer stwierdzono, że rdzeń paliwowy, w sumie jedenaście ton uranu, stoi w płomieniach. Nikt nie wiedział, co robić. Próba ugaszenia ognia dwutlenkiem węgla spowodowała wzrost intensywności pożaru, a jedyną inną możliwością było wpompowanie wody, co z kolei mogło doprowadzić do utlenienia roztopionego metalu we wnętrzu reaktora, a następnie do wybuchu wodoru, i w konsekwencji rozsądzenia budynku

reaktora. Innego wyjścia jednak nie było. Miejskowa policja została uprzedzona o możliwości skażenia okolicy. Przeprowadzono ewakuację załogi. Na miejscu pozostało tylko trzech ludzi, w tym komendant miejscowej straży pożarnej. 11 października o 8.55 rano przeżegnali się i otworzyli zawory hydrantów. Do wybuchu nie doszło, pożar powoli wygasał, ale 20 tysięcy kiurów jodu-131 ulotniło się do atmosfery poprzez filtry powietrza, a ślady radioaktywności spowodowanej pożarem stwierdzono później tysiąc kilometrów dalej, po drugiej stronie Morza Północnego. Choć trudno w to uwierzyć, nie prowadzono obserwacji długoterminowych skutków promieniowania, na jakie zostali narażeni mieszkańcy Westmorelandu i Cumberlandu. Być może uznano, że zdrowiu ich nie zagraża niebezpieczeństwo, skoro dwa miliony litrów mleka z okolicznych farm wylano do rzek i morza w obawie, że pasące się krowy mogły zjeść trawę skażoną jodem-131. Był to dramatyczny gest, który wówczas, jak się wydaje, uspokoił opinię publiczną. Tylko że efekty oddziaływania tych dziwnych substancji ujawniają się dużo później. Gordon przypomniał sobie, że w dwadzieścia lat po próbach z bombami na atolu Bikini specjaliści stwierdzili podwyższoną radioaktywność i zarządzili ewakuację 137 mieszkańców wyspy. Dwadzieścia lat później i prawdopodobnie o dwadzieścia lat za późno.

Konstrukcja i zasady postępowania uległy od tego czasu zmianie. Inspektorzy IJ orzekli, że awaria tego rodzaju co w

Windscale nie ma prawa się powtórzyć. Ale gdy projektowano ów reaktor, wykluczono też możliwość popełnienia takiej serii błędów w trakcie normalnej jego eksploatacji. NPA czy raczej NNPA — awaria ósmego czy też dziewiątego stopnia?

A co robić ze zużytymi urządzeniami, zastanawiał się Gordon. Po awarii w Windscale dwa reaktory zostały wyłączone, ale nikt dotąd nie wymyślił w miarę taniego sposobu rozebrania ich. Przyjmuje się, że reaktory prędkie powielające będą pracować od dwudziestu pięciu do trzydziestu pięciu lat. Gdy w końcu zostaną wyłączone z eksploatacji, też trzeba będzie coś z nimi zrobić: trzeba będzie rozebrać sporych rozmiarów budynki, następnie radioaktywny basen i wszystkie skażone elementy, po czym trzeba będzie to wszystko, włącznie z maszynami użytymi do demontażu, gdzieś zakopać albo w inny sposób zabezpieczyć. Tylko gdzie? A w ogóle, jak długi jest ten łańcuch? Co będzie z maszynami, które rozbiorą na części maszyny, które demontowały reaktor? Reaktory w Windscale pozostawiono w stanie nienaruszonym i zalano betonem w nadziei, że ich radioaktywność została złożona w grobie raz na zawsze. Na zawsze? To przywodziło na myśl zagadkę wszechświata, o której mówiła Kate, jedno z tych dwóch pojęć, których rozum ludzki nie - jest w stanie ogarnąć. Wieczność.

Kac męczył Dave'a przez całe przedpołudnie i pół popołudnia, zarówno na ziemi jak i w powietrzu. Nudności i ból głowy pozbawiły go porannego biegu nad morzem i teraz czuł się ociężały i nieuważny, prawie brudny. Podczas lotu z Wick na południe, Wielki George z pewnym niepokojem przyglądał się chmurnemu, milczącemu Amerykaninowi. Jest rozczarowany, pomyślał. Jeśli okaże swe rozczarowanie w Londynie, utracimy Gordona Aylena, a razem z Aylenem utracimy Martina Reida i rząd. A na domiar złego Ridgeway został zaproszony do Segre, co może grozić wszelkiego rodzaju komplikacjami międzynarodowymi. Jeżeli Amerykanie dogadają się z Francuzami, myślał dalej George, wszystkie niedowiarki w Londynie powiedzą: „Dajmy sobie spokój z tą zabawą w reaktory, niech oni się tym zajmą. Jeśli będzie nam to kiedyś potrzebne, wkupimy się z powrotem do tego klubu”.

Klin. W większym samolocie, do którego przesiedli się w Aberdeen, był barek, toteż chandra Ridgewayą odpłynęła. Odpłynęły również chmury, dzięki czemu Wielki George mógł mu pokazać skąpane w słońcu Góry Pennińskie, zanim gdzieś na północny zachód od Bambury znowu dopadł ich niż atlantycki.

Gdy ponownie zanurzyli się w chmury, Dave zwrócił się do George'a z uśmiechem biznesmena:

— A zatem będziemy współpracować? George wcisnął się w fotel najgłębiej jak mógł.

— A czy już teraz nie współpracujemy? Razem prowadzimy prace badawczo-rozwojowe...

Chodzi mi o budowę KDRPP.

— Wspólnie?

— W Londynie macie kupę przerażonych urzędników, nie mówiąc już o zwariowanych politykach. Paręset milionów naszych dolarów na pewno pomogłoby im szybciej myśleć.

— Ale nie ma jeszcze raportu.

— Otóż to. Niech ruszą we właściwym kierunku zanim ujrzą ten raport.

Wielki George z trudem przełykał i dławił się dżinem. Przecież ja jestem tylko tępakiem od mass mediów, przekonywał sam siebie, a ten próbuje prowadzić ze mną rokowania.

A skąd weźmiecie dla nas pieniądze, skoro nie macie decyzji o budowie?

— Z budżetu na badania i rozwój. W końcu to się rozłoży na dziesięć lat, bo tyle trwać będzie budowa KDRPP. Nie będziemy nawet musieli ubiegać się o dodatkowe fundusze, przynajmniej na początku.

George spojrział w bok na drugi rząd foteli i do tyłu, jakby obawiał się, że ktoś ich podsłuchuje. Bardzo cicho powiedział:

— Praktycznie chodzi wam o to, żebyśmy sprzedali wam nasze doświadczenie w projektowaniu, budowie i eksploatacji.

Ridgeway dla odmiany mówił pełnym głosem.

— Zrobilibyśmy z tego wspólne przedsięwzięcie brytyjsko-amerykańskie. Po połowie: obsługa, dostawy urządzeń, finansowanie — tu zawiesił głos i zarządzanie.

Steward pochylił się w ich stronę: zapiąć pasy, nie palić. Samolot schodził do lądowania w Slough. Wielki George spojrzął na siedzącego obok uśmiechniętego olbrzyna. Boże mój, pomyślał, chcieliśmy, żeby trochę nam pomogli, a ten szalony kowboj ledwo rzucił okiem, i od razu chce zwędzić połowę naszego dorobku.

12

Gordon wymknął się z zatłoczonej łoży dla urzędników państwowych pod koniec godziny pytań.

Pani premier, korzystając z ogólnego opracowania na temat bezpieczeństwa przygotowanego przez Gordona, wiła się jak piskorz i robiła dobrą minę do złej gry. Człowiek numer dwa w Partii Liberalnej zadał z pozoru niewinne pytanie w kwestii porządku publicznego, dotyczące uprawnień miejskiej służby parkingowej. Do tego pytania dołączył nie mającą nic do rzeczy, choć mieszczącą się w ramach dozwolonej procedury uwagę, iż względy bezpieczeństwa instalacji atomowych sprawiły, że krajowi zostało narzucone istnienie dodatkowej, silnej liczebnie

policji, tym razem niezależnej i uzbrojonej, która ma pełne uprawnienia do przeprowadzania rewizji.

— Nie jest dla mnie jasne — oświadczył — jakim sposobem sekretarz stanu do spraw energetyki mógł stać się jedyną ustawową władzą w kwestiach dotyczących bezpośrednio ludności cywilnej, które do tej pory były zastrzeżone dla sekretarza stanu do spraw wewnętrznych i premiera.

To właśnie, pomyślał Gordon wychodząc na dziedziniec, stanie się prawie na pewno jednym z elementów oficjalnej polityki liberałów, a zatem i nowym przebojem lobby antyatomowego. Co będzie, jeśli to rozdmuchają i staną do wyborów uzupełniających pod hasłami obrony środowiska? Na hasłach na pewno im nie zbywa.

Na dworze dogorywało babie lato. Wzdłuż Millbank dał przesycony wilgocią wiatr, pewna zapowiedź deszczu. Z pochyloną głową, Gordon spieszył do swego sanktuarium. W gabinecie przejrzał szufladki z dokumentami w poszukiwaniu lektury obowiązkowej na popołudnie. „Raport o postępach prac nad reaktorem gazowym drugiej generacji Dungeness B”. Dobra rzecz dla kogoś, komu potrzeba trochę pustego acz ponurego śmiechu.

Panowała błogosławiona cisza, nikt nie wzywał go na dół, spokój niczym w czytelnicy, do czasu, gdy zadzwonił telefon i w słuchawce odezwał się z daleka śpiewny głos Mary. Gordon uzmysłowił sobie, że powinien był sam wcześniej zadzwonić, żeby jej powiedzieć dzień dobry i że wszystko jest w porządku.

— Mam dobre wieści — oznajmiła. — Zaproсили Roxy'ego na sesję nagraniową na wieczór.

— Myślisz, że będzie miał z tego pieniądze? — spytał Gordon z niedowierzaniem.

— Hm, na razie chyba nie. To będą nagrania próbne. Ale jeśli im się spodoba, może będzie i kontrakt.

— On już robił kiedyś próbne nagrania, jeśli się nie mylę.

— Ale nigdy firma płytowa nie pokrywała kosztów ani nie zapewniała muzyków.

— Ucieszył się?

— Jeszcze jak.

— Wspaniale. Zasłużył sobie na trochę szczęścia.

— Wiesz, on naprawdę ma talent. Gordon chrząknął.

— Wiesz — ciągnęła po chwili milczenia — tutaj leje. A ty nie wzięłaś parasola i prochowca.

Gordon znowu chrząknął.

— Udało ci się pospać choć trochę?

— Pięć, może sześć godzin — odpowiedział Gordon, ożywiając się nagle. — Nocleg ze śniadaniem przy Eccleston Square. — Wyszło mu to tak naturalnie i łatwo jak „Cześć” na powitanie. Pierwsze poważne kłamstwo w ciągu dwudziestu siedmiu lat, jakie przeżył z Mary. I Po co? Nocowanie u znajomych z biura po pracy do późna w nocy nie jest niczym nadzwyczajnym. — Czysta pościel i najmniejsze jajko sadzone, jakie widziałem od wojny. — Kłamstwo upiększone szczegółikami.

Mary zaśmiała się.

— Postaram się zdążyć na pociąg o dziewiątej — powiedział na pożegnanie, w chwili, gdy w wychodzące na południowy zachód okno jego gabinetu uderzył rzęsy deszcz.

Henshaw patrzył na deszcz z okna wychodzącego na małą, ciemną uliczkę. Jeśli pominąć uzyskaną od Saltera obietnicę, że załatwi jakiś „kontakt” na późny wieczór, jego drugi dzień spędzony w Londynie zupełnie się nie udał: trzy osoby z jego listy okazały się „nieosiągalne”, a czwarta, u której właśnie przebywał, nieprzyjaźnie usposobiona i obojętna. Pierwszy raz od momentu przybycia do Londynu zapytano go o nazwę i charakter agencji, dla której pracuje.

— Można by to nazwać izbą rozrachunkową do sprawdzania przecieków i zdobywania informacji na zamówienie. Mamy telefon, pod który może zadzwonić każdy, kto uważa, że wpadł na trop tajemnicy, jaka jego zdaniem powinna zostać wydobyta na światło dzienne. Na ogół jesteśmy w stanie zbadać i ocenić dany przeciek, a następnie sprzedać środkom masowego przekazu.

— Płacicie waszym informatorom?

— Na ogół nie żądają zapłaty. W większości to zgłoszenia anonimowe. Przychody przeznaczamy na prowadzenie dochodzeń. Kiedy w końcu coś wypuszczamy, każdy szczegół jest podwójnie sprawdzony. — Rozmówca nadal przyglądał mu się z dezaprobatą. Henshaw parł do przodu, korzystając z chwilowego przyływu elokwencji:

— Wysłuchujemy więcej bzdurnych bajeczek niż trzyletni dzieciak. Nawet jeśli się trafi niezła informacja, często trudno ją sprzedać.

— Pan mi próbuje coś sprzedać?

— Szukam kogoś, kto chciałby ze mną współpracować w rozgryzieniu pewnej sprawy.

— Mamy własnych specjalistów w bardzo wielu dziedzinach i, jeśli to tylko możliwe, chcemy, by posługiwali się jedną parą oczu i uszu. Dziennikarstwo zespołowe sprawdza się tylko w telewizji. I filmie. — Twarz rozmówcy Henshawa wykrzywiła się jeszcze bardziej na znak coraz większej dezaprobaty, gdy odezwał się brzęczyk, sygnał, że ma podnieść słuchawkę. Henshaw dosłyszał przytłumiony, pełen entuzjazmu głos, i częste wybuchy śmiechu.

Odwrócił wzrok; przez otwarte drzwi widać było okno sąsiedniego pokoju, a za oknem deszcz siekący o drzewa na dużym skwerze przy alejce biegnącej na tyłach budynku. Rozmowa telefoniczna dotyczyła potraw w jakiejś japońskiej restauracji, dziewczyny lub kobiety o imieniu Antonia, faceta imieniem Anus, i książki, którą nazywali Księgą, choć Henshaw podejrzewał, że wcale nie chodzi o Księgę Rodzaju.

Przybysz z Ameryki podniósł z podłogi swą torbę podróżną w szkocką kratę i wyszedł z biura nie zatrzymywany i najwyraźniej nie żałowany przez nikogo. Przypuszczał, że gdyby rozpoczął swoją petycję od lunchu w japońskiej restauracji, wynik rozmowy

bardziej by go może zadowolili. Niestety, nie stać go było na takie gesty.

Pięć minut później, w kawiarence przy głównej ulicy, rozgrzewał dłonie o filiżankę herbaty, usiłując przekonać sam siebie, że powinien wrócić na tamtą ulicę i do tamtego biura. Do takiej roboty trzeba więcej ikry, mówił do siebie w myślach. Wetknij nogę w drzwi i wbij się szponami w ścianę, gadaj do upadłego i przy tym nikogo do siebie nie zraż. Popatrzył przez szybę na twarze Londyńczyków, którzy spieszyli przed siebie chroniąc głowy przemokniętymi gazetami, teczkami i torbami na zakupy. Ulica była mokra i ponura: tak samo mogła wyglądać któraś z południowych przecznic Piątej albo Szóstej Alei. Z tego punktu widzenia ziemia jest niewątpliwie okrągła.

Tyle że dla Henshawa Nowy Jork też był obcym miastem, jeszcze jednym miejscem, gdzie czuł się nieswojo i gdzie popołudniami i wieczorami tęsknił za swym miasteczkiem w Kalifornii, w którym mieszkał do czasu powołania do wojska. Psiakrew, pomyślał, najwyższy czas dorobić się wspomnień, które nie będą powracać w koszmarnych snach.

13

Miasto odbijało się w mokrych ulicach jak w kanałach. Dziesięć milionów światła Londynu i ani jednego turysty na

Parliament Square, jedynie na ciemnych chodnikach pojawiali się przemoczeni ludzie, którzy po pracy biegli bez parasoli na dworzec. Znow dali się zwieść całemu tygodniowi słonecznej pogody i optymistycznej prognozie podanej jeszcze tego ranka. Ktoś stojący na chodniku przy George Street zazdrośnie spojrział na Gordona, korzystającego na koszt podatników z ciepłego i suchego schronienia we wnętrzu czarnego rovera.

ZEA jest w stanie zaawansowanej hysterii mówił do niego sekretarz stanu do spraw energetyki. Podobno ten pański Ridgeway zaproponował podzielenie się reaktorem po połowie.

ZEA powinien skakać do góry z radości, panie sekretarzu. Koło się zamyka. Nareszcie mamy odwet za McMahona. Jankesi potrzebują pomocy.

Wydaje mi się, że ludziom z ZEA niezależność imperium atomowego uderzyła nieco do głowy. Nagle nie są całkiem pewni, czy zechcą odstąpić choćby jego cząstkę. Dzięki Bogu, wszystko to nie ma żadnego znaczenia, dopóki nie ukaże się raport inspektora.

Ale z Ridgewayem tak czy tak musimy pertraktować.

Negocjować może pan do upadłego, byle tylko nie prosił mnie pan o popieranie czy zatwierdzanie czegokolwiek.

Gordon oglądał przez szybę czarne drzewa na tle stawu w St. James's Park.

Gdyby Ridgeway pana słyszał, wsiadłby w pierwszy samolot do Paryża i nie mielibyśmy już nad czym się zastanawiać. Francuzi zaproponowaliby mu udział w budowie Super-Pheniksa 2. Ze dwa

tygodnie będą się spierać o warunki umowy, w przededniu wyborów w Ameryce podpiszą je, a my zostaniemy na lodzie głowiąc się, czy aby znowu nie uciekł nam jakiś pociąg.

— Niech się pan tak nie zamartwia — Martin uśmiechnął się do niego, gdy skręcili w The Mall. — Jeśli stracimy Amerykanów, pozostają jeszcze Japończycy. Mają równie wielkie problemy ze swoimi „zielonymi”. Niewykluczone, że zechcą pomóc nam zbudować to monstrum na naszej ziemi, pod warunkiem, że raport wypadnie pomyślnie i pod warunkiem, że uznany, iż potrzebujemy współnika. — Martin najwyraźniej zapalił się do tego pomysłu. — Departament handlu i przemysłu byłby zachwycony. Elegancka umowa o współpracy w dziedzinie technologii dla zrównoważenia importu towarów japońskich. I do tego możliwość niewielkiego zaangażowania strony chińskiej.

A na dodatek, myślał Gordon, Ralph Ordish byłby załatwiony, a jego klika w rządzie rozdarta na dwoje. Ciekawe, dlaczego zawsze tak łatwo odgadnąć, co polityk naprawdę myśli? Nawet Martin, który zazwyczaj bardzo starał się o obiektywizm. O strategii dotyczącej reaktorów prędkich powielających nie może przecież rozstrzygnąć przepychanka w gabinecie między sekretarzem do spraw energetyki a sekretarzem spraw zagranicznych.

W ciemności za szybą przesunął się St. James's Palace. Za pięć minut na znak przyjaźni będą sączyć koktajle z członkami francuskiej delegacji rządowej, w towarzystwie przedstawicieli resortów skarbu, rolnictwa i rybołówstwa, transportu i obrony, i

będą zapewniać swych gości, że Brytyjczykom wielce imponują ich rozliczne osiągnięcia, takie jak Phénix, oś Bonn-Paryż, wąż walutowy, Wspólny Rynek, pierwszych dwieście metrów tunelu pod Kanałem czy, dajmy na to, francuskie niezależne środki atomowego odstraszania.

Gordon rozstał się z Martinem u wejścia do Lancaster House. Miał pewną zasadę umożliwiającą przetrwanie takich uroczystości: zawsze patrzeć z zamyśloną miną ponad głowami uczestników, bo w ten sposób można uniknąć pomyłek w rozpoznawaniu mgliście znajomych twarzy i dawno zapomnianych nazwisk. Przyjęcia nie byłyby zbyt udane, gdyby wszyscy tak postępowali, lecz Gordonowi ów system zazwyczaj służył dobrze. Ale nie dziś. Ledwo wsunął się w drzwi, dostrzegł go z odległości trzydziestu metrów i dopadł z nieokiełznaną werwą i entuzjazmem nikt inny jak Dave Ridgeway, który po drodze zdołał jeszcze porwać szklaneczkę szkockiej z tacy przechodzącego kelnera.

— Stęskniłem się za tobą, Gordonie! Jesteś moim jedynym przyjacielem na tej malutkiej, ciasnej wysepce!

Nieproszony, wcisnął Gordonowi w dłoń szklanę z whisky, choć ten wszystko by akurat oddał za szklanę zimnego martini. Na plecach poczuł wielkie, zaborcze ramię.

— Lubię wiedzieć, że jestem kochany, Gordonie, a tu nikt mi nie powiedział, że mnie kocha.

— Wszyscy cię kochamy — mruknął Gordon. Dave zarechotał.

— Jestem chorobliwie zazdrosny, Gordonie. O ten drobiażdżek, który macie w Szkocji. Chciałbym cofnąć się o dwadzieścia lat, być tam z nimi i znów ruszać głową.

— Gdybym ja miał się cofnąć o dwadzieścia lat — powiedział Gordon przełykając whisky myślę, że chciałbym wykładać historię na jakimś niewielkim zagubionym uniwersytecie gdzieś w Nowej Zelandii.

Dave znów się zaśmiał i nie zwalniając uścisku przeciągnął Gordona przez całą salę.

— Nigdy nie spotkałem nikogo, kto potrafiłby ukryć się przed samym sobą lepiej niż ty.

Ridgeway zmierzał w ściśle określonym kierunku, lecz Gordon na razie nie wiedział, o co mu chodzi.

— Myślę, że znaleźliśmy sojusznika — oznajmił wreszcie Dave. — Coś, co moglibyśmy określić jako zapasową strategię na wypadek, gdyby z pierwszą coś się popieprzyło.

Uśmiechnęła się do nich twarz o oliwkowej karnacji. Piękne uśmiechnięte usta, do tego piękne kruczoczarne włosy. Arabka, pomyślał Gordon.

— Zatoka Perska — szepnął Ridgeway. — Shama Zarviz, Gordon Aylesen - donośnie dokonał prezentacji.

— Poznałem Shamę w Nowym Jorku. Jeździ za mną po całym świecie.

Piękne uśmiechnięte usta roześmiały się, a brązowe oczy spoczęły na Gordonie. Uścisnęli sobie ręce.

— Niech pan nie zwraca uwagi na to, co on mówi.

— Shama posłała ukłon na drugi koniec sali. — Składam wizytę waszemu departamentowi handlu.

— Szczęściarze — powiedział Gordon. — Kupujemy coś od was czy sprzedajemy?

— Ja kupuję.

— Zatem mam przyjemność z Bardzo Ważną Osobistością. Niech się pani trzyma z dala od Francuzów. Jeszcze nam panią gotowi odbić.

Ridgeway ujął Shamę pod rękę.

— Pani Zarviz jest entuzjastką reaktorów prędkich. Shama spojrzała na Gordona i pokręciła głową.

— Zadałam mu tylko jedno zupełnie niewinne pytanie.

— Tak, za milion dolarów — zaśmiał się Dave. — Możesz być pewny, że urocza dama zawsze znajdzie twój słaby punkt.

Gordon wciąż wpatrywał się w brązowe oczy i nieustający uśmiech zastanawiając się, w jaki sposób tej wykształconej Libance udało się zostać wędrującą przedstawicielką szejków naftowych.

— Co będzie — spytała — jeśli nie pozwolą wam zbudować pokazowego reaktora powielającego na terenie kraju?

— Co oznacza, Pielgrzymie — wtrącił Ridgeway - że rozważaliśmy możliwość zbudowania go gdzie indziej.

— Na przykład w Zatoce Perskiej rzekła Shama spoglądając na Gordona. I wzruszywszy ramionami dodała:

— Właśnie przyszło mi to do głowy. Konsorcjum dwóch głównych udziałowców, powiedzmy: brytyjsko-amerykańskie. Naszym udziałem byłoby pokrycie dodatkowych kosztów związanych z budową na naszym terenie.

Chyba zwariuję, pomyślał Gordon. Najpierw Martin z Japończykami, a teraz Ridgeway z arabską księżniczką. Śmiała się do niego swym pięknym uśmiechem.

Jest pan chyba przerażony. Czy my to taka straszna perspektywa?

Myślałem o trzęsieniach ziemi skłamał Gordon. Tak naprawdę, myślał o rewolucjach i wojnach domowych.

— Są na to sposoby powiedziała kobieta o intensywnie brązowych oczach.

Gumowe podkładki i amortyzatory — wyjaśnił Ridgeway. — Żadnych problemów, z wyjątkiem kosztów.

Przypuszczam, że w tym właśnie moglibyśmy pomóc. Jej piękna oliwkowa twarz przybrała poważniejszy wyraz. — Zanim omówimy szczegóły, musicie mi chyba powiedzieć, jakie są koszty budowy reaktora.

— Około trzech miliardów jak dla pani — odrzekł Ridgeway. — Dwa i pół miliarda, jeśli budować go tutaj.

Więc może zapłacimy te dodatkowe pół miliarda.

— Czy to zobowiązanie?

Shama roześmiała się patrząc na Gordona.

— Przecież to tylko luźna rozmowa. Niechże się pan tak nie martwi.

Kto się martwi? — Gordon odwzajemnił jej uśmiech. - Z radością zbieram wszystkie propozycje.

W Zatoce nie będzie żadnych problemów z ochroną środowiska, pomyślał. Przeciwnikom utnie się języki.

Podsekretarz z departamentu handlu lawirował między zebranymi, by odzyskać Shamę. Przynajmniej w części mówiła prawdę. Gordon był ciekaw, co też ona może kupować. Ci z departamentu handlu i przemysłu wyglądali jak banda z koncernu chemicznego ICI.

— Jest śmiertelnie poważna — powiedział Ridgeway spoglądając w ślad za odchodzącą Shamą. — Gdy spotkałem ją w Waszyngtonie, wszystko miała już rozpracowane. Ta zdawkowość to tylko maska. Próbuje inwestować we wszystko, co zapewni im przyszłość, kiedy skończy się ropa. — Roześmiał się i wziął Gordona pod rękę. — Ale cóż to za przyjemność prowadzić rokowania z taką piękną damą! Ona tak mnie rajcuje, że zgodziłbym się na wszystko. — Dave znowu się roześmiał. — Czy z tymi dwoma miliardami i pół mocno chybiłem?

— Raczej dwa niż dwa i pół.

— Podzielimy się po połowie?

— Jeśli już zdecydujemy się na współpracę, jestem pewien, że będziemy chcieli zatrzymać siedemdziesiąt pięć procent.

Dave stanął jak wryty i spojrzał Gordonowi w twarz.

— A cóż to znowu za współpraca? Na litość boską, Gordon, to musi być na zasadzie wzajemności. Gdy zbudujemy reaktor numer dwa w Stanach, będziecie mieli w tym połowę.

— Jeśli do tego czasu zostaną nam jeszcze pieniądze.

— Albo albo. To inwestycja, a nie jałmużna. Tak widzimy załatwienie tego w Anglii. Wyłożymy połowę na budowę waszego reaktora i chcemy połowy zysków z całego okresu eksploatacji. Wzajemność polegałaby na zbudowaniu w Ameryce reaktora prędkiego tej samej skali, jak tylko Kongres i Biały Dom przestaną się branzlować.

To „jak tylko” odnosi się również do nas. Nie możemy nic uczynić, dopóki nie ukaże się raport.

— W porozumieniu weźmiemy to pod uwagę. Opracujemy alternatywną wersję na wypadek, gdyby raport miał być negatywny.

— Alternatywę trudno chyba znaleźć, no nie?

Dave skinął głową w stronę Shamy, która stała po drugiej stronie sali w otoczeniu grupy menadżerów z ICI.

— Ta dama właśnie jedną nam podsunęła. Jest dobra dla was i dla nas. Jeśli nie pozwolą nam zbudować reaktorów u siebie, zbudujemy je w Zatoce.

— A w połowie budowy wybuchnie wojna domowa.

— To wymyśl inne i lepsze miejsce — w głosie Ridgewaya zabrzmiała nagle złość. — Ty chyba nie masz pojęcia, ile to wszystko trwa. Gdy zbuduje się pierwszy reaktor, będą już lata

dziewięćdziesiąte i zaczniemy mieć kłopoty z paliwem. A przecież ten cholerny reaktor będzie musiał pracować przez kilka lat, żeby się sprawdzić. Dopiero wtedy będziemy mogli rozpocząć realizację właściwego programu budowy reaktorów prędkich. Wy potrzebujecie osiemdziesięciu reaktorów, a my ośmiuset. Gordon, przecież wiesz, jak to jest z czasem. Jeden rok straty na początku oznacza w efekcie dwa lata opóźnienia. I tak dobijemy do roku 1999, światła zaczynają gasnąć, a gdy do tego dojdzie, wtedy to my będziemy mieli rewolucję i wojnę domową.

— Nasze dane szacunkowe mówią zupełnie coś innego. I z obliczeń zaczyna wynikać, że jeśli zaczniemy budować reaktory prędkie, będziemy mieć kłopoty z nadwyżkami energii.

— Pieprzyć statystykę, Gordon. Powinniśmy iść na nosa. Obaj dobrze wiemy, że ludzie będą domagać się coraz więcej i więcej, i to wszystkiego. Żyjemy w zachłannym świecie. Dwa miliardy coraz zachłanniejszych ludzi. I niech Bóg ma w opiece rządy, które nie będą w stanie zaspokoić ich apetytu. - Smutny jest ten świat — rzekł Gordon. Przestań bawić się w filozofię! Nam płacą za realizm.

Jeśli tacy ludzie jak ty i ja nie będą realistami, świat zejdzie na psy.

Dave rozprawiał podniesionym głosem i obecni zaczęli mu się przyglądać z rozbawieniem. Gordon postanowił przeholować go na przeciwległą stronę sali. Dostrzegł ekipę departamentu energetyki spowitą w obłokach białego dymu, i stałego

podsekretarza umizgującego się do Francuza na tym samym stanowisku.

— Czas zasłużyć na nasze drinki stwierdził Gordon. — Mamy przyjęcie na cześć Francuzów, a nawet się z nimi nie przywitałem.

Dave ruszył za nim nadal wymachując rękami w powietrzu.

— Oj, Pielgrzymie, Pielgrzymie. Dość już siedzenia w okopach. Pora chwycić za broń i wyjść na pole bitwy. Nie ma czasu na ćwiczenie gam...

Gordon wyszedł na Pall Mall. Padał deszcz. Zostawił Dave'a Ridgewaya pochłoniętego pić whisky i ożywioną dyskusją z delegacją francuską na temat wad i zalet konstrukcji pętlowej i basenowej reaktorów prędkich.

— Znowu odwracacie się tyłem do Europy? spytał Gordona francuski podsekretarz, gestem wskazując Ridgewaya.

Gordon miał już dość dyplomatycznych wybiegów.

— Wręcz przeciwnie — odpowiedział ze zdawkowymi uprzejmym uśmiechem. Robimy wszystko, żeby w Europie dobrze go przyjęto. Jutro wysyłamy go do Włoch, by napił się waszego szampana na cześć Segre.

— Miałem nadzieję, że to pan pojedzie. Odpowiedz Francuza była wyraźnie nieszczerą.

Gordon życzył mu i Wielkiemu Dave'owi wszystkiego najlepszego. Miał nadzieję, że Kate, która również miała jechać do Włoch, nie znajdzie się na linii ognia. Jeśli dojdzie do ostrej wymiany poglądów, Amerykanin uzna Francuzów za twardych

negocjatorów, i przy odrobinie szczęścia wróci do Londynu na tyle posiniaczony, że zmięknie wobec „tkwiących w okopach” Anglików.

Gordon wszedł na Charing Cross przemoczony do suchej nitki. Miał jeszcze trochę czasu do odejścia pociągu. Peron był pusty i długo stał pod dachem spoglądając na światła po drugiej stronie rzeki. Głowę miał nabitą myślami. W jego udręczonej wyobraźni pojawiały się i znikwały czyjeś brązowe oczy, to znów zielone, to znów dwa uśmiechy.

14

Konsoleta wyglądała nie mniej skomplikowanie niż wyposażenie elektrowni atomowej: format dwa metry na jeden, pełno gałek, przełączników i suwaków. Ta jednak sterownia była napędzana tequilą i marihuaną, język zaś, jakim się tu posługiwano, można było zrozumieć głównie na podstawie gestów i intonacji.

— Niech ktoś powie temu kociemu fiutowi, że jak gra w B, to to B ma być czarne jak dupa Murzyna. I niech mu powie, że jak się jeszcze raz urżnie w trupa po półtorej szklanki dżinu, sam będzie płacił za swoją usraną sesję. — Reżyser włączył mikrofon i za szybą popłynął słodki już głos:

— Podkładzik w słuchaweczkach nie za cicho, panie pianisto?

Biedny Wiewiór, pomyślał Roxy. Siedzi tam sam jeden z klawiaturą i słuchawkami na uszach, pod jedyną lampą w tym ciemnym studiu.

Wiewiór uśmiechnął się ze swej rozległej jednoosobowej celi w stronę twarzy za szybą i wyciągnął w górę kciuk.

— Wpuszczę cię na drugi refren powiedział słodki głos. Po czym dodał, już od siebie, przy wyłączonym mikrofonie:

— Wpuszczę cię w moje własne świeże gównno, jak znowu speprzysz.

Dzięki Bogu, że smyczkom zapłacili i kazali się wynosić, pomyślał Roxy. W tym tempie Wiewiór będzie się pocił jeszcze ze dwie godziny, zanim mu wyjdzie ta improwizacja. Potem kolej na Micka z gitarą akustyczną, i gdzieś koło drugiej nad ranem może dojdą wreszcie do partii wokalnych.

Z tym B to nie był mój pomysł wyszeptał Roxy licząc na to, że znajdzie pocieszenie w błękitnych oczach Micka.

Roxy widział, jak Wiewiór wykrzywia twarz próbując się skupić na huku lejącym mu się w uszy ze słuchawek. Reżyser i inżynier dźwięku, pochyleni nad konsolą, starali się dołożyć rytm i nastrój do ścieżki Wiewióra za pomocą gałek i suwaków.

Do kompletu brakowało tylko dwóch dziennikarzy. Skoro brakowało, to się znaleźli. I to kto Salter ze swym jadowitym piórem. Amerykanin, który z nim przyszedł, wyglądał na znacznie bardziej cywilizowanego.

Pisze do RollingStone'a wyjaśnił Salter. Ale, poza cichym „Cześć”, Jankes w ogóle się nie odezwał, zajęty kartkowaniem jakiegoś ostro pornograficznego błyszczącego magazynu. Odkąd weszli, Roxy starał się zapuścić tam żurawia.

Salter przysunął się w stronę Micka.

Twoja muzyka nie jest rodem z naszych stron.

Błękitne oczy Micka, rozmyte tequila, wysyłały ostrzegawcze błyski.

— To zależy, co rozumiesz przez swoje strony, bracie.

— Słowa są gdzieś ze środka Atlantyku. Nikt tam nie mieszka.

— Wiesz co, lepiej pogadaj z Roxy'm. On się na tym zna prawie tak jak ty.

Roxy stał plecami do Micka, widząc tylko odbicie w szybie reżyserki. Obaj patrzyli na Wiewióra po drugiej stronie szyby. Roxy czuł irytację Micka i słyszał śmiech redaktora, zadowolonego ze swoich przycinków. Ale jeśli ich singiel kiedykolwiek ma wyjść, ten Salter może się przydać. Obiecał, że da o nich przychylną wzmiankę w New Musical Express i Time Out. Dla czegoś takiego warto trochę pocierpieć. Salter podał mu skręta z marihuany. Widzi mi się, że zeszła się tu hałastrą z klasy średniej. — Podobno teraz wszyscy mają być w klasie średniej. Tylko że niektórzy wtrącił Mick — są bardziej średniej klasy niż inni. Salter roześmiał się.

Teraz wiem, skąd biorą się te wszystkie twoje kiepskie teksty.

Mick posłał do studia spojrzenie pełne irytacji. Wiewiór znów się pogubił, i teraz spoglądał na nich znad klawiszy smutnym wzrokiem.

Chyba prosi o drinka — powiedział Salter. Takiego wała może dostać, a nie drinka — odezwał się poetycki głos znad konsoly. Roxy odwrócił się od szyby.

Ja tego nie wytrzymam. Jak na to patrzę, aż mnie coś ściska.

— Wiewióreczko — popłynął przez mikrofon słodziutki głos. Chcesz, żebym cię strząsnął z twojego pierdolonego drzewka? Wiewiór mówił bardzo niewyraźnie.

Wejdę jeszcze raz od początku. Coś nie mogę się wpasować.

Roxy usiadł na długiej kanapie obok Amerykanina, a technicy zajęli się cofaniem taśmy po raz piętnasty. Salter dolał sobie tequili i przysiadł się do Roxy'ego.

Z jakiego domu pochodzisz?

Zwyczajnego, normalnego i nudnego.

Pewnie klasa średnia, inteligencja pracująca.

Roxy skinął głową.

Ojciec lekarz? — Urzędnik państwowy.

To nieźle. Mój stary pracuje w departamencie oświaty i nauki. Salterowi najwyraźniej spodobała się ta zbieżność.

A mój w energetyce. I chyba raczej jej nie cierpi. Wszak to bardziej atrakcyjne niż oświata. Ropa z Morza Północnego i łączenie atomów.

Raczej rozbijanie odparł Roxy rozbawiony. Energetyka atomowa. A w domu nawet korka nie zmieni.

Rozległ się podniesiony słodki głos.

Niech który technik ruszy swoim tłustym dupskiem i zobaczy, czy ten dwupalczasty dupek w ogóle dostaje coś w uszy czy nic. I zanieś mu smoczek, jeśli tego mu brakuje.

No tak, odurzony pianista sesyjny rzekł Salter uśmiechając się do Roxy'ego.

Wiewiór nie jest muzykiem sesyjnym — warknął Mick spod szyby. On ma cudowne czucie w palcach, trzeba tylko umieć do niego podejść.

To podejź i obciągnij mu tego sflaczałego fiuta doradził szeptem słodki głos. Zgasimy światło.

Sam se obciągnij odparł Mick. Trzy godziny temu mieliśmy porządny kawałek, a ty robisz z niego miazgę.

Salter znowu podał Roxy'emu skręta.

Parę dni temu czytałem w gazecie, że Amerykanie mają furę kłopotów ze wszystkimi swoimi programami energii atomowej.

Z reaktorami prędkimi wyjaśnił Roxy. Jakiś Amerykanin był u nas przez weekend.

Siedzący obok Roxy'ego Henshaw nie odezwał się ani słowem. Pograżony w swoim świerszczyku, chyba nawet nie słuchał, co mówili.

Ralph Ordish sprosił na kolację małą, starannie dobraną grupę ludzi i Martin Reid miał nadzieję, że to nie z myślą o nim dokonał selekcji: francuski minister do spraw energetyki, francuski minister spraw zagranicznych, a do tego ambasadorowie Francji i USA. Pijąc bulion z dziczyzny Martin zastanawiał się bezczelnie, w którym też miejscu połyskującego kandelabru Ordish mógł ukryć mikrofon. Sekretarz spraw zagranicznych słynął z kiepskiej pamięci, w związku z czym wyrobił w sobie równie słynny nawyk zapisywania wszystkiego, co mogło się później przydać.

Co się jednak tyczyło jadła i napitków, gospodarzem był doskonałym. Świetnie opanował sztukę rozwiązywania języków, i gdy przy pomocy koktajlu z wina i śmietanki przeszli od rolnictwa do reaktorów prędkich, Francuzi bez owijania w bawełnę odrzucili sugestię Martina dotyczącą ustanowienia międzynarodowego konsorcjum, które pracowałoby nad tymi reaktorami.

Doprowadziłyby to do stanu technicznego samozadowolenia oświadczył francuski minister spraw zagranicznych. Rywalizacja między systemami i zespołami z różnych krajów jest konieczna, jeśli mamy dążyć do zapewnienia maksymalnego bezpieczeństwa i sprawności.

Despekt, jaki spotkał Martina, przez Amerykanina został odebrany niemal z przyjemnością, a sekretarz spraw zagranicznych uśmiechnął się. Martin pojął, co Ordish chciał

osiągnąć. Zgodnie ze scenariuszem na dzisiejszy wieczór, Francuzi sami mieli się wpakować w rolę kozła ofiarnego.

Dave z doskonałym wyczuciem wybrał moment opuszczenia przyjęcia. Gdy Shama szła od szatni ku wyjściu, ujął ją pod rękę i, z przyjaznym uśmiechem na twarzy, uwolnił od towarzystwa jej angielskich gospodarzy.

— Zabieram cię na kolację i, nie bacząc na koszty, uwiode cię — wyszeptał jej do ucha. Poczuł woń jej perfum, szczęśliwy, że przynajmniej dziś nie będzie musiał się martwić, jak wytłumaczyć zapach kosmetyków na swojej garderobie czy skórze.

Przykro mi, że muszę cię rozczarować — powiedziała już na ulicy ledwo dosłyszalnie, gdy stali pod jego parasolem ale masz do wyboru albo przyjąć moje zaproszenie albo serdecznie mnie pożegnać. Mój młody pomocnik właśnie przygotowuje w kuchni kolację. — Miała nawet limuzynę, prowadzoną przez nie tak znów młodego szofera, który właśnie po nią podjeżdżał. Dave zastanowił się, czy aby w jego kuchni jakiś inny młody mężczyzna nie przygotowuje teraz kolacji.

— Podoba mi się ten twój Anglik powiedziała Shama, sadowiąc się z dala od Dave'a na tylnym siedzeniu. — Jest taki ostrożny. Powinieneś być równie ostrożny. On przynajmniej zdaje sobie sprawę, że to jest szalony pomysł, a z szalonymi pomysłami trzeba się bardzo ostrożnie obchodzić.

Dave roześmiał się.

— Gordon zaczyna się przyzwyczajać do moich metod. Zgoda. Ale ty nie przyzwyczajasz się do jego metod.

Jeśli nie zrozumiesz, czym on się kieruje, nie stworzycie duetu.

— Udzielasz mi wykładu z dyplomacji?

— To nie wykład, to doświadczenie. Jak uczy historia, wiele ludzi nosi blizny, które świadczą, że nie udało im się zrozumieć tej dziwnej wyspy. Wiele takich blizn można ujrzeć w tej części świata, z której pochodzę. - Spojrzała przez szybę na mokre, opustoszałe chodniki wzdłuż Picadilly. Nie zapominaj, że w sztuce przetrwa Anglicy ustępują tylko Rosjanom.

Limuzyna skręciła na północ, wjeżdżając w Mayfair.

To takie mieszkanie służbowe, które trzymamy dla szczególnych gości — wyjaśniła Shama, prowadząc Dave'a poprzez drzwi wejściowe w stylu regencji do holu o ścianach i podłogach wyłożonych pięknymi dywanami.

Prawdę mówiąc, jest to raczej mały drogi burdelik dla co ważniejszych naszych wysłanników — powiedziała ze śmiechem. W tym momencie zjawił się przylizany młodzieniec z butelką szampana w złotym wiaderku. — Oto mój młodzian z kuchni. Nie jest przyzwyczajony do obsługiwania dam.

Stół był nakryty dla dwóch osób. Paliły się świece. Piękna kobieta znów się roześmiała.

Kogo to miałam sprowadzić dziś do siebie?

Właśnie, kogo, zastanawiał się Dave, świadom faktu, że od momentu, gdy odrzuciła jego zaproszenie, niemal nie otworzył

ust. Młodzian z kuchni wsunął podgrzewany barek, na którym stały dwa dania, otworzył szampana, nalał do dwóch kieliszków i pod nosem życzył im dobrej nocy.

— Mieszka w suterenie i stręczy swoim gościom panienci — powiedziała Shama.

Dave usiadł na stoliku naprzeciwko niej. Ich kolana stykały się. Spoglądali sobie w oczy.

— Z kim więc miałaś dziś wrócić?

A może na stole są zawsze dwa nakrycia?

— To ja miałem cię dzisiaj zabrać. A teraz czuję się jak dyżurny żigolak.

— Ta sama gra, tylko inne reguły.

— Jeśli tylko kończy się tym samym.

— Twój zamiar uwiedzenia mnie bardzo mi pochlebia, ale niezależnie od porywu namiętności jest coś, co obchodzi nas o wiele bardziej niż ciało.

Wzrok Dave'a spoczywał na głębokim dekolcie. Poryw namiętności przesłania mi wszystko. Wczoraj wieczorem zawiozłam mój pomysł na Wschód.

— Na wschód? Dave nigdy nie widział równie ślicznych drobnych dłoni i wiedział dokładnie, czego od nich oczekuje.

— Dziś rano jadłam śniadanie w Kuwejcie z członkami rządów wszystkich trzech krajów.

— Boże drogi! Kobieto! Oczy Dave'a nagle dały spokój dłoniom i dekoltowi. Przecież na razie to wszystko palcem na wodzie pisane!

Nie z mojego ani z ich punktu widzenia. Musisz pojąć, że tamte rządy niczego bardziej nie pragną jak najtrwalszego powiązania naszej części świata z Zachodem. Dla nas to nie tylko kwestia gospodarcza, ale i polityczna, dotycząca szczególnie polityki militarnej na najwyższym szczeblu. Naszym historycznym przeznaczeniem jest taniec na linii między Wschodem a Zachodem. I dlatego od Ameryki i Anglii chcemy siatki chroniącej przy upadku.

Dave pokręcił głową.

Opuszczę cię.

— A ciebie, jak widzę, opuścił poryw namiętności. Nagle oblał mnie zimny pot. Ja nie jestem Departamentem Stanu. Jestem tylko zwykłym inżynierem-atomistą.

— Prawa do terytorium, czy to gdzieś na wybrzeżu czy na sztucznej wyspie, zostałyby scedowane na międzynarodowe konsorcjum: Ameryka, Anglia plus nasi udziałowcy. Coś jakby wspólna baza wojskowa, tyle że zamiast rakiet i samolotów, które byłyby nie do przyjęcia ze względów politycznych, zainstalujemy tam wasz reaktor prędko powielający. Dajemy pełne gwarancje nierozprzestrzeniania broni jądrowej, jakich domagają się wasze przewrażliwione sumienia. Nie interesuje nas uran ani pluton przydatny do produkcji broni jądrowej.

Dave potrząsnął głową.

Co was zatem interesuje? Toż u diabła nie prąd. Nie. Ale kiedy nasze źródła ropy ulegną wyczerpaniu, chcemy mieć pewność, że wasza Szósta Flota będzie nadal patrolować Zatokę.

Tak czy owak będzie, bez względu na reaktory prędkie.

Znów posiała mu uśmiech zza świec.

Mapa świata się zmienia. Mówimy o następnym stuleciu. Zachód rezygnuje z Zatoki Perskiej i Indii, Wschód rezygnuje z Afryki i Jugosławii.

Chyba zdajesz sobie sprawę z tego, że jak tylko wyjdę za próg twojego domu, pognam do swojej ambasady i powiem im o wszystkim, co tu usłyszałem. Shama skinęła głową.

Tak będzie najszybciej. Macie mało czasu. Jeśli to zrobisz, wasze bezcenne agencje rządowe nie stracą całych tygodni próbując ustalić, na której szachownicy rozgrywamy naszą partię. Ja przekazuję plan tobie, ty im. Poszepcą potem trochę w kąciku ze swoimi komputerami strategicznymi i wrócą z uśmiechem zdradzającym pewność siebie, gotowi do następnej rundy. Rundy pod nazwą „Pieniądze”.

A jeśli Anglicy nie będą chcieli grać?

To będziecie musieli spróbować z Niemcami. — Albo z Francją. Shama potrząsnęła głową.

Nie. Francuzi są nie do przyjęcia. Waszym partnerem musi zostać pełnoprawny członek NATO.

O wszystkim pomyślałaś roześmiał się Dave.

Nie ja. Ale wszyscy pozostali uczestnicy śniadania mieli to rozpracowane.

Będę chyba musiał odbyć długi spacer w deszczu do hotelu. A potem długą rozmowę z kimś, komu płacą za to, żeby się na tym wszystkim wyznawał. Znów pokręcił głową. A kiedy w końcu położę się spać, wtedy pojmę, że bardzo sprytnie wybiłaś mi z głowy swoje łóżko.

Możesz dokończyć kolację. Jej oczy śmiały się do niego zza świec.

— Zepsułaś mi apetyt.

— To przynajmniej szampana... Dave wstał.

Powinienem być się słuchać mojej kochanej matki-Żydówki, która ostrzegała: „Nigdy nie bierz cukierków od obcych”.

Dave zadzwonił do wąskoustego Augustusa o wątłym uśmiechu z automatu przy Green Park i do żony z hotelu, gdy już leżał na plecach w łóżku.

Chyba wszystko skopię powiedział jej. - Dogadałem się z pewną arabską księżniczką, ale z naszymi angielskimi kuzynami absolutnie nic się nie da ustalić.

Sekunda ciszy, po której z daleka dobiegł śmiech Pat.

— Jak ci się widzi twój Gordon Aylen? Jak wiadro zimnej, szarej mgły.

Śmiech, znów z opóźnieniem. Dave wyobraził ją sobie, jak stoi oparta o ścianę od strony patio, a drugą rękę wsuwa pod bluzkę i pociera piegowate ramię.

— Poradzisz sobie z nim.

— Przeprowadzisz się ze mną do Waszyngtonu? Oczywiście, że nie. Poczekamy, aż ty się sprowadzisz z powrotem do domu.

A co będzie, jeśli wyląduję po tej stronie?

— A, to co innego. Ale tylko pod warunkiem, że to będzie Londyn. Nie mam zamiaru zaszyć się gdzieś w dzikich ostępach Szkocji. Niestety, wygląda na to, że większe szanse mam na piaszczystą wydmy na Oceanie Indyjskim.

— To będziemy przyjeżdżać do ciebie na wakacje. Głos Pat przycichł; ktoś musiał podnieść słuchawkę drugiego aparatu w sypialni.

— Tęsknię za wami wszystkimi, Boże, jak tęsknię krzyknął Dave.

— A my tęsknimy za tobą — wrzasnęła któraś z córek. Zrezygnujcie z Kalifornii! — zawołał Dave.

—Nigdy! — wrzasnęły jednocześnie córka i żona.

Dziesięć minut później, w chłodnym hotelowym holu, Augustus McClaren z wątym uśmiechem i bez entuzjazmu przysłuchiwał się zarysowi arabskiego planu przedstawianego przez Dave'a. Dave wolałby odbyć to krótkie spotkanie na górze w swoim pokoju, lecz Augustus zdawał się uważać ten pomysł za niestosowny. Dave obojętnie przyglądał się jego drobnej, spiętej twarzy. Mimo górnolotnie brzmiącego tytułu, Augustus był w gruncie rzeczy zwykłym gościem. Wracając windą na górę Dave postanowił, że tej nocy będzie śnił o Kate.

Kate tymczasem zrobiła sobie gorącą, pachnącą kąpiel. Długo siedziała w wannie wpatrując się w swoje białe kolana i głowiąc się, jak ma się wywiązać z zadania pilnowania swego amerykańskiego towarzysza podróży do Włoch. „Pilnowanie” miało być taktyką, jaką zasugerował stały podsekretarz w odręcznie napisanej notatce, którą dostarczono jej tuż przed wyjściem z biura. „Nie dajmy Francuzom skorzystać z okazji”, napisał podsekretarz.

Gordon, dla odmiany, podrzucił jej widokówkę z Sieny. „Miłych wrażeń” — to wszystko, co napisał.

16

Salter niespiesznie, miękkim krokiem odszedł na bok. Roxy, oszołomiony trawką i tequilą, Patrzył, jak dwójka dziennikarzy na palcach opuszcza studio.

Mick patrzył przed siebie swymi błękitnymi oczami, siedząc przy pustym biurku. Przerwa na kawę o trzeciej nad ranem, reżyser i technicy w kuchni. Wiewiór pogrążony w kamiennym śnie na wieku fortepianu przy zgaszonych światłach.

— Mam nadzieję, że nie zapłaciłeś zbyt wysokiej ceny — powiedział Mick.

— Co się, kurcze, przejmujesz?

Ten alfons jest w stanie upchnąć artykuł w każdej gazecie w całym kraju.

Jak mu się spodobamy, może też pomóc upchnąć nasze piosenki zaśmiał się Roxy. Trochę bajerów tu i tam.

— Skąd on się tu właściwie znalazł?

— To znajomy reżysera. Mick nie był przekonany.

— Coś niuchał.

— Tu nie ma czego niuchać. Poza nami.

Jakiś nieczasowy uśmiechnął się wreszcie Mick. Pewnie się bałem, że mu się spodobasz.

Salter podskakiwał i pokrzykiwał idąc ciemnym, mokrym chodnikiem i budząc połowę mieszkańców West Hampstead swymi indiańskimi okrzykami wojennymi.

Mam przeciek! wołał. Autentyczny poważny przeciek z Whitehallu!

I wszystko spieprzysz powiedział spokojnie Henshaw jeśli nie rozegrasz tego bardzo wolno i ostrożnie.

Wszystko jest jasne. Co tu można spieprzyć? Anglia i Ameryka razem w łóżku.

To po co Ridgeway jedzie do Włoch? Salter przestał podskakiwać.

Chcesz mi wszystko popsuć.

Wyjdiesz na durnia, jeśli puścisz wszystko, czegoś się dziś dowiedział, a potem Ridgeway wróci z Włoch Z gotową umową z Francuzami w kieszeni.

Jeżeli myślisz, że mam zamiar czekać, pomyśl jeszcze raz rzekł Salter.

Rób to, ale z głową. Tyle ci tylko chciałem powiedzieć.

Puszczaj po kawałku, dziś trochę, jutro trochę. Zrób z tego tajemniczą aferę. Wielka Brytania prowadzi w tajemnicy jakieś rokowania, tylko nikt nie wie, z kim. Przecież my wiemy.

A ile razy chciałbyś to sprzedać? Chcesz się wszystkiego pozbyć za jednym zamachem? Co ci do tego? - Chcę, żeby to była staranna robota. Henshaw wziął Saltera pod rękę i Salter poczuł, jak wszystkie pięć palców wpija się w jego ciało.

Albo zrobisz, jak ci mówię, albo nie rób tego wcale. O co ci chodzi?

Mnie jest wszystko jedno, komu sprzedam materiał. Ale postaram się zrobić z niego jak najlepszy użytek. Znajdę sobie inną tubę. Salter był wzburzony.

Ja ci to dziś zorganizowałem. Nie możesz teraz po prostu zabrać się i pójść.

Ja bym się tak po prostu nie zabrał i nie poszedł. Wróciłbym którejs nocy, żeby połamać ci rękę.

Ha, ha. Salter przystanął na rogu, patrząc na światła lokomotywy przejeżdżającej górą na wiadukcie.

Siąpiło. Henshaw poszedł dalej, skręcił na południe, pogodziwszy się z perspektywą długiego spaceru, na szczęście samotnego. Starał się wyliczyć, czy starczy mu pieniędzy na

podróż do Włoch i z powrotem i na wszystkie związane z tym wydatki.

Taxi! dobiegło go echo rozpaczliwego okrzyku Saltera, lecz samochód pędził dalej przez kałuże po opustoszałej West End Lane.

17

Pośród granitowych skał na tokańskim wybrzeżu, dwanaście metrów pod ziemią, za pięcioma barierami ochronnymi z betonu i stali, popękany odłamek tlenku ołowiu po raz dziewiąty uderza o filtr umieszczony pod rdzeniem paliwowym. Tym razem uderzenie wypada dokładnie w miejscu jednej z półmilimetrowych, zygzakowatych rys. Część odłamka odchyła się wzdłuż tej rysy, jakby z pozostałą częścią łączył ją miniaturowy zawias, i ponownie silnie uderza o filtr. Podwójne drgnięcie w odstępie pół sekundy zostaje skrupulatnie odnotowane na taśmie czujnika akustycznego. Po trzech minutach zakłócenie to zauważono w dyspozytorni, lecz nikt nie miał najmniejszego pojęcia, co ów podwójny wyskok miałby oznaczać.

Kiedy pierwsza zmiana objęła służbę o 7.30 rano, francuski kierownik zaproponował założenie świeżej rolki papieru na urządzenie piszące połączone z czujnikami akustycznymi. Czysta pościel dla gości, wyjaśnia swemu włoskiemu koledze, po czym

razem udają się do stołówki, by dopilnować przygotowań do „towarzyskiego” lunchu.

O 8.20, dziesięć minut przed przybyciem personelu biurowego, dojeżdżającego specjalnym autobusem z Grosseto, włoski kierownik wraca do archiwum i sporządza dwie odbitki starej taśmy. Jedną odbitkę chowa w zamykanej na klucz szufladzie z dokumentami w swoim gabinecie, drugą składa na pół, wkłada do gazety i chowa do teczki. Potem przystaje na dłuższą chwilę przy oknie i patrzy na tuman kurzu ciągnący się za małym traktorem w odległej winnicy po drugiej stronie drogi dojazdowej: ostatni dzień winobrania, jeszcze jeden dzień pięknego słońca, które ubiera drzewa w barwy jesieni.

Część trzecia

1

Kate zdawało się, że nigdy nie widziała równie niesamowitego i pięknego kompleksu budynków. Pojawił się nagle przed ich oczami, gdy helikopter przeleciał nad pasmem wzgórz i opadł ku brzegowi morza. Epoka atomowa i dwa tysiące lat włoskiej architektury połączone w jedną wspaniałą koncepcję estetyczną kolistą kopuła reaktora odbita echem w postaci zespołów budynków o kształcie wachlarza, ustawionych względem siebie na podobieństwo rozchylonych ćwiartek pomarańczy, koliste białe ściany każdego podwójnego zespołu połączone i zachodzące na siebie. Siedzący za nią Dave Ridgeway rozpracowywał logikę tych połączonych segmentów: każda para budynków mieszczących turbiny i wytwornice pary stykała się kompleksami sterowniczo-obługowymi, po jednym na północ i na południe od kopuły. Z danych technicznych wiedział, że oba kompleksy mogą funkcjonować niezależnie od siebie, a reaktor został tak zaprojektowany, by automatycznie przerwać pracę w bezpieczny sposób nawet gdyby jeden z kompleksów sterowniczo-obługowych uległ zniszczeniu w wyniku pożaru lub wybuchu.

Budynki turbin i wytwornic pary umieszczone były względem kompleksu północnego i południowego w taki sposób, by usytuowana pośrodku kopuła reaktora nie mogła ulec uszkodzeniu w razie awarii turbiny, przestrzeń zaś pomiędzy zachodzącymi na siebie budynkami gwarantowała izolację od płomieni lub wybuchu. W samej rzeczy, pomyślał Dave 1 przyglądając się lokalizacji turbin, ich rozmieszczenie 1 w czterech najbardziej oddalonych punktach zewnętrznego kręgu oznaczało, że rozszalała turbina, nawet gdyby 3 rozerwała ścianę osłonową własnego budynku, nie może uderzyć w żaden inny budynek. Była to najdoskonalsza koncepcja projektowa, jaką kiedykolwiek dane mu j było ujrzeć.

Niezależnie od kwestii bezpieczeństwa, podwojony układ wytwornic i turbin podyktowany był względami i doświadczalnymi, jako że każdy z czterech systemów 1 różnił się wieloma szczegółami konstrukcyjnymi, cały zaś 1 ośrodek zaprojektowano w ten sposób, by w przyszłości można było dodać drugi, większy reaktor prędko powielający, dla którego pozostawiono miejsce na południe od istniejących budynków i który w przyszłości będzie wykorzystywał drugą parę turbin i generatorów.

Nawet lądowisko było odbiciem ogólnej koncepcji projektanta: krąg białego betonu pośrodku trawnika o kształcie wachlarza. Zgodnie z obietnicą, powitanie przedstawicieli Wielkiej Brytanii, Belgii, RFN i USA, których helikopter zabrał z lotniska

Fiumicino, przebiegało bez I drętwych formalności. O ile jednak na Fiumicino witającymi byli Włosi, tu w Segre wyglądało na to, że inicjatywę przejęli Francuzi, każdemu z gości przydzielając do towarzystwa któregoś ze starszych funkcją członków kierownictwa ośrodka. Kate przypadł w udziale włoski kierownik zakładu, Dave przewodził małej grupce z przewagą, jak zauważyła Kate, Francuzów. „Pilnowanie”, pomyślała, będzie absolutnie niemożliwe. Przyjrzała się Francuzom i rozpoznała wśród nich dwóch, jeśli nie trzech, I wyższych urzędników z Paryża wystarczająco silna delegacja, by negocjować z Ridgewayem, jeśli to jest ich I zamiarem.

Weszli w biegnący łukiem chodnik między kopułą reaktora a północnym kompleksem budynków.

— Budynek wytwornicy pary — wyjaśnił usłużnie mężczyzna towarzyszący Kate. — Wtórny obieg sodowy biegnie od reaktora pod ziemią. Wytwornica jest swego rodzaju wymiennikiem ciepła, w którym sól przekształca wodę płynącą osobnym obiegiem w parę. Domyślam się — dodał z uśmiechem — że wie pani, na jakiej zasadzie to działa.

— Teoretycznie tak — zaśmiała się Kate: Ten budynek przed nami to północna sterownia. Na wyjściu są transformatory i podłączenie do sieci krajowej, na górze jadalnia i bufet. W podziemiach — warsztaty i centralna sterownia, a pod nimi linia paliwowa, gdzie przyjmuje się i składowe paliwo. W południowym kompleksie mieści się administracja i zapasowa sterownia oraz

linia paliwowa, która zajmuje się wypalonym paliwem: wstępnym chłodzeniem i przygotowaniem do przewozu.

A więc trumienki, pomyślała Kate przypomniawszy sobie puszkę Pandory.

Jak rozwiążaliście problem transportu? — spytała. Butle na ciężarówkach — odparł Włoch. Nasza bocznicą kolejowa jest sześć kilometrów dalej, po drugiej stronie wzgórza. Butle są przeładowywane bezpośrednio na pociągi specjalne. W przyszłości wypalone paliwo będzie wywożone do Francji i tam regenerowane. — Z przepaszającym gestem wpiął Kate w klapę dozometr i otworzył ciężkie ognioodporne drzwi.

Stali przed nimi sami, bo wszyscy pozostali już wcześniej weszli do środka. Kate nagle wzdrygnęła się, przestraszyła panującego tu spokoju, sterylnej ciszy, której nie zakłócał żaden dźwięk. Zdawać się mogło, że te białe budowle, oślepiające blaskiem odbitych promieni słonecznych, zawieszane są w próżni, że bestia zagrzebana pod tą białą kopułą przegnała stąd wszystko co żywe.

Gdy weszli dalej, otoczył ich inny rodzaj ciszy: szum klimatyzatorów, elektroniczne brzęczenie świateł ostrzegawczych nad zamkniętymi drzwiami śluzy powietrznej, szuranie gumowych podeszew o podłogę wyłożoną miękkim sztucznym tworzywem. „Obecność dźwięczy”, powiedział kiedyś Kate jej instruktor w kółku teatralnym. „Musisz wyczuwać ten dźwięk, tak jak wyczuwa się zapach”. Tu był jakiś zapach: Kate czuła ten sam

„zapach obecności” wcześniej w Dounreay, nigdy nie odgadnąwszy jego pochodzenia. Może sól albo któryś z materiałów użytych do budowy osłon zabezpieczających?

Włoski kierownik ukłonem zaprosił ją do olbrzymiej windy i roześmiał się widząc, jakie wrażenie wywarły na niej jej katedralne rozmiary.

Nasz architekt uparł się, że oszczędzi nam problemów komunikacyjnych. Korytarze i windy zaprojektował z myślą o londyńskich piętrusach.

— Może samochodach strażackich?

Włoch znów się roześmiał. Drzwi windy otworzyły się dwie kondygnacje wyżej. Poprowadził ją kolejnym korytarzem-autostradą do słonecznej jadalni mieszczącej się za drzwiami z dymnego szkła. Na przystrojonych kwiatami stołach stały półmiski z jedzeniem.

Dave Ridgeway puścił do niej oko z drugiego końca sali, wznosząc w górę wypełniony winem kielich. W przeciwieństwie do szalonych Celtów z Dounreay, ci Włosi niech ich Bóg błogosławi nie są wyznawcami abstynencji.

2

Sekretarz stanu do spraw energetyki wyjechał na jakiś czas, co zakłóciło prace nad przygotowaniem spotkania, jakie miało się

odbyć przed południem w jego gabinecie z udziałem Gordona, stałego podsekretarza i silnej grupy wagi ciężkiej z Foreign Office. W którejś z kopalń w South Yorkshire pęknięta szyna spowodowała wykolejenie składu wagonów z węglem, które stoczyły się z nasypu grzebiąc dziewięciu robotników pracujących na placu. Dwóch z nich odnaleziono już martwych, sekretarz stanu więc, nie chcąc narażać się na zarzut odmiennego traktowania wypadków na powierzchni i pod ziemią, poleciał na miejsce tragedii. Osłabieni pod względem prestiżowym, pozostali członkowie ekipy departamentu energetyki musieli przystać na zmianę miejsca spotkania i przejść pół mili dzielące ich od Foreign Office.

— Gdyby meteor miał zderzyć się z ziemią — grzmiał stały podsekretarz ponad wszelką wątpliwość uderzyłby w angielską kopalnię węgla. Z jego fajki wydobywały się wściekłe kłęby dymu. — Ci parszywi górnicy robią to specjalnie. Zmówili się, że pod względem wypadków nie dadzą się zepchnąć z pierwszego miejsca, bo nie chcą stracić względów opinii publicznej. A za miesiąc zażądają czterdziestoprocentowej podwyżki.

W liczbach bezwzględnych — wtrącił cicho Gordon — w rolnictwie zdarza się więcej wypadków śmiertelnych niż w kopalniach. Podsekretarz postanowił jednak zignorować tę uwagę i bez ostrzeżenia wtargnął z chodnika na jezdnię Whitehallu, co zmuszeni do nagłych manewrów kierowcy powitali gniewnym trąbieniem i błyskami świateł. Gordon natomiast przystanął na

skraju chodnika, czekając na lukę między pojazdami i śledząc obłok białego dymu sunący przez to pandemonium. Typowe dla tego aroganta, pomyślał.

Arogancja starła się z arogancją w Foreign Office, gdzie we dwóch referowali możliwości współpracy z Japonią w budowie reaktorów i ewentualność budowy tegoż reaktora nad Zatoką Perską. Japończycy zostali z nonszalancją odrzuceni, ponieważ sprawę uznano za zbyt odległą i niepewną, taką, do której można by w ostateczności powrócić, gdyby nic nie wyszło ze spółki z Ameryką czy Europą. Propozycja arabska została wręcz wyśmiana. Gdy pół godziny później stały podsekretarz wracał z Gordonem przez Parliament Square, daleki był od ukontentowania.

Ten pomysł trzeba było zbadać na niższym szczeblu. Niepotrzebnie się wygłupiliśmy przed tymi mędrkami.

Nie ma czasu na sondaże — odparł Gordon nie przejmując się upokorzeniem, jakie ich spotkało. Wolał nie ryzykować wygłaszania własnych sądów i na razie pozostawić innym eliminację różnych możliwości.

Amerykanie albo nikt oświadczył stały podsekretarz.

Skąd pewność, że gabinet na to pójdzie? Stały podsekretarz uśmiechnął się.

— Bo trzymanie się Jankesów jest najprostszym wyjściem.

— Skoro już przy tym jesteśmy, skąd ta niezmacona pewność, że raport inspektora będzie pomyślny? spytał Gordon.

— Dokładnie z tego samego powodu. Stały podsekretarz wszedł na schody Thames House South. - Trzeba by trafić na wyjątkowo odważnego i durnego sędziego, który na tym etapie powiedziałby „nie”.

W holu zatrzymał podsekretarza jakiś urzędnik z gabinetu sekretarza stanu. Gordona dobiegły przekleństwa miotane pod adresem losu. Stały podsekretarz czytał właśnie telex. Pewnie kolejny górnik zmarł lub dogorywa.

Donachie nie był zachwycony ponownym spotkaniem z Henshawem.

Spokojny Amerykanin przedstawiła go któraś z dziewcząt z sąsiedniego pokoju, wtykając głowę w drzwi jego gabinetu. Donachie jednak usiłował zapomnieć o owym nieprzyjemnym spotkaniu, jakie w poniedziałek rano odbył z Salterem i Henshawem. Każde wtargnięcie Saltera w jego życie gwarantowało uraz i pozostawało w pamięci jako ciąg niefortunnych zdarzeń, o których wolałby nie myśleć.

Zdobył się jedynie na zdawkowe uwagi na temat pogody, gdy wyprowadzał Henshawa z ciasnego, zatłoczonego biura, kierując się w stronę włoskiego barku na rogu Oxford Street.

— W czym mogę panu pomóc? spytał, zamawiając po włosku kawę i brioches.

— Nieźle zna pan ich język.

— Kiedyś utrzymywałem kontakty z włoskimi Przyjaciółmi Ziemi.

— Czy oni są silni?

— Byliby, i to bardzo, gdyby trafili na podatną opinię publiczną odparł Donachie wzruszając ramionami.

— Niestety, dla przeciętnego Włocha środowisko jest sprawą bez najmniejszego znaczenia. Teren poza miastem to dla niego miejsce, gdzie można wyrzucać śmieci, a rzeki i morza służą do odprowadzania ścieków komunalnych i przemysłowych. Gdyby Włochów pozostawić własnemu losowi, najdalej za pięćdziesiąt lat zniszczyliby swoje narodowe dziedzictwo. — Donachie pozwolił sobie na uśmiezek. - Cała nadzieja w tym, że zaanektuje ich Jugosławia. Spojrzał na Henshawa. Myśli pan o Segre?

— A powinienem?

Mówił pan, że w ciągu najbliższych siedmiu dni będą się dziać ważne rzeczy.

— Cóż stąd?

Wiemy prawie na pewno, że gdzieś w tym tygodniu Segre ma zostać nieoficjalnie uruchomiony. Prawie dwa miesiące wcześniej niż oczekiwano.

Podano kawę, a Henshaw zaczął przetrawiać informację, jaką właśnie uzyskał.

— Śledzimy przebieg rozruchu obserwując tamtejszy system magazynowania energii. Zakłada się, że kiedy prąd z Segre nie będzie potrzebny w sieci, zostanie wykorzystany do pompowania wody morskiej do sztucznego zbiornika położonego na wzgórzu. W godzinach szczytu siła spadku wody posłuży do napędu turbin

konwencjonalnej elektrowni wodnej. Otóż napełnianie zbiornika rozpoczęło się przed dwoma tygodniami i od tego czasu poziom wody stale się podnosi.

— Na kiedy pierwotnie zapowiadano rozruch?

— Mówiono o grudniu, o okresie przedświątecznym, kiedy zapotrzebowanie na energię jest najwyższe.

Ridgeway, pomyślał Henshaw. Przyspieszyli rozruch w związku z wizytą Ridgeway.

— Ta Anna z Włoch — powiedział, usiłując okazać, że przeprasza i że niechętnie porusza tak bolesny dla swego rozmówcy temat — ...jak mógłbym ją odnaleźć?

3

Włączenie Segre do sieci celowo zaplanowano na porę zmierzchu. Kamery telewizji przemysłowej przekazywały obraz ciemnych sylwetek całego obiektu i jego wnętrza na monitorach zajmujących całą ścianę północnej sterowni. Po obiedzie przybyła z Rzymu jakaś ważna osobistość, by w towarzystwie lokalnego przywódcy Partii Komunistycznej dokonać uroczystego włączenia. Wszystko odbyło się bez wielkiej pompy: przedstawienie gości, kilka zdjęć i dwa krótkie wystąpienia, w których, o ile Kate udało się zrozumieć, Francuzi i Włosi poklepywali się po plecach jak starzy kumple. Potem nadeszła wielka chwila: uroczyste

przestawienie wyłącznika. Prąd elektryczny wytwarzany przez to prędkie powielające monstrum popłynął do sieci krajowej potężnymi liniami przesyłowymi, biegnącymi po wzgórzach na północ i na południe — 400 megawatów, nieco ponad połowę pełnej mocy reaktora. W momencie, gdy dźwignia wyłącznika doszła do oporu, rozjarzyły się reflektory na zewnątrz i wewnątrz ośrodka, co z całą dokładnością zostało uwidocznione na monitorach.

— To tylko dekoracja — wyszeptał Dave ze śmiechem do ucha Kate. Rozległy się oklaski. — Mały teatralny efekt osiągnięty za pomocą paru pstryczków i kabelków.

W jadalni na górze siedzieli w komplecie wszyscy pracownicy ośrodka, którzy akurat nie byli na służbie. Jedząc i popijając, obserwowali moment włączenia świateł przez szerokie okna. Oni też zaczęli bić brawo, wszyscy z wyjątkiem Enzo, który ssał swoje poskręcane, na wpół przeżute cygaro. Siedział z żoną przy stoliku, na którym rozstawił kieszonkowy komplet szachów.

— Teraz, kiedy mamy to za sobą — zaburczał do swojej Marii — wyłączmy to cholerstwo i ustalmy, co tu nawala.

Enzo nie był osamotniony w swych wątpliwościach. Na dole w sterowni Włoch przydzielony Kate do towarzystwa stał za nią i Dave'em i wciąż myślał o podwójnym skoku na zapisie, z którego zrobił odbitkę. Wyjaśniał to sobie wiele razy i w zasadzie uznał swe wyjaśnienia za zadowalające — wahanie prędkości przepływu, wibracje pochodzące z dwóch pomp, wyładowanie

elektrostatyczne na czujniku akustycznym. Lecz jego myśli krążyły niepewnie wokół mniej przyjemnej alternatywy — że mianowicie coś pękło w pompie, że w sodzie jest jakieś ciało obce, że filtr mógł się obluzować albo popękać, albo nawet że obluzował się pręt paliwowy ponad filtrem. Jeszcze raz przyjrzał się stojącemu przed nim Amerykaninowi, którego przyprószona siwizną, rozwichrzona blond czupryna górowała nad całym towarzystwem. Przecież, na Boga, mamy tu inżyniera, który pół życia spędził wśród reaktorów prędkich. Ten Ridgeway pracował przy reaktorze Fermi w Lagoona Beach w czasie pamiętnej awarii. Ze swoją wiedzą mógłby niewątpliwie pomóc nam postawić diagnozę, na pewno zresztą chodzi o jakiś drobiazg. Tylko że Francuzi prowadzili z tamtym polityczną i ekonomiczną grę, jemu więc, jako Włochowi, nie bardzo wypadało im w tym przeszkadzać. Może, myślał, niby od niechcienia, na gruncie towarzyskim, uda się poruszyć z nim taki czy inny hipotetyczny temat i w ten sposób podsunąć mu zadanie do rozwiązania. Może wieczorem, podczas kolacji w trattorii w wiosce rybackiej, gdzie zawsze panuje wielkie zamieszanie.

Włoch zdecydował, że jeśli uzbroi się w cierpliwość, czas okaże się dlań łaskawy.

Nie przecenił Dave'a Ridgeway'a. Nawet po butelce wina techniczna strona jego mózgu funkcjonowała normalnie. Jednym okiem wprawdzie taksował kształty Kate skryte pod luźną sukienką, ale komputer zainstalowany w drugim oku zdołał już

zanotować prawie czystą rolkę papieru na jednym z instrumentów wypełniających całą ścianę naprzeciwko tablicy rozdzielczej. Nie znaczy to, że jego komputer przesłał już jakąkolwiek przetworzoną logicznie informację. Gdzieś jednak pojawił się znak zapytania i, gdy po skończonej ceremonii ludzie obecni w sterowni rozbili się na małe grupki, Dave, ująwszy Kate pod rękę, instynktownie skierował się w stronę nie dających mu spokoju przyrządów.

Czyż to nie wielki cud zwrócił się do niej. Kawałki metalu wykopane z ziemi tańczą jak im zagramy.

Z pewną pomocą z zewnątrz - odparła Kate, wskazując aparaturę elektroniczną.

A, oprzyrządowanie zaśmiał się Dave. - Kiedyś nauczymy się działać tak sprawnie jak słońce i żadne przyrządy nie będą nam potrzebne.

Równoległe zapisy, pomyślał. Między kreskami mieści się jeden tydzień. Reaktor od dwóch miesięcy jest non stop w stanie krytycznym, a mimo to zapisy z dwóch czujników akustycznych dopiero się rozpoczęły. Może jakieś problemy z elektroniką. Zainstalowali tu jeszcze więcej czujników akustycznych niż w Super-Phenixie i na pewno połowa z nich ma charakter eksperymentalny. Falanga Francuzów znów ruszyła w jego kierunku, niewątpliwie z zamiarem oddzielenia go od Kate.

Zobaczymy się później wyszeptał. I nie zaprzyjaźnij się zbyt zbytnio ze swym Włochem.

Zwiedzanie rozpoczęto na poziomie ziemi, na południowym krańcu północnego budynku sterowni, w jednym z dwóch punktów – drugim był północny skraj południowej sterowni gdzie inny budynek stykał się z budynkiem reaktora. Czwórkami przeszli przez metrowej grubości drzwi śluzy powietrznej i stanęli na kolistej stalowej podłodze wewnątrz budynku reaktora, w „katedrze” Enzo. Pośrodku podłogi widniała mniejsza stalowa kopuła z różnymi pokrywami włączów, chroniącymi dostęp do komory wymiany paliwa, pomp obiegu pierwotnego i mechanizmu przesuwania prętów regulacyjnych. Po przekątnych rozmieszczone były dziwnego kształtu pompy wtórnego obiegu i zbiorniki zrzutowe, a na wprost śluzy powietrznej, przez którą dostali się do środka, była podwyższona platforma, a na niej wysmukłe stalowe kolumny, przez które, jak wyjaśnił Kate jej cicerone, ładowano i usuwano paliwo z rdzenia reaktora. Kate uśmiechnęła się słysząc stłumione głosy obecnych jakby bali się, iż nagły dźwięk może rozgniewać bestię, którą mieli pod stopami. Nie wiedziała, czy to kwestia wyobraźni, czy też rzeczywiście przez błyszczącą stal przenika ciepło. Wokół na ścianie widniały wloty powietrza; gdyby wykryto w nim choćby ślad radioaktywności, natychmiast zapaliłyby się czerwone sygnały alarmowe. Ponad głowami potężny ruchomy dźwig zamontowany był na suwnicy, która sama mogła się przesuwać po kolistym torze opasującym całą kopułę.

Kate dosłyszała śmiech Dave'a gdzieś po drugiej stronie wewnętrznej kopuły, krótki okrzyk rozbawienia, który odbił się echem od wysokiego sufitu. Wyglądało na to, że stosunki z francuską falangą rozwijają się pomyślnie. Nim dotarła na drugą stronę, Dave już był za drugą śluzą powietrzną, ona zaś była o jeden etap do tyłu, razem z Belgami i Niemcami słuchając objaśnień włoskiego dyspozytora i inspektorów w nieznośnie gorących pomieszczeniach turbin i wytwornic pary. Ponownie ujrzała Dave'a dopiero przy wynajętych samochodach, które miały ich odwieźć do hotelu drogą wiodącą wzdłuż wybrzeża, lecz Dave wydawał się szalenie pochłonięty rozmową na jakiś bardzo poważny temat z dwoma urzędnikami z Paryża. Byli jednak przydzieleni do tego samego samochodu i gdy Kate podeszła, rozmowa tamtych nagle się urwała, a któryś z Francuzów z uśmiechem odszedł na bok i otworzył jej drzwi samochodu. Dave wsunął się za nią.

Są daleko do przodu w porównaniu z Dounreay — powiedział z szerokim uśmiechem.

Chyba tylko pod względem rozmiarów i rozmieszczenia obiektów.

A to połowa wygranej odrzekł. Tutaj przyjęto kryteria bezpieczeństwa, które będą mogły służyć za wzór dla wszystkich jeszcze za dwadzieścia lat.

Trochę przesadzili z zabezpieczeniami odezwał się Francuz z przedniego siedzenia. — Nie wyobrażam sobie, by wiele krajów poszło na rezerwowe sterownie i rezerwowy personel.

— Jeżeli to się tu sprawdzi, będzie precedens zauważył Dave. Niewykluczone, że w końcu będziecie musieli przeprojektować waszego Super-Phéniksa.

— Tam są inne założenia oznajmił Francuz. - Super-Phénix będzie reaktorem przemysłowym, a Segré jest eksperymentalny. Dodatkowe urządzenia są zamontowane tylko dla zbierania doświadczeń.

Samochód wspiął się na wzgórze oddalając się od wybrzeża i zatrzymał przed ogrodzeniem. Dzięki temu, że przybyli tu helikopterem, zaoszczędzili sobie wcześniejszego zetknięcia z realiami środków bezpieczeństwa: podwójne, trzymetrowej wysokości ogrodzenie z drutu kolczastego, reflektory, psy na smyczy i uzbrojeni strażnicy.

Włochy to kraj terrorystów wyjaśnił Francuz z przedniego siedzenia czyniąc przeproszający gest. Nikt nie chce ryzykować.

Trumna Pandory, pomyślała Kate.

Ciekawe powiedziała głośno - czy ktokolwiek i gdziekolwiek mógłby sobie pozwolić na ryzyko.

Sprawdzenie samochodu, dokumentów pasażerów, ich ubrań i bagaży zajęło strażnikom całe pięć minut. W bramie zainstalowany był tunel do sprawdzania poziomu napromieniowania. Kate zauważyła, że nie pominięto nikogo,

nawet włoskiego kierownika ośrodka jadącego w następnym samochodzie.

Z każdej dniówki traci się godzinę na wszelkie kontrole powiedział Francuz. Gdy byli tu jeszcze robotnicy budowlani, trwało to prawie dwie godziny.

Kiedy odjeżdżali, jeden z wartowników uśmiechnął się do Kate, siedzącej przy otwartym oknie samochodu. Dwa dobermany, które trzymał na smyczy, młóciły łapami powietrze. Przez moment budka strażników wyglądała prawie jak stara stajnia z niskimi drzwiami i tłącym się wewnątrz światełkiem, a widoczne na tle ciemnego nieba pojedyncze pinie i szpaler cyprysów na wzgórzu powyżej linii drutu kolczastego przydawały całej okolicy ponadczasowego dreszczu nierealności, niczym element science-fiction zabłąkany dziwnym trafem w tło renesansowego obrazu przedstawiającego scenę Narodzenia Pańskiego.

Samochód zjechał betonową szosą w niewielką dolinę, gdzie skontrolowano ich ponownie, tym razem nie tak rygorystycznie, po czym wjechali na równinę rozciągającą się za nadbrzeżnymi wzgórzami. Dwie minuty później przejechali nad torem kolejowym i znaleźli się na głównej drodze. SS1 Via Aurelia, wyczytała Kate na kamieniu. Skręcili na południe, w kierunku Rzymu, lecz po dalszych dziesięciu minutach jazdy znów zjechali w bok, z powrotem w stronę morza, równoległe do zatoki, przecinając porośnięte trzcina pola, aż dostrzegli zarys wsi położonej na wzgórzu. W dole było płaskie nabrzeże, gdzie

samochody wjeżdżały na niewielki prom, a na wodzie stały w szeregu zacumowane łodzie rybackie. Nie oświetlona droga omijała niżej położoną część wioski, po czym wspinała się na klifowy brzeg, gdzie stał ich hotel jeszcze jeden kolisty budynek, w którym paliły się dyskretne światła, przed nim szeroki, wysypany żwirem parking.

— Później pojedziemy do wsi na kolację oznajmił Francuz. Stroje dowolne. W hotelu nie ma restauracji.

Gdzieś z dołu dobiegł Kate szum morza, a gdy otworzyła okiennice w swym pokoju na piętrze, dostrzegła księżyc wyłaniający się z za odległych wzgórz. Samochód wciąż stał na żwirowym parkingu. Stamtąd też dobiegł ją głos Dave'a, dalej toczącego poważne dyskusje z Francuzami. Postanowiła pójść na kolację w spodniach i obcisłym sweterku, w nadziei, że w ten sposób podkreślone jej skromne wdzięki będą w stanie choć częściowo odwrócić uwagę Dave'a od upartych paryżan. Obserwując swe ledwo dostrzegalne wypukłości w lustrze łazienki pomyślała, że „pilnowanie” zaczyna być nieco upokarzające.

Siedem mil dalej, pośród granitowych skał, w siedmiu kręgach światła zdawał się panować całkowity spokój: psy i karabiny ukryte za wzgórzem, absolutna cisza, która odstraszyła ptaki i owady. Ale koło ruletki zwalniało bieg. Pręty regulacyjne podniesiono po południu o dalszych kilka milimetrów, by zwiększyć moc w chwili włączenia do sieci. Sód był teraz gorętszy

i płynął szybciej, a zabłąkany odłamek tlenku ołowiu zataczał kręgi po eliptycznej dolnej powierzchni filtru pod środkiem rdzenia, czekając na następne równoczesne wahnięcie przepływu chłodziwa spowodowane pracą dwóch niesfornych pomp, by ponownie uderzyć o stal.

4

Ale dola, pomyślał Martin Reid, gdy samochód wjeżdżał na autostradę kierując się na południe. Helen i dzieci są raptem o godzinę drogi stąd, tyle że na północ, siedzą sobie przy kominku, słuchają najnowszych miejscowych plotek, być może jedzą coś ciepłego i chłoną mądrości McGregora, który wpadł na chwilę w drodze do domu z gabinetu lekarskiego w sąsiednim budynku.

— Jeszcze trochę odezwał się do szofera - a rzucę to wszystko w diabły i wrócę do medycyny. Bardziej bym się tam dzisiaj przydał z moją torbą lekarską.

— Przecież dobrze pan postąpił odpowiedział Stanley, Trynidadczyk z Lewisham. Niczego się od pana nie spodziewali, a pan przynajmniej tam został. Inny to wpadnie na pięć minut, powie „dzień dobry” i „tak mi przykro”, wlezie przed kamerę i już go nie ma.

Fakt, zostałem, myślał Martin. Ze wstydu i bezsilności. Po dwudziestu minutach, gdy stało się oczywiste, że zostaje, pożyczili

mu parę gumiaków. Któryś wagon rozwalił biegnącą wierzchem rurę wodociągową i po jakimś czasie cały plac pokrył się równą warstwą mułu i wody. Palniki acetylenowe syczały i ziały ogniem, karetki pogotowia czekające na ofiary ugrzęzły po osie w błocie. Jeden po drugim, wagony uderzały w stuletni chyba budynek z grubej cegły, który służył jednocześnie za pompownię i warsztaty i nie rozleciał się wcześniej tylko dzięki stalowym opaskom i belkom. Ostatnich dwóch pracowników wydobyto dopiero po ośmiu godzinach akcji. Jeden był martwy, drugi żył i próbował nawet żartować, gdy do jego poharatanych rąk podłączono kroplówki z krwią i osoczem. Po sześciu godzinach jednak, gdy przystąpiono do cięcia wagonu, pod którym był uwięziony, trzeba go było zdrowo nafaszerować morfiną. Kiedy w ciemnościach akcja dobiegała końca, plac przypominał widok spod Passchendaele: sanitariusze z noszami kroczyli po kolana w mulu, na tle nieba sterczały pod różnym kątem strzaskane belki byłej pompowni.

To jest cena węgla - powiedział z goryczą delegat Krajowego Związku Górników. Tyle że za miesiąc ten sam działacz związkowy zjawi się w departamencie i ostro zaprotestuje przeciwko planom zamknięcia tej czy innej kopalni. Nie można powiedzieć, że jest niewrażliwy, lecz połowa jego zajęcia polega na ciągnięciu w nieskończoność sagi tego przemysłu. Jeżeli zamkniemy kopalnie, ci mężczyźni zostaną bez pracy, a w najlepszym razie zamienią swój mit twardych ludzi w kaskach i o poczerwiałych twarzach na

czyste kombinezony wytwórni przedmiotów z plastyku dwa albo trzy miasta dalej.

Energetyka jądrowa w Wielkiej Brytanii, myślał Martin, ma kartę bielszą od bieli: w ciągu trzydziestu pięciu lat ani jednego wypadku śmiertelnego spowodowanego przez atomy i tylko pięć wypadków śmiertelnych z innych przyczyn. Wczoraj, podczas kolacji u Ordisha, nawet sam ambasador USA przytoczył te dane. Praca jednej tylko elektrowni atomowej w Zjednoczonym Królestwie oznacza, że w ciągu roku półtora statystycznego górnika unika śmierci.

„W Stanach wypłacamy rocznie miliard dolarów tylko z tytułu odszkodowań za pylicę”, dodał wczoraj ambasador.

„Czysta, nie szkodząca środowisku energia atomowa zgodził się kiedyś Gordon przy kieliszku portwajnu — jest wspaniałą rzeczą, pod warunkiem, że wszystko działa jak należy”.

Nagle Martin roześmiał się w głos. Nie minęło dwadzieścia godzin, a miał już cztery następne ofiary śmiertelne i siedmiu ciężko rannych. Może CIA podpłowała tę szynę, żeby ułatwić Ridgewayowi osiągnięcie celu.

Wizje przeszłości: wyjące syreny kopalni i kobiety w chustach i czepkach biegnące stromymi uliczkami pod szyb. W radiu szedł właśnie przebój sprzed piętnastu lat: „Jestem synem biedaka”.

O wpół do ósmej jest transmisja z meczu — odezwał się Stanley, obserwując Martina w lusterku. — Arsenal w Pucharze UEFA.

Nie zjeżdżaj z Al — powiedział Martin. - Przy tamtej drodze pubu nie uświadczysz.

— Możemy wstąpić do Grantham na stek z frytkami.

Martin skinął głową. W swoim zimnym, małym londyńskim mieszkaniu nie będzie miał ochoty na nic poza snem i zapomnieniem.

Tego wieczoru Gordon zasnął w pociągu. Głowa mu opadła, a z teczki leżącej na kolanach posypały się na podłogę listy i brudnopisy odpowiedzi. Dziewczyna siedząca naprzeciwko uśmiechnęła się do swojego sąsiada, pozbierała papierki do tekturowej teczki i wetknęła ją w pozbawioną czucia dłoń Gordona.

Obudził się, gdy pociąg zwolnił na moście i wszedł w podwójny zakręt dwieście metrów przed jego stacją. Gdyby zasnął, nie byłby to pierwszy tego rodzaju przypadek. Bywało, że konduktor budził go w Hastings lub Sandwich. Jak już zbudują tunel pod Kanałem, pomyślał, będzie przynajmniej nadzieja, że kiedyś obudzę się w Paryżu albo w Rzymie.

— Mam dla ciebie zadanie — oznajmił Joss przy kolacji. — NPA w twoim RPP. Wymyśliłem to z Blaszaną Rączką powiedział przystępując do przedstawienia problemu przy pomocy słoików z przyprawami i sztucców.

— Wielki Boże — rzekł Gordon, poważnie zaniepokojony. — Gdyby wyszło na jaw, że wzięłeś projekt reaktora do szkoły, rozszarpaliby mnie na strzępy.

— Chodzi mi o pręty regulacyjne — mówił Joss. — Umieszczono je tak, że są narażone na uszkodzenie.

Wbił trzy noże w miskę ziemniaków puree. — Wszystkie wystają ponad szczyt basenu reaktora, a nad nimi tkwi czterystutonowy dźwig. Teraz wyobraź sobie, że przesuwasz wymienianą pompę obiegu pierwotnego w ciężkim pojemniku i dźwig nawali albo operator popełni błąd i to wszystko runie na podłogę bezpośrednio nad mechanizmami prętów regulacyjnych. A tam jest tylko trzymilimetrowa stalowa blacha. Pręty regulacyjne mogą się zaklinować w górnym położeniu i wtedy nie masz żadnego zapasowego systemu panowania nad reaktorem.

— Brzmi to bardzo mało prawdopodobnie — powiedział Gordon, usiłując wykrzesać z siebie trochę energii i uśmiechnąć się.

— Blaszana Rączka mówi, że zupełnie nie rozumie, dlaczego nie ma alternatywnego układu regulacyjnego działającego na innej płaszczyźnie, na przykład od dołu rdzenia albo z boku. Twierdzi, że powinien to być zupełnie podstawowy element niezawodnego projektu.

— Jestem pewien, że gdyby tak istotnie było — odparł Gordon ze znużeniem — dawno by to zastosowano. Wiesz przecież, Joss, że nad reaktorami biedziło się wiele tęgich umysłów.

— Ale pomyśl o wszystkich powodach, dla których woleli tego nie zastosować powiedział chłopiec. — Pomyśl, ile by to kosztowało. Trzeba by znaleźć na to miejsce. Trzeba by wymyślić

zupełnie nowy mechanizm nie wykorzystujący siły ciężkości, jakiś sposób wsuwania prętów od dołu lub z boku. Klóci się to z elegancją projektu, a tego inżynierowie nie cierpią.

Mary podała pieczone i wyjęła pręty regulacyjne Jossa z półmiska ziemniaków.

Zastanów się nad tym, tato — rzekł Joss. — Ot tak, dla zabawy. Masz w departamencie tyle technicznych umysłów.

Po kolacji Gordon znów zasnął, tym razem w swoim fotelu, i znowu z teczki posypały się na podłogę listy i brudnopisy odpowiedzi.

Podaję, że moja głowa daje za wygraną — powiedział do Mary, gdy wreszcie położył się do łóżka.

I ciało też — dodał, czując dotyk jej ręki po wewnętrznej stronie swego uda.

Henshawowi szybko ubywało dolarów, zwłaszcza po opłaceniu długiej rozmowy telefonicznej i kupnie biletu na samolot do Mediolanu. Wydusił w końcu ten numer od Donachie'ego. Anna się ukrywa, oświadczył. Nie dopuszczą cię do niej, nawet na odległość. Ten numer to automat w barze. Przekazujesz wiadomość facetowi o imieniu Manfredo. Dziesięć minut trwało odnalezienie Manfredo, a następne dziesięć przekazanie mu wiadomości z pomocą rozmówek włoskich. W sumie dwadzieścia minut, po dolarze za minutę. Zadzwoń znów o ósmej, powiedzieli mu. A jeśli o tej porze będziesz już we Włoszech, wolno ci dzwonić tylko z automatu.

Było kwadrans po ósmej, kiedy Henshaw przebrnął przez kontrolę paszportową i celną na Linate i znalazł automat. Potem jeszcze dziesięć minut poszukiwań Manfreda w hałaśliwym barze, tyle że tym razem nie usłyszał jego głosu, lecz jakiś inny, władający przy tym angielskim. Henshaw otrzymał dokładne instrukcje dotyczące spotkania na dworcu. Wyglądało na to, że jego papiery zostały uznane za wystarczająco wiarygodne.

— Jeżeli nie będziesz sam ostrzegł głos w słuchawce — albo jeżeli ktoś cię będzie śledził, nici ze spotkania.

Henshaw spojrział na zegarek. Miał cztery godziny na przejazd z lotniska do miasta i rozejrzenie się po okolicy.

5

Włoski kierownik ośrodka chętnie poświęciłby więcej uwagi rozkosznemu uśmiechowi skromnej, drobnej Angielki siedzącej obok niego, lecz jego oczy i myśli bez przerwy uciekały na drugi koniec stołu w stronę Amerykanina. Zastanawiał się, od czego ma zacząć rozmowę. Odbitka zapisu czujników akustycznych wypalała dziurę w górnej kieszeni marynarki i Włoch wiedział, że jeśli dziś stchórzy, jutro będzie mu dwa razy trudniej zdobyć się na odwagę.

Frutti di Mare, Risotto Pescatore, Fritto Misto, Pesce Lesso. Kate jeszcze nigdy nie zjadła tyle ryby za jednym posiedzeniem.

Pochlebiali jej nadszukiwanie ze strony Włochów, do których, jak się domyślała, należało też uiszczenie rachunku za posiłek.

— To wszystko prawdziwe ryby objaśnił kierownik ośrodka. Radzę korzystać. Złowiono je żywe wczoraj wieczorem.

— Myślałam, że wszystkie ryby są żywe w momencie złowienia — odparła Kate z uśmiechem.

Tak, ale wszystko zależy od tego, kiedy ostatni raz były żywe. — Włoch roześmiał się. Na południe stąd rybacy udają tylko, że łowią. Wypływają w morze o zmierzchu, potem pod osłoną nocy podpływają do statku-chłodni i odkupują kartony mrożonych ryb od Norwegów albo Rosjan. Gdy nad ranem wracają do portu, ryba jest już elegancko rozmrożona. Dorzucają garść wodorostów, polewają morską wodą i sprzedają jako świeży towar z dziesięciokrotnym zyskiem.

Kate roześmiała się i pomyślała, że Włosi potrafią przynajmniej spojrzeć na siebie krytycznie i mimo swych frankofilskich ciągot musiała przyznać, że Francuzom czasem tej umiejętności brakuje. Spojrzała w stronę Dave'a, wciąż pogrążonego w poważnej dyskusji czy pertraktacjach, trudno powiedzieć w czym.

Dave zresztą sam nie bardzo wiedział. Przez większość dnia rozmowa toczyła się wokół technicznych danych i harmonogramów prac Francuzów nad następnym reaktorem prędkim po Super-Pheniksie, z czego należało wnosić, że w tej dziedzinie mogłaby się rozwinąć francusko-amerykańska

współpraca. Współpraca czy uczestnictwo? Odnosił wrażenie, że łaskawie oferuje mu się zaledwie „przywilej” uczestnictwa w ich słowniku nie było terminu „wspólne przedsięwzięcie”. Próbują wyniuchać, ile muszą mi zaproponować, by odciągnąć mnie od Anglików, wiedząc, o czym ciągle mi przypominają, z jakimi oporami przychodzi uzyskanie ostatecznej decyzji i zobowiązania w Londynie. A jeżeli z Londynem nie wypali, leżymy z naszym amerykańskim reaktorem prędkim na obu łopatkach. Bez silnego poparcia Anglików szalony pomysł Shamy z pewnością nie uzyska poparcia w Waszyngtonie, a wtedy, chcąc pozostać w grze, będziemy zmuszeni stanąć przed Francuzami i, miętosząc czapkę w rękę, przyjąć każdą ich propozycję. Niewesoła perspektywa. O rany, skrzywił się Dave w stronę kieliszka z grappą, to będzie gorsze niż trójwymiarowe szachy, jedyna gra domowa, w której zawsze wygrywała Pat.

Popatrzył na roześmianą twarz Kate na drugim końcu stołu. Dobrze jej było w tym obcisłym sweterku. Muszę cię sprawdzić, pomyślał, zobaczyć, co się naprawdę pod nim kryje.

— Połączony zespół pięciu 1300-megawatowych jednostek wywodził przedstawiciel NERSA, zagłębiając się w szczegóły obecnej francuskiej strategii budowy „parków atomowych”.

Wszyscy tam utkwimy — odparł Dave. — Wynajdywanie nowych terenów pod elektrownie jądrowe to jak szukanie śniegu na pustyni, a rozbudowa istniejących obiektów jest tylko

nieznacznie łatwiejsza. Nawet wtedy tłuszcza ekologów wyłazi ze swoich makrobiotycznych jaskiń i podnosi wrzawę.

Za dwadzieścia lat — zawyrokował Francuz — ekologia będzie martwa. To tylko modny luksus zagrożonej, ale wciąż dychającej gospodarki. Jak gospodarka zacznie się dławić z braku źródeł energii, ekologia będzie pierwszą jej ofiarą.

— Dwadzieścia lat to za późno. — Dave wzniosł kieliszek grappy. — Piję za jej przedwczesny zgon w przyszłym tygodniu.

Francuska drużyna zaczęła się rozpadać. Przybysze nocowali w domach swych zatrudnionych na miejscu kolegów. Umówili się z Dave'em na następny dzień, by dokończyć zwiedzania Segre. Pora pozalecać się do Kate, pomyślał Dave i zamówił jeszcze jedną kawę i grappę, lecz włoski kierownik ośrodka, przepraszając Kate, przesunął się wzdłuż na wpół opuszczonego stołu i usiadł na wolnym krześle obok Amerykanina. Chwilowo Dave musiał więc poprzestać na przesłaniu uśmiechu i przyjaznego gestu dłonią w stronę owego ciasnego sweterka z szetlandzkiej wełny. Uznał, że wino uderzyło Kate do głowy.

— Mam dla pana techniczną zagadkę — odezwał się Włoch z wymuszonym uśmiechem. Postawił na staromodny frontalny atak. — Dwa czujniki nieładnie się nam zachowują.

— Tak mi się właśnie zdawało — uśmiechnął się Dave. Brakujący odcinek zapisu, nieprawdaż?

Włoch zaśmiał się, bardziej z powodu ulgi, jaką poczuł, niż rozbawienia.

— Pewnie mój francuski kolega napomknął coś na ten temat?

— Prawdę mówiąc, nie. Nasz dialog dotyczył spraw bardziej, że tak powiem, strategicznych.

Włoch wyciągnął z wewnętrznej kieszeni marynarki odbitkę zapisu.

— To na pewno nic wielkiego, ale wiem, że długo zajmował się pan przyrządami pomiarowymi w Ameryce.

Rozłożył odbitkę na stole, świadom faktu, że w ten sposób łamie z dziesięć przepisów naraz. W podstawę filtra sodowego wmontowane są dwa czujniki akustyczne. Ich funkcja jest w gruncie rzeczy czysto doświadczalna. Chodzi nam o ustalenie normalnego poziomu dźwięków, ponieważ wydaje się nam, że w przyszłości większość przyrządów pomiarowych w obrębie rdzenia będzie działać na zasadzie akustycznej.

Dave wygładził odbitkę. Zakłócenia były całkiem widoczne: nieregularne podskoki pisaka, ostatni zaś podwójny podskok wyglądał prawie jak pojedyncza gruba linia.

Na tym utknęliśmy rzekł Włoch. Wcale nie wygląda groźnie, ale niczego nie można być pewnym.

A może to po prostu jakieś dźwięki wydobywające się z pompy? Albo szum płynącego sodu? Czasami to chłodziwo porusza się jak syrop. Może jakieś drobne zmiany temperatury, ale wystarczająco duże, by zakłócić normalny rytm przepływu przez filtr?

Tylko że nie ma sposobu ustalenia przyczyny ponad wszelką wątpliwość.

Ma pietra, pomyślał Dave.

Były jakieś inne objawy? spytał.

— Żadnych.

— Jakieś kłopoty z pompami?

— Najmniejszych.

— Temperatura sodu?

— Stała.

— Próbki sodu?

— Bez zastrzeżeń.

Cóż, jeśli cokolwiek tam się tłucze, jest niewątpliwie za duże, żeby przedostać się przez filtr — odrzekł Dave.

— A jeśli spowoduje jakieś uszkodzenie?

— Spójrzmy na to z innej strony. — Dave obrócił odbitkę rysunkiem do blatu. — Gdybyście nie mieli tych dwóch eksperymentalnych czujników, o niczym byście nie wiedzieli.

— Więc uważa pan, że nie trzeba się tym przejmować?

— spytał Włoch z uśmiechem. — Tak myślą Francuzi.

— Nie wiem.

— Tylko dlaczego ostatni sygnał był podwójny?

— Włoch wskazał ostatni podskok pisaka. — Widzi pan, jeśli tam coś rzeczywiście siedzi, może to coś zaczyna się rozlatywać?

Dave roześmiał się.

— Pan chyba naprawdę cierpi na brak koszmarów sennych.

— Tylko w jeden sposób można się upewnić. Dave skinął głową.

— Wyłączyć reaktor, wyjąć paliwo i spuścić sól. Roboty mniej więcej na rok.

Włoch przytaknął z nieszczęśliwą miną.

— Nikt na to nie pójdzie, jeśli nie będzie bardziej wyraźnych oznak, że coś nie gra.

Tak to jest, jak się ma za dużo przyrządów peryferyjnych, pomyślał Dave. Peryferyjne zagadki. Znów przyjrzał się taśmie z zapisem.

— Założmy — powiedział — że gdzieś pod filtrem błąka się jakiś śmieć. Wtedy w zapisie akustycznym jest pewna logika. Strumień płynącego sodu dociska go do filtru, ale zawirowania z czterech pomp mogą go trochę przesuwac, co mogłoby tłumaczyć fakt, że raz pojawia się z jednej strony, innym razem z drugiej. Zatem coś może tam rzeczywiście być, ale nie jest to na tyle duże, by spowodować zauważalną różnicę w przepływie sodu, a jak wynika z projektu, żadne ciało tak małe, by mogło przejść przez filtr, nie może spowodować uszkodzeń w rdzeniu, bo po prostu powędruje kanałami chłodzącymi między prętami paliwowymi. Podobnie z wymiennikami ciepła lub pompami obiegu pierwotnego: tak drobny śmieć nie może zrobić im krzywdy.

Włoch skinął głową bez przekonania.

— Może jutro w sterowni mógłby pan jeszcze raz spostrzec brak zapisu zasugerował. Otworzy pan dyskusję i każdy powie, co o tym myśli.

— Francuzi też? — spytał Dave z uśmiechem.

— Ludzie czasem wykazują dziwną niechęć, gdy trzeba przyznać, że pojawił się jakiś problem.

Wszystkim to się czasem przydarza. — Dave wstał od stołu. — Spróbuję jutro zorganizować dla pana tę debatę. Włoch schował odbitkę.

— Tylko proszę o jedno — dodał uśmiechając się. Nigdy pan tego nie widział.

Dave przeniósł kawę i grappę na drugi koniec stołu.

Samochody zaraz ruszą — powiedziała Kate.

A czemu by się nie przespacerować? To tylko trzysta metrów. — Dave usiadł obok niej, ujmując dłonią jej ramię.

Zresztą tak czy tak musisz mi opowiedzieć, co ci włoscy uwodziciele z tobą robili.

— Napychali mnie rybami. Wyłazi mi to uszami. Twój koniec stołu wyglądał poważniej. Co robili z tobą ci uwodzicielscy Francuzi?

Dave zaśmiał się.

Przekonywali mnie, że trudno będzie osiągnąć zadawalającą roboczą współpracę z tymi okropnymi Anglikami.

— I przekonali?

— Nie wiem. Ty i ja, piękna pani, trzymamy się za ręce. Nie wygląda mi to na roboczą współpracę.

Bo też nie ma wyglądać. To się nazywa chemia ciała ludzkiego.

Kate wstała śmiejąc się.

O wiele bardziej zawiła sprawa niż prosty reaktor prędkości powielający.

Inny rodzaj powielacza, ale pod wieloma względami podobny. Z tym też trzeba się obchodzić bardzo ostrożnie...

Wioska była pogrążona w ciemnościach i śnie. Trzej zmęczeni kelnerzy wprawdzie się uśmiechali, ale tak naprawdę ucieszyli się widząc, jak tych dwoje rusza w dół schodami wzdłuż starych umocnień obronnych. Od granic wioski droga nie była oświetlona. Było pusto. Księżyc zawisł nad sylwetką ruin zamku na szczycie klifu.

— Wspaniała noc na spacer — powiedział Dave.

— Gdybym tylko miała trochę siły.

Pomyśl tylko, jak te budynki wyglądałyby w świetle księżyca.

— Ten zamek?

— Nie, reaktor.

— Siedem kręgów piekła. Piekła?

A ile tam było kręgów?

— W reaktorze?

— Nie, w piekle.

Stanęli przy płocie na skraju drogi i patrzyli na falujące morze, na białą pianę grzywaczy niemo tłukących o czarne skały.

Kierunek wiatru jest dla nas korzystny, gdyby reaktor miał zamiar wylecieć w powietrze - rzekł Dave ze śmiechem. Dmucha z południowego wschodu, pluton poleci w głąb lądu.

Temat non grata.

Ależ ci Włosi są strachliwi. Drobne kłopoty z przyrządami, a ten twój sąsiad z kolacji już zaczyna panikować.

— Jakie kłopoty z przyrządami? Dave zaśmiał się i wziął ją pod rękę.

Zegar mu się zepsuł w wyścigowym samochodzie.

Coś przede mną ukrywasz, Davidzie Ridgewayu.

Tylko moje lubieżne myśli. Gdyby było trochę cieplej, wziąłbym cię na plażę i kochał się z tobą na piasku. — Nie ma piasku.

Może przy hotelu jest chociaż piaskownica dla bachorów.

A musi być piasek? spytała Kate rozbawiona.

Ja się nauczyłem kochać w Kalifornii. Dave puścił jej ramię, uścisnął kark i przejechał palcem w dół między łopatkami. Nie ma stanika, pomyślał. Zatem te piersiątko są prawdziwe. Był pewny, że pod dotknięciem jego palca przez ciało Kate przebiegł dreszcz.

Chyba wybrałeś niewłaściwą kobietę powiedziała. — Nie jestem w tym dobra.

Wierna swojemu chłopu, co?

Mówisz, jakby to było coś nienormalnego.

Niektórym z tym dobrze, ale ja wiem na pewno, że nie urodziłem się monogamistą. To takie marnotrawstwo.

— Dave chwycił jej dłoń. Chcesz zmarnować taką księżycową noc? I całe to wspaniałe żarcie i wino?

Może odkładam to na później i jak będę stara, zacznę pisać wiersze?

Jeżeli nie zamkniesz drzwi na klucz — powiedział, gdy weszli na schody — za pięć minut będę u ciebie z kieliszeczkim na sen. Ot, pilnowanie, pomyślała. Służba nie drużba.

Za dziesięć odparła. Muszę umyć głowę. Dziesięć minut później, co do sekundy, zapukał cichuteńko do jej drzwi i wsunął się do pokoju. Ujrzał ją w płaszczu kąpielowym, siedzącą na łóżku z nogą założoną na nogę. Na głowie miała ręcznik zawinięty w coś na kształt turbanu. Ona zaś ujrzała szlafrok, butelkę oraz dwie owłosione nogi i zaczęła się głowić, jakby go tu uprzejmie wymanewrować z powrotem na drugą stronę drzwi, zanim sytuacja ulegnie poważnemu zaostrzeniu.

Black Jack wyszeptał stawiając butelkę obok łóżka. Podwójnie przefermentowana whisky. Chyba jedyny afrodyzjak dający gwarancję, że zasnę, zanim zdołam cokolwiek nabroić.

Nalał do szklanki i, podając ją Kate, złożył uroczyście pocałunek na jej owiniętym w ręcznik czole.

Królowa i jej dworzanin. Siedzę u twych stóp. — Wzniósł w górę swój kubek do mycia zębów. Napijemy się za nas dwoje?

— Zależy, w co się wpakowałem. Dave stuknął kubkiem o jej szklankę.

— W odrobinę ciepła i zrozumienia.

Biały duch, pomyślała Kate, gdy Dave wolną ręką ujął jej stopę. Opowiesz mi wszystko o sobie? spytał, głaszcząc jej kostkę.

— Nie ma o czym. Nudy na pudy.

— Nic, co ciebie dotyczy, nie jest dla mnie nudne. Jaki jest ten twój facio?

— Gdybym ja ci zadała takie pytanie, nie byłbyś zachwycony.

Ależ skąd roześmiał się. — Moja ma na imię Pat. Duża blondyna tryskająca zdrowiem i lenistwem. Uczy hiszpańskiego w Berkeley i nie chce przenieść się ze mną do Waszyngtonu.

— I ma rację.

— W Waszyngtonie też mogłaby uczyć hiszpańskiego.

— Ty mógłbyś pchać do przodu te swoje reaktory w San Francisco.

— Prawdę mówiąc, nie. Jestem zdany na łaskę mojego departamentu. Tak jak ty albo Gordon.

— Kiedyś przecież byłeś w San Francisco. Czemu się przeniósłeś?

— Kwestia ambicji.

— Więc ty masz prawo mieć ambicję, a Pat nie.

Dave znów roześmiał się.

— A ty masz ambicje?

Chciałeś spytać, czemu nie mam męża i rodziny?

Wszystko przeinaczasz. Robię co mogę, żeby nie wyjść na szowinistycznego drania.

Dobrze, mam dwie siostry, obie zameżne. Jedna jest nieszczęśliwa, druga szczęśliwa. Myślę, że jak na jedną rodzinę to starczy.

Obydwie równie śliczne co ty?

One są śliczne rzekła Kate. A na swój temat mam wyrobione zdanie i twoje pochlebstwa go nie zmieniają.

O sobie samym nie sposób mieć wyrobionego zdania. Ręka Dave'a powędrowała z kostki na łydkę, wsuwając się pod skraj płaszcza kąpielowego. Ja na przykład zawsze myślałem, że jestem Paulem Newmanem. Spójrz i porównaj.

Kate roześmiała się.

— Niebieskie oczy.

I kręcone włosy. To jest chyba wszystko. Jaki jest twój typ mężczyzny?

Musi być ojcowski. Lubię się czuć bezpieczna. Paul Newman jest ojcem. Nie wiedziałaś? A jak u ciebie z dziećmi?

Własne dzieci są zawsze cudowne, a cudze to zawsze nieznośne potwory.

Tak jak cudze reaktory prędkie odparła, usiłując zmienić temat.

— To zwykła zazdrość.

Albo zmartwienie z powodu tych francuskich zalotów.

Dave ścisnął jej nogę.

Mam nadzieję, że ty i Gordon pomożecie mi o nich zapomnieć.

— A jeśli nam się nie uda?

— To nie wiem, co będzie. Zapatrywania Francuzów na współpracę międzynarodową niewiele się zmieniły od czasów Napoleona. Mają bardzo wygórowane wyobrażenie o własnym miejscu w świecie.

To było zwykle nasze zmartwienie.

Modłę się, żeby dalej tak było. Ale jesteście tacy pokorni, ostrożni i defetystycznie nastawieni, że z równym powodzeniem mógłbym namawiać wiewiórkę ziemną, żeby wyszła z zarośli.

— Albo niechętną niewiastę, żeby poszła do łóżka. Dave doszedł właśnie do kolana, dwoma palcami dokonując już zwiadu na udzie.

Wolałbym, żeby twoja skóra nie była taka gładka i ponętna. Łatwiej bym się wtedy pogodził z porażką.

— Próbowałam ci tłumaczyć, że kiepska ze mnie kochanka.

Chcesz powiedzieć, że jesteś lesbijką, czy co?

— Nie - zaśmiała się. — Jeśli już musi być jakaś dłoń na moim kolanie, wolę, żeby była męska.

Więc to ja ci nie odpowiadam.

Nic takiego nie powiedziałam. Chodzi o nastawienie. Trzeba umieć stłumić poczucie śmieszności. Mnie się to chyba nigdy nie udało.

Zdaje ci się, że krążysz pod sufitem i przyglądasz się?

Coś w tym rodzaju. Jak na to wpadłeś?

— Wszystkim się to czasem przydarza. Mnie się to przydarza za każdym razem.

— Przypatrywałaś się kiedyś ludziom podczas jedzenia? Patrzyłaś naprawdę uważnie, skupiając się na tym, co wyczyniają ich usta i dłonie?

Dlaczego zachichotała. To przecież czemuś służy?

— Tak samo jak siedzenie na kiblu. Obserwowałaś siebie siedzącą na kiblu?

— Unikam takich myśli.

Błąd numer jeden. Trzeba umieć się pogodzić z naszymi niezbyt dystygowanymi czynnościami.

Włączając w to seks?

Kochanie się, jeśli łaska. A jeśli już patrzysz na wszystko okiem fotografa, myśl o tym jak o balecie komicznym. Jego ręka wróciła na dół po prawej łydce i podjęła na nowo podejście do kostki lewej nogi. Tańczysz?

Bez najmniejszego skrępowania — odparła z uśmiechem. Jak wrócimy do Londynu, wezmę cię do dyskoteki i sam się przekonasz.

Założę się, że uprawiasz również jogę.

— Dlaczego?

Siedzisz zupełnie nieruchomo.

Staram się zachowywać jak dobrze wychowana kobieta.

I dlatego moja ręka czuje, że jest bardzo źle wychowana.

— Może to prawda?

Przy tobie w tej pozie? Dziwię się, że jest aż taka opanowana.

Kate poruszyła się po raz pierwszy, złączyła nogi, pozbyła się jego ręki i oplotła kolana ramionami.

— No, dość kuszenia.

Cała jesteś pokusą, od turbanu po duży palec u nogi. Kość i nic a nic biustu, pomyślała. - Ty chyba wszystko potrafisz sobie wmówić - powiedziała.

Ależ ja tylko staram się ciebie namówić, żebyś wyskoczyła z tego szlafrocza i wskoczyła nago do łóżka. A potem?

Stłumisz poczucie śmieszności i poddasz się stłumionej zmysłowości. David spoglądał na nią w milczeniu przez dłuższą chwilę, po czym podniósł się ze śmiechem.

Zamiast tego, śliczna zjawo, zagadałaś mnie na amen.

Dotknął dłonią jej policzka. — Całą noc będziesz mi się śniła.

Kate wciąż siedziała na łóżku obejmując rękami kolana, kiedy Dave wycofał się do drzwi z butelką w dłoni.

— Założę się, że wcale nie jesteś pewna, czy chcesz" żebym poszedł — wyszeptał.

Kate uśmiechnęła się, będąc całkowicie pewna.

— Do zobaczenia rano — powiedziała.

6

W siedmiu jasnych kręgach betonu i stali ranek wcale nie zapowiadał się spokojnie. Do świtu pozostały jeszcze trzy godziny,

kiedy po raz przedostatni nałożyły się na siebie wahnięcia w pracy pomp obiegu pierwotnego. W dyspozytorni nikt tego nie zauważył. Zakłócenia spostrzeżono dopiero po pół godzinie, podczas rutynowego sprawdzania zapisów przyrządów pomiarowych. Tym razem podskoki były mniejsze, lecz wystąpiły równocześnie na obu taśmach — potrójne drgnięcia w odstępie jednej dziesiątej sekundy.

Włoski kierownik ośrodka kazał dzwonić do siebie w przypadku kolejnego skoku zapisu czujników akustycznych. Gdy przekazano mu szczegóły przez telefon, zadzwonił do swojego francuskiego kolegi nie bacząc na porę ani na niespokojny sen swojej żony.

— Jestem przekonany — powiedział Francuzowi — że pod rdzeniem mamy jakieś ciało obce. Musiało się wydostać z którejś z pomp, a strumień sodu zaniósł je pod filtr. Jeżeli na parę dni wyłączymy reaktor, bardzo możliwe, że ten intruz opadnie poniżej wylotów pomp i tam, miejmy nadzieję, już zostanie.

Francuz, wciąż nie w pełni rozbudzony, mówił niewyraźnie.

— Skąd nagle pewność, że ma pan rację?

— Twierdzę, że cokolwiek tam jest, przesuwa się pod powierzchnią filtru. Najpierw mieliśmy sygnały z jednej strony, potem z drugiej. Teraz mamy słabsze sygnały z obu stron, co może znaczyć, że w tej chwili to coś jest gdzieś w okolicy środka filtru, pod samą osią rdzenia paliwowego. Sądząc po podwójnych i

potrójnych sygnałach, zaryzykowałbym stwierdzenie, że to coś zaczyna się rozpadać.

Francuski kierownik nie od razu odpowiedział.

— Nie wydaje mi się, by pańska diagnoza była słuszna, lecz zgadzam się, że być może warto wyłączyć reaktor i zobaczyć, czy sygnały zanikną. Pogadamy o tym jutro i przygotujemy wyłączenie reaktora na piątek albo na sobotę.

Serce Włocha zamarło, ale nie miał odwagi dłużej nalegać, przynajmniej na razie. To, że Francuzi zgadzają się na wyłączenie, było już samo w sobie sporym osiągnięciem, rano zaś, jeśli Ridgeway zrobi, co obiecał, zrozumieją być może, że nie mają nic do wygrania odkładając wyłączenie o jeden dzień.

Tylko że w Segre nie liczyły się już dni, lecz godziny i minuty. Koło ruletki prawie się zatrzymuje. Odłamek tlenku ołowiu, rozłamany wzdłuż pęknięcia, tkwi teraz uwięziony przez strumień stopionego sodu w rozchodzących się kątowno otworach filtru.

7

Peron trzynasty, północ. Stoisz pięć minut pod tablicą z numerem peronu, potem idziesz na peron dziewiąty i czekasz dalej. Henshaw wypełnił polecenie skrupulatnie co do sekundy, czując ciarki przechodzące mu po grzbiecie na wspomnienie

ostatnich słów Donachie'ego: „Nie próbuj ich przerobić, Henshaw. Oni nie żartują”.

»Ja też nie żałuję«, odpowiedział wtedy spokojny Amerykanin, lecz na tym niemal pustym dworcu odwaga zaczęła go opuszczać „oni” skądś go obserwowali i oceniali jego wartość czy też zagrożenie płynące z jego strony. Nie mam zamiaru się wygłupiać, pomyślał, ale też nie wiem, jak daleko jestem gotów pójść z nimi drogą przemocy.

Kwadrans po północy stracił już prawie nadzieję, że ktoś przyjdzie. Wtedy właśnie na przeciwległym końcu dworca zatrzymał się pociąg i peron na krótko wypełnił się ludźmi, śpieszącymi do ostatnich autobusów i taksówek. Dobrze ubrany młody mężczyzna minął Henshawa omal nań nie wpadając, po czym zatrzymał się na moment, jakby chciał go przeprosić.

Pójdiesz ze mną oznajmił mężczyzna.

Henshaw posłusznie ruszył, zastanawiając się przez moment, jakby to było zabawnie, gdyby się okazało, że ma z kimś dzielić pokój w hotelu. Cóż, to by rozwiązało problem noclegu, pomyślał, a moich 156 dolarów wystarczyłoby na dłużej.

Wyszli ze stacji, minęli rozległy plac i weszli w opustoszałą ulicę. Młody mężczyzna nawet nie próbował nawiązać rozmowy. Jeśli to oni, myślał Henshaw, w ten sposób chcą się upewnić, czy jestem sam. Przeszli jedną długą ulicę, przeszli następną, obydwie ciemne i puste, a gdzieś z tyłu, myślał, oni wciąż mnie śledzą i patrzą, czy ktoś inny nie wynurza się ze stacji.

Za nimi, w ulicę, którą szli, skręcił jakiś samochód. Nawet ów młody mężczyzna przez moment zaniepokoił się lub przestraszył obejrzał się do tyłu, spojrzął na Henshawa.

Samochód wyprzedził ich i stanął przy krawężniku. Furgonetka. Młody mężczyzna podszedł do tylnych drzwi i otworzył je. Henshaw wszedł do środka i drzwi zamknęły się. Otoczyła go ciemność. W środku był ktoś. Zabrano mu torbę i ktoś odezwał się do niego z bliska bardzo łamaną angielszczyzną:

— Ty zdejmij swoje rzeczy. Każde rzeczy.

Szukają mikrofonu, pomyślał Henshaw. Albo miniaturowego nadajnika radiowego, który mógłby powiedzieć moim ludziom gdzie się znajduję. Furgon stanął. Ten sam młody mężczyzna otworzył tylne drzwi i podał Amerykaninowi coś na kształt białego giezła, które cuchnęło brudnymi psami.

Na zewnątrz dojrzał wysoki mur z cegły i usłyszał odgłos lokomotyw manewrowych. Do otwartych drzwi podjechał tyłem inny furgon. Henshaw przesiadł się do niego, zastanawiając się, czy kiedykolwiek ujrzy jeszcze swoją torbę w szkocką kratę, swoje 156 dolarów i swoje ubranie. Na głowę zarzucono mu kaptur i kazano leżeć na podłodze pod kocem przez mniej więcej pół godziny. Tymczasem furgon jechał, raz samotnie, kiedy indziej słychać było odgłosy innych pojazdów.

Wreszcie wjechał na jakąś pochylnię i cofnął się. Otwarto drzwi i Henshaw, wciąż zakapturzony, został poprowadzony do jakiejś sieni, po czym nie kończącymi się schodami na górę. Ze

cztery albo i pięć pięter, pomyślał. Drzwi otworzyły się i zamknęły za nimi na klucz, przeszli przez dwa pokoje, wreszcie w trzecim zdjęto mu kaptur z głowy. Przez chwilę nie robiło mu to zresztą specjalnej różnicy, gdyż pokój pogrążony był w całkowitych ciemnościach. Zdezorientowany, omal nie stracił równowagi i nie upadł. Potem dostrzegł zarys okna przysłoniętego okiennicami, przez które sączyła się odrobina światła. Z tyłu trzasnęły drzwi i przez następnych dziesięć minut siedział oparty plecami o ścianę pod oknem, w przekonaniu, że poza nim nie ma w pokoju nikogo.

Później miał pomyśleć, że nic w życiu nie wystraszy go bardziej niż głos tej dziewczyny i błysk latarki, który przeszył go w ciemnościach. Nie słyszał nawet jej oddechu.

Jeżeli twoja obecność tutaj nie okaże się wystarczająco uzasadniona odezwała się — zabiją cię.

Odwrócił głowę i starał się uspokoić swe rozkołatanе serce, nim odpowiedział:

Wyłuszczyłem im powody.

Światło latarki przebiegło po całej jego postaci: po twarzy, białym giele, dłoniach, bosych stopach.

— Zmarłeś. Latarka spoczęła przed nim na podłodze. — Tu nie ma ogrzewania. — Usłyszał śmiech, który przypominał skowyt ochrypłego psa. — Ani światła.

Henshaw wziął do ręki latarkę i przyjrzał się siedzącej na materacu dziewczynie. Miała krótko obcięte włosy, z

przedziałkiem jak u chłopca, bladą twarz i wychudłe ciało odziane w sweter i spodnie.

— Anna?

Podniosła do oczu drobną czerwoną dłoń, by osłonić się od światła.

— Wyglądasz jak więźniarka.

— A więc oboje jesteśmy więźniami.

Henshaw omiótł snopem światła nagie ściany, sufit, jedyne drzwi, zamknięte na kłódkę okiennice i ponownie materac. Czyimi więźniami?

Dziewczyna uśmiechała się.

— W Anglii jestem teraz sławna.

— Nie z nazwiska.

Sądzę, że telewizja jest mi winna pieniądze za prawa autorskie. Plan akcji sabotażowej jest dziełem wyobraźni literackiej.

Henshaw położył latarkę na podłodze między sobą a Anną, kierując strumień światła w pusty kąt pokoju.

— Po niedzieli jedna z gazet będzie ci zawdzięczać o wiele więcej.

W bladym odbitym świetle ich twarze były ledwo widoczne.

— Wszystko wydrukują? Henshaw skinął głową.

Dziewczyna znów się zaśmiała. Był to ponownie skowyt, lecz tym razem bez radości.

To był kawał roboty. Wszystko dokładnie sprawdzone.

— Dlatego właśnie tu jestem.

— Chcesz skorzystać z wyników moich badań? Chcę dowiedzieć się od ciebie wszystkiego o Segre.

Anna podniosła latarkę.

— Masz zamiar podłożyć tam bombę?

Nie. Ale chcę pokazać światu, że to by się dało zrobić.

— Boisz się bomb?

— Nie.

A wierzysz w przemoc?

— Nie.

Anna wydała jeszcze jeden urwany skowyt.

— Zmienisz kiedyś zdanie. Kiedy zrozumiesz, że nie ma dla niej alternatywy. Kiedy nikogo nie będziesz w stanie przekonać, kiedy twój głos w wyborach nic nie będzie znaczyć i kiedy zobaczysz, że te same spalone kocury rządzą tak niebem jak i piekłem. Przypatrywała mu się w milczeniu, po czym wyciągnęła się na materacu i przykryła kocami.

— Może jutro pozwolą mi pomóc ci. Wyłączyła latarkę. My ci pomagamy, a ty nie pomożesz nam w niczym.

Jutro? Mam tu przesiedzieć całą noc w ciemnościach, bez jedzenia i bez picia? pomyślał Henshaw. - Muszę się wysikać — wyszeptał po chwili.

— Drzwi są otwarte.

Wymacał latarkę, podniósł się i ostrożnie ruszył przez opustoszałe mieszkanie, spodziewając się dziur w podłodze i

facetów z pistoletami. Pozostałe pokoje były jednak puste, ogołoczone z wszystkiego, i w każdym okiennice zamknięte były na kłódkę. W obskurnej łazience stały dwa wiadra z wodą, kurki i rury były wyrwane. Powąchał na wpół opróżnioną butelkę wina stojącą na podłodze czegoś, co niegdyś było kuchnią, po czym rozważył możliwość przespania się w którymś z pozostałych pokoi. Były zimne i odstrasające, on zaś potrzebował obecności tamtej dziewczyny, bez względu na to, jak dziwna była i niepokojąca.

Wrócił do ich pokoju, zamknął drzwi i położył się na podłodze przy ścianie, pod którą wcześniej siedział, ale przekonał się, że i tu nie zaśnie.

Minęła chyba godzina, gdy dziewczyna odezwała się do niego, wypowiadając jakieś włoskie słowa, których nie rozumiał.

— Przepraszam?

Roześmiała się po raz trzeci, tym skowytom kopniętego psa.

To taka technika przesłuchiwania — wyjaśniła.

— Moi towarzysze twierdzą, że jeśli jesteś z CIA, dobrze znasz włoski. Wobec tego próbuję przyłapać cię we śnie, tyle że ty nie śpisz, bo podłoga jest twarda i jest ci zimno.

— Przez kilka minut milczała. Powiedziałam po włosku odezwała się wreszcie — żebyś przyszedł pod koc, jeśli się nie wstydzisz.

Henshaw wyciągnął powoli rękę po latarkę, chcąc zobaczyć wyraz jej twarzy. Po głosie wywnioskował, że się uśmiecha. Latarki nie było.

Usłyszała, że się poruszył.

— Możesz tu przyjść tylko pod warunkiem, że ściągniesz z siebie tę białą ścierę. Jedzie psem.

Bez szczególnego powodu pomyślał o jej czerwonych dłoniach. Leżał przez chwilę nieruchomo, potem wstał, zrzucił gieźło i przysunął się do materaca. Odsunęła się i uniosła brzeg koca. Gdy się podeń wsunął, jego stopy dotknęły jej nóg. Pozbyła się spodni, a nogi i stopy miała równie zimne jak on.

Chwilę później latarka zapaliła się pod kocem jak w zabawie dziecięcej, a zimna szorstka dłoń odszukała jego rękę i pociągnęła ją między nogi. Onanizowała się teraz swoją i jego ręką naraz, z głową schowaną pod koc. Światło latarki wędrowało po jego ciele.

Myślisz — wyszeptała że to Bóg stworzył Amerykanów pięknymi? Promień latarki zjechał w dół i zatrzymał się na jego członku. I takimi niewinnymi? — Teraz na pewno w jej głosie był uśmiech. W momencie, gdy ręka trzymająca latarkę dotknęła członka, ten zeszywniał. Lecz Anna zabrała rękę, zgasła latarkę i z wolna odwróciła się, uwalniając jego dłoń.

Przez całą noc słyszał jej oddech i rozmyślał o dziewczynach i chłopcach z pistoletami.

Część czwarta

1

— Gniewasz się na mnie? — spytał Dave bez cienia skruchy w głosie, siedząc nad trzema filiżankami po kawie na skąpanym w słońcu zwirowym tarasie nad morzem.

— Owszem, za to, że jestem kompletnie skacowana — odrzekła Kate.

— Tamten chłopak potrafi temu zaradzić. Robi wspaniałą kawę z ekspresu. Namówiłem jego matkę na usmażenie jajek.

Kate skrzywiła się i opadła na krzesło.

— Wyglądasz odpychająco zdrowo i świeżo, i do tego masz przytomną głowę.

— Rano przeleciałem się na szczyt klifu i z powrotem.

— Dave wskazał na krąg balkonów nad ich głowami. Na jednej z poręczy suszył się pomarańczowy dres.

— Prawdziwy jogger? Dave pokręcił głową.

— To raczej ostry bieg. Roznosi mnie dziś nadmiar energii, o co zresztą mam do ciebie żal.

— Bieganie jest na pewno o wiele zdrowszym sposobem pozbycia się tego nadmiaru.

— Tylko że pocilem się sam. Księżycowi się to nie spodobało.

— I teraz się odgrywa, jak przypuszczam — rzekła patrząc na kłęb cumulusów na horyzoncie. Przebiegł ją dreszcz. — Czuję, że nadchodzi zima. Dave zaśmiał się.

— Wygląda na to, że zostaliśmy tylko my — powiedział, wskazując resztki śniadania na innych stolikach. — Belgów i Niemców odwieźli już na lotnisko.

— Słyszałam, że nas rozdzielają.

— To dzieło Francuzów.

Caffé latte — powiedziała Kate w stronę chłopca, który stał w drzwiach baru i przyglądał się im. — Mucho, mucho caffè latte.

— Gringo — rzekł Dave, naśmiewając się z jej włoszczyzny. — To nie Meksyk, moja pani. I mam nadzieję, że czułaś się wczoraj samotna.

Zasnęłam, zanim zdążyłeś zamknąć drzwi.

— Gdzie cię dziś zabierają?

— Do kliniki prowadzącej badania nad skażeniami promieniotwórczymi. Gdzieś w górach za Grosseto.

— Tam musi być bardzo wesoło. Może wsadzą cię do tomografu i wyjdzie na to, że jednak jesteś chłopem.

— Bardzoś dziś wojowniczo nastawiony. Rozsadza mnie po prostu nie rozładowana energia.

— Może powinieneś zrobić jeszcze dwie rundki na górę i z powrotem?

Dave przechylił się nad stolikiem i klepnął kartkę, na której miała wypisany program dnia.

Zauważyłaś, mam nadzieję, że załatwiłem nam wolny wieczór?

— To nie wracamy do Anglii?

— Odroczone.

— I to załatwiłeś?

Przy odrobinie szczęścia może uda nam się zostać jeszcze przez cały weekend.

Coś mi to wygląda na inicjatywę francuską. Dave potrząsnął głową.

— To jest ukartowane przez Ridgewaya z myślą o Aylenie. Uśmiechnął się. Jak się przez parę dni pomęczy sam, może to wspaniale wpłynąć na jego poczucie własnej przydatności.

2

Szybka umowa w sprawie powolnych reaktorów ? - brzmiał tytuł krótkiego artykułu na prawej skrajnej szpalcie, pod zdjęciem z katastrofy w kopalni. Martin Reid stojący w wellingtonach po kostki w błocie, z szeroko otwartymi oczami.

Pierwsza strona Guardiana podrzuconego tego ranka na wycieraczkę zapowiadała drugi poważny kryzys w tym tygodniu. Gordon przeczytał ją pośpiesznie, z poczuciem lęku, które dobrze

już poznał. Nie miał najmniejszego pojęcia, skąd mógł się wziąć ten przeciek. Departament do spraw energetyki królował dziś na pierwszej stronie: po lewej u góry katastrofa w kopalni, pośrodku dwunastoprocentowa podwyżka cen ropy z Morza Północnego, przeciek na temat reaktora powielającego po lewej, a na centralnym miejscu zdjęcie „grzęznącego” sekretarza stanu do spraw energetyki z zagadkowym wyrazem twarzy. Sprytny stary Grauniad*, pomyślał Gordon. Tylko kto, u diabła, przyłożył ucho tak blisko ziemi? Artykuł nie był podpisany.

[* Grauniad żartobliwa nazwa dziennika The Guardian, którą zyskał sobie dzięki nadzwyczaj licznym błędom drukarskim w pewnym okresie swej działalności (przyp. tłum.)]

„Wiele wskazuje na to, że wyżsi urzędnicy departamentu do spraw energetyki w Londynie dążą do zawarcia porozumienia z innym państwem w kwestii wspólnego finansowania i udziału w budowie projektowanego i mocno już opóźnionego komercyjno-demonstracyjnego reaktora prędkiego powielającego, będącego tematem raportu przygotowywanego obecnie przez sędziego Hurda. Oczekuje się, że lobby antyatomowe ostro zaprotestuje przeciw temu posunięciu, które pewien rzecznik określił jako nieudolną próbę uprzedzenia wydarzeń i wpłynięcia na treść raportu”.

Gordon wszedł do kuchni, przeczytał artykuł na głos, rzucił gazetę na stół i dolał sobie kawy.

Dzięki Bogu, że nie napisali, że chodzi o Jankesów. I dzięki Bogu, że tym razem nie ma to nic wspólnego ze mną powiedział z uśmiechem, lecz jego głos brzmiał dość ponuro.

Mary, która stała przy kuchence, uważnie na niego spojrzała. Znow będzie miał ciężki dzień, pomyślała. Choć to dopiero rano, już ma poszarzałą twarz i uchodzi z niego energia.

To jest cholernie niesprawiedliwe — powiedziała gniewnym tonem.

Na ten tydzień norma chyba wykonana zaśmiał się Gordon.

Roxy, siedzący nad grzankami po drugiej stronie stołu, czytał tytuły do góry nogami i czuł, że za chwilę dostanie rozwolnienia. A więc Salter, myślał. Tylko czemu Salter nie powiedział, że chodzi o Amerykanów? Nie, to nie może być Salter. Boże, oby to nie był on. Powiedz mu. Powiedz ojcu o Salterze, ot tak, na wszelki wypadek. Ale Joss wyprowadzał już samochód z garażu i trąbił na Gordona. Roxy w milczeniu patrzył przez kuchenne okno, jak ojciec wychodzi na żwirowe podwórko i wesoło macha mu ręką. Syn widział jednak, że w istocie twarz ojca jest rozpaczliwie smutna.

Na Charing Cross czekał na Gordona czarny rover. Przy wyjściu z peronu czatował osobisty sekretarz Martina Reida, sam zaś sekretarz stanu siedział z nogą założoną na nogę i założonymi rękami na tylnym siedzeniu zaparkowanego przed stacją samochodu.

Jak to się mogło stać? spytał Martin, uderzając dłonią o stertę gazet leżących na oparciu pod ręką.

Jeżeli przeciek wyszedł z energetyki, Boadicea każe usmażyć moje jaja. Znowu klepnął gazety. Sam środek wizyty francuskiej delegacji rządowej, a ci przyłapują nas z jedną ręką pod spódnicą Jankesów.

Nazwy kraju nie wymieniono.

Dziś nie. Ale doczekamy się i tego.

Objedźmy park dookoła polecił kierowcy siedzący z przodu osobisty sekretarz, gdy samochód skręcał w Strand.

Problem numer jeden powiedział Martin. Przez tę katastrofę w kopalni nie mogłem być wczoraj na posiedzeniu gabinetu. Dlatego za pięć minut mam specjalnie dla mnie zorganizowaną półgodzinną naradę na Downing Street. Ordish, Handel, Home Office i Obrona. Z Ordishem w roli głównej. Wszyscy będą zachwyceni.

Sekretarz osobisty odwrócił głowę.

— Oficjalnie tematem posiedzenia jest omówienie problemów energetycznych z myślą o mowie królowej.

— A nieoficjalnie powiedział Martin Ordish domaga się wyznaczenia ostatecznej daty. Martin wyciągnął z teczki notatkę. Stały podsekretarz twierdzi, że wasze spotkanie w Foreign Office doprowadziło do spadku Japonii do drugiej ligi.

Gordon wzruszył ramionami.

Chodzi raczej o to, panie sekretarzu, że Foreign Office chce grać o wszystko z Amerykanami. Martin klepnął gazety po raz trzeci.

— No tak, a teraz Ordish będzie nalegał, żebyśmy się zdecydowali, zanim skutki przecieku staną się zbyt poważne. Pewnie zażąda, byśmy mu zakomunikowali naszą decyzję podczas lunchu, jaki wydaje w sobotę.

— Martin przesunął się w kąt samochodu i zwrócił twarzą do Gordona. — A zatem problem numer dwa: w sobotę rano muszę mieć dokument na temat naszej polityki. Musi mi pan wszystko przedstawić czarno na białym: chcemy współpracować z Amerykanami czy nie, oczywiście przy założeniu, że plany budowy KDRPP będą zatwierdzone, a jeśli będziemy współpracować z Wujem Samem, to jak? — Martin wyjrzał na moment za okno, gdy samochód mijał Luk Admiralicji. — Problemy numer trzy i cztery: nasz stały sekretarz padł ofiarą dzisiejszych wiadomości czy też swojej fajki i ma zwolnienie, a pana asystentka, o ile wiem, przebywa gdzieś w głuszy Toskanii. Problem numer pięć, jeśli ma pan jeszcze siły słuchać: jeśli wejdzie pan teraz do biura, straci pan resztę dnia albo i tygodnia na wyjaśnianie źródła tego cholernego przecieku.

Problem numer sześć, pomyślał Gordon: mój mózg zaczyna wyć.

Sekretarz osobisty, świeży i energiczny, znów odwrócił głowę.

Co do przecieku, zastępca i biuro prasowe powinni sobie poradzić. Izba Gmin zakończyła wczoraj sesję i do otwarcia następnej nie znajdzie pan w mieście ani jednego posła. A więc

pięć dni spokoju. Podsekretarz sugeruje, że może pan pracować w domu.

— Miałby pan całe dwa dni — dodał Martin.

I noce też, pomyślał Gordon. A czemu nagle zależy im na tym, żeby nie było mnie w biurze?

— Jeśli nagle zniknę, ktoś może skojarzyć przeciek z moją osobą.

— Mam gdzieś przeciek — powiedział Martin. — Muszę wiedzieć, czy w sobotę będzie pan miał dla mnie odpowiedź. Jeśli nie, muszę przyjąć linię postępowania na spotkaniu gabinetu. — Spojrzał na zegarek. — Już za trzy minuty.

Szybko przestawił żagle, pomyślał Gordon. Jedno zaproszenie na obiad, a już strzepuje Ordishowi pyłek z kłapy.

— Nalegam na to, żeby nasz departament powziął sam tę decyzję — powiedział Martin, jak gdyby czytał w myślach Gordona. — Żaden komitet rządowy Ordisha nie będzie mi dyktował. W sobotę rano mam zamiar usiąść i powiedzieć „tak” lub „nie” i mieć pod ręką argumenty na poparcie naszego stanowiska.

Gordon przyglądał się ulizanym włosom osobistego sekretarza Martina, jego spiczastej czaszce, którą kiwał z rewerencją aprobując mądrości płynące z ust Martina. Samochód objechał narożnik parku i wolno wtoczył się na Birdcage Walk.

— Ale pan wie, panie sekretarzu, jaka to będzie odpowiedź.

— Nie, nie wiem.

— Przez ostatnie dwa dni przelecieliśmy sprintem wszystkie możliwości — mówił Gordon i o ile międzynarodowy plan upadnie, wszystkie można skreślić albo odłożyć na manana.

— Na wtorkowej kolacji u Ordisha Francuzi odrzucili wszelką możliwość współpracy międzynarodowej i śmiem twierdzić, że w tym właśnie celu ją zorganizował.

— W takim razie, panie sekretarzu, jego klocki zaczynają do siebie pasować. Teraz brakuje tylko, żeby w sobotę kanclerz oznajmił, że skarb w żadnym przypadku nie zgodzi się na samodzielną budowę...

Zaniepokojony, Martin powiódł wzrokiem dookoła.

— On rzeczywiście ma taki zamiar? Gordon zaśmiał się.

— Nie mam pojęcia, panie sekretarzu. Ale na miejscu Ordisha zagrałbym tą właśnie kartą. Ponadto przez ostatnich parę dni takie właśnie karty dostawała od skarbu Kate Davies.

— Wobec tego my pierwsi musimy wyłożyć karty.

Podjęmę decyzję jako sekretarz stanu i zrobię to bez żadnych nacisków. Martin zaśmiał się krótko. - Innymi słowy, Gordon, to nasza decyzja.

— Nie sądzę, panie sekretarzu, byśmy mieli jakikolwiek wybór.

Zatem spółka z Ameryką?

— Z konstytucyjnego punktu widzenia, trudno o mniej odpowiedni moment na podjęcie takiego kroku, o czym Guardian nie omieszka nam przypomnieć, ale zasadniczo biorąc, tak.

Osobisty sekretarz dotknął ręki kierowcy i samochód skręcił w Horseguards.

W takim razie do soboty muszę mieć wszelkie szczegóły, jakie uda się panu zdobyć powiedział Martin.

Samochód stanął przy krawężniku obok trawnika na tyłach Downing Street.

Jak daleko mieszka pan od Ordisha?

— Kilkanaście kilometrów.

Może pan podjechać w sobotę przed południem? Gordon skinął głową.

— O wpół do dwunastej? Gordon ponownie skinął głową. Martin uśmiechnął się.

Prosię z jabłkami. Wysiadł energicznie z samochodu. — Przykro mi, stary powiedział odwracając głowę i zaglądając do środka przez otwarte drzwi. Na Boga, chciałbym być pewny, że nie popełniamy jakiegoś strasznego błędu.

Sekretarz stanu wchodził po stopniach do siedziby premiera. Kobieta-kierowca obserwowała w lusterku Gordona, który poszedł w drugą stronę, chcąc skorzystać z ostatniej chwili słońca. Drzewa w parku nagle zagrały czernią na tle ciemnoszarego nieba. Flandryjski widok, pomyślał Gordon. Wyskakuj, żołnierzu, z transzei i ruszaj do boju.

3

Enzo był znów na dyżurze. W zębach trzymał swoje czarne Toscano. Zastępca kierownika zmiany siedział w niemal pustej rezerwowej sterowni. Przepisy wymagały stałej obecności jedynie dwóch osób w tym pomieszczeniu, natomiast pozostali dwaj członkowie rezerwowej obsady spali lub czytali w dwóch pokojach rekreacyjnych, robiąc na zmianę obchód w półgodzinnych odstępach. W centralnej sterowni natomiast, której obraz Enzo miał przed sobą na ekranie środkowego monitora, panował ruch i tłok. Armia ludzi w białych mundurach nieustannie sprawdzała różne etapy obiegu sodu, temperaturę, poziom strumienia neutronów, moc reaktora, wydajność generatora i działanie turbin.

Tego ranka Enzo czuł się prawie spokojny i bezpieczny wiedząc, że najpóźniej jutro wyłączą na kilka godzin reaktor, w celu sprawdzenia źródła zakłóceń. Jeżeli włoski kierownik ośrodka dobrze pogra, może uda się tego dokonać jeszcze dziś przed południem, a operacja wyłączenia reaktora uczyniłaby dzień bardziej interesującym. Czy w ten sposób uda się ustalić przyczynę kłopotów, to się jeszcze okaże, lecz przynajmniej, myślał Enzo, Francuzi wreszcie przyznali, że chyba rzeczywiście coś jest nie tak. Spojrzał na zegarek. 10.52. Za dziesięć minut przyjedzie Amerykanin. Enzo będzie mógł podsłuchiwać dyskusję dzięki monitorom.

Jego współpracownik zawołał od drzwi rezerwowej sterowni, że wychodzi do toalety w drugim końcu korytarza, toteż przez parę minut będzie sam. 10.52 i czterdzieści sekund.

Enzo przyjrzał się rzędom monitorów i, uśmiechając się do siebie, przełączył dwa aparaty, które przekazywały obraz z zewnątrz budynku. W pamięci miał odczyt psychiatry wygłoszony pod koniec kursu przygotowawczego. „Obraz z zewnątrz służy głównie do orientacji. Z punktu widzenia bezpieczeństwa nie ma on żadnego znaczenia. Nad bezpieczeństwem czuwają strażnicy przy ogrodzeniu. Tu chodzi o to, byście, siedząc w tej podziemnej komorze, mogli od czasu do czasu upewnić się, gdzie jesteście, i przypomnieć sobie, że świat zewnętrzny wciąż istnieje. Traktujcie kamery zewnętrzne jako formę terapii”.

Enzo wybrał obraz z kamery umieszczonej u szczytu kopuły reaktora po zachodniej stronie. W kadrze znalazł się przypadkiem widok nadbrzeżnych skał, trochę morza i nieba. Dziś nie popłynę na ryby, pomyślał, widząc na horyzoncie złowróżbne czarne chmury i białe grzywy fal. Wybrał teraz obraz z innej kamery, próbując określić siłę i wiatru po wyglądzie drzew na wzgórzach. Parasolowate i pinie stały niemal nieruchomo, ale cyprysy kołysały się i nieregularnie, co wskazywałoby na porywisty wiatr. Pod wieczór będzie już niezły sztorm, z zachodu albo południowego zachodu. U dołu obrazu widział, jak strażnicy odwracają głowy od wiatru niosącego tumany piasku. I To chyba Amerykanin przyjechał - przy posterunku i stał samochód, a

trzymane na smyczy psy wyskakiwały w górę i wściekle wymachiwały przednimi łapami.

10.53 i dziewięć sekund.

Enzo wyjął czarne cygaro z ust i rozejrzał się za popielniczką.

10.53, dziewięć i dziewięć dziesiątych sekundy. W tym właśnie ułamku sekundy kulka podskoczyła i koło ruletki zatrzymało się. Enzo musiał dostrzec I drgnięcie pisaka podłączonego do czujników akustycznych, gdyż cała sekwencja zdarzeń, niewidzialnych i nie dających się opanować, trwała tyle, ile zajęło mu spojrzenie w górę na przyrządy akustyczne i wskaźniki poziomu neutronów oraz temperatury; minęła zaledwie jedna i jedna trzecia sekundy, lecz pierwszy akt dramatu był już nieodwołalnie zakończony: w obydwu sterow-

zaledwie trzy dziesiąte sekundy, przy czym odpływ sodu z zespołu paliwowego został dodatkowo utrudniony przez pęcherzyki pary powyżej zatoru. Z jego powodu, zbyt mało przegrzanego sodu dotarło do termopary umieszczonej w szczytowej części zespołu paliwowego, która w pierwszej kolejności powinna była dać sygnał do awaryjnego wyłączenia.

Pastyłki paliwowe nie są już więc rozmieszczone w przemyślnie zaprojektowanym bezpiecznym układzie. Mieszają się z sobą i reagują z wrzącym sodem. Efektem ich nowej konfiguracji jest natychmiastowy „rozbieg reaktywności”, czyli miniaturowa eksplozja atomowa w obrębie uszkodzonego zespołu. Fala uderzeniowa deformuje dalszych osiemdziesiąt ze

stu pięćdziesięciu zespołów paliwowych, a także siedemnaście z dziewiętnastu przewodnic prętów regulacyjnych.

„Rozbieg” uruchamia układ awaryjnego wyłączania, lecz siedemnaście spośród dziewiętnastu prętów regulacyjnych zacięło się w górnym położeniu, a dwa nieuszkodzone, które prawidłowo opadły w rdzeń, nie są w stanie pochłonąć wystarczającej ilości neutronów.

Od momentu powstania zatoru minęło dokładnie jedna i ćwierć sekundy.

Półtorej sekundy od początku kryzysu: Enzo z niedowierzaniem spogląda na wskaźniki poziomu neutronów. Sygnał awaryjnego wyłączania powinien był wywołać opuszczenie się do rdzenia dziewiętnastu prętów regulacyjnych i spowodować natychmiastowy spadek poziomu neutronów do zera. Tymczasem na żółto zapaliły się tylko dwie lampki kontrolne prętów regulacyjnych, wskaźniki zaś neutronów nadal paliły się na czerwono. Paliwo wciąż reagowało, automatyczny układ wyłączania awaryjnego z niewiadomych powodów zawiódł.

Jedną z niewielu czynności, o jakich operator rezerwowej sterowni miał prawo samodzielnie decydować, było ręczne wyłączenie awaryjne. Analiza komputerowa wykaże później, że Enzo wcisnął swój guzik po upływie dwóch i jednej dziesiątej sekundy, a jego partner w pół nocnej sterowni po upływie dwóch i dwóch dziesiątych sekundy. Z równym skutkiem mogliby klepnąć poręczę swych foteli.

— Pompy! — ryknął Enzo w stronę umieszczonej przed nim ekranu i przez ułamek sekundy widział, jak armia w białych mundurach zastygła z przerażenia w różnych punktach centralnej sterowni niczym kamienne rzeźby. Układ wyłączania awaryjnego był zaprogramowany w ten sposób, by zapewnić stopniowe zwalnianie obrotów czterech pomp pierwotnego obiegu sodu i tym samym złagodzić nagły spadek temperatury chłodziwa, który mógłby spowodować wystąpienie nadmiernych naprężeń w podzespołach reaktora. Ale to, co uważano za niemożliwe, okazało się możliwe i układ awaryjnego zatrzymania reakcji nie spełnił swego zadania. Teraz temperatura sodu wzrośnie jeszcze bardziej, bo obroty pomp automatycznie maleją. Do feerii świateł dołączają błyskające kwadratowe niebieskie lampy sygnalizujące pierwsze objawy wrzenia sodu.

3,203 sekundy: wzrost temperatury sodu zostaje częściowo opanowany — kierownik zmiany ponownie włącza pompy, lecz znów nastąpiło to o kilka setnych sekundy za późno. Nadmierny wzrost temperatury w jednym z pośrednich obwodów sodowych w budynku północno-wschodniej wytwornicy pary powoduje powstanie ni wielkiej szczeliny na spawie rury wewnątrz wytworni Sód wybuchu w zetknięciu z parą w momencie wyrównania ciśnienia. Wykrywacz obecności sodu w obie wodno-parowym powoduje odłączenie wytwornicy pary i uruchamia zrzut sodu do zbiorników oraz awaryjny układ chłodzenia uszkodzonego wymiennika ciepła. Wybuch sodu powoduje

rozerwanie wytwornicy. Pojawia się kolejny sygnał alarmowy świadczący o pożarze sod. Budynek północno-wschodniej wytwornicy zostaje automatycznie odcięty od reszty ośrodka. Następuje uruchomienie zamontowanych na stałe gaśnic.

3,8 sekundy. Enzo jest nadal sam w rezerwowej dyspozytorni, lecz w korytarzu słychać już wielki ruch. Postawieni na nogi przez dzwonki alarmowe trzej pozostali inżynierowie rzucili się do sześciometrowego sprintu w przekonaniu, że „alarm” jest tylko ćwiczebny, że to taki pokaz urządzony dla gościa z Ameryki. Skamieniałe posągi w północnej sterowni trwały w bezruchu, jedynie kierownik zmiany wyginał się na wszystkie strony jak gimnastyk oglądany na zwolnionym filmie, próbując objąć ramionami trzymetrowy promień półkolistej tablicy rozdzielczej.

4,1 sekundy. Wiedzeni instynktem, w gąszczu światełek, dzwonek i brzęczyków, obaj dyspozytorzy jednocześnie odszukują gniewnie pulsujący sygnał skażenia chłodziwa. Pojmują, że gdzieś uległ rozerwaniu jeden lub więcej prętów paliwowych i że produkty rozszczepienia przedostają się do sodu obiegu pierwotnego.

Armia ludzi w bieli otrząsnęła się z szoku i zaczęła chórem wykrzykiwać pytania i propozycje. Kierownik zmiany wrzeszczy, nakazując ciszę.

W rezerwowej sterowni, posuwając się jak duchy, zastępcy zajmują stanowiska wyznaczone im przez zasady postępowania w

razie awarii. Połowa z nich wciąż próbuje wierzyć, że to groteskowe widowisko świateł i dźwięku jest tylko „ćwiczeniem”.

Enzo i kierownik zmiany stoją nieruchomo, obserwując sygnały radioaktywności. W całym ośrodku tylko ci dwaj mniej więcej wiedzą, co się dzieje. Minęło zaledwie pięć i pół sekundy, drugi akt jest za nimi, i obaj z przerażeniem czekają na akt trzeci, który rozłupie kręgi betonu oraz stali i rozsadzi rdzeń paliwowy, tworząc gigantyczny obłok trującej, promieniotwórczej pary.

Widzą tylko główne zewnętrzne objawy awarii, ale nie mają pojęcia, co spowodowało rozkaz wyłączenia awaryjnego. Wiedzą, że pręty regulacyjne zacięły się, że wyłączenie się nie udało, i że gdzieś nastąpiło uszkodzenie prętów paliwowych; wiedzą też, że utracili jeden z czterech pośrednich obiegów sodu, które odprowadzają ciepło z basenu reaktora.

Pracownicy podlegający Enzo, którzy nie doświadczy szoku pierwszych kilku sekund paniki, szybciej przystąpili do wykonywania wymaganych czynności, podczas gdy w głównej sterowni wciąż trwało zamieszanie. Od początku awarii upłynęło sześć i pół sekundy, lecz czujniki promieniotwórczości, które sygnalizowałyby pęknięcie pierwszej osłony, nic nie wykazują. Czterej mężczyźni zaczynają odczytywać temperaturę spokojnym cichym głosem, zgodnie z instrukcją postępowania w przypadku awarii: najwyższą temperaturę notowaną przez termopary na zespołach paliwowych i najwyższą temperaturę sodu w wymiennikach ciepła. Temperatura sodu waha się od normalnej

eksploatacyjnej wartości około 500 C do 950 C w niektórych miejscach, momentami dochodzi do wrzenia przy temperaturze 990 C Włączone zostają wszelkie awaryjne układy chłodzące w celu ograniczenia niebezpieczeństwa następnej reakcji sodu z wodą w przeciążonych obiegach pośrednich. Uruchomienie układu awaryjnego wyłączania spowodowało już zatrzymanie turbin i skierowanie pary do skraplaczy zrzutowych. Jednak wobec gwałtownych skoków reaktywności skraplacze nie wystarczają. W pozostałych wytwornicach otwierają się zawory bezpieczeństwa i w niebo strzelają trzy słupy pary, których ryk słychać w odległości ośmiu kilometrów.

W siódmej sekundzie kierownik zmiany włącza sygnał alarmowy „Ewakuacja do schronów”. Teraz w ośrodku pozostaje tylko absolutnie niezbędny personel.

Ale pokazówka, pomyślał Dave, gdy wiozący go samochód ruszył w dół opuszczając posterunek. Ktoś wpadł na wspaniałą pomysł przeprowadzenia próbnego alarmu, by zaimponować gościowi z Ameryki, a nawet otworzył trzy zawory pary, żeby zwiększyć pozory prawdziwej awarii. Dave był w dobrym nastroju i bez cienia złych przeczuć czy wątpliwości przyglądał się drobnym figurkom biegnącym między siedmioma półkolami białych i wciąż jeszcze skąpanych w słońcu budynków. Miał nawet ochotę opuścić szybę, by oklaskiwać ich zaangażowanie.

Kolejny podmuch wiatru znad morza wzniecił dziesiątki miniaturowych burz piaskowych na płycie u podnóża klifu.

Samochód zmniejszył prędkość, a kierowca, który poczuł się niepewnie na widok rozgrywającej się przed nimi dziwnej sceny oraz uchodzącej z rykiem, zagłuszającej wszystkie inne dźwięki, pary, obejrzał się za siebie. Dave roześmiał się, chcąc go uspokoić.

Za nimi, przy posterunku na wzgórzu, ładowano psy do specjalnych furgonetek, a strażnicy wciągali na siebie białe ochronne kombinezony z kaskami. Na dole, na północnym parkingu, załoga wsiada do mikrobusów, pierwsze pojazdy ruszają. Kierowca Dave'a skręcił na południowy podjazd, by uniknąć tłoku. Samochód okrążył budynek południowo-wschodniej turbiny i zatrzymał się przed głównym wejściem bloku południowej sterowni. Gdy Dave wysiadł, kierowca natychmiast zawrócił i ruszył pod górę z nieprzyzwoitym wręcz pośpiechem, a Dave śmiejąc się wszedł do środka, wciąż zupełnie spokojny, acz pełen podziwu dla szybkiego i sprawnego odzewu na sygnał alarmowy. Za ciężkimi drzwiami wejściowymi było pusto. Błyskały czerwone i żółte światła, jazgot buczków odbijał się echem. Mógłbym pójść na małe przeszpiegi, pomyślał Dave, lecz zgodnie ze strzałkami posłusznie skierował się w dół, w stronę rezerwowej dyspozytorni.

Przeszkoda numer jeden: śluza powietrzna została automatycznie zamknięta, odcinając dostęp do kompleksu sterowni. Dave przypomniał sobie, że obie sterownie mają miesięczny zapas powietrza. W razie awarii każda z nich może dalej funkcjonować, odgradzona od źródeł promieniotwórczości i

skażeń. Miejmy nadzieję, że mają też żywność i coś do picia. Trudno przewidzieć, jak długo potrwa ta zwariowana „próba”. Wszystko dla dreszczyk na niby, pomyślał Dave, naciskając dzwonek i podnosząc słuchawkę umieszczoną na ścianie przy słuzie powietrznej.

Gdy nastąpił wydmuch pary, włoski kierownik ośrodka siedział w swoim gabinecie. Podniósł słuchawkę bez pośredniego telefonu do dyspozytorni. Odpowiedział mu chaotyczny głos Francuza.

— Le scram, il n'a fait rien!

Kierownik chwycił za drugi telefon i wykręcił numer rezerwowej dyspozytorni, wiedząc, że dyżur pełni tam Enzo.

Gdy Enzo podniósł słuchawkę, była czterdziesta sekunda awarii. Był tak spięty, że ledwo mówił.

— Nie panujemy — wykrztusił. — Coś się dzieje z paliwem, a układ awaryjnego wyłączenia nie działa. Wytwornica numer jeden wypadła...

— Jaką macie temperaturę?

— Sód między 700 a 800 stopni, ale jest huśtawka. Opadły tylko dwa pręty regulacyjne...

— Już tam idę. — Kierownik wyłączył się i z bezpośredniego numeru miejskiego zadzwonił do procuratore generale w Grosseto, stolicy prowincji. Sekretarce powiedział, że ma pilną sprawę osobistą.

— Nie mam czasu na wyjaśnienia — oświadczył sędziwemu prawnikowi, osłaniając dłonią słuchawkę, by stłumić ryk pary. W pańskich aktach znajdują się szczegółowe plany natychmiastowej ewakuacji na wypadek zagrożenia w Segré, a między mną a panem jest umowa że w ciągu najbliższych trzech miesięcy nastąpi próbny alarm. Termin wyznaczam na dziś, i proszę o natychmiastowe wprowadzenie planu w życie, bez żadnych wyjaśnień. Jeśli dobrze sobie przypominam, pierwszych sześć godzin zajmą wyłącznie przygotowania, toteż proszę, byśmy odłożyli wyjaśnienia do, powiedzmy, drugiej po południu.

— Ale Rzym zażąda wyjaśnień — powiedział ostrożnie prokurator.

— Rzym zgodził się na próbny alarm. O niczym więcej nie muszą na razie wiedzieć. Liczę na pańską dyskrecję, procuratore, i proszę, by w interesie społecznym zdał się pan na mój osąd.

Kierownik wyszedł z gabinetu zlany zimnym potem. Jeżeli prokurator okręgowy nie zareaguje na magiczne zaklęcie o „interesie społecznym”, do obiadu zlecą się pod drzwi Segré dziennikarze z całych Włoch, a do kolacji — z całej Europy. Z tego powodu próbny alarm został bardzo starannie zaplanowany w Rzymie i miał zostać przeprowadzony pod przykrywką manewrów NATO. Jak długo da się utrzymać pozory, to się okaże.

Wsiadł do windy na drugim piętrze południowego kompleksu sterowni w tym samym momencie, gdy Dave Ridgeway opuszczał samochód i jego przerażonego kierowcę naprzeciwko głównego

wejścia. Spotkali się minutę później, gdy Dave wciąż czekał na pierwszej podziemnej kondygnacji, by ktoś odebrał telefon spod słuzu powietrznej.

— Poszaleliście — powiedział Dave ze śmiechem, obracając się do Włocha. — Wiecie, ile was mogą zakosztować takie ćwiczebne alarmy? Na Boga, kolego, oni wypuszczają tę drogocenną parę aż trzema wylotami!

— W tej chwili zorientował się po minie Włocha, że nie docierają doń jego słowa i że nie jest na zabawie, lecz w samym środku prawdziwego niebezpieczeństwa.

Gdy włoski kierownik wprowadził Dave'a do rezerwowej sterowni, krytyczna sytuacja trwała już od sześciu minut i dziewiętnastu sekund. W ciągu ostatnich sześciu minut i szesnastu sekund nie zmieniło się nic poza ciągłymi wahaniami reaktywności i temperatury sodu.

Powoli i niechętnie przyswajał sobie Dave tę sytuacji oceniając wskazania przyrządów w sterowni w świetle tego, co powiedział mu Włoch: uszkodzenie prętów paliwowych, być może częściowe stopienie, siedemnaści prętów regulacyjnych zablokowanych nad rdzeniem jeden pośredni obieg chłodzący nieczynny, wahania reaktywności, spowodowane prawdopodobnie przez pęcherze tworzące się i pękające we wrzącym sodzie w pobliżu uszkodzonej części rdzenia. Dave-inżynier był wstrząśnięty, Dave-urzednik zaczął się już zastanawiać nad ewentualnymi konsekwencjami przecieku do wiadomości publicznej wszystkich szczegółów

awarii, nawet jeśli nic groźniejszego już nie nastąpi. Najbezpieczniej za projektowany reaktor prędkie powielający na świecie okazał się wadliwy, zwarta i precyzyjna geometria rdzenia paliwowego — bardzo podatna na uszkodzenie, a c najgorsze, w gruzach legło przekonanie o niezawodnej, zdolności urządzeń automatycznej kontroli i zabezpieczeń do zareagowania w porę.

Dave-śmiertelnik był ponadto cokolwiek wystraszony Zbyt głęboko utkwiał mu w pamięci wieczór z 5 października 1966 roku w Lagoona Beach, kiedy to po raz ostatni reaktor prędkie powielający, tyle że niewielki doświadczalny egzemplarz, wymknął się spod kontroli. Podobnie jak przy awarii reaktora wodnego ciśnieniowego w Harrisburgu, nikt wtedy nie wiedział, co się stało, ani co należy robić. Z żalem trzeba przyznać, że dziś, piętnaście lat po Lagoona Beach, ponownie nie wiadomo, co się stało wewnątrz rdzenia paliwowego, i nie wiadomo też, co robić.

W obu sterowniach wszyscy mogli obserwować zapis z czujników akustycznych. Sześć następujących bezpośrednio po sobie drgnięć, zauważył Dave, mniej więcej półtorej sekundy ciszy, a potem potężny skok pisaka, tak potężny, że na około jedną dziesiątą sekundy znalazł się poza papierową taśmą, a w końcu drgania trwające jeszcze dwie sekundy. To, co wywołało ów sygnał, zapewne na tyle odkształciło geometrię rdzenia, że unieruchomiło owych siedemnaście prętów regulacyjnych. Mógł to być na przykład niewielki wybuch, którego fala uderzeniowa

spowodowała być może przesunięcie lub uszkodzenie wszystkich kaset paliwowych w rdzeniu.

Tymczasem ludzie zgromadzeni w obu dyspozytorniach, nafaszerowanych wszelkimi możliwymi przyrządami elektronicznymi, byli ślepi i właściwie bezradni. Żaden z przyrządów nie był w stanie powiedzieć im, co się wydarzyło. Główny komputer dał za wygraną dwie sekundy po nieudanym wyłączeniu reaktora i zamiast cyfr i komunikatów wyrzucał seriami znaki zapytania na przemian z wykrzyknikami. Nie było sposobu, by zajrzeć do wnętrza basenu reaktora i ocenić jego rzeczywisty stan, czy to metodą optyczną czy elektroniczną. Dojrzeć cokolwiek przez stopiony sól to tak samo jak szukać dna w kadzi pełnej smoły. Nie dysponowali niczym do opanowania tego żywego monstrum, chyba że jakimś cudem udałoby się opuścić jeszcze ze dwa pręty regulacyjne. Jednak w obecnej nieustabilizowanej sytuacji wszelkie zdalne manipulowanie we wnętrznościach rdzenia paliwowego mogłoby wywołać „rozbieg reaktywności” na wielką skalę.

Dziesiąta minuta awarii: francuski i włoski kierownik decydują się pozostawić obecny podział obsługi między obie sterownie. Francuski inspektor z głównej sali upiera się, że należy zawiesić ewakuację personelu, a ci, którzy już zostali ewakuowani, powinni pozostać w schronach zlokalizowanych między pierwszym a drugim posterunkiem straży po drugiej stronie wzgórza. Powie się im tylko o pożarze sodu w wytwornicy numer

jeden. Nieliczne osoby zamieszkałe w promieniu ośmiu kilometrów należy uspokoić, że ryk uchodzącej pary nie oznacza niebezpieczeństwa. Na razie nic więcej nie może wyjść poza teren ośrodka, chyba że procuratore w Grosseto lub ministerstwo w Rzymie zażądamy bliższych informacji.

Dave Ridgeway spogląda na górny rząd monitorów, Na dworze, na zboczu wzgórza, wciąż świeci słońce, lecz z nadciągają już czarne chmury. Dopiero ten umysł Dave'a zaczyna postrzegać ogrom tego, co się wydarzyło i co dalej trwa.

Próbna ewakuacja wokół Segre. Kryptonim: Toskańska Szrama. Kamuflaż: przegrupowania odwodów NATO na bezpiecznym zachodnim wybrzeżu Włoch dla przeciwdziałania zagrożeniu wschodniego wybrzeża w następstwie radzieckiej inwazji na Jugosławię.

Odpowiedzialni za transport: włoskie ministerstwo komunikacji - za koleje, włoskie ministerstwo obrony za drogi, włoskie ministerstwo lotnictwa — za lotniska i helikoptery, dowództwo NATO — za transport morski.

Obszar działania: zależnie od pięciodniowej prognozy pogody, zwłaszcza kierunku wiatrów; Toskańska Szrama jest elastyczna.

Było późne popołudnie, gdy Kate spostrzegła, że przez instytut przebiegł lekki dreszcz zaniepokojenia. Po jakimś telefonie zarządzono nagle zamknięte zebranie personelu. Ją samą przebiegały dreszcze po czasie długiego zwiedzania, choć starała się nie ulegać sentymentom i przewrażliwieniu, gdy pokazywano jej obite ołowianą blachą klatki wyposażone w zdalnie sterowane urządzenia do podawania pokarmu i usuwania nieczystości. W klatkach tych małpy, myszy i żaby otrzymywały różne dawki promieni alfa, beta i gamma, a także różne ilości trującego jodu, plutonu, neptunu, ameryku, kiuru, cezu, strontu i kryptonu. Z mieszanymi uczuciami patrzyła na miot pekińczyków w ogrodzie. Ktoś je trzyma dla siebie, czy też przeznaczone są do badań? Niezbyt lubiła psy, lecz myśl, że te szczeniaki mogą zostać zamknięte w klatkach tylko po to, by codziennie wraz z sucharami przyswajać miligramową dawkę jodu-131, miała w sobie coś groteskowego. Co do kolonii myszy, Kate dowiedziała się od szarmanckiego przystojnego biochemika, że jest to już trzecie pokolenie poddawane napromieniowaniu.

Nadszedł kulminacyjny moment zwiedzania. Szarmancki przystojny biochemik powiódł ją do sali operacyjnej, w której urocza dziewczyna szykowała się do zabiegu na znieczulonej już małpie, leżącej w szczelnie zamkniętym szklanym pudle z dwoma otworami na ręce osłoniętymi długimi gumowymi rękawicami. Dziewczyna przecięła skalpelem skórę i mięśnie małpy tak wprawnie, że nie uroniła ani kropli krwi. Następnie za pomocą

wacika wprowadziła do rany odrobinę pyłu plutonowego ruchem tak ostrożnym i delikatnym, jakby pudrowała pupę niemowlęciu. Kate napawała przerażeniem zarówno urodziwa, pełna spokoju dziewczyna przeprowadzająca operację, jak i wiedza oraz profesjonalizm siwiejącego i uśmiechającego się biochemika.

— Kiedy mała się obudzi — powiedział jej — nawet nie zauważy, że coś się z nią dzieje. — W skrzynce układano już następną małą. — Jeden samiec, jedna samica — wyjaśnił biochemik. — Za tydzień zachęcimy je do kopulacji.

Kate przyglądała się śpiącej małpie.

— Co ten pył im zrobi?

Głos biochemika brzmiał łagodnie i kojąco.

— W końcu je zabije, ale przedtem się rozmnożą, Potem było dzikie ptactwo na obiad podany w wiejskiej chatce pośród wzgórz, o dziesięć minut drogi od instytutu. Wyglądało na to, że nastąpiła jakaś zmiana planów, gdy tylko połowa miejsc przy stole była zajęta. Po kolejnym telefonie instytut ożywił się i trzech spośród najbardziej doświadczonych naukowców wkrótce odjechało w nieokreślonym kierunku furgonem wyładowanym różnymi aparatami badawczymi.

Kate wypła dużo wina patrząc, jak przystojny biochemik dzieli dla niej dwie pieczone przepiórki. Dręczył ją wspomnienie małpy i skalpela.

Palcami najlepiej powiedział biochemik, uśmiechając się znowu. Podczas posiłku dwa razy przeproszał i wstawał od stołu.

Kate widziała go wtedy przy drzwiach jak z ponurą miną słuchał przekazywanych przez telefon wiadomości. Może, pomyślała, małpy i myszy zbuntowały się, lecz za każdym razem biochemik wracał do stołu uśmiechnięty i wciągał całe towarzystwo do rozmowy na nowy temat.

Gdy w końcu poszli do samochodów, Kate uznała, że wypita za dużo wina. Na szczęście, wycieczka dobiegała końca, jeszcze tylko pożegnania i podziękowania, ale po kilku kilometrach jazdy musiała poprosić kierowcę, by stanął. Schowała się w zaroślach i ukradkiem zwymiotowała, narażając na szwank swoją godność, gdyż drogą przejeżdżała nie kończąca się kolumna samochodów wojskowych. Trudno było udawać, że po prostu poszła na siusiu, a kierowca uparł się, że podwiezie ją do miasta i w barku przy stacji benzynowej postawi jej na lekarstwo kieliszek Fernet Branca. W mieście też roiło się od mundurów, a na ulicach było pełno wojskowych jeepów i ciężarówek. Kierowca z barmanem uradzili pośród śmiechów, że właśnie faszyci przejęli władzę, lecz, słabo znając angielski, kierowca ograniczył się do symbolicznego splunięcia na chodnik gdy, wracając z Kate do samochodu, mijali sznur stojących ciężarówek wojskowych. Z miasta wyjechali drogą wiodącą wzdłuż linii kolejowej, i choć szumiało jej w głowie, Kate i tak zauważyła nie mający chyba końca ciąg pustych pociągów sunących po jednym z torów.

Za miastem, główna droga na południe była również zatłoczona wolno poruszającymi się pojazdami wojskowymi.

Zrobiło się ciemno i Kate, którą nie kończący się rząd reflektorów przyprawiał o nudności, zapadła w niespokojny sen, zastanawiając się, jak wytrzyma wieczorne pijaństwo z tryskającym energią Dave'em.

Gdy wróciła do hotelu, zastała wiadomość o przecieku w Guardianie, co w najmniejszym stopniu nie poprawiło jej humoru.

Toskańska Szrama, godzina 16.00. Rzym informuje prokuratorem w Grosseto, że przygotowania do ewakuacji zostaną ukończone dopiero za dwanaście godzin. Wobec poważnych zakłóceń w ruchu drogowym i kolejowym Rzym upiera się, by przesunąć próbny alarm na inny termin i ponownie zastanowić się nad przebiegiem ewakuacji. Procuratore z kolei przekazuje tę wiadomość włoskiemu kierownikowi Segré, którego francuscy koledzy zdołali już przekonać, by zgodził się na odroczenie. Po południu sytuacja nie uległa zmianie temperatura i poziom strumienia neutronów ustabilizowały się.

Henshaw w końcu jednak zasnął, choć sam nie wiedział kiedy. Gdy się obudził, Anny nie było, a jaskrawa kreska światła wokół okiennic powiedziała mu, że jest już dzień. Wymacał drogę do drzwi i sąsiednich pokoi. Mieszkanie było puste, latarka leżała przy drzwiach wejściowych i Henshaw potknął się o nią, gdy próbował je siłą otworzyć.

Śmierć głodowa, mówił do siebie dwadzieścia minut Później, poniechawszy daremnych prób otwarcia okiennic.

Potem usłyszał zgrzyt klucza w zamku. Wrócił na materac i patrzył, jak światło czyjejś latarki odmiatały mieszkanie, dojrzał głowę ukrytą pod kominiarką i ręką trzymającą plastikowy worek, w którym było jego ubranie i torba w szkocką kratę. Kominiarka upuściła worek na podłogę przy drzwiach i usiadła opierając się plecami o ścianę, położywszy latarkę przed sobą na podłodze. Henshaw usłyszał Annę — gdzieś w drugim pokoju przeklinała kominiarkę za to, że zostawiła ją bez światła. Potem i ona pojawiła się, niosąc torbę z zakupami. Henshaw poczuł zapach świeżego chleba. Anna rzuciła mu pod nogi gazetę.

— Strona szósta, pięć wierszy: „Wczoraj o piątej po południu nastąpiło włączenie reaktora Segre do krajowej sieci energetycznej”. — Usiadła na skraju materaca. — nie we włoskim stylu tak ogłędnie chwalić się takim osiągnięciem.

Henshaw przyjrzał się kominiarce.

— Zmowa prawie kompletnego milczenia, które zostanie przerwane, jeśli amerykańskie gazety wydrukują wasze plany sabotażu dotyczące Segre.

— Jeśli zostaną opublikowane — rzekła Anna staną się bezużyteczne.

— Tak czy owak nie macie zamiaru wcielić ich w życie.

— Czemu nie?

— Wyszadzając Segre w powietrze, zabilibyście przy okazji pół miliona Włochów.

Kopnięty psiak, pomyślał Henshaw słysząc skowyt Anny, który miał być śmiechem.

Tani ekologiczny sabotaż powiedziała. - mam krewnych w Toskanii.

Kominiarka powiedziała coś po włosku, co Anna najwyraźniej puściła mimo uszu.

— Jeżeli tak się tym przejmujesz, czemu odrzucasz przemoc? — spytała Henshawa. — Ten reaktor jest sam w sobie gwałtem na tobie i twoich dzieciach.

Kominiarka powtórzyła po włosku swą kwestię, Anna rzuciła jej przelotne spojrzenie i dalej ją ignorowała.

Jeżeli w coś mocno wierzysz spytała Henshawa — czy nie wpadasz w końcu w gniew?

Wiele rzeczy od dawna napawa mnie gniewem — odparł Henshaw. — Ale wolę gniewać się na swój sposób.

Tak jak Donny — Anna wydała z siebie kolejny skowyt, a Henshaw przypomniał sobie okularnika Donachie'ego, londyńskiego Przyjaciela Ziemi, który zdradził ją wspólnie z Salterem. — Donny ciągnęła tylko udaje, że wierzy, że można zmienić świat przy pomocy słów. Siedzi w ciemnościach i czeka, żeby ktoś inny rozniecił ogień. — Mówiąc to, przyglądała się Henshawowi. — Szkoda, że ty się nie nadajesz do rozpalania ognia.

Kominiarka znów się odezwała, tym razem ze zniecierpliwieniem.

— Pyta się, co wiesz o Segre — rzekła Anna. — I czemu właśnie teraz przyjechałeś.

To chyba oczywiste — odparł podnosząc gazetę i machając nią przed jej oczami.

— Ale o tym nie wiedziałeś przed przyjazdem.

— Przybyli tu przedstawiciele USA i Wielkiej Brytanii. Ja przyjechałem za nimi.

Kominiarka znów coś powiedziała, i Anna przetłumaczyła jej odpowiedzi Henshawa.

— Może mógłby mi wytłumaczyć — rzekł Henshaw — dlaczego od piętnastu godzin jestem zamknięty w tym pokoju?

— To chyba też oczywiste? — Anna przyglądała się Amerykaninowi. W ciemnościach jej uśmiech był ledwo dostrzegalny. Henshaw zaczął żałować, że w nocy schronił się pod jej kocem.

Mój towarzysz pyta, dlaczego połowa sił lądowych i marynarki wojennej Włoch nagle zaczęła się przemieszczać w okolice Segre — powiedziała Anna.

Może czekają na ciebie i twoje plany sabotażu?

Zaczęli dopiero cztery godziny temu.

Skąd wiecie? — Mamy podsłuch radiostacji wojskowych. Kominiarka mówiła, a Anna tłumaczyła, wyciągając z torby chleb, salami i wino.

Wysyłają nas tam — powiedziała. — Może więc w końcu napiszesz ten swój reportaż.

5

Znad morza dął mocno wiatr południowo-zachodnio-południowy, co oznaczało, że na mapach wojskowych Toskańska Szrama sięgała po Livorno na północy, a na północnym wschodzie aż po Sienę.

Dave Ridgeway czuł się skołowany, jego mózg gonił resztkami sił. Siedem godzin awarii, ale żaden z przyrządów wciąż nie wskazywał, by miało dojść do najgorszego. Nawet wahania temperatury i reaktywności ustały — najwyższa temperatura sodu ustabilizowała się na poziomie około 607 stopni C, siedemnaście procent powyżej normalnej wartości. Trzy działające systemy chłodzenia dawały sobie radę z odprowadzeniem ciepła z rdzenia, a ryk pary uchodzącej zaworami bezpieczeństwa pozostawał jedyną zewnętrzną oznaką awarii.

Rozmiary zagrożenia wewnątrz ośrodka były jednak dla wszystkich oczywiste, a poczucie bezsilności zaczynało już wpływać negatywnie na stan psychiczny nawet najbardziej optymistycznie nastawionych inżynierów zgromadzonych w obu sterowniach. Próby delikatnego opuszczania zablokowanych prętów regulacyjnych do wnętrza rdzenia nie powiodły się. Jeden tylko pręt udało się namówić do kilkucentymetrowego

przesunięcia, co zaowocowało bardzo niewielką obniżką reaktywności. Nic więcej nie można było zrobić; teraz mogli jedynie obserwować przyrządy pomiarowe i modlić się, by te trzy układy odprowadzania ciepła pracowały bez końca z maksymalną wydajnością. Bez względu na to, jaka była ta nowa konfiguracja prętów i pastylek paliwowych w uszkodzonej części rdzenia, przepływ sodu był najwyraźniej wystarczająco duży, by odprowadzać ciepło i zapobiec dalszemu topieniu i opadaniu paliwa. Ale układ pastylek znajdujący się poza zespołami paliwowymi mógł się w każdej chwili zmienić, powodując następny wybuch lub powolne stopienie paliwa w rdzeniu.

Tymczasem sześciu najlepszych atomistów w świecie starało się wymyślić sposób na obniżenie poziomu neutronów na tyle, by reakcja łańcuchowa ustała. W magazynie było dziewięć zapasowych prętów regulacyjnych. Teoretycznie przynajmniej, można by usunąć niektóre z umieszczonych na zewnątrz rdzenia reflektorów niegroźnych stalowych zespołów odbijających neutrony i wprowadzać w ich miejsce jeden po drugim zapasowe pręty regulacyjne aż do momentu wygaśnięcia reakcji w wyniku pochłonięcia przez nie neutronów. Być może już jedna taka zamiana załatwiłaby sprawę, pod warunkiem, że udałoby się ją przeprowadzić nie dopuszczając do wyrzutu mocno już skażonego sodu i do przemieszczenia paliwa w konfigurację „nadkrytyczną”. Ryzyko było jednak olbrzymie.

Wprowadzenie czegokolwiek do rdzenia było możliwe jedynie przy użyciu maszyny załadowniczej paliwa. Niestety, jej elementy zaprojektowane były w ten sposób, że można było z niej korzystać tylko przy całkowicie wyłączonym reaktorze. Nadto, w wyniku wybuchu, jej obrotowe zaczepty nad rdzeniem prawdopodobnie przemieściły się w stosunku do kaset paliwowych, grzebanie zaś na chybił trafił w samym sercu rdzenia reaktora przy pomocy mechanizmu załadowniczego mogłoby podnieść reaktywność i wywołać kolejny wybuch.

Po sześciu godzinach rozmów wszyscy byli wyczerpani i poirytowani, a nadzieja co chwila ustępowała miejsca rozpacz. Nikt nigdy nie znalazł się jeszcze w takiej sytuacji, powtarzał sobie Dave. Kiedyś musiało się to stać, a skoro właśnie się stało, musimy wyciągnąć z tego wnioski na przyszłość. Lecz w głębi mózgu coś uporczywie pytało: Jak to się, na Boga, stało? Już sobie wyobrażał pytania, jakie Pat zada mu z krzykiem: „Coś ty myślał, że to jakiś głupi pożar, który ugasisz wiadrzem wody?”

Nie tylko jej się obawiał. Po południu zadzwonił do niego wąskousty McClaren z Londynu, by zacytować wiadomości z Herald Tribune i Washington Post. Coś się przebąkuje o tajnych rokowaniach w Londynie na temat reaktora prędkiego. USA na razie nie wymienione z nazwy, ale McClaren jest już nieźle przerażony.

— To tylko kwestia czasu — powiedział — a ujawnią wszystko.

W tej sytuacji Dave, najbardziej dwuznacznie jak potrafił, uprzedził McClarena o „drobnym problemie” w Segre. Jak łatwo było przewidzieć, McClaren był wstrząśnięty.

— Anglicy nic nie wiedzą — powiedział mu Dave.

— Cóż, ich szef departamentu na pewno się dowie — odparł McClaren, a Dave nie był w stanie go przekonać, że może jednak nie.

Żyli o kanapkach i kawie przez cały dzień, a że czyjeś cygaro skutecznie rywalizowało z klimatyzacją, Dave'owi zaczynało robić się niedobrze. Podczas gdy on i inni atomiści łamali sobie głowę nad coraz to nowym rozpaczliwym pomysłem, dwaj kierownicy spokojnie próbowali doprowadzić sytuację w ośrodku do stanu zbliżonego do normalnego. Wieczorna zmiana przejęła dyżur, wcześniej jednak każdy członek obsady musiał złożyć przysięgę dochowania tajemnicy. Tym, których obecność nie była absolutnie niezbędna, oznajmiono, że nastąpił pożar sodu, i dano wolny dzień. Usuwanie zniszczeń w wytwornicy pary numer jeden miało się rozpocząć w poniedziałek.

Podczas przekazywania dyżuru, włoski kierownik ośrodka wygłosił krótką przemowę, zobowiązując wszystkich nie tylko do zachowania tajemnicy, ale i optymizmu.

— Nawet jeśli zdarzy się najgorsze — mówił — wszyscy jesteśmy pewni, że jakikolwiek „rozbieg reaktywności” nie wyjdzie poza główny basen reaktora. Narobi to mnóstwo szkód i spowoduje długą przerwę w pracy ośrodka, ale personelowi tu na

miejscu nic nie zagraża. Tym bardziej nic nie zagraża ludności cywilnej.

— Skoro tak - spytał ktoś z nowo przybyłych — czemu na drogach i na kolei jest stan pogotowia?

— Zgodnie z warunkami zezwolenia na pracę reaktora — odparł kierownik — jesteśmy zobowiązani przygotować się na mało prawdopodobne sytuacje awaryjne. Jeden z przepisów dotyczy sytuacji braku kontroli.

Sytuacja braku kontroli. Jakże delikatnie te eufemizmy określają katastrofę, pomyślał Dave, wychodząc z obolałą głową na dwór. Z południa dał sztormowy wiatr. Ciekawe, co bym robił dziś w nocy, gdyby hotel był położony na północ, a nie na południe od tej kolistej bomby zegarowej. Odwrócił się i przyjrzał milczącej kopule na tle chmurnego nieba, wyśnionej przez jakiegoś architekta. Jeżeli „rozbieg” wywali bebechy z głównego basenu, wystarczy drobna rysa naprężeniowa w tym białym betonie, by kopuła rozwarła się i wiatr poniósł ze sobą śmierć.

Na parkingu błysnęły reflektory samochodu włoskiego inżyniera, który zaproponował Dave'owi podwiezienie o hotelu. Mam nadzieję, pomyślał Dave, że Kate będzie dziś miła. Czuję się jak sucha szmata wisząca nad kadzią z whisky.

Gordon wykorzystywał ostatnią godzinę dnia stojąc po pas w brokułach i brukselce, wplątujących się w siatkę, którą próbował rozciągnąć nad owymi nędznymi resztkami swoich zimowych warzyw, niczym ryby w sieć. Tę przegraną walkę z turkawkami i

gilami prowadził już od piętnastu lat, złorzecząc na zmianę Bogu i przyrodzie za brak logiki oraz perwersję w rozmieszczaniu latających grabieżców. Poprzedniego dnia padał deszcz i ciężka ziemia przyklejała się do butów, siatka oplątywała wszystkie guziki starej wojskowej panterki, a ręce drętwiały z zimna, bo od wschodu wdzierał się w dolinę mroźny wiatr. Zastanawiał się, jak ci rolnicy radzą sobie z rolnictwem? I dlaczego ci wstrętnei Anglicy nie jedzą więcej mięsa z tych wstrętnych ptaków? W zeszłym roku zastanawiał się nawet, czy by nie wejść na dach z jakimś prawdziwym, starym karabinem maszynowym i nie urządzić powszechnej masakry wszelkich skrzydlatych istot. Tylko że wtedy stare panny Marcer z sąsiedztwa złożyłyby na niego donos do Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami. W tym kraju na pewno łatwiej się wywinąć od złego traktowania dzieci niż zwierząt.

Wszelako tu, w zapachu zgniłych liści i kapusty, który unosił się w rześkim powietrzu, jego umysł odzyska wreszcie jasność. Wymyślił tytuły czterech rozdziałów sprawozdania: Zapotrzebowanie na energię, Źródła energii, Koszta ekonomiczne, Koszta społeczne oraz środowiskowe. Wątpliwości opuściły go dziś w południe, kiedy jechał pustym pociągiem i kiedy niebo niejako symbolicznie oczyściło się pod wpływem wyżu znad Morza Północnego. Dziś wieczorem wystąpią pierwsze ostre przymrozki i w kilku milionach domów ludzie podkręcą piece centralnego ogrzewania. Tydzień wyżowej pogody zweryfikuje dane sugerujące niezwykle spadek zapotrzebowania na energię

elektryczną, a jeżeli na skutek wczorajszego wypadku w kopalni związek górników zacznie się stawiać jeszcze bardziej, będziemy mieli długą chłodną zimę, niezadowolonych ludzi i rotacyjne wyłączenia prądu. Groźba zółwiej pracy w kopalniach mogłaby mieć cudowny wpływ na szanse energetyki jądrowej w gabinecie, Izbie Gmin oraz w społeczeństwie. Co bardziej wojowniczo nastawieni urzędnicy departamentu proponowali nawet wywołanie sztucznego deficytu ropy naftowej akurat w momencie akcji protestacyjnej w kopalniach, by tym sposobem raz na zawsze zapewnić trwałą przyszłość energetyce atomowej.

Pół dnia pracy we własnym salonie nieźle się odbije na rachunku telefonicznym: przez godzinę Gordon rozmawiał z Home Office, próbując wydusić z Urquharta jakieś szczegóły na temat polityki tego resortu dotyczącej bezpieczeństwa instalacji atomowych. Ktoś podejrzliwy powiedziałby, że Urquhart odpowiada wymijająco, ale Gordon wolał przyjąć, że jest skołowany i słabo przygotowany. Dokładnie połowa urzędników Home Office nie znosiła już samej koncepcji energii atomowej, druga zaś połowa podchodziła do tej sprawy entuzjastycznie, licząc na to, że przy okazji uda się uzyskać poprawę bezpieczeństwa publicznego. Resortowe rozdwojenie jaźni sprawiło, że biedny Urquhart był rozdarty dokładnie na pół.

Ci z IIJ byli zresztą równie wymijający, gdy Gordon Przedstawił im przez telefon NPA wymyśloną przez Jossa i Blaszaną Rączkę.

Mój Boże — odpowiedział któryś z inspektorów.

— Działanie prętów regulacyjnych jest niezawodne. Musi być...

Gordon musiał powtórzyć sobie uwagę inspektora kilka razy nim w pełni zrozumiał opaczną logikę leżącą Podstaw jego pewności siebie. - Jestem w garażu — z trawnika na górze dobiegł go śpiewny głos Mary, a z nim skrzypienie taczki — ostatni kurs z daliami, które wieszala do zasuszenia w miejscu, gdzie nie dosięgnie ich zapowiadany przymrozek. — Nie przezięb się!

Może zaplączę się w tę cholerną siatkę tak, że nie wyleżę do rana, a gawrony i sroki dobiorą się o świcie do mego zamrożonego ciała, myślał Gordon. Nie zauważył jak z boku pojawiła się sylwetka Roxy'ego.

— Pomóc ci?

Gordon odwrócił się, zobaczył syna i roześmiał się.

— Jeśli masz bańkę benzyny, podpale to całe dziadostwo.

— Gdzie jest koniec siatki?

— Od pół godziny go szukam.

— Ciągnij, ja go znajdę — powiedział Roxy. Dziesięć minut później było już po wszystkim — dwie czarne siatki rozpięte na palikach z kasztana, obciążone na ziemi połówkami cegieł i złączone pośrodku przeplecionym sznurkiem. Ojciec i syn stali w mroku na skraju ogrodu słuchając wrzasku szpaków szykujących się do uczyty na plantacji w dolinie.

— Lepiej ostrzec Pendle'a, że obsiadły jego modrzewie — rzekł Gordon. — Jak będą tam nocować całą zimę, wiosną nie

będzie miał ani jednego drzewa. Obsrają je na śmierć. Paskudny koniec.

Roxy zaśmiał się i obaj ruszyli w stronę domu wybierając ścieżkę biegnącą przez środek ogrodu, przez sad, pod pergolą z róż i dalej przez trawnik. Roxy przystanął tuż przed miejscem, do którego dochodziło światło z okien kuchni.

— Tato... — ojciec i syn, w zimnych, mokrych, obłoconych butach, wdeptujący w trawę grudki ziemi wyrzucone przez dżdżownice. — Czy z tego przecieku w Guardianie zrobiła się jakaś afera?

Gordon uśmiechnął się do siebie w ciemnościach. Tak jak matka, Roxy był przekonany, że wcześniejszy powrót ojca do domu jest przejawem niełaski.

— Przez dwa dni będę pracować w domu. Ktoś inny zajmie się przeciekiem.

— Boję się, że to może mieć coś wspólnego ze mną.

— Roxy skręcił na rogu trawnika, unikając światła. — We wtorek w studiu był taki facet. Myślałem, że go to po prostu interesuje, znaczy się, jak spytał o twoją pracę. Przyszedł tam, bo chce napisać o naszej muzyce. Potem przeskoczył na reaktory prędkie. Sam nie wiem jak. To okropne, jak sobie pomyślę, że mogłem ci narobić kłopotów.

Gordon, niewidoczny w ciemnościach, odpowiedział:

— Nie mam żadnych kłopotów. Nic się nie martw.

— Chyba mu powiedziałem to wszystko, co dziś rano było w gazecie. Rozumiesz, to wyszło tak zwyczajnie, ta gadka o reaktorze. — Nagle głos chłopca zabrzmiał jadowicie. — A to skurwiel.

— To był dziennikarz?

— Tak.

— Jak się nazywa?

— Salter. On tak, wiesz, kursuje i pisze dla kogo popadnie — Time Out, New Musical Express, Rolling Stone. Poznałem go... — Roxy urwał i cofnął się jeszcze głębiej w ciemność — ...poznałem go, jak pisał artykuł dla Gay News.*

Gordon mruknął coś wymijająco, głównie po to, by ukryć zdumienie. Nigdy nie byli tak blisko tego zakazanego tematu. Co, u diabła, powinienem teraz powiedzieć, żeby zachęcić go jeszcze bardziej? Milczał przez cztery czy pięć sekund, a potem było już za późno. Roxy zaśmiał się nieszczerze, skręcając w stronę domu. - Byłem na dużym haju.

— Na czym?

[*Gay News czasopismo dla homoseksualistów (przyp. tłum.)]

We wtorek "wieczorem. Chyba nie byłem całkiem przytomny. Producent częstował tequila, a ten redaktor robił skręty z marychą.

Prawie zakazany temat numer dwa. Gordon stanął jak wmurowany, krok od magicznej plamy światła, która tak ich obydwu krępowała.

— Roxy... — Chłopiec odwrócił się, dalej rozgniatają w ciemnościach grudki ziemi. — Nigdy nie brałeś mocnych narkotyków, prawda?

Roxy odpowiedział dopiero po chwili milczenia.

— Raz wachałem kokę.

— Kokainę?

— To jest słabsze od heroiny.

— Jeżeli boli cię po niej dusza i ciało, to znaczy, że jest mocna.

— No dobra. Ale ja się w to nie bawię. Za drogie.

— Gdybyś zaczął sprzedawać piosenki, może się okazać, że jednak nie za drogie.

— Może jakbym sprzedawał piosenki, nie byłoby mi to potrzebne. — Roxy wszedł w plamę światła padającego z okien kuchni.

— Gdybyś kiedyś miał zacząć...

— Mam nadzieję, że nigdy.

— Gdybyś kiedyś zaczął, wolałbym dowiedzieć się o tym. To znaczy, dowiedzieć się od ciebie, nie od kogoś innego.

Roxy stał plecami do światła i Gordon nie widział jego twarzy. Nagle chłopiec roześmiał się.

— Więc umowa stoi.

Gordon też próbował się roześmiać. Wiele by mi to pomogło, gdybym się dowiedział, myślał idąc za nim przez plamę światła i na ukos przez trawnik. Przy rogu domu syn zatrzymał się, czekając

na Gordona. Wciągnął w górę rękę, w której trzymał kłębek sznurka do wiązania siatki, i rzucił go ojcu.

— Dzięki za pomoc — powiedział Gordon. Moczyłbym się z tym do rana.

— Przepraszam, jeśli we wtorek coś pomotałem.

Gordon strzepnął zeschnięte liście z tyłu swetra Roxy'ego.

— Mówiłeś temu Salterowi o Dave'ie Ridgewayu?

— Tak. Tego właśnie nie rozumiem. W gazecie nie było ani słowa o Ameryce.

— Więc może to w końcu nie Salter. Mary zawołała z garażu.

— Kto mi pomoże z pelargoniami? Gordon otworzył Roxy'emu tylne wejście.

— Ja i taczka.

— Tylko te od północnej strony — wyjaśniła gdzieś spod sufitu, gdy Gordon wchodził do garażu. — Skrzynek na oknach mróz nie dosięgnie. — Spojrzała na niego z drabiny. — a może wolisz wrócić do swej pracy?

Daliej wisiły powiązane w pęczki na krokwiach dachu, dodając do słodkawej woni składowanych tam jabłek zapach świeżo wzruszonej ziemi.

— Ja zajmę się pelargoniami — powiedział Gordon. — A ty zrób moją pracę.

Jak mi powiesz, co napisać. — Odwróciła się znowu, z trudem zachowując równowagę. — Już postanowiłeś, czy dalej tkwisz w okopach?

Gordon roześmiał się i potrząsnął głową. Teraz już pójdzie z górki.

Wyszedł ponownie na dwór, z dala od świateł kuchni. Mała Niedźwiedzica z Gwiazdą Polarną widniały na niebie nad przeciwległym zboczem doliny. Gordon nie mógł zrozumieć, dlaczego to poczucie wolności piękna zdawało się nieść z sobą zagrożenie i melancholię, i dlaczego nagła jasność umysłu zdawała się czynić nonsensownymi wszystkie sformułowania ułożone w myślach. Ziemia niczyja.

Księżyc wschodzący za uschniętym wiązem Pendjale'a a drugim krańcu pola odmawiał odpowiedzi na jego Pytania.

7

Kate przyglądała się, jak Dave, który z całą pewnością nie tryskał energią, zgarnia okruchy chleba ze stołu w trattorii. Miała cichą nadzieję, że to Francuzi są przyczyną tego chmurnego stanu jego duszy. Od powrotu ani razu nie próbował zażartować. Nawet po zupie rybnej i butelce wina niewiele było w jego niebieskich oczach radości, a Kate uznała, że w takim nastroju jest nieskończenie bardziej pociągający. Wydawał niemal bezbronny. Napotkała jego wzrok i uśmiechnęła się.

— Dotarł do ciebie ten przeciek w prasie? — Z tym sobie poradzimy — odparł i znów zamilkł.

— Co robi twoja żona, kiedy chce, żebyś się rozchmurzył?

— Bierze mnie do łóżka.

Następny głodny penis, pomyślała Kate i, ku swemu przerażeniu, nagle zaczęła się zastanawiać, jak może wyglądać jego obnażony członek. Znowu stanął jej przed oczami obraz skalpela zagłębiającego się w sierść i skórę małpy. Opowiedziała mu o przedpołudniowym upuszczaniu krwi, ale nie wywołało to w nim większego współczucia.

— Ile to razy — spytał — otwierałaś gazetę i gdzieś u dołu jakiejś środkowej strony znajdowałaś wzmiankę o śmierci kilkudziesięciu tysięcy Azjatów w wyniku trzęsienia ziemi? Tylko biali ludzie i ich pieski dostają się na pierwszą stronę. Myszy i małpy to nie jest temat dla prasy.

Uśmiechnięty, zezowaty kelner postawił na stole dwa talerze martwych ryb, a Kate zaczęła wzdychać do korzonków, fasoli, jagód i orzechów, wszystkiego, co nie ma oczu. Patrzyła, jak Dave odrywa głowy i wysysa z nich mózg.

Spojrzał na nią znad talerza.

— Moja matka-Żydówka powiedziała mi, że przyglądając się ludziom, kiedy jedzą, możesz odgadnąć, jak kochają — Roześmiał się bodaj pierwszy raz tego wieczoru i zamówił drugą butelkę wina, by uczcić to wydarzenie.

— Gdybyś miał matkę-Żydówkę, opowiadałbyś lepsze dowcipy — rzekła Kate.

— Mówiła mi też, żeby nigdy nie ufać inteligentnym kobietom.
— Dave w duchu błagał o przebaczenie swych rodziców, surowych kwakrów, którzy dawno temu mieszkali na odległej farmie środkowego zachodu. Ta rozmowa nie zyskałaby ich aprobaty.

— A tak naprawdę skąd pochodzisz? — spytała Kate, a Dave opisał jej białą, oszalowaną deskami chałupę, bałagan na błotnistym podwórku, zamrożone pola podczas śnieżnych burz, trzykilometrowe spacery do świetlicy we wsi, półgodzinne jazdy autobusem do miasta do średniej szkoły, i wreszcie o tym, jak kiedyś, gdy był już w ostatniej klasie, którejś nocy matka nagle krzyknęła, gdy zorientowała się, że ojciec leżący u jej boku nie żyje. Dave nie myślał o tym od wielu lat.

— Co się stało z gospodarstwem? — spytała Kate.

— Przez pięć lat matka prowadziła je sama. Potem przejął je mój brat.

A ty pojechałeś na zachód.

— Jeździłem tam i z powrotem. Uniwersytet w Kalifornii. Los Angeles, Berkeley, Lagoona Beach, i znowu Berkeley.

— A teraz Waszyngton? Tak, teraz Waszyngton.

— Na jak długo?

— Aż ruszymy do przodu z reaktorami prędkimi.

— A wtedy?

— Gdzie będzie reaktor, tam i ja będę. - A jeżeli nie będzie? -
Jeżeli nie, będzie to znaczyć, że zmarnowałem całe

Kate roześmiała się.

— Nie wolno ci tak mówić.

— Wolno i będę. Odkąd skończyłem dwadzieścia cztery lata, tylko to jedno miałem w głowie. Wcale nie chodziło o karierę. Ja w to wierzyłem. — Dave roześmiał się. Pierwszy raz powiedziałem to w czasie przeszłym — Cholera! Dalej wierzę. Ale jeśli politycy nie pozwolą tego zrealizować, ludzkość niewiele na tym zyska. Jak ktoś kiedyś ujął: tyle zachodu, i wszystko na próżno.

— Tak czy owak, coś tam dołożyłeś do sumy ludzkiej wiedzy.

— I ujrzałem, jak po raz pierwszy umysł człowieka się cofa, tym samym rwąc nić ewolucji. To tak, jak byśmy dziewięćdziesiąt lat temu odrzucili wynalazek silnika spalinowego.

— Dzięki temu ocalałoby parę milionów ludzi.

— Ty też przechodzisz do opozycji? Kate z uśmiechem pokręciła głową.

— Przejdziesz. Czemu? — Kate spojrzała nań z ukosa. - Mówisz jakby ktoś cię dziś uderzył poniżej pasa.

Dave wlepił wzrok w wino i nie odpowiedział. Nieważne, że to sojuszniczka, tak czy owak nie będzie jej opowiadał, co się dziś zdarzyło. Wciąż była nadzieja niewielka wprawdzie, że uda się ukryć prawdziwy rozmiar katastrofy. Przecież znajomość całej prawdy nikomu nie pomoże. Właściwi ludzie już wiedzą i do nich należy wyciągnięcie wszystkich wniosków. Do nas to należy. Pewnie się zestarzeję, pomyślał Dave, zanim uda się uwzględnić wszystkie te wnioski w jakimkolwiek przyszłym projekcie reaktora. A co zrobią Francuzi skoro ich Super Phénix jest już w

połowie gotowy? Ten jeden przypadek, którego prawdopodobieństwo wystąpienia wynosi jeden do kilku milionów, wykazał, że wszystkie wyliczenia i układy zabezpieczeń są niewarte funta kłaków.

Sztormowy wiatr z południa smagał domy wioski i Dave'a znów naszała myśl, co by zrobił, gdyby od reaktora wiało w jego stronę.

Energia słoneczna powiedziała Kate ze śmiechem i narzuciła chustkę na głowę.

Tak, pola pełne olbrzymich hałaśliwych wiatraków, morza pełne tratw i czarne kolektory słoneczne na tych wszystkich uroczych dachach pokrytych dachówką, a i tak nie wystarczy. — Dave wziął ją pod rękę. Świat staje się okropnie pazerny, a to jest o wiele bardziej niebezpieczne niż najbardziej nieprawdopodobna z największych przewidywalnych awarii.

Ludzie potrafią się dostosować do zmian, lecz uran i pluton nie pozbędą się swych brzydkich manier.

Dlatego tak się zabezpieczamy. I dlatego będziemy stale poszukiwać coraz lepszych zabezpieczeń, w miarę jak niedoskonałości naszych systemów będą dawały o sobie znać. Kate rozejrzała się dokoła.

Myślałam, że osiągnęliśmy już pełną niezawodność automatycznych układów bezpieczeństwa.

Może tak, a może nie. Może absolutna niezawodność nie istnieje. Kate roześmiała się.

Co ci się dzisiaj stało?

W każdym razie, nie była to droga do Damaszku, moja pani.
Nie obawiaj się.

Francuzi cię napastowali?

Nie udało im się do mnie zbliżyć. — Dave przypomniał sobie ich twarze, które oglądał na monitorach przez cały dzień, skupienie, z jakim udzielali a właściwie nie udzielali informacji. Był zadowolony z tego, że cały czas spędził w towarzystwie Włochów. Co by nie mówić, oni są u siebie. Dlatego byli bardziej bezpośredni i o wiele bardziej przerażeni. Dzisiaj Francuzom nie należy się nagroda za szczerość. Nadto byli przejęci dobieraniem właściwych słów do informacji przekazywanych do Paryża i Creys-Malville. I mnie to czeka, pomyślał Dave Muszę napisać sprawozdanie dla Waszyngtonu, przygotować się do mniej oficjalnej odprawy z konstruktorami i inżynierami z Clinch River, i jeszcze coś dla Londynu. Ile powinienem powiedzieć Gordonowi Aylenowi i w jakim stopniu może to wpłynąć na harmonogram prac nad KDRPP? Najlepiej mówić jak najmniej, póki jakieś decyzje nie zostaną podjęte, ale później może trzeba będzie lekko licząc, pięciu lat i pół miliarda dolarów na przeprojektowanie systemów sterowniczych i pomiarowych. Na pewno prościej i taniej byłoby uznać, że ta awaria nie mieści się w kategoriach maksymalnych awarii hipotetycznych i że wobec tego nie ma prawa się powtórzyć.

— Pomożesz mi dziś zapomnieć o moich troskach? — zapytał Kate idąc po schodach na górę. W hotelu panowała cisza.

— Myślałam, że jest już oczywiste, że nie jestem najlepszym towarzystwem na noc.

— Ja też nie — odpowiedział ze śmiechem. - Ale lepsze to niż samotne zmaganie się z dylematami tego świata.

Poszli do swoich pokoi, nie uzgodniwszy nic ani na tak, ani na nie, lecz gdy Kate wykąpała się i przyodziała swój bładzkielet, przekręciła klucz zostawiając drzwi otwarte — może dlatego, że się namyśliła, a może po to, żeby nie musieć wychodzić z łóżka. Dave przyszedł dwie minuty później, bez słowa zrzucił z siebie szlafrok i nagi wsunął się pod kołdrę.

Kate odwróciła się od niego plecami i odsunęła na drugi brzeg.

— Gdzie się wybierasz?

— Uważam, że powinnam przynajmniej udawać, że się bronię — powiedziała szeptem.

Położył swe wielkie dłonie na jej biodrach i głowie i przyciągnął ją do siebie.

— Więc będziemy udawać, że udajesz.

Jego ciało niczego nie udawało. Czuła to przez cienką koszulę nocną, mimo że z jego uśmiechniętej twarzy bił spokój, a ręce gładzące jej włosy nie okazywały zniecierpliwienia. Jednak, w odróżnieniu od wiecznie rozgorączkowanego Bertie'ego, ten nie spieszył się i był z tego Zadowolony. Kate nawet się odprężyła i

chętnie by mu powiedziała, że już samo to było sporym osiągnięciem.

— Co ci się dziś przytrafiło? — szepnęła. On jednak uśmiechnął się tylko i pocałował jej oczy, nos, usta. — Ostrzegałam cię przecież — wyszeptała znowu że nie jestem w tym dobra.

Jego ręce nadal delikatnie i jakby od niechcienia gładziły jej włosy i biodra. Bertie już dawno by ją dopadł i kończył. Nie mieszajmy w to biednego Bertie'ego, pomyślała, czując teraz obie dłonie Dave'a na twarzy. Jedna ruszyła w dół po szyi i dalej po koszulce.

— Tam nic nie ma — szepnęła. — Małe piersi.

— Ją też nie mam czym się chwalić — odparł, a ona poczuła, jak on uśmiecha się, przytulając twarz do jej twarzy. — No, to kompleksy mamy z głowy, więc spłyn w dół spod sufitu.

Zaśmiała się, ale to był jej ostatni świadomy odruch, gdyż jego usta i język dotknęły jej ucha, co, jak wspólnie odkryli, było pierwszym krokiem do uniesienia. Dwa razy tylko wracała pod sufit, najpierw, gdy usiadła, by ściągnąć koszulkę, i potem, gdy ujrzała siebie, białego ducha ze sterczącymi gnatami, leżącą na plecach z rękami i nogami rozrzuconymi na boki, jasne włosy Amerykanina między jej udami i jego nogi śmiesznie wystające poza łóżko. chwili znowu zapomniała o wszystkim; ruch jego języka sprawił, że przebiegł ją dreszcz, pół nocy minęło, nim Dave ją pożegnał, pół nocy uniesień, którym postanowiła się poddać

całkowicie lub prawie całkowicie, pół nocy, podczas której po kolei odrzucała wszystkie nieliczne tabu, jakie miała.

Wreszcie poczuła, jak Dave się rozluźnia.

— Chciałbym obudzić się rano przy tobie i wszystko to powtórzyć wyszeptał jej do ucha. — Ale muszę wstać o szóstej. — Wolno przewrócił się na bok i wstał.

— Cóż tak ważnego ma się wydarzyć o tak wczesnej porze?

— Narada w ośrodku na styku zmian. — Stał przy łóżku, wkładając szlafrok. — Bardzo mi się podobasz — powiedział cicho.

— Powiedz mi, co się stało — spytała — czy dalej wszystko jest tajne?

Schylił się nad łóżkiem i ujął jej dłoń.

Uważasz, że teraz nie mam prawa nic przed tobą ukrywać?

— Mnie właściwie pozbawiłeś wszelkich sekretów.

— To są nocne sekrety, osobiste. Sekrety dnia są polityczne, bardziej niebezpieczne.

— Polityczne czy techniczne?

— Nic, co łączy się z reaktorem prędkim, nie jest apolityczne.

— Ale ten jest również techniczny.

— Nic ci to nie da, że się dowiesz.

— Chyba to mój obowiązek się dowiedzieć?

— Jeśli to ważne, z czasem się dowiesz.

— Cokolwiek to jest, bardzo się tym martwisz.

— W mojej obecnej sytuacji, Kate, martwię się wszystkim. Został mi tylko tydzień, żeby was przekonać do współpracy. Oczekuję twojej pomocy, moja pani.

— To nad tym pracowałaś całą noc?

— Ej! — Dave siadł na łóżku i ujął jej twarz w dłonie — Wojowniczo się odzywasz.

— Wiesz, lepiej już idź — powiedziała — zanim popsuję tę piękną noc.

— Z podwiniętym ogonem nie odejdę. Przyglądała mu się przez chwilę bez słowa.

— Bardzo mi się ten twój ogon podoba — powiedziała wreszcie ze śmiechem. — Więc idź do łóżka i śpij dobrze.

Kto wie, pomyślała na wpół śpiąca, gdy już wymknął się z jej pokoju, czy gdyby odpowiedni mężczyzna posiadał mnie w ten sposób dziesięć lat temu, moje życie nie potoczyłoby się zupełnie inaczej.

Trapiiony bezsennością Dave Ridgeway słuchał szumu wiatru i deszczu tłukącego w okiennice. Wciąż zadawał sobie pytanie, czemu nic nie powiedział Kate, czemu, spędziwszy z nią tak upojne chwile, nadal jej nie ostrzegł, że jej cała zawodowa przyszłość waży się teraz dziesięć kilometrów stąd. Pojął, że — świadomie czy też podświadomie - zastanawia się nad możliwością zatuszowania całej sprawy. Jak to ktoś powiedział w Lagoona Beach tyle już lat temu? „Informować w przybliżeniu i

nieściśle", a więc nie tyle kłamać, co nie dopowiedzieć prawdy do końca.

A co by było, gdybyśmy w Lagoona Beach ujawnili całą prawdę? Co by było, gdybyśmy uparli się, że na sześć miesięcy Detroit ma zostać ewakuowane? Czy to już samo przez się nie wywarłoby wystarczająco dużej presji, zarówno zewnętrznej jak i wewnętrznej, by ponownie przemyśleć kwestie bezpieczeństwa reaktora i wymyślić raz na zawsze absolutnie niezawodny automatyczny system wyłączający? Tymczasem, po piętnastu latach, znów zbłądziliśmy w tym samym atomowym labiryncie. Nawet Harrisburg nic nie zmienił. W instalacjach atomowych bywają problemy techniczne, lecz nigdy nie zdarzyła się awaria nie do pomyślenia. Technika jakoś się broni. I o to, myślał Dave, raz jeszcze gotów jestem przyzwolić na milczenie, a nawet do niego zachęcać, dokładnie z tego samego powodu co uprzednio: z obawy przed irracjonalną reakcją opinii publicznej. Czy ujawnienie całej prawdy o Lagoona istotnie by coś zmieniło? Ewakuacja Detroit, a trzynaście lat później ewakuacja Harrisburga, prawdopodobnie zadałyby śmiertelny cios całej amerykańskiej polityce rozwoju energetyki atomowej. Wobec tego jaka winna być cena prawdy, wtedy i teraz? Z drugiej jednak strony, myślał, skoro aż tak musimy liczyć się z opinią publiczną, tym większą sami ponosimy odpowiedzialność, tym ważniejsze jest zachowanie obiektywizmu. Albowiem rozum i przeczucia mówiły mu, że kiedy ta niewyobrażalna katastrofa atomowa musi się gdzieś wydarzyć.

8

Henshaw nigdy nie przypuszczał, że kiedyś będzie wdzięczny za możliwość ujrzenia zwykłych latarni ulicznych przy zwykłej, skąpo oświetlonej ulicy. Sześć godzin spędził w zamkniętym furgonie, mając do towarzystwa tylko butelkę do siusiania i światełko w zegarku. Co godzinę furgonetka stawała, kierowca zamykał swoje drzwi na klucz i znikał na dziesięć minut. Pewnie dzwoni po instrukcje, myślał Henshaw. Kierowca, a może to była ona, pozostał jednak anonimowy. Ktoś inny otworzył wreszcie drzwi furgonu i wypuścił go na tę ciemną ulicę z rzędem latarni. Był to brodaty mężczyzna, który zaprowadził go do oczekującego samochodu i sam usiadł na tylnym siedzeniu. Za kierownicą była Anna.

— Ja prowadzę — powiedziała. Lubię prowadzić.

— Sięgnęła na półkę pod deską rozdzielczą i wręczyła Henshawowi jego paszport, portfel oraz prawo jazdy.

— Samochód jest twój. Wynajęliśmy go na twoje nazwisko i zapłaciliśmy z twoich pieniędzy.

Zostało mi tylko pięćdziesiąt dolarów, pomyślał Henshaw przeliczywszy zawartość portfela, a nic jeszcze nie dostałem za swoje pieniądze. Jest we Włoszech już półtora dnia, a jak dotąd widział tylko wnętrze zamkniętego, pustego mieszkania, wnętrze

zamkniętej furgonetki, a przez najbliższe dwie godziny będzie oglądać reflektory samochodów na gładkiej, monotonnej, nie kończącej się autostradzie. Po dwóch godzinach ujrzał wreszcie zakręt, spadek drogi, wiadukty oraz tunele, i nagle znaleźli się na pagórkowatym terenie. Pół godziny później Anna jechała do stacji benzynowej i zaparkowała z tyłu za dystrybutorami, barem i dwoma rzędami tirów. Jej mała czerwona dłoń dalej spoczywała zaciśnięta na kierownicy, a oczy wpatrywały się w ciemność za szybą.

Dziesięć minut minęło w milczeniu, po czym podała Henshawowi kartkę papieru i długopis.

— W Segre jest pewien inżynier. W czasie ostatnich wyborów odszedł z partii komunistycznej i przyłączył się do radykałów. To wszystko, co o nim wiem. Może coś powie. Podetknęła mapę pod kartkę. Teraz napisz do niego list. Napisz, kim jesteś i poproś o spotkanie.

Henshaw starannie dobierał słowa, wreszcie wręczył dziewczynie gotowy list, ona zaś złożyła go i schowała do koperty. Wytarł zaparowaną szybę po swojej stronie.

— Zostajemy tu do rana?

— Tu jest bezpiecznie. Policja zwraca uwagę tylko na numery rejestracyjne. Do świtu nie mamy nic do roboty.

Otworzyła drzwi i wysiadła z samochodu, wkładając na głowę płócienną czapkę z daszkiem.

Siedzący z tyłu brodacz śledził ich ruchy. Gdy Anna zatrzasnęła drzwi samochodu, Henshaw zatrzymał na nim wzrok.

— Ona jest szalona — powiedział brodacz kulawą angielszczyzną i pokręcił głową. - Myśli, że jak udaje chłopaka, to jest niewidzialna. A każdy policjant i żołnierz we Włoszech ma jej zdjęcie.

Anna szła wzdłuż ciężarówek w stronę barku. Odjeżdżał właśnie wielki ciągnik z naczepą, i na jego tle Anna wydała mu się jeszcze drobniejsza niż w rzeczywistości.

Henshaw wysiadł i podążył za nią. W powietrzu śmierdziało ropą, gdzieś w krzakach grała cykada, zagłuszona na chwilę rykiem odjeżdżającego tira. Bar był niemal pusty, słabo oświetlony. Duże szyby z dymnego szkła jak w nocnym lokalu. Henshaw zapłacił za trunki zamówione przez Annę.

— Grappa — powiedziała z uśmiechem. Kiedyś piło się to tylko w górach. Teraz pije się wszędzie. Patrzyła, jak pociąga mały łyk bezbarwnego oleju, który palił mu krtań, a smakował jak sknocony bimber. Barman powrócił do swojego radia.

Anna wyciągnęła łańcuszek spod kołnierzyka koszuli Henshawa. Na łańcuszku wisiała wyklepana z mosiądzu figurka jeźdźca na koniu.

— Sam to zrobiłeś? Skinął głową.

— U siebie? — Przyglądała mu się.

— Tak, u siebie. — Z radia dobiegły słowa piosenki: kiedy miejskie śpiochy śpią..."

— Mieszkasz w Nowym Yorku — powiedziała. „Idę ciemną ulicą w stronę rzeki...”

— Gdzie jest twój dom? — zapytał po chwili.

— Nigdzie.

— Kiedyś przecież miałaś dom.

— W dużym mieście, gdzie robią samochody.

— A ty nie chciałaś robić samochodów? Uśmiechnęła się. Wyglądało, że stara się stłumić głośny śmiech, jak gdyby wiedziała, że zazwyczaj wychodzi z tego bardzo żałosny skowyt. „Miasto śpiewa najsmutniejszą ze wszystkich pieśń...” Anna uchwyciła figurkę i lekko pociągnęła za łańcuszek.

— Nie zajmowałeś się chyba cały czas takimi rzeczami.

Henshaw milczał, spoglądając ponad jej głową, przez dymne szyby, na reflektory samochodów śmigających w obie strony autostradą ukrytą za niskimi krzakami.

— Byłeś żołnierzem — uśmiechnęła się po raz trzeci. - Byłeś w Wietnamie.

Nie odezwał się.

— Myślisz, że nie robimy użytku z telefonów, żeby się dowiedzieć, kim jesteś?

„Puste są teraz ulice, Skonała już dawno noc...”

Oboje słuchali w milczeniu przez dłuższą chwilę.

— Przysłali cię tu z Ameryki, bo byłeś żołnierzem? Przyjechałem, bo akurat byłem pod ręką.

— I dlatego, że jesteś twardy?

Dalej patrzył na autostradę za dymną szybą.

Dlaczego robisz to, co robisz? spytała.

Dzieją się złe rzeczy, do których nigdy by nie doszło, gdyby ludzie w porę się o nich dowiedzieli. Kiedy byli już przy drzwiach, spojrzął na nią.

— A ty czemu robisz to, co robisz? A co ja robię?

— Jesteś terrorystką.

Bo, wierz mi lub nie, nie ma innego sposobu, żeby ich powstrzymać.

Poszli do samochodu, zostawiając za sobą bar i muzykę, i wcisnęli się z powrotem na ciasne, przednie siedzenia.

Czekamy na wschód słońca powiedziała Anna. Pół godziny później, gdy po raz trzeci próbowała wygodnie usadowić się na fotelu, podwinęła pod siebie nogi, położyła głowę na kolanach Henshawa, ujęła jego dłoń i położyła ją na swych włosach.

„Miasto, miasto,

Czy jest tu może kto?”

9

Enzo wyszedł z domu o świcie. Skulony, szedł w deszczu piechotą do głównej szosy, bo samochód zostawił żonie, polecając jej jechać na południe, do Neapolu, w odwiedzinach do matki i siostry. Posunięcie to było sprzeczne z wczorajszym zaleceniem

kierownika ośrodka, który żądał, by nie wzbudzać niepokoju swoich bliskich i przyjaciół. Enzo szybko tracił zaufanie do optymistycznych, urzędowych oświadczeń. Mieszkali piętnaście kilometrów na wschód od ośrodka, a zanosilo się na to, że będzie wiać w ich stronę ładnych parę dni.

Żonie nic nie powiedział. Od dawna już miała zamiar odwiedzić rodzinę, toteż nawet nie przyszło jej do głowy spytać o powód. A zresztą, zastanawiał się, co mógłbym jej powiedzieć? Że najbardziej niebezpieczne pokojowe urządzenie, jakie człowiek kiedykolwiek skonstruował, wyzwoliło się w końcu spod jego kontroli i obecnie kierowało się tylko własnymi nieodgadzionymi prawami? Atomy są dzikie, myślał Enzo, i gównu wiemy, jak skłonić dzinna, by dał się z powrotem zamknąć w butelce. Nie spał pół nocy, spoglądając przez nie domknięte okiennice na horyzont w kierunku południowo-zachodnim. Teraz znów tam patrzył, czekając na skrzyżowaniu dróg na autobus.

— Sytuacja bez zmian — dowiedział się przez telefon. — Reaktor jest stabilny. Pracujemy normalnie.

Normalnie. Cóż mogło jeszcze być normalne po tym, co zaszło? Wczorajsze trzy sekundy przekreśliły dziesięć lat absolutnej wiary w zasady bezpieczeństwa stosowane w energetyce jądrowej, i Enzo wątpił, by kiedykolwiek mógł ową absolutną wiarę odzyskać.

Zastanawiał się, co zrobią teraz Francuzi ze swoim własnym reaktorem. Konstrukcja i działanie Segré miały być w teorii

bezpieczniejsze niż Super-Phénix budowany właśnie w Creys-Malville, co niewątpliwie wiązało się ze środkami ostrożności tradycyjnie podejmowanymi we Włoszech ze względu na możliwość wystąpienia trzęsień ziemi oraz nieustające zagrożenie ze strony terrorystów i sabotażystów. Niebezpieczne urządzenia na zagrożonym terenie muszą być zabezpieczone o wiele lepiej niż przewidują ogólne normy. Cóż za pech zatem, myślał Enzo, machając ręką w stronę nadjeżdżającego autobusu, że prawdziwym zagrożeniem okazało się coś innego niż trzęsienie ziemi i terroryzm.

Autobus jechał na południe szeroką i pustą Via Aurelia. Enzo zauważył, że na głównej szosie nie było już kolumn wojskowych. Czyżby kolejny przejaw urzędowego optymizmu? A może raczej gra pozorów?

Tego ranka Enzo zawiadował główną sterownią. Sala była wypełniona ludźmi; oprócz przekazujących sobie stanowiska pracowników, byli w niej, potrzebni jak dziura w moście, przedstawiciele francuskiego i włoskiego kierownictwa. Enzo, przejmując zmianę od swego poprzednika, popatrywał na nich z pewną irytacją. Uznał, że reaktorowi daleko jest do stabilności. Najnowsze zapisy nadal wykazywały wahania różnych parametrów, momentami bardzo duże. Cały czas istniało niebezpieczeństwo, że rozhuśtany reaktor rozszaleje się, że wahania nasilą się na tyle, iż kontrola nad nimi będzie zupełnie niemożliwa.

Enzo sprawdził gotowość swojej ekipy, nakazując podanie odczytów i stanowisk, po czym wziął do ręki mikrofon i, jako kierownik zmiany, zażądał opuszczenia sterowni przez wszystkich z wyjątkiem pracowników będących na służbie. Do cholery z wyższym kierownictwem, pomyślał. Jeśli cokolwiek zacznie się dziać na mojej zmianie, nie chcę tu żadnych głośnych i sprzecznych rad.

— Staramy się podjąć decyzję — powiedział z wyrzutem francuski inspektor.

— Do rezerwowej sterowni jest stąd pięć min — oświadczył Enzo. — A jeszcze lepiej zjechać w pół minuty windą do którejś sali konferencyjnej. Tam nie będziecie nikomu przeszkadzać. A tu chcę mieć ciszę. Jak rdzeń zacznie znowu szaleć, tylko stąd można się starać go opanować.

Włoski kierownik ośrodka, odwrócony plecami do swych francuskich kolegów, mrugnął do Enzo z aprobatą.

— Nie włączaj dziś żadnych syren, stary wojażu po wiedział szeptem. — To grozi trzecią wojną światową.

Dave Ridgeway spóźnił się o dziesięć minut na moment przekazania zmiany, ale dogonił uczestników „narady sztabowej”, którzy zmoknięci i w większości nie w humorze, przechodzili pod osłoną ośmiu parasoli z północnego kompleksu do południowego. Mimo wiatru, trzy słup pary nadal były pionowo w niebo. Wyglądało na to, że od strony technicznej nic się nie zmieniło.

Zmieniły się natomiast dramatis personae. Pod dwoma z ośmiu parasoli kryły się nowe nachmurzone twarze, a wśród nich Dave rozpoznał człowieka, który — przyjmując dla uproszczenia, że struktury administracyjne są takie same w USA i we Francji — zajmował w Paryżu takie samo stanowisko jak on w Waszyngtonie, a także naczelnego inżyniera z Crey-Malville, którego twarz niezmiennie wyrażała pogardę.

— Nie tak źle jak w Lagoona Beach — zawołał Paryżanin, przekrzykując ryk pary i zatrzymując się z lekkim uśmiechem, by uścisnąć dłoń Dave'a.

— Lagoona Beach — odparł Dave z poważną miną - to prehistoria. Ta zaś drobna perturbacja może kosztować dwudziesty pierwszy wiek dziesięć lat ciężkiej pracy, a dla większości oznaczać zniweczenie ambicji całego życia.

Przystanął również inżynier z Super-Pheniksa, przywitał się z Dave'em, wziął pod rękę i zaofiarował schronienie pod swym parasolem.

— To, co się tu wydarzyło — krzyczał — było zbiegiem okoliczności, jaki nigdy nie powinien się powtórzyć.

Tylko że wcale nie wiemy, co się tu wydarzyło — odkrzyknął Dave.

— Chyba się domyślamy.

— Czego się domyślamy?

Jakiś obłuzowany pręt paliwowy tłukł się w rdzeniu, stąd czkawka na zapisie akustycznym. W końcu część prętów

paliwowych uległa uszkodzeniu i odcięła przepływ sodu. Rezultat: przegrzanie, zniszczenie prętów i reakcja wybuchowa.

Może — odpowiedział Dave. — Ale najważniejsze są trzy ostatnie punkty. To, co spowodowało przegrzanie, zniszczenie prętów i wybuch, nastąpiło tak szybko, że żaden z układów zabezpieczeń nie zdążył zareagować. W ten sposób cała nasza technika zabezpieczeń praktycznie legła w gruzach. Ten cholerny reaktor prędko jest dla nas wciąż za prędko, i dopóki nie znajdziemy jakiegoś rozwiązania, wy powinniście wyłączyć Phenixa, a Anglicy Dounreäy. Urzędnik z Paryża obrócił się z urywanym śmiechem.

— Nie może pan sobie pozwolić na takie katastroficzne poglądy. Prawda o tym wydarzeniu nie może w Ameryce wyjść na jaw, przynajmniej dopóki wasz rząd nie podejmie decyzji.

Podobne poglądy wygłaszano pięć minut później przy stole konferencyjnym w południowym kompleksie. Wobec niewielkiego spadku temperatury sodu Włosi i Francuzi wyrazili nadzieję, że może jeszcze uda się ocalić reaktor, a uszkodzenie okaże się niewielkie, i że przestój Potrwa w najgorszym razie kilka tygodni.

— W świetle powyższego — oświadczył francuski kierownik ośrodka — byłoby karygodną głupotą oznajmić światu o naszych problemach.

Dave'a znów opadło to samo uczucie niepokoju, które długo nie dało mu zasnąć. Jego obecna powściągliwość i ostrożność najwyraźniej wprawiały w zakłopotanie Francuzów, których

wpływ na włoską część kierownictwa mógł doznać uszczerbku na skutek wątpliwości i wahania człowieka z zewnątrz. Dave zauważył jednak, że nie byli już tak jednomyślni jak poprzedniego dnia, i to bez specjalnych starań z jego strony. Na twarzach Włochów malował się niemy, oskarżający gniew i Dave po raz pierwszy zaczął się zastanawiać, w jakim stopniu jego przyjazd do Europy mógł wpłynąć na datę włączenia reaktora Segre do sieci energetycznej. Kto wie, czy tutejsze kierownictwo, nagłone czasem w związku z jego wizytą, nie zlekceważyło lub nie pominęło jakichś podyktowanych względami bezpieczeństwa czynności rozruchowych. Przyjechałem do Europy, myślał Dave, by tchnąć nowe życie w amerykański reaktor prędkości, a przyczyniłem się jedynie do powstania problemów, przez które to zwierzę może przejść do grupy gatunków wymarłych.

Kilka minut po rozpoczęciu narady Kate zadzwoniła do niego z hotelu, wciąż dręczona niepokojem. Chciała ponownie wybrać się rano do ośrodka, ale Dave powiedział jej, że wracają do Londynu. Pora zaklepać sprawę z Anglikami, pomyślał, zanim cień Toskańskiej Szramy zanadto się nie wydłuży.

10

Czwartek był ostatnim dniem zdecydowanie na „tak”. Być może Gordon uświadomił to sobie już poprzedniego wieczoru,

kiedy patrzył na księżyc stojący za więzaniem Pendle'a i kiedy, on sam, niczym bojaźliwy żołnierz, wyszedł wreszcie z okopów odkrywając ziemię niczyją. No cóż, w końcu to nikt inny jak Dave Ridgeway kazał mu wyjść z transzei Dave, który był tak pewien, że Gordon przystąpi do ataku razem z nim. Aż do dziś Gordon też był tego pewien, lecz teraz prześladował go obraz księżyc i uschniętego drzewa, chociaż nie wiedział, co ten obraz może oznaczać.

Zaczynam zachowywać się jak klimakteryczna romantyczka, pomyślał w piątek rano, gdy próbował zaprowadzić jakiś ład w swej pełnej zamętu głowie. Ranek był rześki i jasny. Pomyślał, że powinien uciec stąd do biura i znaleźć się w otoczeniu trzeźwo myślących kolegów, których irytują takie słabostki, a więzanie Pendle'a zachować na wieczorne marzenia przy muzyce. I kto wie, czy naprawdę nie powlókłby się na dworzec, gdyby nie telefon od szefa departamentu, który leżał w łóżku w swym domu w Purley i chciał się z nim widzieć w porze lunchu.

— Bardzo mi przykro, Aylen — mówił stały podsekretarz — ale musimy porozmawiać, a ja jestem uwięziony w domu na cały, cholera, tydzień.

Znowu ten przeciek, pomyślał Gordon. Gdy powiedział, kto go wzywa, Mary i Roxy niezależnie od siebie doszli do tego samego wniosku, toteż śniadanie przeszło w atmosferze zaleknionego milczenia.

Joss wyszedł z łazienki i dudniąc zbiegł po schodach. Było za późno, by mógł zjeść swoje jajka na bekonie, więc Roxy natychmiast wstał od stołu, żeby go podwieźć do autobusu.

Trzasnęły drzwi.

Mary patrzyła na Gordona siedzącego nad gazetami, których nawet nie wziął do ręki.

— Powiesz mi, gdy coś będzie nie tak?

Gordon wpatrywał się w filiżankę z kawą i żałował, że Powiedział jej o spotkaniu Roxy'ego z tym sprytnym dziennikarzem. Sięgnął po Guardian. No tak, jest: krótka jednoszpaltowa informacja na ostatniej stronie, a w środku ostro sformułowany artykuł wstępny pod tytułem: „Rządy przy opuszczonej kurtynie”, atakujący chroniczną niejawność postępowania Whitehallu. Klucz był w artykule wstępnym, w zwrocie „Niedomówienia podsekretarza departamentu energetyki”, co mogło stanowić zawoalowane ostrzeżenie pod adresem Gordona że strażnicy wolności mają go na oku. Zastanawiał się, jak interpretowano jego wczorajszą i dzisiejszą nieobecność w biurze.

Następne półtorej godziny spędził w zimnym salonie nad brudnopisem sprawozdania dla Martina Reida. W jego głowie nadal panował zamęt, i pisząc usiłował zrozumieć, co mogło zrodzić jego wątpliwości i dlaczego w pamięci utkwiał mu ów wąż Pendle'a w świetle księżycy. Oczywiście, podsekretarz nie mógł być zainteresowany tego typu rozterkami ducha.

Podróż do Purley zajęła mu godzinę. Kręta droga prowadziła przez hrabstwa Kent i Surrey, szczytem Crockham Hill pod bukami w jesiennej szacie, potem w dół i znowu w górę między skałami wapiennymi aż do podmiejskiej zabudowy w North Downs. Rozświetlony słońcem poranek wprowadził go w zadumę, która wcale nie pomagała w skupieniu się na sprawach najważniejszych. Wręcz przeciwnie, rzeczy najmniej ważne wydawały mu się nieskończenie bardziej interesujące. Gdy wreszcie odnalazł stromą uliczkę, przy której stały domy z lat trzydziestych, i zaparkował samochód pod numerem dwudziestym drugim, sercem i duszą był tak daleko od reaktora jak nigdy dotąd, ciekawiło go zaś jedynie prywatne życie szefa departamentu, w którego domu jeszcze nie był. Wyłożona płytami kamiennymi ścieżka wiodąca przez ogród przed skromnym domem z czterema sypialniami a potem stęchły zapach dymu fajkowego, gdy spokojna, siwiejąca pani podsekretarzowa otworzyła frontowe drzwi. Gordon widział ją kilka razy podczas oficjalnych spotkań, kiedy to podawali sobie dłonie i wymieniali zdawkowe uwagi o dzieciach i kapuście. Odebrała od niego płaszcz.

— Przeniosłam go do salonu powiedziała pogodnie, najwyraźniej nie przejmując się chorobą męża. — Zaraz zasypia, jak rozmawia w łóżku.

Jej promienny uśmiech kłócił się jednak z wyglądem męża, którego wychudła, sinozielona twarz na tle różowych poduszek,

jakie ułożyła mu pod głowę na kanapie, przybrała odcień jeszcze bardziej zielony.

— Jakiś wirus — odezwał się podsekretarz. — To nie jest zaraźliwe. — Bez swej nieodłącznej fajki w zębach, wyglądał na obnażonego.

Gordon usiadł na fotelu naprzeciwko. Meble z lat trzydziestych, pomyślał. Dobrze utrzymane i nigdy nie przestawiane.

— Ten przeciek daje nam w kość — powiedział człowiek o sinozielonej twarzy. — W Biurze Rządu działy się wczoraj straszne rzeczy. Powiedziałem im, że musiało to wyjść z ZEA albo Foreign Office.

Milczenie Gordona przeciągnęło się o sekundę za długo. Podsekretarz podjął swe wywody chrapliwym głosem i Gordon nie zdążył przybrać zdawkowego tonu, by, jak gdyby od niechcenia, wyjawić mu prawdę.

— Chciałbym, żeby zorganizował pan wewnętrzne dochodzenie w Dounreay. Chcę też mieć listę wszystkich osób z lub spoza departamentu, które coś wiedzą o Ridgewayu, chociaż nie mogę pojąć, dlaczego nie napisano, że chodzi o Waszyngton.

Obserwuje mnie, pomyślał Gordon. Czeka, żebym coś powiedział. Jego wzrok zatrzymał się na tacy z butelkami, stojącej na stoliku za kanapą. Podsekretarz podchwycił jego spojrzenie.

— Proszę się poczęstować — powiedział, po czym chrapliwie zawołał:

— Liza! Przynieś lód! — Nie przestawał obserwować Gordona.
— Jak idzie sprawozdanie?

— Powoli.

— Sekretarz stanu musi je dostać jutro rano. Więc dlaczego marnuje się mój czas każąc mi przyjeżdżać, pomyślał Gordon, lecz posłusznie skinął głową.

— Dalej do przodu, prawda? — Jego zapadnięte oczy ani na chwilę nie opuściły twarzy Gordona.

— Tak, aż do wczoraj — odparł Gordon. Wreszcie zamrugął powiekami i sięgnął ręką za kanapę. wygrzebując fajkę leżącą na popielniczce obok tac z butelkami. Gdy ponownie odwrócił się twarzą c Gordona, oczy miał zamknięte.

— Chyba podrę to wszystko na kawałki i zacznę od nowa — powiedział Gordon.

Sine wargi zaczęły ssać nie nabitą fajkę, a w chwilę potem weszła pani podsekretarzowa, wnosząc lód. Podsekretarz otworzył oczy.

— Proszę sobie nalać, Gordonie.

Gordon podziękował pani podsekretarzowej uśmiechem i podszedł do stolika za kanapą.

— Moja droga, przynieś Aylenowi tacę. Zjemy razem Gordon miał ochotę na dzin z wermutem. Czarne oczy dalej go obserwowały, a czyż koktajl nie oznacza, że ktoś lubi sobie popić? Opróżnione do połowy butelki alkoholu sprawiały wrażenie, jakby ich nie tykano od Bożego Narodzenia. Do diabła z tym, pomyślał

Gordon. Potrzebuję czegoś dla kurażu, żeby przetrwać to spotkanie.

Fajka postukiwała o popielniczkę stojącą obok butelki, a czarne oczy dalej badały Gordona.

— Skąd pan wie o wczorajszym wydarzeniu? Gordon spojrzał na podsekretarza.

— Wydarzeniu?

Zapadła chwila milczenia, podczas której Gordon kończył mieszać koktajl. Odniósł wrażenie, że podsekretarz nagle pożałował swego pytania. Ileż to jeszcze sekretów krąży po tym salonie?

Wrócił na swoje miejsce i spojrzał podsekretarzowi w oczy.

— Co się wczoraj wydarzyło?

— Chciałem zapytać, co wywołało zmianę pańskich zapatrywań? Jeśli rzeczywiście zmienił pan zdanie.

Wcale nie o to chciałeś zapytać, pomyślał Gordon.

— Sądzę, że jest to nie tyle zmiana zapatrywań, co chęć powstrzymania się od wydania opinii.

— Coś musiało to spowodować.

— Zaczynam dochodzić do wniosku — rzekł ostrożnie Gordon — że kwestie bezpieczeństwa i usuwania odpadów nie są rozwiązane w zadowalającym stopniu.

— O tym ma przecież rozstrzygnąć inspektor.

— Zgodnie z pana sugestią, chcę tylko poczekać do ukazania się raportu.

— Czy jeszcze jakieś kwestie wzbudzają pana wątpliwości?

— Żałuję tylko, że nie możemy odłożyć podjęcia tej decyzji o następne pięć lat. Uważam, że nie wiemy na pewno, czy reaktory prędkie będą nam potrzebne.

— Czy mówiąc o „bezpieczeństwie” ma pan na myśli ten okropny film w telewizji?

— Film naświetlił tylko jedną stronę. Ukazał mianowicie ograniczone możliwości zabezpieczenia się przed gotowymi na wszystko terrorystami. Sądzę jednak, że najważniejsza kwestia dotycząca bezpieczeństwa sprowadza się do pytania, czy społeczeństwo pogodzi się z obecnością wielkiej, niezależnej armii na ulicach i w domach prywatnych. Myślę, że zbyt mało uwagi poświęciliśmy sprawie znaczenia „opinii publicznej” w roku 2010. Jeżeli będziemy mieli tylko elektrownie atomowe, a stanie się coś, co skłoni ludzi do protestu, wtedy dopiero będziemy mieć się z pyszna.

Stały podsekretarz przymknął powieki, lecz Gordon nie wiedział, czy z powodu bólu czy zniecierpliwienia.

A co mianowicie mogłoby się wydarzyć, co by tak zdenerwowało ludzi?

— Zagrożenie z zewnątrz, jak na filmie. Albo wypadek. Ma pan na myśli problemy techniczne?

— Wszelkie problemy.

Wydawało mi się, że nie ma pan zastrzeżeń do strony technicznej?

I znowu Gordon wyczuł jakieś niedopowiedzenie, jak gdyby podsekretarz badał, czy coś wie.

— O ile mi wiadomo powiedział powoli — nie mamy podstaw, by wątpić w bezpieczną pracę reaktora prędkiego.

Na sinozielonej twarzy po raz pierwszy pojawiło się odprężenie, choć fioletowe wargi dalej ssały pustą fajkę. Podsekretarz oparł się wygodniej o swoje różowe poduszki. Gordon znał swego szefa departamentu na tyle dobrze, by wyczytać z jego zachowania oznaki zwycięstwa, choć za nic w świecie nie mógł pojąć, na jakim polu zostało odniesione. Odprężenie trwało jednak krótko i już po chwili spojrzenie czarnych oczu spoczęło na suficie ponad głową Gordona. Muszę uszczelnić luki, pomyślał Gordon, dalej próbując rozszyfrować zachowanie podsekretarza.

— Pańska nagła zmiana frontu jest chyba wyzwaniem rzuconym polityce departamentu.

Gordon skinął głową.

— Nie daje nam pan wiele czasu na wysunięcie kontrargumentów.

— Jak powiedziałem, wydaje mi się, że działamy według zupełnie niewłaściwego harmonogramu. Śpieszymy się, bo Amerykanie mają kłopoty.

— Może staramy się uprzedzić nasze własne kłopoty.

— O tym też myślę. Nie wydaje mi się, by tak łatwo było manipulować opinią publiczną, przynajmniej nie w kwestii

reaktora prędkiego. Moglibyśmy wydać jeszcze miliard funtów na KDRPP, a za dziesięć lat i tak mogą nam kazać to wszystko zlikwidować.

— Ze względu na bezpieczeństwo i usuwanie odpadów?

— Z wielu różnych względów, choć te dwa dręczą mnie najbardziej. Myślę, że w czasie przygotowywania raportu potraktowaliśmy je dość pobieżnie.

Hm. Niech zacytuję nasz własny Zarząd Energii Atomowej: „Nie należy mierzyć problemów jutra techniką dnia dzisiejszego”.

— Wobec tego — odparł Gordon — niech mi będzie wolno zacytować w odpowiedzi raport Flowersa.

Sinozielona twarz pozieleniała jeszcze bardziej.

— Wolałbym, żeby go pan w ogóle w to nie mieszał.

— On cytuje Hannesa Alfvena. „Jeśli problem nie daje się rozwiązać, nie wolno twierdzić, że został rozwiązany, powołując się jedynie na wszystkie próby rozwiązania go”.

Stały podsekretarz zamknął oczy i na chwilę jakby stracił panowanie nad sobą.

— Na litość boską, zakładaliśmy, że jest pan zdecydowanie „za”.

— I tak też było, aż przyszła pora postawić kropkę nad i.

Podsekretarz pokręcił głową.

— Czuję się w obowiązku prosić pana, żeby zechciał pan jeszcze dziś poważnie zastanowić się nad swoim punktem widzenia. Nie możemy chyba dopuścić do tego, by nasz sekretarz

zasiadł przy stole Ordisha i oświadczył w obecności wszystkich, że sprawa upada. Cztery departamenty pracowały nad nią dzień i noc.

— Chcę podkreślić z całym szacunkiem, że sekretarz chciał, żeby to była nasza decyzja, i że cokolwiek napiszę, on się do tego dostosuje.

— Wczoraj rano powiedział mu pan, że problem decyzji nie istnieje. Powiedział mu pan, że jedynym wyjściem jest zaczynać.

A skąd ty to wiesz, Gordon zapytał w myślach. Na pewno nie od Martina Reida. Sekretarz stanu i stały podsekretarz siedzieli po dwóch przeciwnych stronach stołu, i grali zupełnie innymi taliami kart. Może to robota tego nadgorliwego sekretarza Martina, tego ze szpiczastą czaszką?

— Spodziewano się, że w tej sprawie Whitehall zachowa jednomyślność — powiedział człowiek o sinozielonej twarzy. — A tymczasem tak nie jest.

„Whitehall” — klika stałych sekretarzy i urzędników Biura Rządu, pomyślał Gordon, a na dokładkę pani premier, sekretarz spraw zagranicznych oraz sekretarze do spraw handlu i przemysłu. Wiele z nimi nie zwojuję, wszystko jedno, z Martinem czy bez Martina.

— Ministerstwo skarbu zgadza się z nami w całej rozciągłości — kontynuował podsekretarz. — Bez tych dolarów nie będzie nas stać na sfinansowanie reaktora. W sobotę u Ordisha będzie kanclerz skarbu.

— Żeby przykręcić śrubę sekretarzowi stanu?

— On sam stoi bardzo nisko w hierarchii rządowej. Niewiele może działać.

A ja jestem jeszcze niżej, pomyślał Gordon i wstał, bo do pokoju weszła żona podsekretarza wnosząc tacę z lunchem.

— Przepraszam, że tak skromnie — zaświergotała. — Przez tego umarlaka nie mogę nawet zrobić zakupów.

Gordon usiadł starając się nie przewrócić niebezpiecznej tacy i przystąpił do krojenia łykowego kawałka starej wołowiny. Czuł, jak czarne oczy analizują każdy jego ruch. Pora na finał, pomyślał. Zaraz mi tu wyjedzie z rozkazami i przepisami.

— Wiadomo mi — odezwał się podsekretarz — że sekretarz stanu osobiście dał panu wolną rękę co do treści sprawozdania, i nie mam zamiaru bezpośrednio się w to mieszać.

Gordon podniósł wzrok, czekając na „ale”. Nie, raczej powie „jednakże”. Twarz, którą widział naprzeciwko siebie, była bledsza, usta jeszcze bardziej sine, podkrążone oczy — zmęczone. Sprawa reaktora, podwyżka cen ropy i katastrofa w kopalni złożyły się na bardzo ciężki tydzień. Nigdy nie sądziłem, pomyślał Gordon, że kiedyś będzie mi żal tego starego, pompatycznego durnia. Usta pozbawione fajki otworzyły się, by wypowiedzieć „jednakże”, a Gordon niemal zatęsknił za nieodłączną chmurą białego dymu, która przesłoniłaby tę cierpiącą twarz.

— Jednakże czuję się w obowiązku przypomnieć panu, że zakończyliśmy prace przygotowawcze do wydania raportu i teraz

czekamy tylko na werdykt sędziego Hurda. Sędziemu będzie łatwiej obiektywnie ocenić te dwie kwestie, które tak pana trapią. Mogę pana zapewnić, że jeśli raport będzie negatywny, nikt — ani ja, ani Foreign Office czy gabinet, ani cały Whitehall — nie będzie w stanie postąpić wbrew niemu. Ośmielam się zaproponować, żeby zostawił pan sędziemu wolną rękę.

„Ośmielam się zaproponować”. Kiedy to stały podsekretarz ośmielił się zaproponować cokolwiek komuś, kto nie był co najmniej ministrem w randze członka gabinetu? Dwadzieścia minut później Gordon wyszedł na wyłożoną kamiennymi płytami stromą ścieżkę, która prowadziła do schodków za żywopłotem z wawrzynu i dalej do furtki. Wawrzyny, trawniki i kamyczki w tynku na domu. Co on, na Boga, robi ze swymi dwudziestoma pięcioma tysiącami funtów rocznie? Po co mu emerytura podnoszona w miarę inflacji — chociaż powiadano, że jest właścicielem kilku akrów ziemi i jakiejś budy na wyspie Mull. Przypomniał sobie chorobliwą barwę tej twarzy i zaciekawilo go również, czy stały podsekretarz raczył zasięgnąć porady lekarskiej. Z tego powodu wielu już nie doczekało emerytury.

Jechał na luzie z górki poprzez skąpane w słońcu, opustoszałe przedmieście. Dziś po południu Joss ma gra w meczu pucharowym. Jeśli nie będzie dużego ruchu, pomyślał, może zdązę na drugą połowę i dam odpocząć głowie stojąc przy linii końcowej. Nadal nie był całkiem pewien, czy w słowach podsekretarza kryło się ostrzeżenie, albowiem, mimo całej swej wszechmocy, stały

podsekretarz nie mógł wcale liczyć na swego sekretarza stanu,
gdyby ten ostatni zdobył się na to, by obstaw przy swoim.

11

Po wschodzie słońca przez trzy godziny jechali na południe, potem jeszcze przez pół godziny szukali żywności w wiosce, gdzie zaparkowali samochód. Szli niewiele ponad godzinę, gdy dobiegł ich ryk, jeszcze cichy, odległy i niewiadomego pochodzenia. Przez moment Henshaw myślał, że to helikopter. Ale ryk dochodził ciągle z tego samego punktu, i stawał się coraz głośniejszy w miarę jak z trudem posuwali się do przodu pośród ciernistych chaszczki porastających strome, dzikie wybrzeże. Dziewczyna zaczynała już utykać, a wszyscy troje byli przemoczeni i zziębnięci. Powiedziała, że będą szli pięć godzin. Później okazało się, że minęło już prawie sześć godzin, gdy po raz pierwszy spostrzegli źródło owego strasznego hałasu.

Brodacz nie przejawiał zaniepokojenia. Być może myślał, że wszystkie reaktory atomowe robią tyle zgiełku. Henshaw i Anna mieli jednak w pamięci inne obiekty atomowe i niesamowitą ciszę, jaka zdawała się je otaczać w promieniu wielu kilometrów. Oboje wiedzieli, że słyszą huk pary. Zdumiewało ich tylko samo natężenie dźwięku.

Gdy wreszcie, ponad drzewami porastającymi zbocze, ujrzeli trzy pionowe, białe i sztywne słupy, byli prawie przerażeni.

Po siedmiu godzinach chaszczę i ciernie przerzedziły się, wyglądały na przypalone. Pestycydy przyniesione przez wiatr, pomyślał Henshaw z nadzieją. Zgodnie z planem Anny, zbliżali się do ośrodka od strony przeciwnej do drogi, przy której stały posterunki kontrolne. Po dalszych dziesięciu minutach doszli do ogrodzenia z siatki wysokości ponad dwóch metrów, zwieńczonego drutem kolczastym, a na samej siatce, na różnych wysokościach, widniały izolacje i obwody alarmowe niskiego napięcia. Tyle brodacz był w stanie zrozumieć i nawet starał się im to objaśnić. Lecz Anna i Henshaw zostawili go i usiedli na odsłoniętej skale, skąd mogli przyglądać się siedmiu kręgom budowli z białego kamienia.

Tego popołudnia zmiana załogi w Segre opóźniała się. Enzo kazał zmiennikom czekać w sali wypoczynkowej, gdy tymczasem jego ekipa starała się śledzić nagły wzrost nierównomierności przepływu sodu i reaktywności. Była to pierwsza poważniejsza zmiana stanu reaktora od chwili czwartkowego wybuchu. Operatorzy rozmieszczeni w różnych miejscach sterowni odczytywali na głos wskazania temperatury i poziomu neutronów, Enzo tymczasem skupił swą uwagę na przyrządach informujących o przepływie sodu, starając się uchwycić najmniejszy spadek tego przepływu, co oznaczałoby zablokowanie dalszych kanałów chłodzących w rdzeniu. Tam w środku coś się poruszyło i nadal się ruszało.

Francuscy i włoscy inspektorzy oraz kierownicy ośrodka, przebywający wraz z rezerwową obsadą w południowej sterowni, zostali poinformowani o nagłej zmianie. Enzo widział ich pełne napięcia twarze na środkowym monitorze.

Zrazu spadek przepływu sodu był prawie niezauważalny, ot, nieznaczne odchylenie wskazówek kilku sąsiadujących ze sobą przyrządów. Wskaźniki takie były rozmieszczone na tablicy w sposób odzwierciedlający usytuowanie czujników nad zespołami paliwowymi, dając obraz przepływu sodu w szczytowej partii reaktora widziany jak gdyby z lotu ptaka. Teraz przepływ sodu spadał w miejscu otaczającym jedyny nieczynny czujnik, ten nad zespołem paliwowym, który został zablokowany i uszkodzony w czwartek rano.

— Filtr — powiedział cicho Enzo, a w sekundę potem zabłyśły i zadźwięczały sygnały alarmowe.

— Co się dzieje? — spytali jednocześnie dwaj zwierzchnicy widoczni na monitorze.

— Może stopione paliwo z uszkodzonego zespołu — odrzekł Enzo. — Pewnie się przesunęło i opadło na filtr, blokując przepływ sodu.

— Stopione paliwo? — następny zaaferowany głos z monitora.

— Pompy obiegu pierwotnego na maksimum! — Enzo podniósł głos na tyle, ile było trzeba, żeby przebić się przez jazgot dzwonków i brzęczyków.

— A jeśli uszkodzone pręty się przesuną? — kolejne pytanie zadane cichym, lecz zdradzającym napięcie głosem.

— Musimy zwiększyć przepływ przez filtr i oczyścić go. Może uda się odepchnąć to stopione paliwo.

— I zatkać następne kanały?

— I tak leżymy. A tak przynajmniej mamy jakąś szansę.

Enzo nagle obrócił się i wrzasnął na swojego zastępcę:

— Wyłącz te alarmy! I tak nie możemy zatrzymać reakcji, po cholere słuchać tego wycia!

— Pompy obiegu pierwotnego na zwiększonych obrotach — zameldował operator.

Obym się nie pomylił, pomyślał Enzo, wpatrzony we wskaźniki przepływu, jakby siłą woli chciał przesunąć ich strzałki w poprzednie położenie. Podkręcenie pomp obiegu pierwotnego było równoznaczne z zagranieniem ostatniej karty. Jeśli to się nie powiedzie, nie zostanie już nic.

Włączył mikrofon systemu nagłaśniającego i powiedział:

— Zaczniemy przekazywanie zmiany. Wszyscy muszą wiedzieć, co się dzieje.

Kierownik południowej zmiany i jego ekipa weszli do sterowni i każdy stanął za swoim poprzednikiem. Ten zespół złożony był z Francuzów. Nie było po nich widać, by delectowali się sytuacją, jaką mieli odziedziczyć.

Powoli bo powoli, bestia zaczęła jednak reagować, a strzałki na wskaźnikach, które wykazywały zmniejszony przepływ sodu,

niechętnie zaczęły powracać do tego samego położenia, co na sąsiadujących z nimi przyrządach.

Enzo zwrócił się do francuskiego kierownika zmiany.

— Może spróbujesz później zmniejszyć obroty pomp, już jak przepływ się unormuje. Taka rezerwa może się nam jeszcze przydać.

Francuz skinął głową i zrobił ponurą minę. Utrzymanie tej bestii w stanie choćby zbliżonym do równowagi będzie wymagać koncentracji, opanowania i refleksu kierowcy rajdowego ścigającego się po lodzie.

Obaj dyspozytorzy przeczytali punkt po punkcie listę parametrów pracy reaktora i Enzo z wdzięcznością wygramolił się z fotela. Ręce miał mokre od potu. „Panika” trwała zaledwie dziesięć minut, ale, jak Enzo zauważył, twarze widoczne na ekranie nie były skore do składania mu gratulacji.

Czyżbym wpadł w panikę, zastanawiał się teraz. Co mówił ten facet w monitorze? „A jak uszkodzone pręty się przesuną?” Boże, pomyślał, ile brakowało do katastrofy?

Trzydziestoprocentowy wzrost i spadek temperatury i przepływu sodu... To tak, jakby chwycić reaktor za skórę na karku i potrząsnąć nim. Gdyby w wyniku tej operacji coś się przemieściło wewnątrz rdzenia, wszystko wyleciałoby w powietrze.

Enzo, nadal zlany potem, w ślad za swoją ekipą wyszedł ze sterowni na korytarz i udał się do szatni. Jeden z kolegów miał go podrzucić do Grosseto, gdzie Enzo chciał wynająć samochód do

czasu, gdy uzna, że sytuacja jest na tyle bezpieczna, by żona mogła powrócić do domu. Na ile bezpieczna? Co i kiedy u diabła, jest wystarczająco bezpieczne? Jeśli nie uda się wyłączyć reaktora, ilość rozszczepialnego paliwa w jego rdzeniu wystarczy, by reakcja łańcuchowa trwała nie miesiące, a całe lata. Jak długo utrzymają się na tej huśtawce, zanim z niej zlecą?

Dla obserwatorów siedzących na wzgórzu jedyną oznaką życia w ośrodku był ruch samochodów na parkingu. Henshaw i Anna nie bardzo wiedzieli, co spodziewali się ujrzeć, lecz trzy wyjące słupy pary wystarczyły, by zrozumieć, że z reaktorem co jest nie w porządku. Przy normalnej pracy na pewno nie wypuszczano by pary w takich ilościach. Trudno było jednak od razu domyślić się przyczyn tego nienormalnego stanu.

Było już za późno, by przed zmierzchem odbyć pięciogodzinną drogę powrotną, postanowili więc spędzić noc „biwakując” na tym wilgotnym, porośniętym chaszczami zboczu wzgórza, choć zupełnie nie byli do tego przygotowani.

Pół godziny później, w sercu siedmiu kręgów położonych na dole, operatorzy z francuskiej zmiany zauważyli, że nastąpił niewielki, lecz wymierny spadek poziomu neutronów. Uznano, że któryś z odkształconych prętów regulacyjnych opadł o parę milimetrów w głąb rdzenia, prawdopodobnie w wyniku wahań temperatury i ciśnienia podczas dziesięciominutowego kryzysu pod koniec poprzedniej zmiany. Wszystkich osiągalnych członków kadry kierowniczej wezwano z powrotem do ośrodka. Tej treści

wezwanie przyczepiono również do frontowych drzwi domu Enzo, by zobaczyć je, jak tylko dojedzie z Grosseto.

12

Tylko sześć osób w Londynie wiedziało o awarii w Segre: McClaren i dwóch podległych mu pracowników ambasady amerykańskiej, sinozielony stały podsekretarz przykuty do łóżka bóleści, jeden ze starszych rangą urzędników Foreign Office i wreszcie, od około pierwszej po południu w piątek, sekretarz spraw zagranicznych Ralph Ordish.

Przed odlotem do Londynu, Dave Ridgeway wysłał telegram do Waszyngtonu z ambasady w Rzymie; sekretarz stanu z Waszyngtonu zadzwonił do sekretarza spraw zagranicznych w Londynie. Wszyscy zgodzili się, że teraz należy działać szybko, i po południu Kate została wreszcie wciągnięta w wir spraw: najpierw doręczono jej radiogram w kołującym już na Heathrow samolocie, potem służbowy samochód pędził z niedozwoloną prędkością z lotniska aż na Millbank, a w końcu, dosłownie w chwili, gdy weszła do swojego pokoju w departamencie, zadzwonił stały podsekretarz.

— Spotka się pani z Ridgewayem u niego w ambasadzie — oznajmił podsekretarz — i pomoże przygotować projekt umowy.

Będzie pani miała do pomocy radcę prawnego i kilku ludzi z Foreign Office.

— A Gordon Aylen?

Aylena nie ma w biurze, pracuje nad innym sprawozdaniem. Nie ma potrzeby włączania go do pracy nad wstępnym projektem umowy. Notabene — dodał podsekretarz — on nic nie wie o tym, co wydarzyło się w Segre.

— W Segre?

Nastała długa cisza, którą wypełniły — tak się przynajmniej wydawało Kate — nieartykułowane przekleństwa na drugim końcu przewodu.

— Co się wydarzyło w Segre? — spytała.

— Hm, skoro pani nie wie, to najwyraźniej nic ważnego.

Szef nie był skłonny powiedzieć nic więcej, zażądał tylko pełnych informacji o każdym etapie rokowań.

Kate wykręciła numer ambasady USA. Na Dave'a również czekał na lotnisku służbowy samochód. Pomachali do siebie przez szybę, gdy oba samochody ruszały na wyścigi w kierunku autostrady. Telefonistka odszukała Ridgewaya w gabinecie McClarena.

— Musisz tu być za pół godziny — powiedział Dave.

— Niedługo wygramy wojnę.

— Co się stało w Segre? spytała nie dzielając jego entuzjazmu.

— Co ci powiedzieli? — spytał już bez podniecenia.

— Dokładnie nic.

— Więc nie sądzę, by to było coś ważnego.

— Skoro jest to utrzymywane w tajemnicy, to na pewno jest ważne, a ja nie mam zamiaru prowadzić rokowań w ciemno.

Milczenie.

— W Segre wystąpiły pewne techniczne komplikacje — powiedział wreszcie Dave. — Mogę cię tylko zapewnić że jak tylko uda się ustalić skalę problemu do końca, zostaniesz oczywiście o wszystkim powiadomiona.

— Oczywiście.

— Nie zrozumiałabyś nawet, o co chodzi.

— Pozwól mi spróbować.

— Teraz musimy się skupić na aspektach prawnych, politycznych i finansowych. Na techniczne nie ma czasu.

Kate odłożyła słuchawkę i wbiła wzrok w ścianę, przypominając sobie nagle kolumny samochodów wojskowych i puste wagony, które widziała w czwartek po południu. Segre został włączony do sieci w środę po południu, co prawdopodobnie oznaczało, że reaktor zaczął pracować pod wyższym niż uprzednio obciążeniem. Zatem przypuszczenie, że „komplikacje” czy też „problemy” wyłoniły się gdzieś między środą a czwartkiem, nie musi być wytworem fantazji. A skoro w czwartek były dowody na przygotowania do ewakuacji, domniemanie, iż owe „komplikacje” są całkiem poważne, nie miało znamion fantazji. Czy to możliwe, by były aż tak poważne? Bez względu na to, co się tam stało, stały

podsekretarz sądził, że ona o tym wie. Jak teraz oceni jej osiągnięcia w misji „pilnowania”? Czy to z tego powodu była tak wściekła? Z obawy o utratę twarzy?

A tak w ogóle, skąd u diabła wiedzą o tym w Londynie? Kate spojrzała na zegarek. Za dwadzieścia minut ma być w ambasadzie. Ale żadnej decyzji nie podejmę, postanowiła, zanim, nie naradzę się z Gordonem Aylenem.

13

Słońce stało nisko po przeciwległej stronie boiska, a jego promienie padały na naniesione wiatrem sterty liści pod siatką. Gordon niezbyt uważnie śledził grę, bowiem oczyma duszy spoglądał na horyzont prześwitujący między nagimi słupami plantacji chmielu położonej za boiskiem, na którym on sam walczył o puchar trzydzieści lat temu. Plantacja chmielu, która stanowiła morderczy podbieg na trasie biegu na przełaj, zupełnie się nie zmieniła. Jest to swego rodzaju pożegnanie, Pomyślał, będąc całkiem pewnym, że ani Joss ani Roxy nie pošlą swoich synów do tutejszej szkoły. A ile czasu zostało jeszcze Jossowi? Dwa trymestry płacenia chesnego, jeżeli dobrze mu pójdzie na próbnej maturze.

Miał pójść do tego samego koledżu w Oxfordzie, co Gordon. Miejsce było na wpół zaklepane, zarówno dzięki nazwisku jak i

grze w rugby; tego ostatniego przywileju niczym nie dało się uzasadnić, i Gordon myślał, że dawno zmarł śmiercią naturalną, lecz szkoła umiejętnie z niego korzystała. Może stanowił on jedyną rację jej bytu.

Gordon zatrzymał wzrok na odległych zabudowaniach widocznych za drzewami otaczającymi boisko do krykieta. Tutejsza szkoła mogłaby być wspaniałym załączkiem państwowej szkoły średniej. Wystarczyłaby część nakładów na reaktor prędkości albo podwyżka cen benzyny o jednego pensa w ramach podatku na rzecz oświaty, by te uświęcone tradycją boiska udostępnić szerszym kręgom młodzieży.

Znów skierował wzrok na boisko. Stał samotnie obok chorągiewki wyznaczającej narożnik pola gry. Od strony siedzących na widowni uczniów dobiegł anemiczny doping: to któryś z napastników ruszył z piłką do przodu, w stronę zachodzącego słońca. Zaraz jednak jakiś goryl z przeciwnej drużyny przechwycił niedokładne podanie i rzucił się do ataku na pole bronione przez Jossa; był to barczysty olbrzym, pod którego stopami drżała ziemia i którego biegu nie były w stanie powstrzymać bojaźliwe wejścia miejscowych. Dudniąc zmierzał w stronę chorągiewki, i choć dzieliło go od niej jeszcze dwadzieścia metrów, Gordon poczuł śmiertelne niebezpieczeństwo. Będzie miał z dziewięćdziesiąt kilo, pomyślał, a pędzi tak, że nic go nie zatrzyma. Gordon zaczął już schodzić mu z drogi, gdy nagle Joss podjął samobójczą próbę ścięcia goryla z nóg. Zaatakował go od

przodu, poszedł wślizgiem, próbując go zatrzymać, lecz dostał się pod jego nogi. Wpadli na siebie z łomotem niczym dwie ciężarówki, obaj przeokożkowali, a piłka odskoczyła jak oderwany detal i kozłując, wyszła na aut tuż obok Gordona. Goryl podniósł się powoli, lecz Joss leżał nieruchomo. Nie może złapać powietrza, pomyślał Gordon, mimo że doskonale widział i słyszał, jak kolano olbrzyma huknęło prosto w twarz Jossa. Gordon wiedział też, dlaczego tak się stało: w ostatniej chwili Joss odchylił nieco głowę, starając się zrobić unik. Niech ktoś wyciągnie tę twarz z błota, pomyślał, powstrzymując się od wtargnięcia na boisko i udzielenia pomocy synowi. Na tym stadionie taka demonstracja ojcowskiego niepokoju byłaby niewybaczalna.

Sędzia podbiegł niespiesznie do Jossa i schylił się nad jego ciałem. Któryś z zawodników pomógł przewrócić go na plecy. Na twarzy chłopca Gordon ujrzał krew przemieszana z błotem. Joss leżał w zupełnym bezruchu. Sędzia, jeden ze starszych wykładowców języków starożytnych, wyprostował się, spojrzał na stoper i podrapał po łysinie. Za jego plecami słońce zachodziło przedwcześnie, pozostawiając zamglony pas czerwieni gdzieś za słupami plantacji chmielu. Wszyscy zawodnicy powoli ściągnęli na miejsce tragedii, otaczając ciało. Gordon stał może dziesięć kroków od nich, sam jeden w rogu boiska.

Sędzia podszedł wreszcie do największej grupy kibiców zgromadzonych przy środkowej linii, i po chwili czterech uczniów w słomkowych kapeluszach puściło się biegiem w stronę

odległych budynków szkoły. Gordon wciąż trwał nieruchomo, mimo że do zgromadzonych zawodników dołączyli już obaj kierownicy internatów z żonami. Gordona rozpoznał chyba któryś z kolegów Jossa, gdyż kierownik internatu spojrzał teraz w jego stronę. Gordon uznał, że w tej sytuacji kodeks dżentelmena pozwala mu już wejść na murawę i zapytać o stan zdrowia syna.

— Chyba dał się znokautować — powiedział kierownik internatu.

Chłopcy rozstąpili się, a Gordon kucnął przy głowie Jossa; był bardzo zdenerwowany, lecz czując na sobie spojrzenie trzydziestu par oczu postanowił tego nie okazać.

Policzek poniżej oka był głęboko rozcięty, a w miejscach nie zanieczyszczonych krwią i błotem widać by nienaturalnie bladą skórę; ta śmiertelna prawie blado skojarzyła mu się z sinozielonym zabarwieniem twarzy, którą oglądał podczas lunchu.

— Lepiej go nie ruszać bez noszy — rozległ się głos kierownika bursy, który stał gdzieś na skraju grupy otaczającej Jossa. Widocznie wezwano pogotowie. Żon kierownika badała Jossowi puls, wreszcie między obłożonymi nogami zawodników Gordon ujrzał tych czterech w słomkowych kapeluszach, wracających biegiem ze złożonymi noszami. Dwaj kierownicy ułożyli na nic Jossa, a któraś z żon podtrzymywała mu głowę, by ni narażać szyi na żadne ruchy. Chłopcy z noszami, żon kierownika i Gordon ruszyli w żałobnej procesji w stron zachodzącego w purpurze słońca, a na boisku drużyn wznowiły grę.

Gdy byli w połowie boiska do krykieta, dołączył do nich lekarz szkolny z wiaderkiem pełnym gąbek nasączonych wodą.

— Lepiej go obmyć nim przyjedzie pogotowie — wiedział, rozsznurowując buty Jossa. Po paru minutach błyskające niebieskie światła przeznaczenia pojawiły się w bramie szkoły; Joss był wciąż nieprzytomny. Dwóch pogodnych sanitariuszy rzuciło gumową płachtę na czyste, białe nosze karetki.

— To na pewno nic poważnego, panie Aylen — powiedziała żona kierownika bursy, prowadząc Gordona do budynku po rzeczy Jossa. — Zawsze po nokaucie wysyłamy chłopców na oddział urazowy. Tak na wszelki wypadek.

Nokaut. K.O. To brzmiało jak jeszcze jeden eufemizm z żargonu atomistów. Może Known Outage?* Gordon instynktownie spojrział na zegarek. Pozostało mu tylko dziewiętnaście godzin na napisanie i przepisanie sprawozdania dla Martina Reida.

[* Ujawniony przestój (przy. tłum.)]

— To dla nas duża ulga, gdy ktoś z rodziców jest na miejscu — mówiła żona kierownika. — Na ogół, gdy coś takiego się wydarzy, matka i ojciec są akurat gdzieś za Singapurem.

Pięć minut zbierania rzeczy w pustej, przesączonej zapachem potu szatni, trzy minuty drogi do samochodu; gdy tak szedł zasepiony asfaltową ścieżką, dobiegło go dudnienie butów piłkarskich na boisku.

Dojechał do szpitala chyba w dziesięć minut po karetce. Jossa zabrano już do jakiejś sali, toteż pozostało mu tylko czekać w

długim, ciemnym korytarzu, w którym stał rząd pustych krzeseł. Lepiej zadzwonię do Mary teraz, pomyślał, póki jeszcze nic nie wiem.

Joss pokaleczył się na meczu zakomunikował z automatu w końcu korytarza. — Chyba zakładają mu szwy. Jestem z nim w szpitalu.

Chwila milczenia, a potem dający się przewidzieć wybuch gniewu Mary.

— Przeklęty sport!

Stracił przytomność. Chyba zatrzymają go tu do rana.

Znów milczenie. Gordon wyobraził sobie, jak Mary Próbuje domyślać się prawdy.

— To nic groźnego. Zadzwonię później, teraz jest kolejka do automatu — skłamał.

— Jak on się czuje?

— Oczywiście czuje się dobrze.

— To był jego ostatni mecz! — zawołała ze złością, a on odłożył słuchawkę. Biedna Mary, sam na sam ze swymi myślami. Roxy pojechał do Londynu i wróci dopiero pociągiem po siódmej.

Mary, rozdygotana, wpatrywała się we wzorki na ścianie i próbowała się uspokoić, ale wyobrażenia podsuwała jej obraz syna to trwale okaleczonego, to sparaliżowanego, to ociemniałego lub z uszkodzeniem mózgu. Dopiero gdy odwróciła się, ujrzała na komodzie notes i uprzytomniła sobie, że zapomniała powiedzieć

Gordonowi o Kate Davies, która dzwoniła już dwa razy, i to najwyraźniej w jakiejś pilnej sprawie.

Kate spóźniła się dwadzieścia pięć minut więcej nie śmiała — tłumacząc się, że tyle czasu zajęło jej odszukanie odpowiednich dokumentów. W rzeczywistości przez blisko pół godziny starała się wyciągnąć numer telefonu domowego Martina Reida z nieprzychylnie nastawionego sekretariatu na drugim piętrze. Pamiętała, jak Martin z poważną miną ostrzegł Gordona w poniedziałek, gdy razem popijali piwo: „Kwestia reaktorów prędkich w Zjednoczonym Królestwie sprowadza się do pana, mnie i raportu inspektora”. Uznała to za wystarczający powód do bezpośredniej, choć zupełnie niekonwencjonalnej rozmowy ze swym politycznym zwierzchnikiem.

Lecz znów bieg zdarzeń utrudniał lub może ułatwiał jej pracę: Gordona Aylena nie było w domu, a telefon sekretarza był ciągle zajęty. Nie mogąc już dłużej czekać, udała się do ambasady USA pełna najgorszych przeczuć.

14

— Chyba już pół roku nie prowadziłem — powiedział Martin Reid do milczącego człowieka z obstawy, który siedział obok niego w samochodzie. W odpowiedzi usłyszał mruknięcie.

Obecność tego nieznośnego bęcwała, który cały czas siedział w kuchni i popijał herbatę, stanowiła jedyną skazę na skądinąd udanym popołudniu: Martin spędził je w salonie na rozmowie z Helen, a ze zdjętej z aparatu słuchawki dobiegał ciągły sygnał. Jutro całą rodziną pojedą na południe, na weekend u Ordishów, co dla wszystkich stanowiło doniosłe wydarzenie.

Wieczór dla odmiany był czyścem: trzygodzinne spotkanie w posepnej osadzie górniczej na szczycie pasma wzgórz, które górowało nad okręgiem wyborczym Martina.

Samochód wyjechał krętą drogą z doliny, zostawiając za sobą uładzony krajobraz pól, drzew i gospodarstw. Przed nimi pojawiła się rozległa panorama Durhamu. Tu, na górze, jedynym urozmaiceniem tego, co ongiś było polami oddzielonymi od siebie kamiennymi murkami, lecz dawno przemieniło się w dzikie wrzosowisko, były kępy paproci i janowca, zabiedzone i przygięte do ziemi przez wiatr. Owcom nie sprawiało to jednak większej różnicy.

Potem jechali pod górę, gdzie zaczęły się zabudowania osady, nieporządne, brudne domy, pelargonie w doniczkach, tu i ówdzie tandetnie sklecone małe szklarnie, w których odbijały się światła samochodu. Lepiej utrzymane ściany frontowe domów przy głównej ulicy sprawiały jeszcze bardziej ponure wrażenie, a wyszorowane do białości stopnie wyglądały jak nagrobki w mieście duchów; nad całą osadą górował stojący na skrzyżowaniu pomnik przedstawiający schyłego żołnierza piechoty z czasów

pierwszej wojny światowej. Osada szczyciła się Posiadaniem dwunastu pubów, lecz czynna była tylko jedna kopalnia, a wzdłuż drogi, nieprzejezdnej po każdych opadach śniegu, nie było żadnego innego zakładu Przemysłowego. Częściowo właśnie z powodu rzekomych związków z tą górniczą miejsciną zaproponowano Martinowi stanowisko sekretarza do spraw energetyki, i właśnie z powodu polityki energetycznej te comiesięczne spotkania stawały się coraz bardziej nieprzyjemne. Ostatnia kopalnia nie miała przed sobą zbyt długiego żywota, będzie istniała pewnie dopóty, dopóki nie przejdzie na emeryturę ostatnie pokolenie górników, pokolenie pamiętające jeszcze swych ojców mówiących o próżnych obietnicach i zdradzie, które ucieleśniała owa pochylona sylwetka żołnierza na końcu ulicy. Młodzi umieli zadawać właściwe pytania równie dobrze co starzy, i zbyt dobrze oceniali odpowiedzi, by można ich było zbyć zapewnienieniami. Toteż raz na miesiąc, siedząc nad kubkiem słodkiej, mocnej herbaty, Martin mówił całą prawdę wszystkim słuchaczom, których ogorzałe twarze wyrażały wrogość.

Tego jednak wieczoru herbata i wyborcy musieli poczekać. Telefon, przed którym skutecznie bronił się całe popołudnie, dopadł go wreszcie tutaj: z łoża boleści dzwonił stały podsekretarz. Szum na linii świadczył o dzielącej ich odległości 434 kilometrów i jeszcze kilkuset metrów.

Słyszalność była zbyt słaba, by rozpocząć od zdawkowych uprzejmości.

— Muszę pana ostrzec, panie sekretarzu, że istnieje duże prawdopodobieństwo, że jutro Ayleson przywiezie panu sprawozdanie na „nie”.

— Uwiedzie mnie wyuzdanie?

— Przywiezie sprawozdanie! — Obaj musieli krzyknąć, żeby się usłyszeć. — Przywiezie sprawozdanie na „nie”.

Chwilę trwało, nim dotarło to do Martina.

— Co go do tego skłoniło? — krzyknął do słuchawki, wiedząc, że wszystko słyszy jego tutejszy przedstawiciel, bęcwał, i wyborcy w sąsiednim pokoju.

— Mówi o nie rozwiązanych problemach bezpieczeństwa i usuwaniu odpadów — odparł podsekretarz równi głośno. — Sugerowałem mu, że te sprawy rozstrzygnie raport.

Martin milczał. Podsekretarz leży chory w łóżku, a całkiem nieźle wszystkim dyryguje, i nawet mnie przyłapał z opuszczoną gardą.

— Dałem Aylesonowi całkowicie wolną rękę — ryknął wreszcie do słuchawki — i powiedziałem, że zastosuję się do jego decyzji.

— Panie sekretarzu, na wszelki wypadek kazałem w departamencie przygotować projekt umowy z Amerykanami. Może uzna pan to za przydatne w czasie jutrzejszej dyskusji. Przed południem przywiezie go panu Kate Davies.

Martin stłumił gniew.

— Czy Foreign Office jest w to zamieszane?

— Tylko w charakterze doradczym.

— A Aylene?

— Aylene pracuje nad swoim sprawozdaniem, panie sekretarzu.

— Wydaje mi się, że postawiłem to jasno — wrzasnął Martin.
— Decyzja dotycząca reaktora to sprawa między mną a Gordonem Aylene.

— Ale moim obowiązkiem, panie sekretarzu, jest upewnić się, że będzie pan dysponował wszystkimi środkami koniecznymi do odwrócenia tej decyzji, jeśli pan uzna, że taka zmiana stanowiska jest zbyt gwałtowna i nie przemyślana.

— Niech to szlag! — powiedział Martin w głos, odłożywszy słuchawkę po szorstkim „dobranoc”. Podeszedł do okna i patrzył na skąpo oświetloną ulicę i progi-nagrobki. Jego lokalny przedstawiciel zajrzał przez drzwi z zaniepokojoną miną. — Niech to szlag! — powtórzył sekretarz.

15

Zacinał deszcz, wiał wiatr od morza, a po głównej drodze sunęła kolumna wojskowych ciężarówek. Enzo patrzył przez szybę na horyzont w kierunku południowo-zachodnim, nie bardzo wiedząc, co spodziewa się ujrzeć. Może radioaktywny grzyb na tle ciemności? Ale gdyby reaktor wybuchł, raczej nie wzywaliby kadry inżynierskiej z powrotem do ośrodka. Pewnie każą nam tam

spać na polowych łózkach, pomyślał dojeżdżając do pierwszego posterunku kontrolnego.

Po dwudziestu minutach, w biurze na piętrze, włoski kierownik ośrodka potwierdził przypuszczenia Enzo.

Wszyscy inżynierowie na kierowniczych stanowiskach nocują w ośrodku do odwołania.

— Wziąłem ze sobą szczoteczkę do zębów powiedział Enzo. W ołowianej trumnie.

Kierownik ośrodka wyciągnął z kieszeni fotokopię zapisu któregoś z instrumentów.

— Wygląda na to, że znalazłeś wyjście.

Enzo wziął kartkę do ręki. Był to wykres temperatury sodu.

— Wzrost i spadek temperatury o sto czterdzieści stopni w czasie twojej dzisiejszej dziesięciminutowej potyczki. — Kierownik wyciągnął kolejny arkusz. Po mniej więcej kwadransie mamy spadek poziomu neutronów. Jesteśmy zupełnie pewni, że któryś z trzech przegubowych prętów regulacyjnych opadł o kilka milimetrów. Chcemy spróbować czegoś takiego jeszcze raz, a więc systematycznie zwalniać bieg pomp sodowych i w ten sposób doprowadzić do wzrostu temperatury. Zobaczymy, czy ten pręt opadnie dalej.

— Nie wolno się wygłupiać z pompami powiedział Enzo.

— Sam to dziś zrobiłeś.

— To była sprawa awaryjna, a zresztą chyba przeholowałem.

— Cała sytuacja jest awaryjna.

A co będzie, jeśli to tylko ciśnienie sodu trzyma w kupie uszkodzoną część rdzenia?

— Po południu paliwo nie uległo przemieszczeniu.

— Skoro ten pręt się ruszył, mogło się ruszyć wszystko.

— Chodzi o to, żeby to robić krok po kroku. Zwalniać bieg wszystkich czterech pomp co trzy godziny i za każdym razem podnosić temperaturę o dalszych dwadzieścia pięć stopni.

— Ale dziś mieliśmy na filtrze stopione paliwo.

— Tego nie wiemy na pewno. Mogło tam być coś innego.

A wytwornice? Już straciliśmy jeden obieg chłodziwa, właśnie przez zbyt wysoką temperaturę. Co będzie, jak polecą następne?

— Po każdym zwolnieniu przywrócimy wyjściową temperaturę.

— Bez prętów regulacyjnych?

— Podkręcimy pompy.

— A jak pompy się spalą?

Kierownik odwrócił się i popatrzył za okno.

— Nikt nie twierdzi, że jest to idealne rozwiązanie. Ale siedzimy na szczycie uszkodzonego reaktora, który w żaden sposób nie daje się zatrzymać. Przepisy można wyrzucić do kosza. Musimy próbować wszystkiego.

— Bez ewakuacji?

— W promieniu ośmiu kilometrów nie ma żywego ducha.

— Jest pięć gospodarstw.

— Wojsko po południu wysiedliło te rodziny. Powiedziano im, że to w ramach manewrów.

— Osiem kilometrów przy takim wietrze — Enzo wypluł resztkę zżutego cygara. — Osiem czy osiemdziesiąt to właściwie bez różnicy, jak ta kopuła wyleci w powietrze. Powinno się ewakuować wszystkich w promieniu stu osiemdziesięciu kilometrów.

— Czyli aż po Florencję na północy i Rzym na południu. Żaden przedstawiciel rządu nie weźmie na siebie takiej odpowiedzialności, nawet gdyby założyć, że ewakuację na tak wielką skalę w ogóle dałoby się przeprowadzić.

Kierownik odwrócił się od okna.

— Pierwszy raz zwolnimy bieg pomp o 21.15. Ty przejmiesz dyżur w południowej sterowni o szóstej rano — powiedział i otworzył drzwi.

— Skoro nikt z rządu nie podejmie się takiej odpowiedzialności spytał Enzo — to kto tu za co odpowiada?

— Wszystko w rękach Boga. — Kierownik ośrodka wrócił do swego biurka. — Jeśli jesteś wierzący, lepiej padnij na kolana i zwróć się do niego.

Trójka intruzów na wzgórzu nie widziała wojskowych ciężarówek i nie miała pojęcia o ewakuacji w promieniu ośmiu kilometrów. Wyjące słupy pary były dla nich wciąż jedyną oznaką jakichś problemów w ośrodku, lecz choć brodacz natrętnie ich wypytywał, ani Anna, ani Henshaw nie umieli mu podać

zadowalającego wyjaśnienia. Białe budynki skąpane w świetle reflektorów wyglądały tak niewinnie, że, pominiawszy kwestię ogłuszającego hałasu, nie bardzo dopuszczali do siebie możliwość, iż owe problemy są niezwykle poważne.

A jednak, myślał Henshaw, tylko z trzech wytwornic wali para. Co się stało z czwartą? Czy ta czwarta jest jedyną, która pracuje, czy też jedyną nieczynną? A jeśli jest jedyną czynną, co się stało z trzema pozostałymi? I czemu nie wyłączają reaktora?

Przyjrzał się Annie. Lekko ubrana, drżała z zimna. Przydałoby się im trochę ciepła uchodzącego w powietrze, razem z parą, bo dokuczały im wilgoć i chłód.

16

Kate patrzyła na Amerykanów siedzących po drugiej stronie stołu. Jak przystało na dyplomatę, Dave Ridgeway robił wszystko, by zapanować nad zniecierpliwieniem. Nie dość, że spóźnia się tyle czasu, to teraz, choć niższa od nich rangą, jeszcze upiera się, by ograniczyć projekt porozumienia do ogólnych warunków i chwilowo nie ustalać żadnych dat, liczb ani procentów. Wyjąwszy radcę prawnego i stenografistkę, zebrani tu przedstawiciele Foreign Office oraz Dave i przedstawiciele ambasady amerykańskiej zajmowali wyższą niż Kate pozycję w hierarchii urzędniczej.

Gdy ustalono ogólne warunki umowy, Dave zaproponował dziesięciminutową przerwę i poprosił Kate do gabinetu McClarena. Nigdy dotąd nie widziała, by się tak wściekał. Przebiegło jej przez myśl pytanie, czy dziś w nocy zechce pójść z nią do łóżka, i uświadomiła sobie, że jeśli nie, będzie jej bardzo przykro. Duma czy namiętność?

— Co u diabła knujesz? — spytał zamykając drzwi. — Grasz na zwłokę, a przecież nie mamy czasu.

Kate usiadła na obitym skórą fotelu McClarena.

— Mówiłam ci przecież — odrzekła — że nie mam zamiaru prowadzić rokowań w ciemno. Może teraz zechcesz mi powiedzieć, co się stało w Segre.

— Twój szef departamentu już o tym wie — odrzekł Dave. Jeśli nie chce ci powiedzieć, najwyraźniej uważa to za nieistotne.

— A Gordon?

— Gordon jest sam i nie obchodzi mnie, co robi. Ale nie potrzebuje ani twojej ani mojej pomocy. Dave usiadł na biurku McClarena. — Czy ci się to podoba czy nie, my staliśmy się rzecznikami tej sprawy, a Gordon — przeszkodą.

— Kto ci to powiedział?

— Przyjacielskie ostrzeżenie z telegrafu bez drutu.

— Bardzo sprawny musi być ten telegraf...

— A cóż w tym niezwykłego, skoro z ekonomicznego i społecznego punktu widzenia podejmujemy najważniejszą decyzję dziesięciolecia.

— Zatem ostrożność Gordona jest jak najbardziej miejscu.

— Jest ostrożność i ostrożność. Może robi się za sta na takie decyzje. Traci pewność siebie.

— Gdybyś go dobrze znał, nigdy byś tak o nim ni powiedział.

Dave uśmiechnął się na widok jej zagniewanej twarzy.

— Lubisz tego naszego Gordona, prawda?

— Tak się składa, że „ten nasz Gordon” jest moim zwierzchnikiem, szefem mojego działu. Wszystko, czego się nauczyłam, jest jego zasługą. To, czy go lubię czy ni nie ma nic do rzeczy. Wiem, że nigdy nie zmienia zdanie bez ważnych powodów.

Dave wstał.

— Więc może musisz go przekonać, by zmienił swe zmienione zdanie.

Kate patrzyła, jak Dave krąży po pokoju.

— Czy jesteś pod silną presją? — spytała.

— Jak mam to rozumieć?

— Czy ktoś ci za to płaci?

— Pracuję dla rządu Stanów Zjednoczonych.

— Tylko dla rządu Stanów Zjednoczonych? Dave stanął przed nią.

— Co też się roi w tej twojej ślicznej główce?

— Dla wielu ludzi, którzy nie pracują dla rządu ani agencji państwowych, ta gra jest warta wiele milionów dolarów.

— Zarówno tu, jak i w Stanach, reaktory prędkie finansowane są z rządowych funduszy na badania i rozwój.

— A podwykonawcy? A elektrownie zawodowe w latach dziewięćdziesiątych? Jakaś ponadnarodowa korporacja, której udałoby się załatwić taki kontrakt, może zarobić mnóstwo pieniędzy.

— Moja pensja mi wystarcza. Łapówki mnie nie interesują.

— Lubisz wygrywać i dobrze zjeść.

— Lubię też kobiety. — Dave był poważny. Ja w to wierzę, Kate. To jedyna presja pod jaką działam. Jeśli nie będziemy mieli sprawdzonej technologii reaktorów prędkich, za dwadzieścia pięć lat czekają nas poważne kłopoty.

— Tak mi się dotąd wydawało.

— A teraz?

— Teraz chciałabym dokładnie wiedzieć, dlaczego Gordon zmienia zapatrywania.

Straszna angielska choroba, wykręty. Proszę pani, nie mamy na to czasu.

— My nazywamy to empiryzmem. Jeśli o mnie chodzi, uważam, że mamy czas. Jutro rano mój podsekretarz spotyka się z sekretarzem stanu...

Dave wzniosł zrozpaczoną twarz w stronę sufitu.

Gordon i Martin Reid, dwóch krętaczy. Kate wstała i skierowała się w stronę drzwi.

— Do czasu tego spotkania rzekła — nie mogę wypowiadać się w sprawie ostatecznego porozumienia.

Otworzyła drzwi. Zaproponuję przedłużenie twojej dziesięciminutowej przerwy do jutra po południu.

Pięć minut później, z budki telefonicznej nie opodal South Audley Street, Kate po raz trzeci próbowała porozumieć się z Gordonem Aylenem. Wciąż nie było go w domu.

Bardzo przepraszam, że tak wydzwaniam. Czy mogłaby pani powiedzieć mężowi, że wieczorem jestem w domu? Może zadzwonić nawet bardzo późno.

O Boże, pomyślała odwieszając słuchawkę. Gdyby pani Aylen była podejrzliwa, pomyślałaby, że to jakaś zrozpaczona kochanka błaga o pomoc.

Wiele bym jednak dała, myślała później idąc powoli w kierunku Park Lane, za trochę łagodnej mądrości Gordona, za to, żeby wieczorem siedział na którymś z tych moich wytartych foteli.

17

Gordon chodził tam i z powrotem po wyłożonej linoleum posadzce, starając się nie zwracać uwagi na księżyc, który właśnie pojawił się nad trawnikiem. Nie otrzymał dotąd żadnych informacji z wyjątkiem tego, że Joss jest „dalej zamroczony”, a Gordon nie należał do tych, co robią awantury, i nie nagabywał przepracowanego personelu z oddziału urazowego, choć martwiła go myśl o niespokojnej Mary, która siedziała sama w domu i

czekała na jego telefon. Zadzwoił do niej dopiero o siódmej, choć nadal nic nie wiedział, a Mary była na tyle już opanowana, że powiedziała mu o trzech telefonach od Kate.

Trzy telefony? Cóż za intrygę knuje ten facet o sinozielonej twarzy, rozparty na różowych poduchach, zastanawiał się Gordon wykręcając numer Kate. Stały podsekretarz nie pozwoli, by wyzwanie rzucone przez Gordona przeszło bez walki, a wiadomo, że dysponuje sporym arsenalem środków.

To jednak, czego dowiedział się od Kate, siedzącej teraz w domu w dalekiej Belgravii, przeszło jego oczekiwania. W milczeniu wysłuchał jej opowieści o popołudniowych rokowaniach w ambasadzie. Pojął, że został bardzo skutecznie i bezceremonialnie odsunięty na bok.

— Przykro mi — powiedziała po dłuższej chwili, lecz w słuchawce odezwał się przerywany sygnał i Gordon zaczął szukać monet. Gdy buczenie ustało, wyśmiał jej wyrzuty sumienia.

— Podległość służbowa rzecz święta powiedział. — Nie bardzo może pani odmówić wykonania poleceń stałego podsekretarza.

— Czy to dlatego kazali panu pracować w domu?

— Nie sędzę. Ale biorąc pod uwagę poglądy szefostwa, ich posunięcia były dość oczywiste. Powinienem był to przewidzieć. Jeszcze ze trzy ruchy, i dostanę mata. Nie za mądrze pograłem.

To tylko „szach”. Jest przecież jeszcze Martin Reid.

Mam paskudne przeczucie, że będzie widział tylko jeden ruch.

Znów zapadło milczenie, po czym znów przeprosiny wypowiedziane tym cienkim, zmartwionym głosem.

— Bardzo dobrze się pani spisała. Pozostawiła pani do wyboru różne możliwości.

I znów chwila ciszy, a potem odpowiedź. Pan ma zamiar powiedzieć „nie”, prawda? W jakiej sprawie?

— W sprawozdaniu dla sekretarza stanu. Doradzi mu pan, żeby się z tego wycofać.

— Jeśli zmienię zdanie, pani będzie chyba jedyną osobą, która zna prawdziwy powód.

Spisywanie na nowo praw przetrwania rodzaju ludzkiego? Gordon roześmiał się.

— To brzmi cokolwiek złowieszczo. Póki co, nie jestem jednym z pani jezuitów. Powiedzmy sobie po prostu, iż nie uważam, byśmy do końca przemyśleli wszelkie implikacje.

Długo pracowaliśmy nad tym w przekonaniu, że to słuszna sprawa. Gordon skinął głową w stronę aparatu.

I za to winien jestem pani coś w rodzaju przeprosin. Chodzi o to, słodka dziewczyno, że nawet stary zaskorupiały urzędnik może czasami zmienić poglądy z przyczyn, których sam do końca nie pojmuję. A ponieważ ja ich nie pojmuję — dodał po chwili — chciałbym wieczorem Posiedzieć u pani. Kate zaczęła coś mówić, lecz jej przerwał.

— Jak było we Włoszech?

Trudno powiedzieć odparła po zastanowieniu. - Nie bardzo mnie do tego dopuszczali. Stało się tam coś, o czym nie raczono mi powiedzieć. Dave nazwał to „pewnymi technicznymi komplikacjami”.

— Historia atomistyki obfituje w takie komplikacje. Niestety, żadna z nich na dobrą sprawę nie wydostała się na światło dzienne.

Kate przypomniała sobie ciężarówki wojskowe i puste wagony, ale znowu odezwał się przerywany sygnał.

— Musi pani postąpić zgodnie z zasadami — krzyknął, zanim połączenie zostało przerwane. — Skończyły mi się drobne.

Po chwili ujrzał procesję wózków z posiłkami, oddalającą się w głąb korytarza i znikającą za rogiem. Ogarnęło go ponownie poczucie osamotnienia i pustki, gdy po raz trzeci czy czwarty tego dnia usiłował pozbierać rozbiegane myśli.

Jak sprytnie stały podsekretarz stanu posłużył się Kate. Wiedziała wszystko co trzeba o politycznych czy finansowych aspektach reaktorów powielających i przeczytała niemal wszystkie materiały na ten temat, jakie Gordon zgromadził. Teraz biedaczce pewnie się wydaje, że go zdradziła, mimo że naprawdę w żaden sposób nie mogła się wymigać od spełnienia poleceń kierownika departamentu.

Powiniennem był dzisiaj trzymać język za zębami, pomyślał, i podsunąć Martinowi Reidowi negatywną ocenę bez uprzedzenia. Zobaczylibyśmy, czy stać go na to, by stanąć twarzą w twarz z

kanclerzem skarbu i sekretarzem spraw zagranicznych. Gordon jednak chciał być w porządku, zrezygnował z przewagi, jaką daje zaskoczenie, i niemal pokornie oddał inicjatywę w ręce stałego sekretarza. Mimo trupiego wyglądu, ta sinozielona morda zareagowała nader skutecznie i teraz z pewnością zaczęło się delikatne wykręcanie ręki biednemu staremu Martinowi, temu samemu, który zaledwie przed tygodniem zasiał w nim pierwsze nieśmiałe wątpliwości.

— Jak się czuje syn, panie Aylen? — spytał cicho ktoś za jego plecami. Gordon ujrzał znajomą twarz i zidentyfikował przybysza po rękawiczce na jednej dłoni: Blaszana Rączka ze zmartwioną miną, przyjechał tu prosto ze szkoły. Uścisnęli lewe dłonie, prawa bowiem, okryta rękawiczką, była metalową protezą.

— Myślę, że będzie żyć - odparł Gordon z uśmiechem, usiłując przypomnieć sobie jego nazwisko. Nie bardzo wypadało zwracać się do sędziwego nauczyciela posługując się jego przezwiskiem.

— Cóż za nieszczęście powiedział stary fizyk, a Gordon pomyślał, że chodzi mu o utratę obrońcy szkolnej drużyny. — Właśnie przez to nie lubię meczów pucharowych. Chłopcy strasznie się angażują i gra staje się brutalna.

— Tamtego nie można chyba winić — rzekł Gordon Joss rzucił się odrobinę za wcześnie.

— To bardzo zdolny młodzieniec, panie Aylen — powiedział Blaszana Rączka, jak gdyby obawiał się możliwości uszkodzenia mózgu. — Jestem pewien, że bez trudu załatwimy mu miejsce w

Oxfordzie. Najlepiej na fizyce — zasugerował ze śmiechem. — Wtedy będzie mógł się przyłączyć do pracy nad programem rozwoju reaktorów prędkich.

— O ile wtedy program rozwoju reaktorów prędkich będzie jeszcze istniał.

— Co też pan mówi — Blaszana Rączka wyglądał na zasmuconego. — Wszak urzędowe poglądy chyba się nie zmieniają?

— Nie sędzę.

— Nie można podchodzić do tego emocjonalnie. — Pedagog pokręcił głową, wpatrując się w podłogę. — Nigdy dotąd ludzki umysł się nie cofał. Nigdy nie rejterował.

Podniósł wzrok. — Wszak nie rejterujemy, prawda?

— Z całą pewnością nie.

— Czekamy na raport? Gordon skinął głową.

— Oczywiście będzie pomyślny?

— Tak sędzę.

— A potem całą parą naprzód?

— Coś w tym rodzaju.

— Spoczywa na panu duża odpowiedzialność — nauczyciel spoglądał na niego z troską. — Nie powinno się zrzucać ciężaru takich decyzji na barki jednego człowieka.

Gordon roześmiał się.

— Chciał pan powiedzieć: na barki jednego ignoranta. Z tyłu podeszła do nich cicho ładna lekarka i Gordon obrócił się w jej

stronę, przypominając sobie, gdzie jest. Uśmiechnęła się, chcąc rozwiać jego obawy.

— Obudził się już, ale widzi mnie potrójnie, więc chcemy go zatrzymać do jutra.

— Mogę go zobaczyć? Spojrzała na nich.

— Niech pan idzie — rzekł Blaszana Rączka. — Ja t poczekam.

Lekarka ruszyła z powrotem, prowadząc Gordon korytarzem do salki, gdzie, spowity w biały kitel, leżał Joss z napuchniętą i bladą twarzą.

— Cześć, tato. — Wzrok miał błędny, a głos gruby — Zatrzymałem tego słonia?

— Runął jak długi.

— Jak go jeszcze kiedy zobaczę, zmiążdżę mu to cholerne kolano.

— Nie powinieneś być się pod nie nadstawiać.

— Największa przewidywalna awaria Joss skrzywił się. — Prawdę mówiąc, cholernie spieprzyłem to wejście, nie? Dlatego tu jestem. Chciałem zrobić unik głową Stchórzyłem i mam za swoje. — Joss spojrzał na lekarkę.

— Ją widzę potrójnie, a ciebie tylko podwójnie. I gdzie tu równouprawnienie?

— To tylko wynik twoich pobożnych życzeń, stary. Założę się, że miałeś wspaniałe widowisko. Nosze i karetki na polu bitewnym.

— Zamknął oczy, jak gdyby kręciło mu się w głowie od podwójnego widzenia.

— Blaszana Rączka przyjechał cię odwiedzić.

— Możesz mu powiedzieć, że w przyszłą sobotę będę grać.

— Co to, to nie — roześmiała się ładna lekarka i zostawiła ich samych.

— Blaszana Rączka wyglądał na bardzo zmartwionego, że mógłby cię stracić — powiedział Gordon.

— Zrobił ci wykład na temat reaktora?

— Nie powiem, poruszyliśmy ten temat. Sądzę, że rozczarował go mój brak entuzjazmu.

Joss odwrócił głowę.

— Co to, czyżbyś miał się rozmyślić?

— Nie wiem.

— Teraz nie możesz się wycofać — Joss uśmiechnął się na tyle, na ile to było możliwe. — Co mówił Blaszana Rączka?

— Po pierwsze, w ogóle zapomniał o tobie jako obrońcy. Pewnie wciąż mruczy coś do siebie na korytarzu.

— On wierzy w niepowstrzymany rozwój intelektu.

— Nie pozostawił co do tego cienia wątpliwości.

— Był natarczywy?

— Ależ skąd!

— Bo jesteś trochę rozdygotany.

— Miałem kiepski dzień. To, że widzę cię na wpół żywego, wcale mi nie pomaga.

Joss nieśmiało dotknął ręką twarzy ojca.

— Lepiej żeby mama mnie teraz nie widziała.

— Chyba masz rację. — Gordon dotknął czoła chłopca. Przyśle Blaszaną Rączkę. Może Roxy podrzuci ci później rzeczy. Joss skinął głową.

— Mam nadzieję, że ta śliczna lekarka będzie mnie trzymać za rękę całą noc.

Gordon ruszył w stronę, wyjścia.

Tato, naprawdę myślisz, że uda ci się wszystko zatrzymać?

— Co zatrzymać?

— Reaktor. Wątpię.

— Ale naprawdę będziesz próbować?

— Tak. Tak powtórzył Gordon, bardziej do siebie niż do syna. Naprawdę mam zamiar spróbować.

Z Martinem Reidem albo bez niego, myślał, jadąc wolno do domu.

18

Spotkanie było bardziej ponure niż zwykle, zupełnie jak księga katastrofalna konającej osady: groźba zamknięcia miejscowej szkoły, likwidacja kilku dalszych kursów autobusu, sześciu następnych ludzi na zasiłku dla bezrobotnych, pogarszający się stan głównej drogi, a do tego zamknięcie przydrożnej kawiarni z powodu braku ruchu tranzytowego. I wreszcie kropla, która

przepełniła czarę: śmierć dziewięcioletniego chłopca, który bawił się w pobliżu nieczynnego szybu.

— Parę dni temu pognął pan do kopalni w South Yorkshire. A jak Salowi Mandy się zabił, to pan nie przyjechał.

O Boże, nikt mi nic nie powiedział o synu Sala.

Później, siedząc w pustym pubie nad szklanką dżinu, Martin obsztorcował swego nieszczęsnego przedstawiciela.

— Nie możemy sobie pozwolić na takie błędy w okręgu, gdzie kiedyś mieliśmy przewagę zaledwie kilkuset głosów.

— A skąd miałem wiedzieć? Tutejsza gazeta nie wychodzi od trzech tygodni — brzmiała nieprzykonywająca wymówka. Dokończyli swoje drinki w milczeniu. Bęcwał z ochrony cały czas siedział samotnie przy końcu baru nad szklanką soku pomidorowego.

W drodze powrotnej Martin nie zwracał na niego uwagi. W myśli liczył głosy. Ruchy ludności i drobny cud, jaki sprawił Ted Heath, dały mu mandat w 1970 roku i spowodowały jego utratę już w 1974. Drugą szansę uzyskał w wyborach uzupełniających dzięki temu, że piętnaście procent wyborców zmieniło poglądy, a na trzecią kadencję wjechał do Parlamentu na rydwanie Boadicei. W obecnej sytuacji nie miał jednak szans na ponowne zwycięstwo, chyba że udałoby mu się w jakiś czarodziejski sposób przekonać swoich wyborców, że rzeczywiście coś im załatwi: dotację na naprawę szosy, zachęty dla przedsiębiorców do założenia nowych fabryk, dodatkowe fundusze dla miejscowych szkół i szpitala. Lista

nie miała końca, lecz by to wszystko sfinansować, wystarczyłaby suma, którą w ciągu tygodnia wydaje się na reaktory prędkie.

Dlaczego zatem, skoro tak sceptycznie jestem nastawiony do tego reaktora, nie cieszę się, że Gordon zmienił zdanie? Czemu mnie to tak przytłacza? Trudno powiedzieć, która z jutrzejszych konfrontacji bardziej go przerażała: rozmowa sam na sam z Gordonem czy spotkanie gabinetu na koktajlu przy okrągłym stole Ordisha. Może nie powinienem był tak bardzo naciskać na Gordona, pomyślał. Kilka dni temu był on stuprocentowym orędownikiem KDRPP, rzecznikiem oficjalnej polityki departamentu energetyki. I po co było podsycać w nim wątpliwości, skoro teraz nie skorzystam z jego rad? Nie mam nic, co by usprawiedliwiało odwrócenie się do niego plecami, a jedyną przyczyną, dla której to zrobię, przyznał w myśli, jest chęć wkupienia się w łaski Ordisha — żeby zaklepać sobie miejsce w którymś z chlewów i z nadzieją czekać, że przejmie on przywództwo partii, a potem lizać mu dupę aż po kres mojej kariery politycznej.

Martin spojrzał na niemego bęcwała. Gadaj, ty głupi baranie. Powiedz, jak nienawidzisz nas wszystkich i j nami gardzisz. Albo jak masz ochotę na moją żonę, albo jak bierze cię chęćka zamordować moje dzieci.

A gdzie, u diabła, mam cię jutro posadzić w samochodzie? Z tyłu z dziećmi? Helen nie znosi jeździć na tylnym siedzeniu.

Zawsze wtedy wymiotuje. A to oznacza, że przez 500 kilometrów będę miał w lusterku tę twoją szarą, płaską gębę.

A jeśli przejmuję się takimi głupstwami, pomyślał wjeżdżając w dolinę i dostrzegając światła wioski, to znaczy, że ani chybi dostaję kręćka.

Część piąta

1

Główna sterownia w Segré, 21.10: zakładowa centrala telefoniczna uzyskuje połączenie z ośrodkiem Phénix w Marcoule we Francji i z Dave'em Ridgewayem w Londynie. Przy telefonie w Segré są obaj kierownicy ośrodka, którzy referują swym rozmówcom planowane czynności, podczas gdy dyżurni operatorzy przygotowują się do pierwszej próby zwolnienia biegu pomp.

Rezerwowa sterownia, 21.11: Enzo przyłącza się do nie będących na dyżurze inżynierów i techników, którzy otoczyli przyrządy pomiarowe, by śledzić przebieg operacji.

21.12: kierownik zmiany sprawdza układy alarmowe, przerywając na chwilę ciszę kakofonią sygnałów.

21.13: w obu sterowniach zapada cisza. Posługując się wewnętrzną siecią łączności kierownik sprawdza, czy cały personel jest w „bezpiecznych rejonach”. Wynik jest niepomyślny: brakuje jednego technika.

21.16: brakujący technik odnajduje się w toalecie obok stołówki i zostaje doprowadzony na dół. Kierownik zmiany zabezpiecza wszystkie śluzy powietrzne.

21.22: z siedmiominutowym opóźnieniem, kierownik zmiany oznajmia:

— Obroty pomp obiegu pierwotnego numer jeden i trzy — zmniejszone; obroty pomp obiegu pierwotne numer dwa i cztery — zmniejszone.

Cichym, monotonnym głosem któryś z operatorów zaczyna odczytywać najwyższą temperaturę sodu:

— 607, 607, 607, 609, 610, 611... Obaj kierownicy ośrodka powtarzają odczyty sotto voce do słuchawek — Francuz swemu koledze w Marcoule, Włoch Dave'owi Ridgewayowi w Londynie.

— ...618, 619, 621...

W obu sterowniach nie ma chyba nikogo, kto ukradkiem nie zerkał na górny rząd lampek kontrolny umieszczonych na półkolistych tablicach rozdzielczych, na alarmowe sygnały koloru czerwonego, pomarańczowego i niebieskiego. Z której strony, myślał Enzo, można spodziewać się kłopotów: „rozbieg reaktywności” w rdzeniu, następna nieszczelność i wybuch w wytwornicy, zablokowanie przepływu sodu?

— ...627, 628, 629, 631...

Usłyszawszy „sześćset trzydzieści dwa”, kierownik zmiany przesuwa dźwignie sterujące pompami obie pierwotnego i mówi:

— Pompy numer jeden i trzy w normalnym położeniu pompy numer dwa i cztery w normalnym położeniu.

Nim pompy zareagowały, temperatura wzrosła o siedem i pół stopni, w sumie zatem o trzydzieści cztery stopnie zamiast przewidywanych dwudziestu pięciu.

Trzydziestosześcioprocentowy margines błędu, pomyślał Enzo, choć właściwie to świetny wynik zważywszy, że działamy w ciemno. Mimo wszystko była to jednak zdumiewająca zmiana kryteriów jak na dyscyplinę naukową, w której zazwyczaj liczą się trzecie i czwarte miejsca po przecinku.

— Pompy obiegu pierwotnego w normie — zawołał kierownik zmiany. — Obiegi chłodnicze stabilne. Krytyczność bez zmian.

— Gdyby udało się wyrwać komputery z ich wykrzyknikowo-pytajnikowego transu, wydrukowałyby teraz pewnie informację „Koniec zadania”. Pierwsze zwolnienie biegu pomp nie przyniosło oczekiwanego wyniku, pręty regulacyjne najwyraźniej nie zmieniły położenia. Ale przynajmniej huśtawka nie wzmożła się i, co wszyscy powitali z ulgą, nie pojawiły się nowe problemy.

Najbardziej widoczna ulga malowała się chyba na twarzy Dave'a Ridgewaya w Londynie. Wszystkie odczyty powróciły do stanu wyjściowego, sytuacja jest stabilna, o ile po czwartkowej awarii można jeszcze mówić o stabilności.

— Tygrys wciąż śpi — powiedział Włoch i życzył mu dobrej nocy.

Dave spojrział na swe ciało. Dzwonek telefonu wyrwał go spod prysznicza. Stał przy aparacie nagi i ociekał wodą. Teraz, czy to z napięcia, czy może z powodu ulgi, dostał erekcji. Zaciekawilo go, czy w Hyde Parku jest ktoś z lornetką; jeśli tak, ma niezłe widowisko.

Wygram! — wołał do słuchawki dwie minuty później. — Może już jutro.

Chwila przerwy, po czym odpowiedź Pat.

— Gazety są już na twoim tropie.

— Za późno.

— Pokroją cię żywcem, jak się dowiedzą, po coś tam Pojechał. Tu mamy coś, co się nazywa demokracją.

— Jestem w ojczyźnie demokracji — zaśmiał się Dave. - Oni się nią posługują o wiele sprawniej. Są lepsi o jakieś osiemset lat. To się nazywa elastycznością.

Nastąpiła przerwa cokolwiek dłuższa niż zwykle podczas rozmowy za pośrednictwem satelity, po czym Pat rzekła matczynym tonem:

— Jeśli dalej masz zamiar nadstawiać karku, to pamięci. Dave, że nigdy nie umiałam zbierać szczątków.

— Daj mi spokój, moja pani. Udawaj, że dokonałem czegoś cennego i przestań mnie zamęczać.

— Może cię i zamęczam, hombre. Ale mimo wszystko próbuję cię kochać.

— A ja kocham was wszystkie. Spróbuj się do uśmiechnąć przez stratosferę.

— OK, uśmiecham się. Dave wyciągnął się na łóżku.

— Słuchaj, leżę tu nago. Chcesz się kochać przez telefon? Będę ci mówić, co masz robić, a ty mi powiesz, : ja mam robić.

2

„Obecne prognozy zapotrzebowania na energię nie uzasadniają pośpiechu, w jakim odbywa się niniejsza debata nad przyszłością reaktorów prędkich powielających...”

Gordon powoli układał w myślach pierwszy akapit dokumentu, pilnując mleka i kawy na kuchence. Zostało mu zaledwie dwanaście godzin na ukończenie pracy, a był już zdecydowanie za stary na całonocną harówkę.

Po szybie prześlizgnęły się światła reflektorów i chwili trzasnęły drzwi garażu. To Roxy wrócił ze szpitala.

— Wygląda, jakby wpadł na betonowe drzewo — wiedział starszy brat wchodząc do kuchni.

— Huk był rzeczywiście niezły i podejrzewam, że Joss musiał istotnie poczuć coś w tym rodzaju. — Mleko się podniosło i, nim Gordon zdołał pochwycić rondel, wykopiało. — Chcesz kawy?

Roxy potrząsnął głową.

— O co tu chodzi? Podobno się rozmyśliłeś? Gordon spojrział na niego zaskoczony.

— Mam na myśli reaktor. Gordon zaśmiał się.

— A ja myślałem, że twój brat ma wstrząs mózgu.

— Jeśli chodzi o reaktor, jego mózg funkcjonuje znakomicie. Przez pół godziny gadał o tym z Blaszaną Rączką. Obaj uważają, żeś oszalał.

— Może i oszalałem — powiedział Gordon. Punkt drugi, myślał: Kwestia bezpieczeństwa i praw obywatelskich. Pluton jest substancją tak groźną, że wymaga zapewnienia absolutnego bezpieczeństwa. Absolutne zabezpieczenie nie jest możliwe, a osiągnięcie nawet zadowalającego poziomu bezpieczeństwa pociągnęłoby za sobą niedopuszczalne naruszenie swobód jednostki i wdarcie się w sferę życia prywatnego.

Roxy zaczął się z niego śmiać.

— Wiesz, co się mówi o ludziach, którzy mówią do siebie.

— Ja nic nie mówiłem.

— Tato, to cię już opętało.

— Bzdura.

— Równia pochyła. — Roxy patrzył, jak ojciec idzie z kubkiem kawy w stronę drzwi. Uśmiechnął się do siebie widząc, jak znowu porusza wargami i gestykułuje wolną ręką, jakby chciał podkreślić tok rozumowania.

„Wiesz, ojciec to równy facet”, powiedział mu Joss w szpitalu. „Nie musisz się kryć. Powiedz mu, że jesteś homo, wtedy nie

będzie tego napięcia między wami. I może ojciec wymyśli jakiś sposób, żeby powiedzieć o tym mamie". Nigdy jeszcze tak otwarcie Joss nie poruszył tego tematu z bratem. Co dowodzi, pomyślał Roxy, że wiele dobrego może zrobić porządny cios w głowę.

Punkt trzeci. Odpady promieniotwórcze. Gordon odsłonił małe okno, przy którym stało biurko, i ujrzał więź Pendle'a w świetle księżyca. Na górze Roxy słuchał muzyki, a Mary spała. Gordon zadzwonił do Kate.

— Obóz wroga z prośbą o pewne informacje — powiedział z uśmiechem i przeprosił za późną porę.

— Nie jest pan wrogiem — obruszyła się. Prawdę mówiąc, w jej głosie pobrzmiwało zdenerwowanie.

Chodzi o zeszkliwianie odpadów radioaktywnych — rzekł Gordon. — Wiem, że powinienem to wiedzieć, skoro bloki szklane są takie bezpieczne, czemu trzeba je zakopywać na głębokości sześciuset metrów? Czy chodzi o to, żeby nie było do nich dostępu, żeby nie było ich widać czy też żeby o nich nie myśleć?

Żeby nie było do nich dostępu. — Kate, która siedziała na podłodze, pochyliła się i ściszyła telewizor, nie przerywając swego wywodu. Głównie chodzi o to," żeby ustanowić jak najwięcej barier między odpadami a środowiskiem. Pierwszą barierą jest szkło. Drugą pojemniki, w których to szkło jest umieszczone. Następną — podziemne chodniki i materiał, którym są potem zasypywane. I wreszcie betonowe „korki”, odcinające dostęp do chodników i szybów.

— Widać, że nie jesteśmy zbyt pewni siebie. A jak to wygląda w czasie? — spytał. — Wiem, że powinienem to mieć w małym palcu, ale co nas upoważnia do budowy KDRPP, skoro wciąż nie wiemy, gdzie zakopać odpady?

— To samo pytanie dotyczy wszystkich elektrowni atomowych, nie tylko reaktora prędkiego.

— Zatem stawiam to pytanie.

— Cóż — Kate przez chwilę milczała, porządkując myśli. — Potrzeba jakichś czterdziestu lat. Zanim te szklane bloki będzie można ostatecznie zakopać, trzeba je przechować w jakimś miejscu, skąd przy pomocy mechanicznej wentylacji uda się odprowadzić ciepło wydzielane przez odpady. Naturalne chłodzenie wystarcza dopiero po trzydziestu czy czterdziestu latach rozpadu.

— A co z samymi reaktorami po zakończeniu eksploatacji? Jeśli i one będą musiały być przetworzone na szklane kostki, czy mamy jakieś szacunki kosztów tego przedsięwzięcia?

— Ostatecznych nie. Uważa się, że cały proces usuwania odpadów będzie kosztować jakieś dwa i pół do trzech procent wartości wyprodukowanej energii.

— Nie sądzi pani, że to wszystko jest nie tylko szalenie teoretyczne, ale i szalenie optymistyczne?

Kate milczała.

— Nie namawiam pani na zmianę stanowiska — powiedział.

— Chcę tylko rozwiązać obie strony równania. Chciałbym, żeby

wszystko było dla mnie tak jasne jak dla pani. — Odrobinę zniżył głos. — Niczego bardziej nie pragnę, niż pracować z panią nad tym sprawozdaniem.

I ja niczego bardziej bym nie pragnęła, pomyślała Kate, gdybyśmy tylko byli po tej samej stronie. Wiedziała, że siedzący na kanapie Bertie nie spuszcza z niej oczu.

— Bez względu na losy tego dokumentu, musi pani udzielić pełnego poparcia sekretarzowi stanu. — Nagle głos jego zabrzmiał jakby z daleka. — Miłych snów.

Tym razem rozmowy nie przerwał sygnał automatu. Kate miała wiele czasu, by przekazać swoje wątpliwości w związku z Segre, lecz świadomie chyba postanowiła nic Gordonowi o tym nie mówić. A przecież nie od razu odłożył słuchawkę, jak gdyby czekał, że podzieli się z nim swym niepokojem.

Kiedy skończyła i położyła słuchawkę obok aparatu, Bertie zaczął się z niej śmiać.

Melodramaty i podwójne życie w ministerstwie powiedziały najśłodziej jak potrafił.

— Żadne melodramaty i żadne podwójne życie — odparowała, zła na siebie, że dała się sprowokować. — A poza tym, do cholery, to nie jest, cholera, ministerstwo, tylko departament.

A ty się wcale, cholera, nie wściekasz i wcale, cholera, nie masz zamiaru się rozpłakać — zaśmiał się Bertie, ona zaś wybiegła z pokoju trzaskając drzwiami.

3

Być może to właśnie jej twarz widział Dave we śnie, gdy obudził go telefon. W pokoju panował dziwny półmrok. Leżał na łóżku, zasłony były rozsunięte na całą szerokość okna, po suficie przesuwały się plam światła. Przez dłuższą chwilę nie wiedział, gdzie jest w swoim waszyngtońskim mieszkaniu, w domu w Pal Alto, czy w hotelu we Włoszech? Sięgając ręką do lamp wymówił jej imię.

— Kate?

Hotel przy Park Lane w Londynie, a on nagi i odkryty na łóżku. Nie, to nie Kate, pomyślał. Rozmawiałem z Pat Potem spojrzał na zegarek i pojął, że spał prawie sześć godzin.

3.15 nad ranem: w słuchawce zabrzmiał głos włoskiej kierownika ośrodka w Segre.

— Przepraszam, że obudziłem. Dave niemalże poczuł zapach skisłego potu i napięcie, jakie panowało w obu sterowniach. Sam też był nieźle zdenerwowany. Czuł to w głowie i w żołądku. Czemu nie dali temu tygrysowi pospać choćby do poniedziałku? Potrzeba mi tylko dwóch dni. Lecz już dobiegły go przytłumione głosy podające temperaturę.

— Zwolnienie pracy pomp — mówił Włoch. — Docelowa temperatura tym razem 660 stopni. — Jego głos, pomyślał Dave,

zdradza skrajne wyczerpanie. Zastanawiał się, czy Francuz z Marcoule też tego słucha. Dużo byśmy im pomogli w razie jakichś problemów, kiedy wszystko rozgrywa się w ułamku sekundy. Może dzwoni do nas tylko po to, żeby ktoś trzymał ich za rękę. Nie traćcie wiary, chciałby im powiedzieć, logika i technika są po waszej stronie. Nie dziś to jutro, nie jutro to za tydzień, tygrys wlezie z powrotem do klatki.

— 651 — usłyszał w słuchawce. — Pompy obiegu pierwotnego na poprzednim poziomie. — Tym razem obliczyli dobrze. Temperatura sodu doszła do 659 stopni, po czym zaczęła spadać w miarę wzrostu przepływu sodu, który szybciej odbierał niebezpieczne ciepło z prętów paliwowych, przekazując je do wymienników w trzech wciąż działających obiegach: radioaktywny sód oddaje ciepło „czystemu”, „czysty” sód oddaje ciepło wodzie i zamienia się w parę.

I tym razem nie udało się nakłonić odkształconych prętów regulacyjnych do wykonania najmniejszego ruchu, lecz i tym razem przeżyli. O, tygrysie gorejący w nocy...*

Dave położył się z powrotem do łóżka, a operatorzy w Segre, którzy akurat nie mieli dyżuru, na swoje połówki. Otwarto śluzy powietrzne, a włoski kierownik ośrodka, wyczerpany tak bardzo, że nawet nie myślał o śnie, otworzył okno gdzieś na piętrze budynku, by wciągnąć w płuca zapach jesiennej nocy.

Alarm zawył osiem minut później i wszyscy, którzy mieli nieszczęście go usłyszeć, zamarli z trwogi. W obu sterowniach w

każdym sektorze na ścianach z przyrządami zapaliło się jasnoczerwone światło: skażenie chłodziwa obiegu pierwotnego.

To było wszystko, co do nich teraz docierało: błyskające czerwone światła i dźwięk buczków. Czerwone światła: uruchomienie automatycznego układu awaryjnego wyłączania reaktora.

Dyżurujący właśnie kierownik zmiany był w normalnych warunkach całkiem opanowanym człowiekiem. Być może, tak jak wszyscy w Segre, miał za sobą dwa dni napięcia za dużo. Trudno było stosować się do zasady "policz do pięciu i pomyśl", kiedy obsługiwało się reaktor, którego automatyczny system awaryjnego wyłączania nie działa. Wtedy ma się nawet mniej niż jedną setną sekundy, by zareagować na sygnał o zagrożeniu, toteż dyżurny dyspozytor sięgnął do jednego jedyne go środka jakim wciąż dysponował.

[* William Blake, „Tygrys”, przekład Roman Klewin, „Poeci języka angielskiego”, Warszawa 1971 (przyp. tłum.)]

— Pompy obiegu pierwotnego na maksimum. Błąd numer jeden. Błędy numer dwa i trzy: operatorzy, którzy w tym samym ułamku sekundy powinni zacząć odczytywać temperaturę sodu, wciąż jeszcze gapili się jak zahipnotyzowani na czerwone lampki, próbując odgadnąć, co oznaczają.

Kierownik zmiany przesunął do oporu cztery dźwignie sterujące obrotami pomp obiegu pierwotnego i przytrzymał je w

skrajnym położeniu. Kiedy w pompie numer dwa wystąpiło przeciążenie, a układ automatycznego zabezpieczenia chciał ją wyłączyć, naciskiem dłoni anulował działanie tego układu. W ułamku sekundy, jak minął, nim któryś z operatorów wychwycił zapalenie się kolejnej lampki ostrzegawczej, pompa uległa zatarciu.

— Przeciążenie pompy! Drugi operator przebiegł wzrokiem po wskaźnikach temperatury.

— Temperatura sodu stała.

— Pompa obiegu pierwotnego zatarta.

— Dwójka! — krzyknął inny. Dyspozytor zwolnił dźwignie o mniej więcej pół sekundy za późno.

— Temperatura sodu stała?

— Temperatura sodu opada.

„Skażenie chłodziwa obiegu pierwotnego”, przeczytał dyspozytor patrząc na tablicę przyrządów. Ale przecież ten cholerny sól jest skażony od czwartku rano. Na pewno wyłączyłem jego układ alarmowy.

Spojrzał na zegarek. Była 3.34. Dwadzieścia minut temu, tuż przed zwolnieniem biegu pomp, sprawdził wszystkie układy alarmowe, które w momencie naciśnięcia odpowiedniego przycisku automatycznie się włączały. Tylko że potem zapomniał wyłączyć układ sygnalizujący skażenie chłodziwa, a każdy obwód będący w położeniu „czerwonym” włączał się automatycznie co dwadzieścia minut. Te durne lampki i brzęczyki po prostu słuchały

się zegara, a teraz, dając się ponieść panice, spaliły jedną z czterech pomp.

Trzeba zastąpić ubytek wyższymi obrotami trzech pozostałych pomp, pomyślał kierownik zmiany. Spojrzał jeszcze raz na zegar: 3.34. Koniec zadania. Czas trwania: chyba ze cztery sekundy.

— Temperatura sodu 607 odezwał się głos. — Stabilna.

Pół godziny później, już po przeprowadzeniu analizy zdarzeń, podsłuchano, jak któryś z pracowników zadzwonił zdenerwowany do żony i polecił jej szybko wsiadać z dziećmi do samochodu i jechać jak najdalej. Postanowiono zablokować linie telefoniczne. Obsłudze oznajmiono, że wiadomości można przekazywać jedynie za pośrednictwem dwóch kierowników ośrodka. Znaleźli się, wedle określenia kogoś z personelu, w stanie obłączenia.

Na dworze od dawna padał deszcz, rzęśisty i zacinający w podmuchach wiatru z południowego zachodu. Na wzgórzu, za ogrodzeniem, tylko brodacz zdołał zasnąć mimo ryku pary i nie obudził się nawet wtedy, gdy deszcz dał się im we znaki.

Dziewczyna wyglądała na zziębniętą. Jeśli drżała, to nie z powodu bliskości dwóch mężczyzn, między którymi leżała.

Henshaw przyglądał się w ciemności jej bladej, ściągniętej z zimna twarzy i zastanawiał się, skąd się w niej wzięło tyle gniewu. Oglądał w swoim życiu tak straszliwe sceny śmierci i masakry niewinnych ludzi, jakich ona w ogóle nie jest w stanie sobie wyobrazić.

Anna wysunęła się spod płaszcza brodacza, którym była częściowo przykryta, znalazła się u boku Henshawa i odszukała jego dłoń. Jej ręce były rozpalone, a gdy rozpięła dzinsy, jej nienaturalnie ciepłe krocze było wilgotne tylko od potu.

— Zimno mi — powiedziała.

Chciała się onanizować jego ręką, ale było sucho i bolało, więc w końcu dała spokój. Jej oczy, utkwione w jego twarzy, po raz pierwszy przybrały nieśmiały, niemal przeproszający wyraz.

Henshaw z powrotem naciągnął na nią płaszcz i odgarnął mokre włosy z jej oczu. Anna spojrzała na brodacza, ten jednak spał. Ułożyła głowę na ramieniu Henshawa i zamknęła oczy.

4

Punkt czwarty. Bezpieczeństwo reaktora z punktu widzenia projektowania, wykonawstwa i eksploatacji: od czasu stopienia paliwa w reaktorze Lagoona Beach w 1966 roku nie ujawniono żadnych problemów wynikających z rozwiązań projektowych i eksploatacji reaktorów prędkich powielających; nic też nie wiadomo o żadnych problemach z zapewnieniem bezpiecznej pracy reaktorów konwencjonalnych, które odnosiłyby się również do reaktora powielającego, od czasu awarii w elektrowni Three Mile Island (Harrisburg) w 1979 roku, kiedy to NPA została skutecznie okiełznana i opanowana. Według oceny Inspektoratu

Instalacji Jądrowych, w projektach i zasadach eksploatacji reaktorów prędkich powielających celowo dopuszcza się ogólnie niższe odchylenia od normy ze względu na ryzyko wynikające z odmiennej geometrii i potencjału energetycznego rdzenia paliwowego. Jedna strona. Czas pisania: jedna godzina.

Punkt piąty. Zagrożenie dla reaktorów prędkich w czasie wojny lub rozruchów: problem ten w zasadzie jest taki sam jak w przypadku normalnych reaktorów termicznych i nie wymaga oddzielnego omówienia w niniejszym sprawozdaniu. Wyższy potencjał energetyczny reaktora prędkiego powielającego wpływa jedynie na wyższy wskaźnik zniszczeń i zgonów oraz powoduje większe skażenie terenu. Pół strony. Czas pisania: czterdzieści minut.

Punkt szósty. Pluton i jego zabezpieczenie: zabezpieczenie jest trudne, lecz nie niemożliwe, przy czym należy podkreślić, że reaktor prędkie powielający będzie pracować na plutonie przetworzonym z wypalonego paliwa z reaktorów konwencjonalnych, które w przeciwnym razie gromadziłyby się w formie stale rosnącej ilości odpadów wymagających nieustannego nadzoru. Półtorej strony. Czas pisania: dwie godziny.

Wnioski oraz pewne poprawki do pierwszych trzech punktów: chodzi mianowicie o pytania związane z prognozami zapotrzebowania na energię, bezpieczeństwem i usuwaniem odpadów. Na pytania te nie uzyskano zadowalającej odpowiedzi, co przesądza sprawę. Trzy i pół strony. Czas pisania: dwie godziny.

Dokument był gotowy o piątej nad ranem, pozostało tylko przepisać go na maszynie.

Było tak cicho, że przez krótką chwilę wydawało mu się, że nastąpił koniec świata. Coś się niewątpliwie stało z wiązem Pendle'a, który wciąż się jawił jak czarny szkielet na białym tle, ale już bez księżyca. Gordon Podniósł się zesztywniały i wyczerpany i pochylił nad biurkiem, przytykając twarz do szyby. Świat wyglądał zdecydowanie dziwnie. Wyciągnął rękę i zgasił lampę.

Śnieg! Miękki, puszysty śnieg. Przeszedł przez ciemny Pokój, otworzył oszklone drzwi i wyszedł na dwór. Może to szron, a jeśli śnieg, to prószył bardzo krótko, taki czysty, jasny i zimny. Gordon powędrował w pantoflach na biały trawnik i stał tam nieruchomo w ciszy, powoli uświadamiając sobie konsekwencje swej ostatecznej decyzji. Czy kiedykolwiek zdobędę się na to, by stąd wyjechać? Nie odważył się obejrzeć i spojrzeć na dom, choć wiedział, że jeszcze przed świtem będzie musiał zastanowić się nad konsekwencjami tego, co postanowił. I to nie tylko on.

Spoglądał na swój cień na śniegu, stojąc w świetle latarenki umieszczonej na rogu garażu; na tle bieli cień wydawał się niebieski. Zaledwie osiem dni, pomyślał, a skończyło się babie lato, minęła jesień i nadeszła zima. Zaledwie osiem dni, a skończył się pewien rozdział w moim życiu.

Jak to powiedział Blaszana Rączka? Nie powinno się zrzucać ciężaru takich decyzji na barki jednego człowieka. To niezupełnie tak, rzekł Gordon w stronę swego błękitnego cienia. W tej grze

decyzje zazwyczaj podejmuje zespół i często możesz wybierać, czy podejmujesz się odpowiedzialności, czy wolisz scedować ją na kogoś innego. Może zdziwiło go odkrycie, że wciąż ma siłę stanąć okoniem; jeszcze bardziej zdumiało go, niemal przeraziło, to, że był wciąż na tyle wytrwały, by doprowadzić swą decyzję do logicznego czy też nielogicznego zakończenia.

Z drugiej strony trawnika dobiegł szmer. Gordon obrócił się w tamtą stronę. Może jakieś zwierzątko, a może topniejący śnieg spadający z gałęzi. Zbliżał się świt. Długo ten śnieg nie poleży.

Spojrzał na zegarek. Za pół godziny zrobi herbatę i zanieśie na górę. „Świat jest zaczarowany”, powie szeptem śpiącej Mary. „Gdy wstanie słońce, wszystko zniknie”. Ona, złorzecząc co nieco, wciągnie coś na siebie i pójdzie z nim na dwór, a on w końcu zdobędzie się na odwagę i powie jej, co ten nowy dzień będzie oznaczać w ich życiu.

A tymczasem, gdzieś w szpitalu hen za wzgórzem, Joss śpi i nie wie, że spadł śnieg. I nigdy, mam nadzieję, nie dowie się, w jaki sposób jego nieudana szarża pośrednio wpłynęła na moje postanowienie.

Roxy obudził się z uczuciem niepokoju, które zrodziły białe światło w oczach i głosy dochodzące z miejsca, gdzie głosów być nie powinno. Roxy zawsze spał przy otwartym oknie i rozsuniętych zasłonach; kiedyś na jego stoliku znaleziono nawet szklanę z zamarznąłą wodą.

Śnieg, pomyślał z niedowierzaniem. Tylko skąd takie zaaferowane głosy na trawniku o szóstej nad ranem?

Gordon spostrzegł nagi tors starszego syna w oknie na piętrze w chwili, gdy Mary, zdumiona i zmieszana, odwróciła się od niego i poszła po śniegu do domu. Wiedział, że wróci do sypialni i będzie płakać.

— Dlaczego?

Spytała, „dlaczego”. Czemu to jest takie ważne?

A kiedy, w kilka minut później, Roxy usłyszał za ścianą jej stłumiony szloch, na jego twarzy pojawił się wyraz gniewu i strachu.

Na dole, przez następne dwie godziny, uparty człowiek walił jednym palcem w zabytkową maszynę, podczas gdy żona i syn siedzieli w swoich pokojach, nie mogąc uwolnić się od tego hałasu.

5

Henshawowi zdawało się, że przed świtem Anna zasnęła. Gorączka chyba mijała, jej oddech był równiejszy. Od czasu do czasu zapadał w drzemkę i budził się przy każdym silniejszym podmuchu, w każdej chwili spodziewając się deszczu, który ich znowu przemoczy. Tu, po zachodniej stronie wzgórz, rozjaśniało się powoli, a on nie ruszał się i nie odzywał, dopóki nie nabrał pewności, że ta fantazja naukowa rozgrywająca się w niecce u stóp

wzgórza jest znowu wyraźnie widoczna. Na czworakach wczołgał się na wystającą skałę, pod którą spędzili noc. Widok był ten sam co poprzedniego dnia: para uchodząca pod dużym ciśnieniem z trzech spośród czterech wytwornic, budynek czwartej wytwornicy bez oznak życia. Cały zresztą ośrodek wyglądał na opustoszały. Zabawne by było, pomyślał, gdyby się okazało, że ten położony na odludziu kompleks jądrowy został ewakuowany, a my troje zostaliśmy tu jako naoczni świadkowie jego ostatnich chwil. Gdy po paru minutach poczuł dotyk na ramieniu, podskoczył jak gdyby spodziewał się ataku jakiegoś potwora z przestworzy. Była to Anna, zziębnięta i blada.

— Nie mogę iść — powiedziała. Chyba ze dwa będę się wlokła z powrotem.

Zsunął się ze skały w jej kierunku, lecz odepchnęła go.

— On jeszcze śpi — rzekła. — Teraz powiem ci, wiem, i pójdziesz sam.

Jej twarz, pomyślał, wygląda jak śmierć o poranku.

— To wcale nie jest skomplikowane. Sam mógłbyś to wymyślić. — Dotknęła jego ramienia i wskazała rosnące w dole cyprysy i zarośla. - Widzisz te śliczne kamyczki? — Żółty krąg na betonowej płycie otoczonej mozaiką białych i czarnych kamieni w kształcie wachlarza. — To dla helikopterów. Jeden po tej stronie, drugi po tamtej. Tu lądujemy. Na lotnisku udajemy, że jesteśmy ekipą filmową, wiesz, torby pełne sprzętu, itp. Wynajmujemy dwa helikoptery, żeby filmować nadmorski" miejscowości. Porto San

Stefano, Argentario, tylko wcale tam nie lecimy. — Rysowała palcem w błocie kr budynku reaktora i rozchodzące się wachlarzowato pozostałe budynki. — Cztery wytwornice pary — wskazała.

— Cztery rury z sodem ukryte dwa metry pod ziemią — Wykreśliła cztery grube linie ilustrujące połączeni wytwornic z reaktorem. Jeden helikopter ląduje po wschodniej stronie, drugi po zachodniej. W każdym helikopterze są dwaj mężczyźni z bombami w torbach. Po jednej bombie na każdą rurę od sodu. Łatwo je znaleźć. Są przy nich sporej wielkości włazy. Użyjemy silnych ładunków, po wybuchu zostaną kraterzy głębokie na trzy metry. Reaktor albo się wyłączy albo wyleci w powietrze. Starczy na to pół minuty. Zanim dobiegną strażnicy, helikoptery odlecą. Henshaw przyjrzał się jej z niedowierzaniem.

Jeżeli pozbawicie reaktor czterech obiegów chłodzących, ośrodek na pewno wyleci w powietrze, i to samo stanie się chyba z wami. Jak również z połową Toskanii.

Tak. Z wyrazem powagi na swej drobnej bladej twarzyczce śmiała się. z niego, a jego przeszedł dreszcz grozy.

Ona gotowa to zrobić, pomyślał. Z. premedytacją i wściekłością.

Anna przewróciła się na plecy i z kieszeni dzinsów wyciągnęła kartkę papieru z nazwiskiem inżyniera w Segre, do którego Henshaw napisał list.

Musisz się z nim zobaczyć powiedziała. Musisz go spytać, co się tu stało.

— A jeśli nie przyjdzie?

— To my wrócimy z bombami.

— Beze mnie.

Stłumiła skowyt, który miał być śmiechem.

Tak, bez ciebie. Ty i Donny możecie o tym tylko Pisać albo czytać. — Z drugiej kieszeni wyciągnęła kluczyki od samochodu i podała mu je. W samochodzie jest mapa, a w niej ołówkiem zaznaczone miejsce, w którym macie się spotkać. Uśmiechnęła się. — Mam na imię Anna — powiedziała. — Mój brodaty kolega pomoże mi wrócić do domu.

Drobna, zziębnięta, właściwie brzydka i wyzywająca, a ponad wszystko szalona, zsunęła się ze skały i wpełzł z powrotem pod płaszczysko brodacza.

Kiedy ten obudził się wreszcie pół godziny później Henshaw niknął już z oczu. Przeszedł półtora kilometra przez chaszczę i ciernie tą samą co wczoraj drogą p< grzbiecie klifu. Brodacz patrzył, jak jego więzień znikł w oddali.

Będę musiał nieść tę wariatkę, bo inaczej umrze n; zapalenie płuc. Pomógł jej podnieść się z ziemi i otuli swoim płaszczem.

— Dałaś mu kluczyki.

On po nas wróci — odparła.

Segre, 8.15: furgonetka dostarcza ranną pocztę na posterunek kontrolny.

8.40: dyżurny strażnik wrzuca list do przegródki Enzo. Przynajmniej raz coś innego niż te czasopisma i wyciągi z banku, pomyślał przekonany, że ten list bez adresu nadawcy zawiera jakieś sekretne wyznanie miłosne.

6

Sterownia północna, 9.09: przygotowania do zwolnienia pracy pomp i podniesienia temperatury sodu do 685 stopni. Ośrodek łączy się telefonicznie z Londynem i Marcoule.

Sterownia południowa, 9.10: rezerwowa zmiana dubluje dyżurną zmianę, by razem śledzić wszystkie najważniejsze parametry pracy reaktora.

— Nie muszę wam przypominać mówi im Enzo — że zostały nam trzy obiegi chłodzące i trzy pompy. Jeżeli usłyszycie albo spostrzeżecie jakiegokolwiek komplikacje, krzyczcie natychmiast. W obecnej sytuacji nie macie czasu policzyć nawet do jednego.

Wszyscyśmy powariowali, pomyślał. Jesteśmy jak zgraja dzieciaków usiłujących ugasić ognisko przy pomocy baniek z benzyną.

W obydwu sterowniach wszyscy są teraz kłębkiem nerwów. Rozdrażnieni ludzie, którzy za mało śpią, za bardzo się boją, a w dodatku martwią się lub wściekają z powodu zablokowania telefonów.

9.15. Rozlega się głos głównego dyspozytora:

— Zwalniam pompy numer jeden i trzy. Zwalniam pompę numer cztery. — Przesunął dźwignie pieszczotliwym niemal ruchem, ledwo dostrzegalnym nawet dla niego samego. Temperatura zaczęła się wznosić o jeden, dwa stopnie: 608, 610, 611... Odczyty podawano prawie szeptem, jakby jedno głośniejsze wypowiedziane słowo mogło obudzić drzemiącą bestię.

— ...617, 618, 619...

Ileż to już razy przekraczali 620 stopni w ciągu ostatnich dwóch dni, nie powodując przy tym katastrofy?

— 620 oznajmił któryś z operatorów w momencie, gdy zapaliła się pomarańczowa lampka trzeciej wytwornicy pary i rozległ się alarm pożarowy.

Podwyższona temperatura, ciśnienie i naprężenia w ciągu ostatnich dwóch dni doprowadziły w końcu do powstania kolejnej nieszczelności we wtórnym wymienniku ciepła. Mogła to być zrazu cieniutka strużka wody uchodząca przez pęknięcie w spawie lub zgięciu rury, Przez moment powstrzymana przez różnicę ciśnień w obydwu systemach, która w końcu zetknęła się z sodem. Nastąpił wybuch, a z pęknięcia zrobiła się wyrwa. Tak jak uprzednio, postępowanie awaryjne przebiegło w sposób całkowicie zautomatyzowany. Operatorom pozostało tylko odczytywać na przyrządach zapis faktów dokonanych.

Pożar sodu w wytwornicy trzeciej.

Zatrzymanie pracy wytwornicy trzeciej. — System gaśniczy uruchomiony.

Budynek trzeciej wytwornicy odcięty. Drugi z czterech systemów chłodzących został bezpowrotnie uszkodzony i temperatura zaczęła wzrastać. ...625, 628, 630, 633... Podwyższono obroty pomp pierwotnego obiegu, lecz tylko nieznacznie zahamowało to wzrost temperatury. ...637, 639, 642... Dyspozytor nie miał innego wyjścia jak podnieść obroty pomp do maksimum, tym samym zwiększając przepływ sodu.

...645, 647, 647, 648, 647...

Temperatura zaczęła powoli, bardzo powoli opadać. - ...646, 645, 644, 643, 643, 643...

643 i już. Ani kroku dalej. Wszędzie zapadła głęboka cisza: w obydwu sterowniach, w pokoju Dave'a w londyńskim hotelu, u inżyniera w Marcoule. Panika chwilowo minęła, lecz reaktor cały czas utrzymywał temperaturę wyższą o blisko 130 stopni od normalnej, przy czym kierownikowi zmiany udawało się ją utrzymać na tym poziomie tylko dzięki temu, że trzy pompy sodowe obie pierwotnego pracowały cały czas z prędkością dużo wyższą od maksymalnej bezpiecznej prędkości. Jak długo te trzy pompy wytrzymają i ile czasu upłynie, ni! temperatura i ciśnienie spowodują następną nieszczelność w dwóch ocalałych obiegach chłodzących?

Kierownicy ośrodka kazali przełączyć rozmowy z Londynem i Marcoule na aparaty znajdujące się w biurze na piętrze.

Przynajmniej tym razem nie było sporów: pełnej ewakuacji dłużej odkładać nie wolno.

Dave Ridgeway czekający przy telefonie w Londynie gotów był się modlić po raz pierwszy w życiu. Waszyngton i tutejsza ambasada przyśpieszyli, co się tylko dało, lecz nawet jeśli Anglicy nie będą się opierać, sfinalizowanie rozmów zajmie jeszcze z pół dnia. Najbliższe trzy godziny będą rozstrzygające jeśli chodzi o decyzję strony angielskiej, najwięcej zaś zależeć będzie od Martina Reida. Wystarczy słówko o ewakuacji we Włoszech, a Martin niemal na pewno zmusi Whitehall do odwrotu. Spośród prominentów, jedynie sekretarz spraw zagranicznych wiedział o awarii.

W słuchawce odezwał się drżący z napięcia głos włoskiego kierownika ośrodka.

Rzym zgodził się nie ogłaszać ewakuacji do momentu zakończenia wojskowych przygotowań do tej operacji powiedział. Zajmie to jeszcze przynajmniej sześć godzin. Tak jak dotąd, będziemy ją przeprowadzać pod przykrywką manewrów NATO.

Toskańska Szrama, pomyślał Dave. Ta „szrama” nagle przybrała całkiem realny kształt, tak realny, że bał się go sobie nawet wyobrazić. Byli na krawędzi tego, co jest nie do pomyślenia.

Włoch mówił dalej, teraz już niemal szeptem.

Nie wiem, ile czasu panu potrzeba. Zaczyna wyglądać na to, że nam potrzeba wieczności. Nic więcej nie jesteśmy w stanie uczynić. Siedzimy na bombie.

7

Szaraban Reidów wjechał w niewłaściwą bramę i znalazł się na schludnym podwórzu minutę po jedenastej, zgodnie z harmonogramem, który całej rodzinie kazał zwlec się z łóżka o piątej nad ranem.

Sekretarz spraw zagranicznych ruszył im na powitanie. Ubrany był w sztruksowe spodnie, sweter i skórzane buciory; przy nodze szły posłuszne mu psy.

— Zawsze chciałem taki mieć — odezwał się, klepiąc ręką maskę samochodu Martina. — Ale mnie nie stać.

Rozklekotany range rover z trzeciej ręki. Albo żartuje albo się ze mnie naigrawa, pomyślał Martin.

— Zimą Helen tylko takim może dojechać w różne miejsca powiedział. — Rozwozi posiłki dla osób niepełnosprawnych.

— Cieszę się, że znów panią widzę — powiedział Ordish. I, poklepując wymęczone podróżą dzieci, dodał:

— Ty na pewno jesteś Colin, a ty Alison. Przygotowany bez zarzutu, pomyślał Martin. Sekretarz spraw zagranicznych jak zawsze brylował w drobiazgach.

— Dobrze się jechało? Nie uwierzycie mi, ale u nas ranem był śnieg.

Żona sekretarza wyłoniła się zza stodoły w swetrze i zabłoconych gumiakach. Helen z wdzięcznością podążyła w jej stronę.

— Żona będzie zabawiać panie, a zarządca oprowadzi dzieci po farmie. Ordish zwrócił się do dzieci. Myśl że się wam spodoba. Mamy wszystkiego po trochu, krowy, świnki, drób, a potem przejedziecie się traktorem.

Psiakrew, pomyślał Martin. Co on sobie myśli? dzieci od urodzenia mieszkają na wsi. Lecz Colin i Alison, pomni pouczeń, okazali wielki entuzjizm. Być może podobnie jak ich ojciec, nie mogli pojąć, jak farma może wyglądać tak schludnie. Najwidoczniej krowy i świni wpuszczano tu tylko tylnymi drzwiami.

— Spodziewa się pan, jak mniemam, swego podsekretarza do spraw energetyki jądrowej — powiedział Ordish, prowadząc Martina wzdłuż krzewów w stronę swego dworku w stylu Jakuba I.

— Będzie wpół do dwunastej. A w południe zastępca podsekretarza.

Aha, panna Davies, nieprawdaż? Wywarła na n duże wrażenie. Ordish ujął go pod rękę. — Wie pa Martin, wygląda na to, że Amerykanie na wszystko się zgodzą. Zdaje się, że z Francuzami i Włochami Ridgeway miał drobne kłopoty. Może uda się przekształcić ten weekend w „anglosaskie rozwiązanie”.

Wysypany żwirem podjazd przed domem przypominał Martinowi garaże Whitehallu: siedem czarnych służbowych limuzyn różnych marek, przypisanych do poszczególnych szczebli hierarchii. Na oko trzech sekretarzy stanu w randze członka gabinetu, jeden wiceminister i trzech stałych podsekretarzy. Co ta zmija przygarnęła do swego łona?

Kilku dodatkowych gości — wyjaśnił Ordish od niechcienia, wyczuwając niepokój Martina. Dick wpadł na jeden dzień.

Kanclerz skarbu. Ponadto sekretarze stanu do spraw środowiska naturalnego, handlu i przemysłu. Gordon wszystko trafnie przewidział, a ja idę tu jak prosię na rzeź, pomyślał Martin wchodząc z Ordishem do środka.

Wszystko było gotowe. Kanclerz Dick oczekiwał ich w pomieszczeniu, które, jak domniemywał Martin, nosiło miano biblioteki. Ledwo jednak rozpoczęła się wymiana zdawkowych uprzejmości, rozległo się najwyraźniej nie przewidziane w scenariuszu pukanie do drzwi. Ordish starał się je zignorować, lecz zdenerwowany osobisty sekretarz ostrożnie wsunął głowę w drzwi. Telefon z Rzymu, panie sekretarzu. Prosiłem, żeby wszystkich spławiać. Nie ma mnie dla nikogo.

To z ambasady. Chyba coś związanego z NATO.

Mimo wyraźnej aluzji, Ordish dalej nie rozumiał. Toskańska Szrama — powiedział osobisty sekretarz, cichym i jakby trochę zmieszonym głosem.

Palmerston, pomyślał Martin, gdy Ordish pośpiesznie przeprosił ich i wyszedł. Czy to nie Palmerston ulokował kiedyś swą przyjaciółkę w Rzymie? Martin spoglądał na drugi aparat stojący na biurku, próbując wyobrazić sobie lubieżną pogawędkę, jaką prowadzi sekretarz ze swą odległą kochanką. Przy swym klasycznym wykształceniu z pewnością mógłby wymyślić jakiś bardziej odpowiedni kryptonim dla tej biedaczki.

Napije się pan? Pieszczoch Dick z gotowymi planami obniżki podatków podczas kampanii wyborczej w związku z dochodami z ropy z Morza Północnego. Porzucony tak nagle przez Ordisha, biedak nie bardzo wiedział, co powiedzieć. — Nareszcie urloplik z dała od Boadicei — stwierdził. — W Chequers* można teraz umrzeć z nudów.

— Szkoda słów rzekł Martin, unikając tacy z trunkami. Lepiej weźmy się za to, co nas tu sprowadza. Kij czy marchewka?

Ha, ha!

Wymuszony, astmatyczny rechot. Kanclerz skarbu zawsze wydawał z siebie dźwięki, jak gdyby miał się właśnie zakrztusić na śmierć. O Boże, jaka szkoda, że nie znam lepiej tych facetów, pomyślał Martin.

— Sekretarz spraw zagranicznych domaga się wyłożenia kart na stół. Jakby nie wiedział, że ja nigdy nie dostaję żadnych kart. Dick grzał sobie tyłek przy kominku. U mnie stale budżet, i tyle. Zawsze kończy się tymi samymi nudnymi bilansami, obojętne, czego to dotyczy.

— Niech zgadnę — rzekł Martin, przyglądając się tytułom na półkach za szkłem: oprawne w skórę grzbiety kupowane na metry. O własnych siłach nigdy nie będziemy w stanie sfinansować budowy KDRPP. Prawda?

— No, no. — Dupsko odsunęło się odrobinę od ognia i Dick spojrział w stronę drzwi, oczekując zapewne, że pojawi się w nich Ordish i wybawi go z opresji. Jest pan lepiej poinformowany niż ja. Ja nawet nie wiem, że to się nazywa KDRPP. Dickiem zatrzęsł chrapliwy kaszel, a Martina naszła refleksja, gdzie też kanclerz ma zamiar wypluć flegmę. Ale nie, on ją po prostu przełknął. Przeglądał pan gazety?

[* Chequers podmiejska rezydencja premiera (przyp. tłum.)]

Martin kupił gazety na rogu North Audley i Oxford Street, gdy ruszali na południe. Helen czytała mu wyjątki na Old Kent Road.

— Ten przeciek strasznie rozjątrzy o.p....

Co to jest u diabła o.p.? Odór publiczny? Odbiór publiczny? Aha, opinia publiczna.

...lepiej więc może wszystko ustalić, lecz na razie nic nie ogłaszać. Zakładając oczywiście, że wysoki sędzia da wam zielone światło. A przecież da, prawda?

— Nie mam pojęcia.

Na pewno da. Oczywiście, że tak, a zrobi to, jak tylko on to potrafi: z zaleceniami, zastrzeżeniami i pustosłowiem. Musi jakoś wykazać, że koszty opracowania raportu nie poszły na marne. Kanclerz odwrócił się dupskiem od ognia i zaczął grzać sobie jaja.

Tak. Miał pan rację. Albo razem z Jankesami albo wcale. Oczywiście, coś za coś. Dwunarodowe konsorcjum z zagwarantowaniem sporych dodatkowych korzyści. Jeśli będziemy budować u siebie, zagarniemy lwią część. Nowe miejsca pracy. Korzyści handlowe. No i nie będziemy tak daleko w tyle za Francuzami. — Kanclerz zrezygnował z dalszego przypiekania swej cielesnej powłoki i zaczął krążyć bez celu po dywanie, zwracając się do publiczności zgromadzonej gdzieś na suficie. — Wie pan, zebrała się tu dzisiaj całkiem zgrana paczka. Roger, Beryl, Mike i Allan. Nasza koalicja centrowa. Północny zachód z południowym wschodem. Najwyższy czas wywrzeć trochę nacisku.

— W sprawach ochrony zdrowia czy oświaty?

— Odezwał się doktor Martin ze swoją wrażliwością na sprawy społeczne.

Dochody z ropy z Morza Północnego wzrastają o dwanaście procent. Dlatego pieniądze podatników powinniśmy wydać na coś, na czym wszyscy skorzystają.

— A jak pan widzi korzyści płynące z KDRPP?

— Z punktu widzenia budżetu państwa, KDRPP to wydatek rządu miliarda funtów. A my tymczasem tniemy tu dziesięć milionów, tu dwadzieścia, i likwidujemy szkoły i sale operacyjne.

Grubas mrugnął i zwrócił się w stronę drzwi. Jego głos nie był już tak przymilny.

— Dam panu lekcję z realpolitik, Martin. Nieudolnie się pan targuje. Dzisiaj nikt tu nic nie sprzedaje ani nie kupuje. Ordish nigdy nie miał ochoty prowadzić targowiska. Dlatego jest takim kiepskim farmerem. Dzisiaj zaś albo pan bierze to, co dają, albo nie dostanie nic. Uświadamiam pana najdelikatniej jak można. Wszystko jedno, czy chodzi o reaktor prędkości, świadczenia społeczne czy następny samolot dla NATO. Nie stać nas na wszystko. Tyle mam do powiedzenia ze swej strony.

Nie wiedziałem, że tak wygląda delikatne uświadamianie, pomyślał Martin nieco zaskoczony. Wydaje mi się raczej, że niezbyt delikatnie zostałem usadzony.

Ale gdzie się podział mój gniew? Czemu moim kolegom z rządu tak łatwo mnie wystraszyć? Martin spojrzął za okno. Z podwórza wyjeżdżał traktor z przyczepą pełną dzieci. Policzył, że było ich ośmioro, co musiało oznaczać obecność co najmniej jeszcze dwóch żon lub mężów stanu dryfujących po posiadłości. Cóż, może nadeszła pora, bym wraz z Helen nawiązał nieco kontaktów towarzyskich na szczeblu gabinetu? Dick miał z grubsza rację, gdy mówił o politycznym zabarwieniu zebranej tu grupki. Wszystko, co na lewo od skrajnej prawicy, uchodzi dziś za centrum. Czyżby Ordish i Dick chcieli utworzyć nową koterię? Pomysł był niezły. Martin zaczynał mieć już dosyć swego osamotnienia w gabinecie.

Mike i Allan pomachali do niego z trawnika. "Straszne bliźniaki" handel i przemysł. Teraz ich pewnie podeślą. Dick miał

dla niego kij, zatem "bliźniaki" przyniosą pewnie marchewkę. Nowe miejsca pracy na północnym wschodzie, ani chybi. Może fabryczka albo dwie dla jego ginącej osady górniczej? Na podjeździe ujrzał Ordisha, pogrążonego w rozmowie z którymś ze swoich urzędników. Ciekawe, jak mu poszło z ową Rzymianką, która tak się dziwnie nazywa.

8

Od trzech godzin dowództwo sił zbrojnych prowadziło operację Toksańska Szrama. Piętnaście tysięcy żołnierzy klęło na czym świat stoi: przepustki na sobotę i niedzielę zostały cofnięte, a im kazano po raz drugi w tym tygodniu płynąć, lecieć lub jechać kolumnami pustych ciężarówek i autobusów z północy i południa do Toskanii.

Dwie specjalistyczne ekipy pozostały w Toskanii od czasu pierwszego, czwartkowego alarmu, który później został odwołany. Zgodnie z rozkazami płynącymi z Rzymu od ostrożnie działającego ministra, prowadziły one w dalszym ciągu swe niekonwencjonalne przygotowania, gotowe do rozpoczęcia akcji ze swym nowym rynsztunkiem. Jedna grupa to celeri, oddziały policji do zwalczania zamieszek. Wszyscy mieli już na sobie białe kombinezony zabezpieczające przed promieniowaniem, białe buty i maski na twarzach. Ich zadaniem było patrolowanie terenów

objętych ewakuacją, egzekwowanie przestrzegania godziny policyjnej i zapobieganie grabieżom. Rozkaz był prosty: strzelać bez ostrzeżenia. Drugą grupę stanowiły oddziały medyczne wojska, wyglądające równie groteskowo w białych kombinezonach i maskach, przeszkolone o ile to w ogóle było możliwe w leczeniu choroby popromiennej i usuwaniu skażonych ciał. Obydwie grupy przeszły ekspresowy instruktaż w ośrodkach badań nad skutkami skażeń promieniotwórczych, w którym małpy i myszy zostały chwilowo odstawione na dalszy plan. Przygotowano łóżka dla ewentualnych ofiar skażenia, które wraz z małpami miałyby się stać obiektem doświadczeń. Zarówno policja jak i medycy zostali ostrzeżeni, czego się mogą spodziewać w razie katastrofy.

Może to wyglądać na koniec świata powiedział im instruktor.

Z Segre łączono się Dave'em Ridgewayem punktualni co godzinę. Krytyczność utrzymywała się na ustabilizowanym poziomie, temperatura sodu bez zmian, wahająca się w najgorętszym miejscu od 642 do 644 stopni. Jeden z członków obsady głównej sterowni nie wytrzymał napięcia i zemdłał, a rezerwowa obsada przejęła własni cztery kluczowe stanowiska w głównej sterowni.

Chciałbym znaleźć kogoś, kto mnie w tym zastęp pomyślał Dave. Atmosfera tego pokoju zaczyna się upodabniać do atmosfery celi skazańca. Siedzę tu i czekam n złe wieści.

Do stojącej na nocnym stoliku szklanki wlał następną porcję Jack Danielsa i uniósł ją w górę, w stronę McClarena, który siedział w drugim końcu pokoju i miał za złe Anglicy odezwą się nie wcześniej niż za godzinę.

9

Nawet na wzgórzach śnieg stopniał i nie pozostało po nim ani siadu, gdy Gordon, nienaturalnie spokojny, wyjeżdżał z domu. Z kuchni patrzyła na niego Mary. Trzymała się dzielnie, lecz wiedział, że targały nią wątpliwości i obawy. Roxy okazał swą dezaprobatę zamykając się w swoim pokoju i wygrywając gniewne tony, mimo że długo nie wiedział, co zaszło. Dopiero na dziesięć minut przed odjazdem Gordon przyszedł do jego pokoju. Decyzja Gordona dotyczyła Roxy'ego w równym stopniu co pozostałych domowników. Ojciec mówił, a syn słuchał, posępny i wrogo nastawiony z powodu wyraźnego przygnębienia matki.

— Chryste, aleś pochrzanił... — Gordon miał nadzieję, że spotka się z zupełnie inną reakcją. Potrzebował jej, by zebrać siły i ukoić nerwy w oczekiwaniu konfrontacji na ranczu Ordisha: pojedynek na wzgórzu Mereworth.

Jego broń leżała obok, na przednim siedzeniu: siedem stron maszynopisu w czterech egzemplarzach. Jeden dla sekretarza stanu do spraw energetyki, jeden dla niego, jeden do wysłania

stałemu podsekretarzowi, w razie potrzeby z listem wyjaśniającym, i jeden, jak postanowił, dla Kate, której zrozumienie było mu teraz bardzo potrzebne.

Martin Reid konferował właśnie ze strasznymi bliźniakami, gdy dostrzegł zatrzymujący się na podjeździe renault Gordona. Przeprosił rozmówców, przerywając im szczegółową a optymistyczną analizę zysków, jakie budowa reaktora prędkiego przyniesie w dziedzinach, za które byli odpowiedzialni. Jak dotąd, marchewki jako takiej nie pokazali, choć Martin czuł jej zapach przebijający przez dezodorant słów.

Gordon — posiwiały, lecz, zdaniem Martina, znacznie mniej dziś wymięty niż zazwyczaj. Martin był dziwnie podenerwowany, gdy spotkali się przed dworkiem, a ponadto zauważył, że sekretarz spraw zagranicznych gdzieś zniknął.

Niezły spisek — powiedział Gordon, wskazując ruchem głowy rządowe limuzyny. Martin wykrzywił twarz.

— Czuję się tu jak mały chłopiec na podłodze w przedszkolu, na którego zważyło się pięciu starszych braci.

— Przyjrzał się Gordonowi i uznał, że obaj czują się nieswojo. Niech pan wejdzie na drinka. Puścił oko i powiedział:

Prosię z jabłkami. Gordon wyciągnął z koperty jeden egzemplarz sprawozdania.

— Jeśli panu to nie robi różnicy, panie sekretarzu, rozejrzę się po okolicy, a pan w tym czasie rzuci na to okiem.

Martin wziął maszynopis i zważył go w ręku.

Idealna objętość. Nawet ja powinienem być w stanie to przetrwać. Spojrzał na zegarek. Niech mi pan da dziesięć minut. Spotkamy się w oranżerii.

Podsekretarz zanurzył się w labirynt rabat z różami, a sekretarz, czytając już pierwszą stronę, wszedł do oranżerii. Gordon złapał się na tym, że linijka po linijce, akapit po akapicie, powtarza w myśli tekst swojego sprawozdania i próbuje sobie wyobrazić reakcję Martina. Był absolutnie pewny, że stały podsekretarz ostrzegł wszystkich o zmianie jego poglądów. Obfitość rządowych limuzyn zdawała się wskazywać na najazd silnej grupy z Whitehallu, gotowej wkroczyć na scenę z oficerskimi trzcinkami w dłoni. Gordon zastanawiał się, czy Kate już przyjechała. Nagle poczuł, że bardzo chce ją zobaczyć i usłyszeć jej głos. Jak by to było wspaniale przyjechać tu we dwoje i dzielić z nią tę niesubordynację, choć byłoby to bardzo nie fair wobec niej. Prawdę mówiąc, Kate może sporo skorzystać na tym, że wyszło tak jak wyszło. Już wcześniej wysoko oceniono jej wkład w opracowanie materiałów do raportu, teraz zaś, gdy sprawa zostanie sfinalizowana, jej właśnie przypisywać się będzie w kręgach Whitehallu zawarcie konkordatu z Waszyngtonem. Moja pieczołowicie kształcona asystentka, słodka kruszyna, myślał Gordon. Jeżeli nie będzie stawać okoniem, może zająć o wiele dalej niż jej mentor.

W oddali widział grupkę niewiast okrążających zagajnik. To żony sekretarzy dokonujące inspekcji terenu. Ciekawe, pomyślał

Gordon, kto gotuje dla takiej liczby gości. Znając Ordisha, pewnie zamówił posiłki w firmie zaopatrującej rząd.

Stanął przed oranżerią. Za szybą, pośród pelargonii w doniczkach i drzewek pomarańczowych w wielkich skrzyniach, ujrzał sylwetkę Martina i poczuł mając nadzieję, że po raz ostatni jak strach paraliżuje mu serce i skręca żołądek. Była to z całą pewnością jego ostatnia szansa zmiany taktyki. Chociaż nie, to wcale nie jest taktyka, pomyślał zapalając papierosa, choć prawie nie palił. Poza tym, nie oczekuje wygranej.

Martin otworzył drzwi i Gordon wszedł do oranżerii. Wewnątrz było chyba chłodniej niż na dworze.

Mam nadzieję, że wyglądam równie źle, jak się czuję zaczął Martin.

Gordon odchrząknął i chciał coś powiedzieć, lecz sekretarz ciągnął dalej.

Wic pan zapewne, że ostrzeżono mnie, że może pan zmienić stanowisko, uprzedzono o tym wszystkich tu obecnych. Machnął ręką gdzieś w kierunku ogrodu.

Prawdopodobnie zdaje pan sobie również sprawę z tego, że moje poglądy na tę sprawę są bardzo niejasne, by nie rzec ambiwalentne. Narastające przez cały tydzień naciski ze strony Whitehallu wcale nie pomogły mi się zdecydować.

Próbuje ukryć swój odwrót, pomyślał Gordon. Tłumaczy się, czemu ma pietra. Mam nadzieję, że dam mu nauczkę.

Martin dojrzał daleko w polu traktor z przyczepą, który zatrzymał się przy grupce kobiet.

Kobiety i dzieci zaśmiały się. Tak niewinnie to wszystko wygląda, prawda? Weekend na wsi, a przy okazji odwalimy trochę roboty. Odwrócił się plecami od szklanej ściany. Tymczasem prawda jest taka że jest między nami dwóch śmiertelnie poważnych facetów, którzy na dodatek są pozbawieni wszelkich skrupułów, toteż nie bardzo jest nad czym debatować. Tak jak myśleliśmy, Ordish zawarł jakąś umowę z Departamentem Stanu i teraz jest absolutnie zdecydowany na zawarcie paktu z Amerykanami w sprawie reaktora prędkiego. A ponieważ z kolei kanclerz skarbu stara się zmontować własną grupę nacisku w gabinecie, gotów jest iść ręką w rękę z Ordishem, bo myśli, że z jego pomocą odziedziczy kiedyś to stadko. Handel, przemysł, i ministerstwo pracy. Całkiem niezły zestaw.

A do tego energetyka i środowisko naturalne? Środowisko nie — odparł Martin. - Beryl nie jest ani po tej, ani po tamtej stronie. Pomachał ręką, w której trzymał plik kartek dostarczonych przez Gordona. — Jej chodzi tylko o to. Wzięła nawet ze sobą stałego podsekretarza. Pewnie kazali im powiedzieć nam, że są bardzo zadowoleni z rozwiązania kwestii bezpieczeństwa i usuwania odpadów. Martin spojrzął na Gordona. - A zatem zostaje energetyka. A ściślej biorąc, sekretarz stanu do spraw energetyki, bo mojemu stałemu podsekretarzowi udało się zachorować i oszczędzić sobie sporu ze mną na oczach pozostałych.

Martin położył maszynopis na mokrym, żelaznym stoliku, a Gordon patrzył, jak krople wody wsiąkają w siedem stron jego ciężkiej pracy.

— Gdyby nie to, że tak trudno mi być z panem choćby odrobinę nieszczerym... Martin stukał palcami w szybę oranżerii.
— Tak bym chciał móc powiedzieć panu, że uważam to sprawozdanie za nieprzemyślane, a zmianę pana stanowiska za absolutnie nieuzasadnioną. Prawdę mówiąc, wiele dałbym za to, by móc odrzucić wszystkie siedem stron pańskiego sprawozdania zachowując przynajmniej pozory szczerości.

Na dziedzińcu pojawił się następny samochód, biały sportowy triumph. Gordon spostrzegł wysiadającą z niego Kate w towarzystwie dwóch szpanerów wyglądających na młodszych urzędników Foreign Office, ubranych w eleganckie sportowe stroje. Kate obiema rękami przyciskała do piersi teczkę z dokumentami. Do oranżerii dobiegł jej śmiech, odpowiedź na czyjś żart. Gordon przypomniał sobie, że widział już ten samochód: stał pod pubem w wiosce o kilometr stąd. Martin również na nich patrzył.

Wygląda na to, że nawet na własnym podwórku stanowi pan jednoosobową mniejszość.

Gordon zgarnął maszynopis z mokrego stołu, wytarł go w rękaw i położył na krześle.

Małe sprostowanie - powiedział. - - My dwaj, panie sekretarzu, stanowimy mniejszość. Dwuosobową.

10

Segre, główna sterownia, 13.05 czasu lokalnego: niespełna godzina do końca rannej zmiany. Nigdy jeszcze, pomyślał Enzo, godziny nie wlokły się tak strasznie wolno i nie były tak pełne napięcia.

Wszyscy zostali powiadomieni o ewakuacji, a kierownicy ośrodka zapewnili, iż rodziny pracowników Segre zostaną ewakuowane w pierwszej kolejności. Lecz do rozpoczęcia ewakuacji pozostały jeszcze co najmniej trzy godziny. A jeżeli za trzy godziny okaże się, że jest już za późno, pomyślał Enzo, jedynymi ludźmi, którzy w tej okolicy mają szansę przeżycia, jesteśmy właśnie my, ukryci głęboko w żelbetowych bunkrach.

13.08: Enzo sięga ręką do kieszeni po czwarte cygaro; trzy poprzednie pogryzł już w strzępy.

13.08 i trzy sekundy: koniec nastąpił równie nagle i niespodziewanie co początek w czwartek rano. Było to jedno niewidzialne zdarzenie, które rozegrało się z prędkością dla ludzkiego umysłu niepojętą. Mocno już uszkodzony pręt paliwowy uderza z boku w sąsiedni pręt, blokując praktycznie przepływ sodu między nimi. Krytyczność i temperatura wzrastają w niecałej jednej tysięcznej sekundy, powodując częściowe stopienie

stalowych koszulek obu prętów. Do katastrofy brakuje dwie do trzech dziesiątych sekundy.

11

Ordish przeszedł przez oranżerię jakby prosząc o wybaczenie, że akurat wtedy wypadło mu wracać z ogrodu do domu. Sądząc po minie, pomyślał Martin, ciężką miał przeprawę z ową damą z Rzymu. Ordish skinął głową w kierunku Gordona.

Przepraszam, że przerywam. Po czym dotykając palcem zegarka, już przy drzwiach rzucił do Martina:

Za dziesięć minut? Sekretarz spraw zagranicznych wyszedł, ale nie tak spokojny i opanowany, jakby sobie tego życzył.

Martin spojrzał na Gordona i w przeproszającym geście wzruszył ramionami.

Jakiej płci jest Toskańska Szrama? zapytał. Toskańska co? Martin potrząsnął głową.

— To tylko żart w nie najlepszym guście. Przez chwilę milczał. — O czym mam postanowić w ciągu tych dziesięciu minut? Wziął do ręki sprawozdanie Gordona. Jeśli pójdę z tym do nich i pokażę, że nie popuszczę, jak pan sądzi, co się stanie?

Sekretarz spraw zagranicznych zażąda posiedzenia gabinetu w pełnym składzie...

Martin skinął głową.

I tam przegłosują mnie bez problemu. A wtedy będę musiał albo pogodzić się z decyzją gabinetu, albo podać się do dymisji.

Gordon odetchnął głęboko.

— Wtedy będzie nas dwóch.

Martin odwrócił się od szklanej ściany tak raptownie, że złamał gałązkę jednego z pomarańczowych drzewek.

— Tego pan na pewno nie uczyni — rzekł cicho. I niech pan nie liczy na to, że zgodzę się na pańskie przeniesienie na inne stanowisko.

Gordon nie spodziewał się takiego gniewu w głosie Martina. Być może ustąpienie jednego ze starszych rangą urzędników byłoby dla niego krępujące z politycznego punktu widzenia, a o tym Gordon nie pomyślał. Było jednak za późno, by próbować jakoś to obejść. Znów wziął do ręki siedem stron maszynopisu i odezwał się z wielką, jak sądził, stanowczością:

— Panie sekretarzu, nie chcę utrudniać panu zadania, chcę jednak zakomunikować panu wyraźnie, że jeśli rząd postanowi zignorować argumenty wyłuszczone na tych siedmiu stronach, będę czuł się zobowiązany do ustąpienia z zajmowanego stanowiska, czyniąc przy tym tyle hałasu i zamieszania, ile się da.

— To szantaż.

Z braku lepszego słowa, zgadzam się. Wydaje mi się jednak, że tylko w ten sposób mogę spowodować, by ta sprawa stała się przedmiotem jakiejś otwartej debaty.

Ależ publiczna debata już się odbyła. Przygotowanie raportu w tej sprawie kosztowało nas dwa i pół miliona funtów.

Jeśli można to nazwać prawdziwą konsultacją, panie sekretarzu. Zgodzi się pan przecież, że cała ta debata była mocno reżyserowana.

Martin potrząsnął głową.

— Wygląda na to, że nagle mocno pan znieubił nasze metody postępowania.

— Jest to nie tyle kwestia lubienia czy nie lubienia co obaw, panie sekretarzu. Nie wydaje mi się, by ktokolwiek z nas, nie wyłączając Inspektoratu, miał jakiegokolwiek pojęcie o tym, w co się chcemy wpakować, i nie mam najmniejszego powodu, by przypuszczać, że sędzia, choćby najinteligentniejszy, wiedział cokolwiek więcej od nas.

— A opinia publiczna?

— Mam nadzieję, że opinia publiczna podniesie ręce do góry i zawoła: "W imię Boga, zatrzymajcie się!"

Martin znów niedowierzająco pokręcił głową.

— Pamięta pan, co mi pan powiedział zaledwie dwa dni temu? Dwa dni temu, Gordonie. „Nie sądzę, byśmy mieli jakikolwiek wybór. Musimy budować”. Cholera, przewidział pan nawet, że Ordish wesprze się kanclerzem.

— A pan, panie sekretarzu, odparł dwa dni temu: „Na Boga, chciałbym być pewny, że nie popełniamy błędu”.

Martin usiadł. - Dajmy sobie spokój z tytułami. — Spojrzał na Gordona. — Wiesz, co oznaczać będzie dla ciebie twoje ustąpienie?

— Niestety, tak.

— Urzędnicy państwowi nie podają się do dymisji. Ten gest, podyktowany sumieniem, jest zarezerwowany dla nas, polityków.

— Nie sądzę, by twoja rezygnacja odniosła jakikolwiek skutek rzekł Gordon.

— A po swojej czego się spodziewasz?

— Jak już cię uprzedziłem, uczynię przy tym tyle hałasu i zamieszania, ile tylko możliwe, a w przeciwieństwie do ciebie, mnie nikt nie oskarży o kierowanie się motywami politycznymi. Gordon uśmiechnął się.

Zresztą i tak nie sądzę, by to cokolwiek zmieniło, co najwyżej zasłużę sobie na drobną wzmiankę w jakimś opracowaniu historycznym. — Znow się uśmiechnął.

Cóż, zawsze to jakiś powód do chwały stać się jednym z niewielu urzędników państwowych, którzy wyszli z kręgu anonimowości. Może jest to mój ukryty cel.

— Mam nadzieję, że jeszcze za pół roku będziesz się śmiał z tego pomysłu. — Martin wstał i zaczął maszerować pośród listowia i doniczek niczym żołnierz patrolujący dżunglę. — Nic nie możesz zrobić, póki nie wiesz, na co ja się zdecyduję. Fakt.

A jak się dowiesz, nic już nie wskórasz, poza hałasem i zamieszaniem. Gordon popatrzył na niego w milczeniu.

Spróbuję zatem ułatwić ci zadanie. Powiem ci teraz, co mam zamiar zrobić i w ten sposób dam ci fory. — Teraz Martin się uśmiechnął. - Chcę uspokoić swoje sumienie, choć tobie może to ułatwić dostanie się na czołówki gazet już w poniedziałek. Martin podszedł do drzwi. — Odrzucam twoje sprawozdanie. Nie będę przeciwstawiał się Ordishowi. W ten sposób sam się bronię. Jednocześnie jednak, dzięki tobie, będę mógł dalej prowadzić grę mojego skrzydła przeciwko centrum. Tym samym niczym się nie będę różnił od reszty bestii w tej politycznej dżungli.

Gordon podszedł do drzwi i stanął na wprost Martina. Na jego twarzy i w jego głosie odbiło się nagle wyczerpanie, efekt nie przespanej nocy.

Gdybym nie uważał, że jesteś inny, nie próbowałbym tak bardzo wpłynąć na zmianę twoich poglądów. Wzdragam się na samą myśl o tym, że mógłbyś się uważać za jednego z nich. A jeżeli potrafisz uchować się w tej dżungli dostatecznie długo, mógłbyś nawet zostać szefem innego departamentu, gdzie można dokonać czegoś cennego. Gordon otworzył drzwi i ostatni raz powiódł wzrokiem po oranżerii. Może ten hodowca świń pozwoli ci teraz przenieść się do jakiegoś cieplejszego pomieszczenia i porozmawiać z Kate.

Z okna na górze Ralph Ordish patrzył, jak siwowłosa Gordon oddala się idąc między rabatami róż w stronę swego samochodu. Z sąsiedniego pokoju dochodziły go strzępy rozmowy jego osobistego sekretarza z Biurem Rządu.

Gdy Ordish stanął w drzwiach, sekretarz podniósł głowę.

— Mieli dzwonić z Segre do Ridgewaya punktualnie co godzinę powiedział. Są spóźnieni o dziesięć minut.

12

Segre, 13.08 i trzy sekundy: w głównej sterowni stało się to, czego się wszyscy obawiali. Feeria świetlnych i akustycznych sygnałów alarmowych, których znaczenia nikt zrazu nie był w stanie ocenić. Rozległ się okrzyk:

— Przepływ sodu! Potem następny:

— Temperatura! Enzo wpatrywał się w tablicę rozdzielczą z rękoma uniesionymi nad dźwigniami i wyłącznikami, świadom, że zapewne nic nie są w stanie uczynić. Kątem oka dostrzegł, jak jeden z operatorów przeżegnał się, i usłyszał, z jakim trudem inny starał się mówić normalnym głosem, podając temperaturę sodu: 790 stopni.

Enzo tkwił przy konsolecie z rękoma w górze, z dala od suwaków i przycisków, jak dzieciak na rowerze, który, chcąc się popisać, puścił kierownicę. Pręt paliwowy zniszczony, pomyślał, a teraz poleci już wszystko jak kostki domina: następne pręty i zespoły paliwowe będą się zderzać i topić, aż wreszcie poziom krytyczności zostanie przekroczony o tyle, że wszystko wybuchnie lub nastąpi stopienie rdzenia. Półkolista ściana wypełniona

przyrządami zdawała się tańczyć w takt błyskających świateł, a Enzo, oszołomiony, podświadomie próbował obliczyć, jak głęboko pod ziemią znajduje się sterownia, i szukał w pamięci praw fizyki, zgodnie z którymi wybuch powinien skierować się głównie w górę, a nie na boki.

Zadudniło czy tylko mu się przysłyszało? Spostrzegł, że wskazówki czujników akustycznych skoczyły aż za koniec skali; spostrzegł rząd czerwonych lampek, których dotąd nigdy nie widział. Potem wszystkie światła pogasły, tak mu się przynajmniej zdawało. Minęły co najmniej dwie sekundy, nim uświadomił sobie, że zamiast jaskrawych świateł ostrzegawczych palą się teraz tylko zwykłe żarówki podświetlające poszczególne zegary. Spojrzał z niedowierzaniem na stół sterowniczy. Nagle i niespodziewanie, po raz pierwszy od dwóch dni, przyrządy mierzące poziom krytyczności jarzyły się rzędem zielonych światełek. Tuż obok, na żółto paliło się pięć lampek oznaczających opuszczone pręty regulacyjne: pięć prętów, a nie dwa, jak jeszcze przed chwilą.

— Oż wy sukinkoty — wyszeptał. — Oż wy kochane sukinkoty. — Spojrzał w stronę inżyniera stojącego przed nim i, wciąż szeptem, oznajmił:

— Koniec. — Po czym głośniej, z rękami przy głowie:

— Panowie, opadły trzy pręty regulacyjne. Reakcja zatrzymana.

Z monitora telewizyjnego dobiegły go wiwaty. Obrócił się na fotelu i podjechał na nim do drukarki komputera. Drukarka stała, a

w dwóch ostatnich wierszach, po dwóch dniach wykrzykników i znaków zapytania, widniały wreszcie słowa:

13.08.08,25 !?!?!? 13.08.08,65 KONIEC ZADANIA 13.08.09,01
WYŁĄCZENIE REAKTORA Widoczna na ekranie rezerwowym sterownia przypominała prywatkę z alkoholem: mężczyźni krzyczeli, śmiali się i tańczyli. Operatorzy ze zmiany Enzo wciąż spoglądali na niego w milczeniu.

— Zaczynamy procedurę sprawdzającą po wyłączeniu reaktora zarządził. Pompy obiegu pierwotnego zostają na wysokich obrotach.

Na ekranie monitora pojawiła się nagle wielka twarz włoskiego kierownika ośrodka, twarz, na której napięcie ostatnich dwóch dni ustąpiło miejsca uśmiechowi odprężenia. Mężczyzna płakał.

— Udało ci się, Enzo! Gratuluję, gratuluję wszystkim!

— Proponuję byśmy utrzymali pracę pomp obiegu pierwotnego sporo powyżej minimalnego poziomu wymaganego do usunięcia ciepła powyłączeniowego oznajmił Enzo.

Szczęśliwy uśmiech nie zniknął.

— Powinniśmy utrzymać ciśnienie sodu w rdzeniu — powiedział Enzo.

Na rozpromienionej twarzy kierownika nadal nie było widać żadnej sensownej reakcji.

Możemy przejść na sterowanie automatyczne po sprawdzeniu i uruchomieniu wszystkich systemów alarmowych.

Uśmiechnięta twarz przytaknęła.

— Udało ci się. Znowu płakał. — Udało ci się, ty sukinsynu.

Wreszcie i Enzo nie wytrzymał i krzyknął w stronę ekranu.

— Nic nie zrobiłem! - Wyciągnął ręce w górę. Tato, bez trzymanki! Niczego nie dotykałem. Nikt, słodki kutasie, nic nie zrobił. To się po prostu stało. I, moim skromnym zdaniem, dziesięć lat nam zejdzie, nim się dowiemy, dlaczego.

13

McClaren widział, jak Dave rzucił się do telefonu równo z pierwszym dzwonkiem. Pusta szklanka i lampa zleciały z nocnego stolika. Jest już pijany, pomyślał McClaren, a przed nami całe popołudnie rokowań.

Dave słuchał z twarzą pozbawioną jakiegokolwiek wyrazu. Od czasu do czasu mruknięcie lub potwierdzenie. Po czym, wciąż bez słowa, odłożył słuchawkę i spojrzał w górę nieco oszołomiony.

Może raczy mi pan wyjawić, co się stało rzekł McClaren chłodno.

Tygrys wlaź z powrotem do klatki. Dave potrząsnął głową. Reaktor wyłączył się. McClaren podniósł lampę i szklankę.

To znaczy, że już po wszystkim?

Zanosilo się na najgorsze. Dave skoczył z tapczanu i stanął przy oknie wpatrując się w drzewa w parku. Byli chyba o pół

sekundy od katastrofy. Trudno powiedzieć, co się stało, w każdym razie wstrząsnęło reaktorem na tyle, że opadły trzy następne pręty regulacyjne. Dave znów potrząsnął głową, zadając sobie przez moment pytanie, co by robił i myślał teraz, gdyby niewyobrażalne stało się rzeczywiste. Nie, nad tym pytaniem nie miał ochoty się zastanawiać. McClaren znów odezwał się chłodno:

Jak daleko posunęli się z ewakuacją?

Toskańska Szrama. Dave powoli odwrócił się od okna. — Niech się pan nie martwi, nic się nie wydostało.

Skinął głową w stronę telefonu. — I to jest druga rzecz, jaką mi przekazano. Francuzi i Włosi zamykają gębę na kłódkę. A to oznacza, że pan i ja, i jeszcze parę osób musimy dochować tajemnicy.

Wiadomość z Segre powoli docierała do wybranych. Po stosownym namyśle, McClaren przekazał ją do Waszyngtonu, a także zastępcy sekretarza w Biurze Rządu, który był jego nowym kanałem łączności z Whitehallem. Ordish otrzymał informację z czwartej ręki podczas lunchu na zimno serwowanego w bibliotece i zaraz popełnił swój pierwszy w tym tygodniu błąd. Wiedział, że postarano się, by do Martina Reida nie dotarła wiadomość o problemach w Segre, ale zakładał, iż Kate Davies, która była na miejscu, zna wszystkie szczegóły. Przesunął się ku niej z poufałą miną i talerzem sałatki w ręku, napełniając jej kieliszek winem Chateau Thingumajig.

Kryzys minął wyszeptał. — Reaktor Segre dał się wyłączyć.

Kate spojrzała na niego zdziwiona, ale Ordish, którego ciepła dłoń spoczywała na jej ramieniu, a oczy oceniały wielkość jej biustu, nie spostrzegł swej pomyłki.

— Status quo ante bellum — powiedział. — Kolejna drobnostka, po której z czasem nie zostanie śladu. — I oddalił się, by zająć się innymi, ważniejszymi gośćmi.

Kate rozejrzała się wokoło, pewna, że wszyscy to słyszeli. Ale nikt nawet na nią nic patrzył. Martin Reid z żoną rozmawiali z kanclerzem, a junacy z Foreign Office stali przy barku zaabsorbowani mieszaniem egzotycznych koktajli.

Reaktor Serge dał się wyłączyć.

Kate przypomniała sobie, jak dwie godziny temu Gordon odchodził ścieżką między rabatami róż Ordisha i zastanawiała się, czy nagły przyływ jego wątpliwości nie był mimo wszystko uzasadniony. Okazało się, że podjął swą decyzję zupełnie nie przeczuwając tajemnicy ukrytej w, czy wokół Segre. Powinnam teraz stąd wyjść i, korzystając z jednego z licznych telefonów Ordisha, zadzwonić do Gordona.

Reaktor Segre dał się wyłączyć.

A ja siedziałam na jego czubku przez dwa dni, zupełnie nieświadoma niebezpieczeństwa. Przebiegł ją dreszcze, a potem podchwyciła spojrzenie Ordisha stojącego w drugim końcu pokoju. Od sałatki przeszła do kanapek z wędzonym łososiem i dalej patrzyła na Ordisha, który z uśmiechem szeptał coś do ucha

Martina, trzymając jedną ręką panią Reid pod ramię, a drugą dolewając jej wina.

Wyjrzała przez okno i zobaczyła dzieci bawiące się na trawniku, których głosy tłumili podwójne szyby. Tak właśnie, pomyślała, tworzy się historię: nie z hukiem, lecz szeptem.

14

Gordon nagle uświadomił sobie, że traci czas. Musiał jeszcze odbyć czterdziestokilometrową podróż, żeby doręczyć oświadczenie o ustąpieniu z zajmowanego stanowiska, a potem wykonać następne posunięcie, lecz w tym celu musiał przedtem wydobyć z Roxy'ego pewien numer telefonu.

Na cóż ci potrzebne to ścierwo? - spytał chłopiec. Siedział zasępiony w oknie swojej sypialni i przyglądał się matce, pobladłej i krążącej jak w transie po ogrodzie. Zastanawiała się pewnie, jak długo jeszcze będzie to jej ogród. Przynajmniej przez rok, pomyślał Gordon, dopóki Joss nie skończy szkoły. A potem? Potem, jeśli ktoś niebacznie zaproponuje mi pracę, tak się pokraje, jak materiału staje.

Mary czekała na niego przy samochodzie. Nim odjechał, uściskała go. Dla dodania otuchy czy odwiedzenia od zamiaru?

Gordon zatrzymał samochód przy automacie na skrzyżowaniu. Nie po raz pierwszy podejrzliwie traktował swój

domowy telefon. Martin zaoferował mu poniedziałkowe nagłówki, ale Gordon nie dowierzał nikomu i niczemu.

Niedzielne wydania gazet są zamykane około szóstej po południu. Lepiej by było, żeby ten Salter był w domu.

15

Anna i Henshaw, oddaleni od Segre jedno o dziewięć, drugie o siedemnaście kilometrów, byli o wiele za daleko, żeby zobaczyć lub usłyszeć zniknięcie dwóch pozostałych słupów pary, łagodnie rozpędzonych przez wiatr. Wprawdzie i tak nie zrozumieliby pełnej wymowy tego zjawiska, lecz Henshawowi łatwiej byłoby rozmawiać z owym inżynierem z Segre, o ile oczywiście stawi się w ogóle na zaaranżowane przez Annę spotkanie.

Henshaw dotarł do skraju wioski, na próżno oglądając się za siebie i szukając wzrokiem tamtych dwojga, potem wszedł na ścieżkę wiodącą w dół ze szczytu klifu. Był przemoczony i wymęczony, a nogi miał pokrwawione aż do kolan. Nie wyobrażał sobie, by w tym stanie zdrowia Anna mogła wrócić tu o własnych siłach, chyba że brodacz niósłby ją na rękach.

Dziesięć minut później dotarł do wioski, wsiadł do samochodu i odszukał mapę, na której Anna zaznaczyła ołówkiem miejsce spotkania, położone przy skrzyżowaniu na drodze biegnącej równoległe do wybrzeża. Pięć godzin czekania, pomyślał, i nic do

roboty. Przeliczył pieniądze w portfelu — czterdzieści osiem dolarów. Według mapy, odległe o trzydzieści kilometrów Grosseto było najbliżej położonym większym miastem, a z liter GR na tablicach rejestracyjnych samochodów wywnioskował, iż jest to prawdopodobnie stolica prowincji i że prawdopodobnie znajdzie tam duży urząd pocztowy lub coś, co za takowy chciałoby uchodzić. Miał dość czasu i chyba dość pieniędzy, by zadzwonić lub zatelegrafować do Nowego Jorku i przekazać tę pierwszą połowę materiału, którą już udało mu się zdobyć. Potem, myślał, wróćę po Annę i brodacza, jeśli do tego czasu tu dotrą; wolę mieć ze sobą tłumacza na spotkaniu z tym inżynierem z Segre.

Potem ujrzał kolumnę ciężarówek wojskowych zaparkowanych nie opodal drogi poza obrębem wioski, jeepy, motocykle i policjantów na skrzyżowaniu, i jeszcze jedną kolumnę na głównej drodze. Jak to ujął brodaty? „Każdy policjant i żołnierz we Włoszech ma jej zdjęcie”.

Brodacz rzeczywiście niósł Annę — w bólu i mozole, starając się trzymać śladów zostawionych przez Henshawa w wilgotnych zaroślach. Pięć minut marszu, pięć minut odpoczynku, a gorączka dziewczyny rosła z każdym morderczym kilometrem.

Może to przez pluton zaśmiał się brodacza. Ten niewidzialny pył zniszczenia.

— W takim razie ty też już nie żyjesz — odparła Anna.

— Tylko że mi nie zależy ani na życiu, ani na śmierci. Odwrócił się, bo z oddali dobiegł go warkot helikoptera lecącego gdzieś w

głębi łądu ponad główną szosą i linią kolejową. Dziewczyna roześmiała się, widząc jego nagłe przerażenie."

16

Jeden po drugim, operatorzy wzywani byli na rozmowę. Enzo, jako najstarszy rangą, poszedł ostatni. Jak ich poinformowano na wstępie, otrzymają instrukcje dotyczące tajemnicy służbowej. Enzo czekał na swoją kolej w rezerwowej sterowni, obserwując długą i drobiazgową procedurę normalizacji, podczas której sprawdzano wszystko, co instrukcja nakazywała sprawdzić po wyłączeniu reaktora. Normalizacja, pomyślał tak to nazwali chyba z braku lepszego określenia, nigdy jeszcze żaden reaktor nie okazał się aż tak za wodny.

A co po stronie pozytywów? Przynajmniej, pomyślała Enzo, sodowe chłodziwo potwierdziło swoje walory. Mimo blokady, wrzenia sodu, a prawdopodobnie również skażenia stopionym paliwem, chłodziwo to mimo wszystko skutecznie odbierało ciepło z przegrzanego rdzenia pracując w temperaturze wyższej o 300 stopni niż zakładano. Poza tym, konstrukcja reaktora wytrzymała dwa wybuchy wewnątrz rdzenia bez uszczerbku dla osłon i z kilkumilimetrowym zaledwie odkształceniem samej geometrii rdzenia.

Choć, z drugiej strony, to kilkumilimetrowe odchylenie wystarczyło, by system sterowania reaktorem praktycznie przestał istnieć, tym samym obalając, zdaniem Enzo, całą filozofię konstrukcji nie tylko reaktora prędkiego powielającego, lecz i większości reaktorów konwencjonalnych. Inspektorzy i kierownicy ośrodka, którzy odbyli z nim rozmowę w pokoju prezydialnym na piętrze, dalecy byli od tak ponurych ocen. Uzgodnili już program „sprzątania”, w zamiarze o ile wszystko pójdzie dobrze ponownego uruchomienia Segre za około dziewięć miesięcy. Teraz, gdy reaktor jest już wyłączony, przy pomocy zdalnie sterowanej maszyny załadowniczej paliwa będą mogli umieścić większą ilość pochłaniających neutrony prętów regulacyjnych wokół rdzenia paliwowego w miejscach, gdzie obecnie są stalowe kasety reflektora; dodatkowe pręty regulacyjne pozwolą na bezpieczniejsze usunięcie wpierw nie uszkodzonych, a następnie uszkodzonych prętów paliwowych z rdzenia. Po demontażu rdzenia będzie można spuścić sól i ustalić właściwą przyczynę awarii.

Jakże prosto to -brzmi w ich ustach, myślał Enzo.

Zupełnie, jakby to była jakaś rutynowa sprawa, ja gdyby nic poważnego się nie wydarzyło.

— Czy w związku z tym, co zaszło, przewiduje się zmiany w konstrukcji naszego reaktora albo Super-Pheniksa? zapytał.

Zależy, co znajdziemy — odparł francuski kierownik ośrodka.
— Być może zmienimy sposób rozmieszczania paliwa w rdzeniu.

Gdyby mieli choć cień wątpliwości, ich spokój i optymizm byłyby bardziej wiarygodne, pomyślał Enzo. Nawet jego stary przyjaciel, włoski kierownik ośrodka, zdawał się popaść w stan niezmaconego samouspokojenia: histeria, śmiech i łzy dawno poszły w zapomnienie.

Można powiedzieć rzekł kierownik że wydarzenia ostatnich dwóch dni były swego rodzaju triumfem. Wyszliśmy z poważnego kryzysu technicznego nie powodując zagrożenia dla ludności.

To po co spytał Enzo postawiono wojsko w stan pogotowia?

— Skrajny i, jak się okazało, zbyt czyny środek ostrożności, który przy odrobinie szczęścia przejdzie niezauważony.

Enzo wskazał ręką za okno.

To wszystko ma przejść niezauważone? Wydaliśmy komunikat prasowy. Na ile szczegółowy? Najmniej jak się dało. Enzo spojrzał na przyjaciela z niedowierzaniem. — A jak masz zamiar wytłumaczyć dziewięćmiesięczny przestój?

Dwoma pożarami sodu w wytwornicach pary. A jeśli przestój przedłuży się do piętnastu albo dwudziestu miesięcy?

To nie gra roli. W końcu ludzie i tak się z grubsza dowiedzą, co się wydarzyło. To nieuniknione. Ważne jest jednak to, co zrobimy teraz. Odpowiadamy za całość rozwoju energetyki jądrowej na świecie. Opinia publiczna jest obecnie bardzo zmienna i nieracjonalna. Drugi Harrisburg bardzo by nam zaszkodził.

— Gdyby reaktor wyleciał w powietrze, szkody byłyby o wiele poważniejsze.

— W tym właśnie sedno. Reaktory nie wylatują w powietrze. Zdarzają się awarie, które można zaliczyć do poważnych, ale zasady projektowe, konstrukcyjne i eksploatacyjne zawsze się bronią. I wszystko wskazuje na że tak pozostanie.

Klepie dobrze wyuczone formułki, pomyślał Enzo. Powinien wiedzieć, że nie ze mną te numery.

— Ponosimy zbiorową odpowiedzialność — oznajmił któryś z Francuzów. — Każdy z osobna i wszyscy przed wszystkimi. Tym ideom i tej technice większość z nas poświęciła całe swoje dorosłe życie.

— Nie jest powiedziane, że najlepiej przysłużymy się tej sprawie przez utajnianie jej odparł Enzo. Zresztą, historia energetyki jądrowej to poniekąd historia źle strzeżonych tajemnic.

— W tej chwili nie ma wyboru.

Enzo nie odpowiedział. Czuł, że jego wątpliwości wprawiają ich w zakłopotanie. Wygląda na to, że niczego się nie nauczyliśmy. Czwartkowa katastrofa ma być zapomniana, wymazana z ksiąg, a społeczeństwu oszczędzi się nieprzyjemnej wiedzy o tym, jak strażnicy atomów na pełne dwie doby utracili wszelką kontrolę nad swą najgroźniejszą bestią. A zatem, myślał Enzo, nikt nie ma prawa się dowiedzieć, jak bardzo byliśmy bezradni.

Wyszedł z budynku północnej sterowni. Wiał zimny, wilgotny wiatr. Dopiero gdy doszedł do wynajętego samochodu, przypomniał sobie o liście, który dwie godziny temu znalazł w przegródce i nie otwierając schował do kieszeni.

„Gdyby to był inny kraj, panie Aylen, posłano by pana natychmiast do zakładu dla psychicznie chorych”.

Gordon znów potrząsnął głową, tym razem stojąc na czerwonym świetle na Cambridge Circus. Czy mówiąc w ten sposób stały podsekretarz wyrażał swe pobożne życzenia, czy może raczej chciał dać Gordonowi do zrozumienia, że jego podanie się do dymisji pachnie niecną komunistyczną zdradą? Stały podsekretarz przyjął jego oświadczenie we frontowych drzwiach swego domu godzinę temu, a jego sinozielona twarz zwolna przybierała normalną barwę z powodu nagłego przypływu złości. Czy stały podsekretarz odgadł, jaki będzie jego następny krok? Chyba nie, pomyślał Gordon. Wciąż pewnie uważa mnie za dżentelmena z establishmentu, a dżentelmeni z establishmentu tak nie postępują.

Zatrzymał się pod trzecim czerwonym światłem na przestrzeni kilkuset metrów. Wpół do piątej. Za dziesięć minut zaczną spływać wyniki i sprawozdania z meczów piłkarskich, ostatnie materiały do pierwszych wydań gazet niedzielnych. Powinienem akurat zmieścić się w czasie przed zamknięciem numerów, pomyślał Gordon. Mam nadzieję, że Salter przygotował swych klientów.

Pierwsza w lewo, potem pierwsza w prawo, jadąc od stacji Goodge Street; mieszkanie na ostatnim piętrze w narożnej kamienicy naprzeciwko pubu.

— Przyjechał. — Salter odwrócił się od okna i zdjął ramię gramofonu z płyty zespołu The Eagles. Siedzący na kanapie mężczyzna w okularach w metalowej oprawce utkwiał w nim przygaszone oczy. W tym czasie dziewczyna pomagała fotografowi rozstawić sprzęt na stole. Salter nalał następny kieliszek wina. Muzyka Henshawa. — powiedział, nie bardzo wiadomo do kogo. Wszyscy nasłuchiwali odgłosów kroków na schodach.

Błyski flesza oślepiły Gordona w momencie, gdy otworzył drzwi: jeden, drugi, trzeci, czwarty. Zasłonił twarz rękoma. Dostrzegł dziewczynę stojącą przy stole i wpatrzoną w niego, potem fotografa, odkładającego już swoją broń, zawodowca, którego oczy zdawały się mówić: „Przykro mi, ale już się stało” Gordon rozpoznał twarz mężczyzny na kanapie. To Donachie z ruchu „zielonych”. Podczas prac nad raportem sędziego, był drugim co do ważności przedstawicielem obrońców środowiska. Gdy Gordon wszedł do środka, Donachie wstał.

— Pan Ayles. Pewnie jest tu po to, by potwierdzić moją tożsamość, pomyślał Gordon.

— Mamy niewiele czasu — powiedział Salter. Fotograf i dziewczyna byli już w drzwiach.

Gordon wyciągnął z kieszeni kopertę.

— Tu jest kopia mojego oświadczenia o ustąpieniu i kopia sprawozdania, które zostało odrzucone.

Salter wziął kopertę.

— Oświadczenie zostało dostarczone? Gordon skinął głową.

— I przyjęte?

— Na tyle, na ile zawsze są przyjmowane.

Salter nacierał oddzielony od Gordona fotelem, jakby się obawiał fizycznej napaści.

— Nie mogę wepchnąć czegoś na pierwsze strony niedzielnych gazet nie mając gwarancji, że jutro koło obiadu nie rozmyśli się pan i wszystkiemu nie zaprzeczy.

— Nie rób z siebie durnia! — Donachie nie wytrzymał. Znał Gordona z kilku oficjalnych spotkań, lubił go i szanował, i nie mógł znieść, że Salter traktuje go niczym jakiegoś zdeprawowanego gwiazdora muzyki pop.

Salter przerwał lekturę sprawozdania i spojrzał na Gordona.

— Niezbyt to porywające.

— Nie mamy zwyczaju pisania dokumentów politycznych stylem barokowym, jeśli o to panu chodzi.

— Nic w tym nie ma. Ani to wypadek, ani skandal. Nic rewelacyjnego, żaden wspaniały materiał.

Gordon spojrzał na Donachie'ego, potem z powrotem na Saltera.

Więc nie wydrukują?

— Nie mogę nic obiecać.

— Oczywiście, że poważna prasa to weźmie — powiedział Donachie. — Jemu chodzi o to, że nie upchnie tego w brukowcach. Przez cały tydzień będzie musiał oszczędzać na piwie.

Salter wciąż czytał sprawozdanie. - Tu nie ma ani słowa o Amerykanach.

— O tym będzie się pan musiał dowiedzieć na własną rękę. Ja w tych rokowaniach już nie uczestniczę.

Mniej więcej wie pan jednak, jak się sprawy potoczą.

Jak daleko zabrnę? Zaczyna to pachnieć zdradą stanu, pomyślał Gordon.

Zależy, czy i kiedy osiągną porozumienie. Salter nie dawał za wygraną.

— A jeśli już je osiągnęli?

Ponieważ jutro jest niedziela, amerykański sekretarz stanu do spraw energetyki może przylecieć incognito do Londynu. — Na jeden dzień?

— Złożenie podpisu na kartce papieru nie trwa długo. W poniedziałek rano musi być z powrotem w swoim waszyngtońskim gabinecie, żeby nikt niczego nie zauważył.

Salter spojrzał na Donachie'ego i zaśmiał się.

— Przepadnie ci jutro msza, Donny. Ja obstawię Gatwick, a ty Heathrow.

Gordon odwrócił się w stronę drzwi, czując się wyczerpany i słaby. Salter wyszedł z kryjówki za fotelem.

— Jedno pytanie z ciekawości — powiedział. — Dlaczego wybrał pan mnie?

Gordon zmierzył go wzrokiem od drzwi.

— Bo ma być dużo hałasu i zamieszania.

Salter uśmiechnął się, nie bardzo wiedząc, czy uznać to za komplement. Otworzył Gordonowi drzwi.

— Może będę musiał posłuchać następnych piosenek pana syna.

Gordon, który był już na półpiętrze, podniósł głowę do góry.

— Podoba się panu jego muzyka?

Może ją polubię wzruszył ramionami. Donachie stał przy brudnym oknie w mieszkaniu Saltera na czwartym piętrze i patrzył, jak Gordon wychodzi na zaśmieconą ulicę i otwiera drzwi samochodu. Czterdzieści dziewięć lat, a wygląda na sześćdziesiąt dziewięć; przed wyjściem z domu Donachie sprawdził jego wiek w Who's Who. Ten zmęczony mężczyzna rezygnuje z najlepszych dziesięciu lat swojej kariery.

Requiem Mozarta płynące z radia w samochodzie i popołudniowa sobotnia pustka na Wigmore Street. Gordon stanął na światłach i patrzył na staruszkę z kartonem papierowych maków, która wyszła z Duke Street, oddalając się od rojnej Oxford Street. Za siedem dni Zaduszki, wieńce, trąbki i opadające liście na Whitehall: tydzień śmierci.

Et lux perpetua...

Mogłoby to służyć za hasło dla reaktorów powielających.

Żony i dzieci na trawniczku Ordisha o zmierzchu, koktajle serwowane przez otwarte na oścież drzwi oranżerii, oczekiwanie na powrót Martina Reida i Ordisha z Londynu.

Wyglądacie prawie na zadowolonych — powiedziała Helen, gdy wyjeżdżali, życząc im bon voyage.

Ty też — odparł Martin i przejechał palcami po jej włosach. Usiłował zapomnieć o pochylonej, siwej głowie Gordona Aylena, którego widział przed południem.

Młodzieńcy z Foreign Office podrzucili Kate do domu w drodze powrotnej z ambasady USA. Uściślono szczegóły porozumienia, po czym dokumenty zostały wysłane. Pod nieobecność stałego podsekretarza, niewidoczny dotąd zastępca sekretarza zaaprobował dzieło Kate, którego kopię dostarczono następnie na Downing Street, gdzie pani premier, sekretarz spraw zagranicznych, Martin Reid i urzędnicy Biura Rządu czekali popijając herbatę, by zatwierdzić ostateczną wersję umowy. Gdy formalnościom stało się zadość, Martin Reid natychmiast opuścił siedzibę premiera tylnym wyjściem, wsiadł do służbowej limuzyny i, pół godziny później, spotkał się ze swym amerykańskim kolegą w jednym z saloników Home Office w terminalu nr 3 na Heathrow.

Koniec mojego krótkiego występu w roli pełnomocnika, myślała Kate, idąc po schodach na górę. W przedpokoju na podłodze leżała kartka od Bertie'ego: jedno z jego dzieci zachorowało, wobec czego resztę weekendu poświęci żonie i

rodzinie. Kate stała w mrocznym saloniku, wsłuchując się w pustkę swojego mieszkania.

Sanctus, sanctus, sanctus...

KV 626 w Belgravii. Od pół godziny Gordon siedział w samochodzie zaparkowanym pod drzewami i słuchał Mozarta przez radio. Młodzieńcy odjechali triumphem z wyciem silnika, lecz Gordona nie piliło do wydostania się ze swego kokonu. Tu czy w domu, niełatwo będzie wysiąść z samochodu i powrócić do realnego świata. Powrócić między ludzi. Podniósł głowę i zobaczył, że w oknie Kate zapaliło się światło.

Może umiałby jej powiedzieć: „Potrzymaj mnie za rękę, będziemy słuchać najsmutniejszej muzyki, jaką kiedykolwiek napisano. Muzyki skomponowanej przez umierającego, zaledwie trzydziestosześcioletniego człowieka”.

Nie tak ponuro. Biedaczka wolałaby zapewne rozweselić się trochę. Mógłbym poszukać monopolowego, pomyślał Gordon, i kupić butelkę szampana.

Quia pius es.

W tych końcowych akordach Gordon słyszał potworny protest, bezsilną wściekłość. Wyłączył radio, by głos spikera nie zepsuł nastroju, i siedział jak więzień w swej wytłumionej, stalowej celi. Wokół, z na wpół nagich drzew, spadały ciężkie i mokre liście. Pięć minut później, po przeciwnej stronie ulicy, zatrzymała się taksówka, z której wyłoniła się znajoma sylwetka wysokiego mężczyzny. Gordon opuścił szybę zastanawiając się, czy

i jak go pozdrowić, a potem ujrzał bukiet czerwonych róż. Widział, jak Dave Ridgeway płaci za taksówkę, wchodzi na schody wiodące do drzwi, naciska guzik domofonu; potem jakieś słowa wypowiedziane ze śmiechem do mikrofonu i brzęczenie elektrycznego zamka. W oknie na górze pojawiła się szczupła sylwetka Kate zasuwająca zasłony.

Mary, Mary, prowadź mnie do domu. Dziś, nim odjechał, uściskała go mocno. „Postępujesz słusznie i cieszę się z tego”. Czy to właśnie chciała mu powiedzieć? Zamknął oczy i przez otwarte okno samochodu nasłuchiwał odgłosów wieczoru. Chryste, błagam, daj mi znak, sam lub poprzez więź Pendle'a, bym wiedział, że to, co zrobiłem, nie było tylko bezużytecznym, próżnym gestem.

18

„Piszę, by sprostować nieprawdziwe stwierdzenia i niedopowiedzenia w oficjalnym komunikacie dla prasy, ogłoszonym dziś przez kierownictwo ośrodka w Segre. Podano, że wyłączenie reaktora nastąpiło na skutek pożaru sodu w dwóch pośrednich obiegach chłodzących. W rzeczywistości zapalenie się sodu było stosunkowo nieistotnym następstwem poważnej awarii, jaka nastąpiła we wnętrzu rdzenia paliwowego. Dokładne przyczyny i okoliczności awarii są na razie nieznane i zapewne pozostaną nieznane przez długi czas. Z tego, co udało się ustalić,

przebieg wypadków był następujący: automatyczny układ awaryjnego wyłączenia reaktora nie zareagował wystarczająco szybko na przegrzanie rdzenia; wybuch w rdzeniu odkształcił pręty regulacyjne; przez pełne dwie doby operatorzy praktycznie nie mieli żadnej kontroli nad reaktorem; sytuację opanowano jedynie dzięki podjęciu niedopuszczalnego ryzyka i zastosowaniu nieprzepisowych czynności obsługowych".

Enzo napisał dwa egzemplarze oświadczenia, jeden po włosku, drugi po angielsku. Zastanawiał się, czy posunąłby się tak daleko, gdyby żona nie wyjechała, dom nie był pusty, a wieczór tak ponury. Czy nie czas przemyśleć to wszystko?

Zbiorowa odpowiedzialność, powiedział tamten Francuz. Przez całe życie Enzo nie zdradził tajemnicy ani kolegów. Takie sprawy należało niewątpliwie przedyskutować po cichu z kierownictwem, komisją, nawet ministerstwami, jeśli zajdzie potrzeba. Tyle że było to, rzecz prosta, prawie niemożliwe. Ciekawe, co by ze mną zrobili, gdybym zagroził ujawnieniem faktów. Z prawnego punktu widzenia nie mam żadnych szans. Wszystko, co wiązało się z Segre, było tajemnicą objętą prawem wojskowym, a nie cywilnym. Innymi słowy, nie obowiązywały tu żadne prawa. Pewnie zepchnęliby mnie po cichu z jakiejś skały.

Enzo złożył obie kartki i schował do kieszeni. Ten dziennikarz z Ameryki pisał, że chce się z nim zobaczyć wpół do siódmej. Na siódmą Enzo był umówiony z synem kierownika ośrodka na dole na przystani. Popłyną wzdłuż brzegu i zastawią sieci u wejścia do

którejś z zatoczek w okolicy Segre, gdzie miejscowi rybacy już nie łowią.

Wyszedł z domu za dwadzieścia siódma. Jadąc na umówione skrzyżowanie, nadkładał tylko parę minut drogi. Jak dobrze pójdzie, Amerykanina może tam w ogóle nie być.

Henshaw czekał na skrzyżowaniu dwadzieścia metrów od wiaduktu, po którym autostrada przechodziła nad drogą. Starał się zapomnieć o twarzy Anny z podkrążonymi i zapadniętymi oczami, jaką widział godzinę temu, gdy na oczach grupki gapiów przechodziła z helikoptera do samochodu żandarmerii, ze wzgardą odrzucając pomoc. Czy dostrzegła go w tej grupce, czy widziała ich wynajęty samochód stojący na porośniętym trawą poboczu w miejscu, gdzie kończyła się asfaltowa droga? Idący między dwoma policjantami brodacz zauważył go, lecz udał, że go nie zna. Dwójka terrorystów została ujęta zupełnie przypadkowo: załoga helikoptera biorącego udział w operacji Toskańska Szrama dostrzegła znoszoną ze wzgórza dziewczynę i, kierując się współczuciem, pospieszyła jej z pomocą. Wprawdzie Henshaw nie znał włoskiego, a hiszpańskiego zaledwie liznął w szkole, ale słuchając w samochodzie wieczornego serwisu informacyjnego zrozumiał, że Włosi już się chełpią, przypisując przypadkowe aresztowanie terrorystów „energicznej akcji policji” powiązanej z „zakrojoną na szeroką skalę operacją wojskową”.

Szarzało. Ujrzał w lusterku reflektory jakiegoś samochodu, w ciągu pół godziny zaledwie drugiego samochodu na tej drodze.

Jeśli to nie on, myślał, będę musiał stąd odjechać. W kieszeni miał ostatnie dwadzieścia dolarów, a wynajęty samochód należało zwrócić w Mediolanie do północy. Nie uśmiechała mu się taka długa, samotna jazda.

Henshaw obserwował mijający go powoli samochód. Za kierownicą siedział tęgi mężczyzna w brudnej, bawełnianej koszulce, który żuł postrzępione cygaro. No, ten na pewno nie wygląda na inżyniera-atomistę. Samochód zatrzymał się przy betonowym przepuście koło mostu. Henshaw widział samochód i kierowcę dzięki światłu padającemu ze stacji benzynowej przy biegnącej górą autostradzie, gdzie cierpliwie czekały ustawione w długą kolejkę samochody. Była to jedyna stacja w promieniu stu pięćdziesięciu kilometrów, w której podczas weekendu nie brakowało benzyny.

Mężczyzna wysiadł z samochodu, wciąż żując cygaro. Odwrócił się plecami i siusiał do przepustu, a Henshaw znów uznał, że to nie może być facet, o którego mu chodzi.

Po chwili mężczyzna obrócił się i ruszył w jego stronę, toteż Henshaw zaczął już opuszczać szybę. Enzo był jednak szybszy. Wyciągnął z kieszeni dwie kartki papieru, wetknął je za wycieraczkę i natychmiast ruszył z powrotem. W dali, nad morzem, gasły już ostatnie promienie dnia.